

Trylogia ILLUMINATUS! to jedna z najbardziej liczących się książek kultowych, która w doskonały sposób odzwierciedla złożony i w swej odmienności posunięty do granic absurdu obraz Ameryki. Jest to czarna komedia, gigantyczna satyra przypominająca niektóre utwory Thomasa Pynchona. Sceny w tej komedii przesuwają się niczym w barwnym kalejdoskopie, przywodząc przed oczy tajemnicze sekty, ugrupowania polityczne, słynne postacie historyczne, władców, świat seksu i narkotyków, uzdrowicieli i zbawców.

Jest trylogia ILLUMINATUS! również doskonałą zabawą ze świata w stylu filozofii „zen w wydaniu braci Marx", a celem jej — jak piszą autorzy — jest uzyskanie dyskor-diańskiego oświecenia, czyli uświadomienie sobie, że tak naprawdę nic nie istnieje i że nic nie jest warte szacunku... albo — co na jedno wychodzi — wszystko jest warte szacunku.

LEWIATAN, tom III cyklu, zasługuje w pełni na określenie wielkiego finału trylogii ILLUMINATUS!

ILLUMINATUS!

W skład trylogii wchodzi

Tom I OKO W PIRAMIDZIE

Tom II ZŁOTE JABŁKO

Tom III LEWIATAN

Robert Shea Robert Anton Wilson

LEWIATAN

TOM III TRYLOGII *ILLUMINATUS!*

Tłumaczyła Teresa Tyszowiecka-Tarkowska



ZYSK I S-KA

WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału ILLUMINATUS! Part III LEYIATHAN

Copyright © 1975 by Robert Shea and Robert Anton Wilson

Published by arrangement with Dell Publishing, a division of Bantam Doubleday Dell Publishing Group, Inc.

Copyright © 1995 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c, Poznań

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce Piotr Chojnacki

Redaktor serii Tadeusz Zysk

Redaktor Bogusław Jusiak

Wydanie I

ISBN 83-7150-035-1

Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c.

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

tel./fax 526-326, tel. 532-767, 532-751

Skład i łamanie perfekt s.c. ul. Grodziska 11, Poznań

Ewolucja życia od form ziemskich do form kosmicznych jest nieunikniona, jako że łono naszej planety eksploduje za najbliższych parę miliardów lat... Ziemia jest jednym ze szczebli naszej podróży w czasie poprzez galaktykę. Żeby przetrwać, życie musi oderwać od Ziemi swoje ziarno... Niektórzy z nas są zresztą znudzeni embrionalnym poziomem myśli na tej planecie i patrzą w górę z nadzieją, że natkną się tam na kogoś, z kim warto będzie pogadać.

Timothy Leary, Ph.D i L. Wayne Brenner, *Terra II*

PROLOG

Na mapę Stanów Zjednoczonych pada gigantyczny cień. Małeńka rączka unosi się i wpina w Chicago chorągiewkę. Kamera robi odjazd i widzimy Markoffa Chaneya, karła o niewiarygodnie złośliwym uśmiechu. Karzeł chichocze.

Prawda jest taka, że Mr Chaney toczy jednoosobową wojnę przeciw standaryzacji (sam jest bardzo substandardowy) i mechanizacji (sam jest aż nazbyt żywy) współczesnego społeczeństwa. To on we wszystkich większych miastach poprzelącał światła na skrzyżowaniach tak, by sygnał IDŹ zapalał się na czerwonym, a STÓJ na zielonym; to on dokonał infiltracji drukarni, płacząc instrukcje na blankietach zeznań podatkowych; to on ozdobił wszystkie instytucje idiotycznymi zaleceniami, podpisanymi K Z Ł (czyli Karzeł, większość ludzi jednak, sądząc, że skrót oznacza Kierownictwo Zakładu, stosuje się do nich pokornie). „Karły kontra miary" jest *mahamantrą* Chaneya...

— Nim mnie dopadną, dam im bobu — rechoce.

(Poza tym, Markoff pisze książkę, której zadaniem jest udowodnić, że cała nauka i kultura jest

dziełem mężczyzn poniżej pięciu stóp wzrostu. Książkę zatytułował *Mali mężczyźni z wielkimi jajami*, ale możecie być pewni, że kiedy przyjdzie co do czego, wydawca zmieni tytuł na *Małych mężczyzn z wielkimi umysłami*. Jeśli natknąłeś się gdzieś na graffiti: PRECZ Z ROZMIARYZMEM, możesz być pewien, że Chaney był tam przed tobą).

Niestety, nieświadom niczego, ten sam niepozorny Chaney miał się stać potężnym pionkiem w rozgrywkach Iluminatów, tajnego stowarzyszenia, popierającego rzekomo racjonalizm, naukę, praworządność i Totalną Kontrolę nad Wszystkimi. Iluminaci jednak, nie nadążając za poczynaniami nieuchwytnego karła, przypisują jego surrealistyczne działania rewolucyjne Erizyjskiemu Frontowi Wyzwolenia (EFW), kolejnej sieci konspiracyjnej o szerokim zasięgu, na czele której stoi Dealy Lama, stary mistyk rezydujący w kanałach pod Dealy Plaża w Dallas. Knowania EFW rzekomo służyć mają irracjonalizmowi, anarchii i Totalnemu Wyzwoleniu Każdego.

Cięcie. Zbliżenie Malika, który opowiada o sobie.

— Eee... Wydaję „Konfrontacje”, rozumiecie, ostatnie z tych prawdziwie zaangażowanych, liberalnych czasopism. — Wzrusza niewyraźnie ramionami, ten, w głębi duszy, arabsko-amerykański intelektualista, sam sobie wydaje się czymś równie nie na czasie, jak, na przykład, przerzut Czarnych do Kanady. — Zaczęło się... eee... na Zjeździe Demokratów w 1968, kiedy... eee... straciłem wiarę w liberalizm i zasililem szeregi Prawowiernych Starożytnych Mumm (PSM). Wciągnął mnie Simon Moon.

W kadrze pojawia się Simon, szopa na głowie, czarne kudły na brodzie, w oczach blask powidoków z LSD.

— Tim Moon to był mój ojciec, nie miałem jeszcze pojęcia o alfabecie, kiedy nauczył mnie śpiewać *Joe Hill* i *Union Made*. Zanim wstąpiłem w szkolne progi, zdążyłem już poznać kwatery główną wobblistów w Chicago. Kiedy obroniłem w Antioch magisterkę z matmy, mogłem szukać roboty w każdej korporacji na terenie całego kraju, ale dziesięć tysięcy martwych wobblów wstało z grobu, śpiewając *Po czyjej jesteś stronie?*, więc uznałem, że bardziej honorowo będzie żyć ze sprzedaży marihuany...

Simon, *de facto*, jest dealerem tylko z zawodu; z powołania jest fanatycznym członkiem PSM — tajnego stowarzyszenia, które przetrwało od czasów babilońskich, uprawiając kult Mumm, bogini chaosu. PSM-owcy znajdują się obecnie w pięćdziesiątym dziewiątym wieku wojny przeciw Iluminatom.

— Zanim przystąpiłem do PSM — mówi Joe Malik — słyszałem o Iluminatach wyłącznie z ust prawicowych szaj-busów. Z początku byłem przekonany, że Simon robi mnie w konia. Kiedy jednak poznałem przywódcę PSM... (Grzmot w ścieżce dźwiękowej; po twarzy Joe przemyka upiorny cień.)

Znajdujemy się przed bungalowem w Los Angeles; Simon stuka, Joe nerwowo rozgląda się. Drzwi otwierają się.

— Więc to ty jesteś tym nowym rekrutem — mówi wesoło starszy pan. — Wejść i opowiedz mi, jak taki dupowaty mądrała jak ty może nam pomóc rozpierdolic tych jebanych pedałów Iluminatów? — W oczach niskiego, starszawego jegomościa czai się kpiący, stalowy błysk. Nic dziwnego, to właśnie on jest Johnem DiUingerem, który aktualnie funkcjonuje pod nazwiskiem Frank Sullivan i jest prezydentem wytwórni Radosny Fallus, królem przemysłu rockowego.

Migawka z 1923: Dillinger niepewnie mierzy ze spluwy w stronę sklepikarza, B.F. Morgana, który wznosi dłoń w masonskim sygnale alarmowym. George'owi udaje się przekupić prokuratora okręgowego, mimo to ląduje za kratkami na dziewięć lat. Za zdradą prokuratora bez wątplenia kryje się dłoń masonów (swoją drogą, stare wygi uprzedzały go: „Spluwa się zatnie, sędzia cię natnie”), John przystępuje do PSM, by głosić ich dewizę: „Położyć się na podłodze, zachować spokój” — podczas kolejnych skoków na bank. W ten sposób grał na nosie J. Edgarowi Hooverowi, masonowi trzydziestego trzeciego stopnia a zarazem wysokiej rangi Illu-minatus Primus. Hoover tymczasem rozpoznaje w Johnie rewolucjonistę PSM i wydaje nakaz strzelania przy pierwszej

7

nadarzającej się okazji, przez co dochodzi do masakry trzech biznesmenów z wisconsinśkiej łązy Mała Bohemia, mylnie wziętych za gang Dillingera. Zebrawszy cięgi po tym pożałowania godnym incydencie, FBI wykazuje dość rozumu, żeby zachować w sekrecie fakt, że mężczyzna, którego postrzelono 22 lipca 1934 w kinie „Biograph”, również okazał się przygodną ofiarą. Dillinger awansuje w szeregach PSM, odzegnując się od „prymitywnych strategii” w rodzaju skoków na bank.

Teraz, w połowie lat siedemdziesiątych, zaawansowany w latach Dillinger zdecydował się na fuzję PSM z innym tajnym stowarzyszeniem, Legionem Dynamicznej Niezgody, któremu przewodzi enigmatyczny Hagbard Celine: inżynier, prawnik, mistyk i właściciel, a zarazem twórca FUCKUP-a (Fundamen-talno-Uniwersalno-Cybernetyczno-Kinetyczno-Ultramikro-Pro-gramatora,

najmądrzejszego komputera na świecie.)

SIMON MOON: „Hagbard to prawicowy hucpiarz”.

JOE MALIK: „Nie byłbym tego pewien. Hagbard jest geniuszem, co do tego nie ma dwóch zdań. Niestety, wykorzystuje swój współczynnik inteligencji głównie po to, żeby taić przed światem rzeczywiste pobudki swoich działań. Nie byłbym taki pewien...”

Sam Hagbard lubi uważać się za socjologa, jest twórcą Reguły Snafu, zgodnie z którą „Komunikacja zachodzi tylko pomiędzy równymi”. Wszelkie zhierarchizowane organizacje, w których ludzie funkcjonują na zasadach nierówności, grzęzną, według Hagbarda, w bagnie komunikacyjnym; teza wypracowana została na modelu armii amerykańskiej, w której zresztą powstała dewiza SNAFU (Sytuacja Normalna, Ale Fatalnie Upierdolona). Każda hierarchia jednak, nie wykluczając korporacji, rządów i wszelkich nieegalitarnych modeli społecznych, prowadzi, według Hagbarda, do jednakowego bagna. Swoje wywody podsumowuje pogodnym stwierdzeniem, że zmierzająca do zaprowadzenia powszechnej praworządności intryga Iluminatów nieuchronnie prowadzi do pogłębienia chaosu.

8

O ile PSM-owcy czczą Mummu, babilońską boginię chaosu, o tyle Legion Dynamicznej Niezgody Hagbarda hołduje Eris, greckiej bogini zamętu. Hagbard, o czym nie wiedzą PSM-owcy, współdziała również z Eryzijskim Frontem Wyzwolenia w operacji Obciążanie Mózgu (OM), zmierzającej do obalenia wszelkich autorytetów poprzez sianie zamętu i zwątpienia na wszystkich frontach. Ale nawet sam Hagbard nie orientuje się, że miniaturowy Markoff Chaney ma większy wkład w jego dzieło niż którekolwiek z tajnych stowarzyszeń...

Zbliżenie FUCKUP-a, genialnego komputera Hagbarda, jak stawia / *Ching* w swoich obwodach (odczytując obwody otwarte jako linie jin, a obwody zamknięte jako jang). Interpretacja skorelowana jest z bieżącymi parametrami astronomiczno-astrologicznymi, wiadomościami NBC, *Facts ort File*, doniesieniami agentów Hagbarda ze stolic świata.

— Groźba III wojny światowej. Prognoza: wiele mega-śmierci. Brak winnych.

— Jasna dupa, brak winnych! — wścieka się Hagbard; teraz dociera do niego w pełni znaczenie incydentu na Fernando Po.

Fernando Po to niepozorna wysepka w Zatoce Biafry, u wybrzeży Afryki, gdzie kapitan Ernesto Tequila y Mota proklamował się generalissimusem, reżyserując *coup d'e'tat*. Asy CIA informują w te pędy Waszyngton, że nowy reżim kontrolowany jest przez Rosję i Chiny; czołowi wywiadowcy radzieccy informują Moskwę, że reżim kontrolowany jest przez Chiny; wywiad chiński stwierdza, że w zamachu maczała palce Moskwa. Podczas gdy trzy supermocarstwa wskutek nieporozumienia pogrążają się w waśni, Hagbard, rozpoznając w incydencie zręczną dłoń Iluminatów, przeprogramowuje FUCKUP-a, by zlokalizować prawdziwe źródło zagrożenia (Fernando Po jest, naturalnie, wyłącznie dymną zasłoną). Komputer zaleca mieć na oku Las Vegas.

A teraz wersja Sherri Brandi:

— W tej pierdolonej dziurze, moja droga, forszę zarobisz tylko nadstawiając skarbonki. No więc pracuję dla Carmela,

9

który jak na alfonsa jest całkiem przyzwoitym gościem, poza tym, że od czasu do czasu lubi każdą stłuc na kwaśne jabłko. Teraz jednak Carmel wpadł na pomysł, że moglibyśmy zbić kasę...

Carmel jest przekonany, że nowy klient Sherri, Charlie Mocenigo, zatrudniony w tajnym projekcie rządowym na pustyni, odkrył supertajną broń. Carmel, o dziwo, nie myli się: rzeczona broń to Wąglik-Trąd-Pi (WTP), wirus o nieokiełzanych apetytach. Plan Carmela, by wykraść recepturę broni i sprzedać pierwszemu z brzegu komuniście w Las Vegas, wraca do swego twórcy rykoszetem; Sherri i Mocenigo ponoszą śmierć wskutek przypadkowego zakażenia, a Carmel, również bezwiednie zainfekowany, staje się kimś w rodzaju Morowej Dziewicy.

Tymczasem Joe Malik dostaje cynk od Hagbarda i wysyła George'a Dorna, czołowego reportera „Konfrontacji”, do Mad Dog w Teksasie w celu infiltracji prawicowych środowisk, pomawianych o wyreżyserowanie zabójstw Roberta Kennedy'ego, Martina Luthera Kinga, George'a Lincolna Rockwella i Spiro Agnew.

W Mad Dog John za posiadanie marihuany zostaje zatrzymany, a następnie posadzony przez szeryfa Jima Cartwrighta. Towarzysz z celi George'a, podobny do kobry osobnik nazwiskiem Harry Coin, najpierw chełpi się zamordowaniem paru osób, po czym usiłuje zgwałcić George'a. Następnie do więzienia wdziera się tajemnicza grupka dowodzona przez Mavis, młodą damę z karabinem maszynowym, i wyprowadza George'a przez zamaskowaną świątynię, której ołtarz w kształcie piramidy zdobi slogan EWIGE BLUMENKRAFT! Mavis wyjaśnia George'owi, że więzienie w Mad

Dog jest tajną kaplicą Uuminatów.

George zostaje wywieziony nad Zatokę Meksykańską, gdzie spierają się z Mavis na tematy polityczne i odbywają stosunek oralny w oczekiwaniu na przybycie „Leifa Ericssona”, gigantycznej złotej łodzi podwodnej należącej do Hagbarda Celine'a. George mknie z Hagbardem ku ruinom Atlantydy.

10

Tymczasem w Nowym Jorku Saul Goodman, inspektor Wydziału do Spraw Zabójstw, prowadzi dochodzenie w sprawie zamachu bombowego w redakcji „Konfrontacji”, tajemniczego zniknięcia redaktora Joe Malika i jeszcze bardziej tajemniczego zniknięcia wszystkich psów Malika. Młody detektyw, Danny Pricefixer, znajduje plik not sporządzonych dla Malika przez informatorkę. Saul czyta i dowiadyuje się, że:

1. Według francuskiego socjologa Jacquesa Ellula Iluminaci zawiązali się w XI wieku i byli wyznawcami chrześcijańsko-komunistycznej herezji powszechnej równości.

2. Według *History of Secret Societies* Daraula Iluminaci wywodzą się z dwóch tajnych średniowiecznych stowarzyszeń islamskich: Roshinaya i asasynów.

3. Według *Encyclopedia Britannica* stowarzyszenie Iluminatów założył w 1776 profesor Adam Weishaupt z Ingolstadt w Bawarii. W 1786 rząd zakazał Iluminatom działalności.

4. Według listu opublikowanego w „Playboyu” Iluminaci działają nadal, a fala zabójstw politycznych z ostatnich lat jest ich dziełem.

5. Według magazynu „Teenset” Iluminaci rządzą rock biznesem.

6. Według czasopisma „American Opinion” Rada do Spraw Stosunków Międzynarodowych (z której, *de facto*, wywodzą się wszyscy prezydenci i sekretarze stanu) stanowi fasadę dla poczynań Iluminatów.

7. Według chicagowskiej gazety „Spark” burmistrz Richard Dealy w swojej diatrybie wygłoszonej podczas zjazdu Demokratów w 1968 użył hasła Iluminatów: *Ewige Blumenkraft!* Co więcej, Adam Weishaupt podszywał się pod Jerzego Waszyngtona.

8. Według zapowiedzi programowej NBC portrety Waszyngtona przedstawiają kilku różnych mężczyzn.

9. Według nowojorskiego „East Village Other” w 1969 do znanych przywódców Iluminatów zaliczali się Malaklipsa Młodszy, Mao Tse-tung, Mordekai Plugawy, Richard Nixon,

11

Aga Khan, Święty Yossarian, Nelson Rockefeller, Święty Mac-Murphy, lord Omar i Mark Lane. (To musi być jakaś mistyfikacja — wyrokuje Saul po namyśle.)

10. Według *Flying Saucers in the Bible* symbol Iluminatów, przedstawiający oko w piramidzie, został wręczony Jeffersonowi przez nieznanego mężczyznę w czarnym płaszczu.

11. Według sanfranciskańskiej „Planet” symbolem oka w piramidzie posługiwał się dr Timothy Leary podczas kampanii wyborczej na urząd gubernatora.

12. Według *Proofs of a Conspiracy* autorstwa dziewiętnastowiecznego wolnomularza, Johna Robisona, Iluminaci kontrolowali wszystkie loże masonskie w Europie z wyjątkiem loży angielskiej.

13. Według *World Revolution* Nesty Webster za każdym z socjalistycznych i komunistycznych ruchów rewolucyjnych stoi inicjatywa i pieniądze Iluminatów.

14. Według *History of Magic* Eliphasa Levi'ego Iluminaci parają się czarną magią.

15. Według „High I.Q. Bulletin” Iluminaci są najeźdźcami z Wenus.

16. Według *Libertarian American* Iluminaci wtajemniczyli w arkana czarnej magii i psychologii tłumy Adolfa Hitlera i J. Edgara Hoovera.

17. Według „Los Angeles Free Press” podejrzewa się Iluminatów o infiltrację Towarzystwa Teozoficznego za pośrednictwem kalifornijskich prawników.

W tym czasie Barney Muldoon z Sekcji Pirotechnicznej znajduje dowody, wskazujące, że Iluminaci w rzeczywistości są jezuitami.

Porównując kolejne noty, Goodman z Muldoonem wysuwają ostrożnie teorię, że Iluminaci są satanistami, którzy zinfiltrowali każdą organizację, od Kościoła katolickiego po wolnomularstwo. Niestety, Saul ląduje wkrótce w szpitalu psychiatrycznym, gdzie personel usiłuje przekonać go, że jest Barneyem Muldoonem, który cierpi na urojenia, że jest Saulem Goodmanem.

12

Tymczasem Hagbard Celinę mknie w kierunku zatopionej Atlantydy, by położyć rękę na spoczywających na dnie antycznych dziełach sztuki, zanim dopadną je Iluminaci na swoich pająkowatych statkach. (W drodze George Dorn przechodzi inicjację do Legionu Dynamicznej Niezgody z rąk Stelli, uroczej czarnoskórej piękności. „Kiedy będę mógł dostąpić ponownej

inicjacji?" — pyta, ledwie skończyli. „Niebawem" — odpowiada lubieżnie Stella...).

W potyczce *Leifa Ericssona* z pająkowatą flotą Hagbardowi w sukurs przychodzi morświn imieniem Howard, przywódca AA (Adeptów Atlantydzkich), tajnego stowarzyszenia mor-świnów. (Nie brak konspiratorów na tej planecie, konstatuje George.)

George zostaje następnie wysłany do Blue Point w Long Island, rezydencji bostońskiego bankiera Roberta Putneya Drake[^], najbogatszego człowieka na świecie, kierującego potajemnie mafią i całym syndykatem zbrodni. W zamian za atlanty-dzkie posągi Drake[^] przerzuca swoją protekcję z Iluminatów na Legion Dynamicznej Niezgody.

Migawka z przeszłości: Drake[^] w 1918, Chateau-Thierry, jedyny ocalały z wyciętego w pień plutonu.

— Dobry Jezu, daj mi żyć, daj mi żyć...

Drake[^] w 1936 w Zurychu leci na meskalinie z Bractwem Wschodu; w poszukiwaniu Iluminatów przeniknął w szeregi Ordo Templi Orientis Aleistera Crowleya.

Carl Jung w 1936 mówi o Drake'u:

— On nie chce zamordować ojca, by posiadać matkę, on chce zamordować Boga, by posiadać wszechświat.

Arthur Flegenheimer (Holender Schultz) umiera w szpitalu w Newark 23 października 1934 roku.

— A chłopiec bardzo hardy nie wytarł nóg i nigdy nie kłamał... Francusko-kanadyjska zupa fasolowa... Kłopoty z chodnikiem i kłopoty z niedźwiedziami... — bredzi w delirium.

Drake[^], zgłębiając pod działaniem haszyszu ostatnie słowa Schultza, zaczyna domyślać się, że za działalnością organizacji przestępczych kryją się Iluminaci.

13

Powrót do terażniejszości: Po transakcji z Drakiem George'owi Dornowi w sypialni dogadza Tarantella Serpentine, kobieta, która była mistrzynią Lindy Lovelace. Dogadza mu, nie da się ukryć, szczerze, jednak George po przebudzeniu odkrywa, że dom atakowany jest przez gigantycznego morskiego potwora. Z pomocą Drake'a George ucieka rolls-royce'em „Srebrne Widmo".

— Zasługujemy na śmierć — mówi Drake[^], krzywiąc się niezrozumiale. Cytuje ostatnią scenę z *Narzeczonej Frankensteina*, o czym George, naturalnie, pojęcia nie ma.

ODLOT DZIEWIĄTY ALBO JESOD

(*WALPURGISNACHT ROCK*)

TRAFIONY-ZATOPIONY: Ulubiona gra Dyskordian i wszelkich osobników ich pokroju.

CEL GRY: Posianie dowolnego przedmiotu bądź rzeczy na dno... dno wody, błota czy innej substancji, która się do tego nadaje. ZASADY: Zatopianie dozwolone jest w każdej postaci. Odnotowano przypadki stosowania pięciokilogramowych pecyn błota w celu zatopienia puszki po tytoniu. Najlepszy jednak jest dół z wodą albo inna dziura, w której można zatopić nasz obiekt. Rzeki, a nawet zatoki, morza, ba! — oceany znakomicie nadają się do tego celu.

KOLEJNOŚĆ GRY: Zaczyna ten, kto pierwszy uniesie swój rzech i ciśnie przed siebie.

OBOWIĄZKI: Obowiązkiem każdego uczestnika gry TRAFIONY-ZATOPIONY jest wynajdowanie kolejnych przedmiotów do posłania na dno.

PRZY ZATAPIANIU: Gracz powinien wrzasnąć: „Trafiony-za-topiony!" lub coś równie mądrego.

NADAWANIE NAZW PRZEDMIOTOM: Bywa niekiedy użyteczne. Przedmiot zostaje ochrzczony przez swojego znalazcę, dzięki czemu zatapiający może, na przykład obwieścić: „Posłałem na dno Columbus w stanie Ohio".

ALA HERA, E.L., N.S., Rayville Apple Panthers cytata z *Principia Discordia* Malaklipy Młodszego, S.S.C.

Przez tydzień z górą muzycy ładowali się do samolotów, kierując się w stronę Ingolstadt. Już 23 kwietnia, kiedy Simon i Mary Lou słuchali Clarka Kenta i Jego Supermanów, a Geor-ge Dorn pisał o kłaśnieciu jednej powieki Filety Duszy, którym nie udało się już załatwić rezerwacji w Londynie, ruszyły do Ingolstadt volvo pomalowanym na siedemnaście fosforyzujących kolorów, dumnie powiewając starym hasłem Kena Ke-asy'ego: „Napszut!" 24 kwietnia ruszył strumień: w chwili, gdy Harry Coin spojrział w oczy Hagbarda Celine'a, daremnie

15

szukając cienia litości (w tym czasie Buckminster Fuller nad samym środkiem Pacyfiku wyjaśniał zjawisko wielokierunkowej holoemanacji współpasażerowi na pokładzie whisperjeta TWA), Gniewne Majaki, Karaluchy oraz Senat i Plebs Rzymu wjeżdżali dziwacznymi landarami na Rathausplatz, natomiast Hipopotam Ultrafioletu oraz Podrzutek sunęli przez Friedrich-Ebert-Strasse w jeszcze bardziej zdumiewających autokarach.

25 kwietnia, kiedy Carmel obrabiał sejf Maldonada, a Geor-ge Dorn powtórzył: „Jestem robotem", strumień zamienił się w rzekę. Nadciągnęła Wiedza i Zdrowie, a za nią: Klucz do Alfabetu, Niuchacze Kleju, King Kong i Jego Dinozaury z Wyspy Czaszek, Hamburger Howarda Johnsona, Ruchawa w Pierdlu, Dom Frankensteina, Znaczy Się Małpa, Przerzypana Sprawa, Pomarańczowy Mech, Indigo Banana i Różowy Słoń.

26 kwietnia rzeka wylała i zaczęła się powódź; w chwili gdy Saul i Barney Muldoon usiłowali wyciągnąć prawdę z Mar-koffa Chaneya, który wił się jak piskorz, Ingolstadczycy ocknęli się zalani przez Froda Bagginsa i Jego Pierścień, Mysz Która Ryknęła, Chłopców z UFO, Wspaniałych Ambersonów, Dom w Którym Żyję, Kłaśnięcie Jednej Dłoni, Imperatyw Terytorialny, Druidów ze Stonehenge, Głowy z Wysp Wielkanocnych, Zaginiony Kontynent Mu, Królika Bugsa i Czternaście Marchewek, Ewangelię Według Świętego Marksa, Posiadaczy Kart Klubowych, Piaski Marsa, WZWUT, Asocjacje, Amalgamację, Walentynkową Masakrę, Klimax, Skok w Dal, Włochów Łonowych, Freeks i Windows. Mick Jagger ze swoim nowym składem, Trashersami, dobił 27 kwietnia, kiedy FBI przesłuchiwało każdą kurwę w Las Vegas. Za Mickiem ciągnęły Dachy, Mojżesz i Monoteizm, Wilk Stepowy, Bołaczki Cywilizacji, Biedny Ryszard i Sekret Różokrzyżow-ca, Zegarek Na Rękę, Nova Express, Ojciec Wód, Ludzkie Istoty, Pomnik Waszyngtona, Dzieci Talidomidu, Obcy w Obcym Kraju, Doktor Wacek Wędrowniczek, Joan Baez, Los Bastardos, Dłoń Nieboszczyka, Joker i Jednookie Ciule, Pani Peyotlu, Niebiański Blues, Golemi, Najwyższe Przebudzenie, Siedem Odmian Dwuznaczności, Zimna Wojna, Gang Ulicz-

16

ny, Podpalacze Banków, Niewolnicy Szatana, Teoria Domina, Maxwell i Jego Demony. 28 kwietnia, kiedy Dillinger nabijał broń, a kaczyni z Orabi stanęli do bębnow, nadjechali Poszukiwacze Złotej z Acapulco, a za nimi Gilgamesz, Drugie Prawo Termodynamiki, Hrabia Drakula i Jego Oblubienice, Żelazna Kurtyna, Hałaśliwa Mniejszość, Dług Międzynarodowy, Potrójny Wkład w Teorię Płci, Chmura Niewiedzy, Narodziny Narodu, Zombie, Atylla i Jego Hunowie, Nihilizm, Katatonia, Onaniści z Thomdale, Bomba z Haymarket, Łeb Zdechłego Kocura, Cień Poza Czasem, Syreny z Tytana, Pia-nola, Ulice Laredo, Odyseja Kosmiczna, Niebieskie Miesiączki, Kraby, Dawka, Trawka na Kurhanie, Powidok, Koła Karmy, Świętych Obcowanie, Miasto Bogów, Chwiej noś Bez Granic, Leworęczny Francuz, Kolec w Stawie, Wschód Kluski, SHAZAM, Saneczki, Appendix 23, Drugi Policzek, Zawołaj Woła, Pani i Jej Członek Komitetu, Cohen Cohen Cohen i Kahn oraz Fenomen Jointa.

29 kwietnia, kiedy Danny Pricefixer w podnieceniu słuchał Mama sutry, na Ingolstadt spłynął potop. Autobusami, ciężarówkami, dużymi samochodami osobowymi, specjalnymi pociągami, każdym możliwym środkiem lokomocji z wyjątkiem bodaj psiego zaprzęgu zmierzali do miasta: Cud Zaświatów, Klątwa Maule'a, Jezus Na Haju, Kikut Ahaba, Bezkonny Kat, Liście Trawy, Apel Gettysburski, Różanopalcu Jutrzenka, Wody Oceanu, Nirvana, Sieć Kosztowności, Wstęp Wolny, Pisań Cantos, Zeszłoroczny Śnieg, Pink Dimension, Gęś w Butelce, Niezwyciężony Hulk, Trzecie Bardo, Urynoterapia, Nieodparta Siła, MC Kwadrat, Akt Aneksji, Korowód Emocji, 99 Lat Dzierżawy, Nie Do Usunięcia, Statek Ziemia, Rozpad Węgla, Ryk Protestu, Pięść, Sądna Maszyna, Sceneria Pustynna, Zobowiązania Wujka Sama, Splot Żon, Do Przerwy Zero Jeden, Preludium Przestrzeni, Grom i Róże, Armageddon, Wehikuł Czasu, Słowo Masona, Monkey Business, Fabryka, Ósemka Mieczy, Wojacy i Goryle, Składka na Lunch, Królestwo Prymatów, Nowy Eon, Enola Gay, Ósma Więź, Krzywa Stochastyczna, Pochodna Newtona, Płonący Dom, Kapitan Widmo,

17

Zmierzch Zachodu, Sekundanci, Zew Dziczy, Świadomość III, Zdeformowany Kościół Dnia Dzisiejszego, Standard Oil z Ohio, Zygzaki, Zadymiarze, Potomstwo Ra, TNT, Dawka Dopuszczalna, Poziom Skażenia, Wielka Bestia, Córy Babilonu, Ugór, Ohydna Prawda, Werdykt Końcowy, Kiepskie Wyjście, Ciepła Śmierć Wszechświata, Zwykły Łomot, Przebudzenie, Dziewięciu Nieznajomych, Koń Innej Barwy, Uwaga: Lawiny, Wąż Się Zakrada, Silni — Zwarci — Zgotowani, Potwór w Cywilu, Herkules i Żółwie, Filar Centralny, Wykasowane Wtręty, Głębia Cytatu, LuCyFeR, Pieska Gwiazda, Pół Żartem Pół Sy-riusz, Preparation H.

(Mimo to 23 kwietnia, kiedy Joe Malik z Tobiasem Knigh-tem podkładali bombę w redakcji „Konfrontacji”, Dealy Lama przekazuje telepatyczną informację Hagbardowi Celinę'owi: *Jeszcze nie jest za późno na odwrót.*

— Czy to jest pewne? Naprawdę pewne? — wybucha Joe po chwili wahania.

Tobias Knight podnosi znużone spojrzenie.

— Nic nie jest pewne — stwierdza z prostotą. — Celinę jak dotąd pięciokrotnie pojawił się na bankietach i innych imprezach towarzyskich, które zaszczycił Drake; każda rozmowa między tymi dwoma nieuchronnie zmierza do metafory marionetek i ulubionej gadki Celinę'a o nieświadomym sabota-życie w każdym z nas. To wszystko, co wiemy. — Nastawia zegar na 2.30 w nocy i ponownie patrzy Joe w oczy.

— Żałuję, że nie dałem George'owi więcej wskazówek — mówi niezręcznie Joe.

— Udzieliłeś mu ich aż nadto — stwierdza Knight, zamykając obudowę bomby.)

1 kwietnia, kiedy Boży Grom maszerował przed siedzibą ONZ, a Kapitan Tequila y Mota stanął przed plutonem egzekucyjnym, John Dillinger rozplótł się z lotosu i zakończył transmisję matematyki magicznej. Przeciągnął się, otrząsnął jak pies i ruszył tunelem pod budynkiem ONZ do Kontroli Aligatorów. OTO joga wyczerpywała go nieodmiennie — chętnie porzucał ją na rzecz spraw bardziej przyziemnych.

18

Przy wejściu do KA zatrzymała go strażniczka. Podał jej plastikową kartę z okiem w piramidzie. Strażniczka, skwaszona niewiasta, którą John znał ze zdjęć w gazetach jako przywódczynię Radykalnych Lesbijek, włożyła kartę do szpary w ścianie; karta natychmiast wyleciała z powrotem. Błysnęło zielone światełko.

— Przechodźcie — zażądała. — *Heute die Welt.*

— *Morgen das Sonnensystem* — odparł John. Wkroczył w beżowy plastik podziemnego świata Kontroli Aligatorów. Wędrował wykutymi w skale korytarzami, aż doszedł do drzwi, na których widniał napis MONITOR MONOTONII. Znów włożył kartę w stosowną szparę i nad drzwiami zamigotało zielone światełko. Drzwi otwarły się.

Taffy Rheingold w spódniczce mini, żwawa i atrakcyjna mimo siwizny i wieku, uniosła wzrok znad maszyny. Siedziała za biurkiem z beżowego plastiku stonowanym z beżowym plastikowym wystrojem całej tajnej siedziby Kontroli Aligatorów. Na widok Johna uśmiechnęła się od ucha do ucha.

— John, co cię tutaj sprowadza? — wykrzyknęła radośnie.

— Muszę się widzieć z twoim szefem — odparł — ale zanim połączysz się z nim, powiedz, czy wiesz, że występujesz w kolejnej książce?

— Mówisz o nowej powieści Edisona Yerby'ego? — Ze stoickim spokojem wzruszyła ramionami. — Drobiazg w porównaniu z tym, co wyprawia ze mną Atlanta Hope w *Telemach kichnął*.

— Domyślam się, ale chciałbym wiedzieć, skąd ten gość wiedział to wszystko. Niektóre z jego scen są stuprocentowo prawdziwe. Jest w Zakonie?

— Przeciek telepatyczny — wyjaśniła Taffy. — Wiesz, jak to jest z pisarzami. Któryś z Magów od Iluminatów skanował zapewne Yerby'ego, który sądził, że sam to wszystko wymyślił. Czysta robota. Podobny przeciek mieliśmy, kiedy Con-don pisał *Mandzurskiego rekruta*. — Wzruszył ramionami. — To się zdarza od czasu do czasu.

19

— Domyślam się — potwierdził John z roztargnieniem. — Dobra, zawiadom szefa, że jestem.

W chwilę później znajdował się już w gabinecie witany wylewnie przez starszego mężczyznę w inwalidzkim fotelu.

— John, John, tak się cieszę, że cię znowu widzę — oświadczył z melodyjną chrypą, którą niegdyś hipnotyzował miliony; gdyby nie głos, w starczej postaci trudno byłoby się domyślić tak niegdyś przystojnego i dynamicznego Franklina Delano Roosevelta.

— Jak wylądowałeś w tej robocie? — spytał Dillinger, kiedy już zakończyli wstępne uprzejmości.

— Wiesz, jak to jest z tą bandą z Agarthi — odparł półgłosem Roosevelt. — „Więcej świeżej krwi!” to ich bitewne zawołanie. Stare, wierne sługi jak my spycha się na podrzędne stanowiska administracyjne.

— Pamiętam twój pogrzeb — wspominał John z rozrzewnieniem. — Zazdrościłem ci, sądząc, że udajesz się do Agarthi pracować bezpośrednio z Piątką. Tymczasem wylądowałeś tutaj... Monitor Monotonii i Kontrola Aligatorów. Wkurwia mnie czasem ten nasz Zakon.

— Uważaj — ostrzegł go Roosevelt. — Możesz być na podsłuchu. Podwójnych agentów jak ty, John, szczególnie mają na oku. Zresztą, w sumie nie jest tak źle, zważywszy na to, jak w Agarthi zareagowano, kiedy pod koniec lat czterdziestych zaczęły wychodzić na jaw rewelacje na temat Pearl Harbour. Nie odwaliłem roboty zbyt elegancko i mieli prawo mnie zdegradować. Poza tym Kontrola Aligatorów to bardzo interesująca operacja.

— Możliwe — przytaknął John bez przekonania. — Nigdy nie mogłem się połapać, na czym polega.

— To bardzo znaczące dzieło — stwierdził Roosevelt z powagą. — Nowy Jork i Chicago stanowią dla nas główne poligony doświadczalne w testowaniu tolerancji na *zwyludów*. W Chicago koncentrujemy się wyłącznie na brzydocie i gwałcie, w Nowym Jorku dodatkowo prowadzimy długofalowe ba-

20

danian nad nudą. Tu właśnie wkracza do akcji Kontrola Aligatorów. Musimy zredukować

liczebność aligatorów w kanałach do minimum, żeby Urząd Sanitarny nie reaktywował własnej Kontroli Aligatorów, co przed młodymi osobnikami płci męskiej otwarłoby wrota przygody i charakterystycznej dla *zwy-luddw* metafizyki hord łowieckich. Z tych samych powodów skasowaliśmy trolejbusy: były o wiele atrakcyjniejsze od autobusów. Wierz mi, Monitorowanie Monotonii stanowi bardzo istotny element projektu nowojorskiego.

— Widziałem statystyki psychiatryczne — przytaknął John. — Mniej więcej siedemdziesiąt procent mieszkańców najgęściej zaludnionej części Manhattanu wykazuje wstępne oznaki psychozy.

— Do 1980 dociągniemy do osiemdziesięciu procent! — wykrzyknął Roosevelt, a w jego oczach zagościł dawny stalowy błysk. Zaraz jednak zatknął jointa w cygarniczkę z kości słoniowej i, zaciągając się w charakterystyczny, zawadiacki sposób, dorzucił: — My, na szczęście, jesteśmy odporni dzięki Eliksirowi Saby. — Nawet najlepszy kaznodzieja nie zbliży cię do Bogata Jaksamosieja — zacytował pogodnie. — Ale co ciebie tu sprowadza, John?

— Pewna „drobnostka” — wyjaśnił Dillinger. — W mojej organizacji działa facet o nazwisku Malik, który troszkę za dużo wyniuchał. Potrzebuję jakiejś pomocy tu, w Nowym Jorku, żeby wpuścić go w jakiś lewy kanał do pierwszego maja. Ciekaw jestem, kto tu u was ma do niego najlepszy dostęp?

— Malik — powtórzył Roosevelt w zadumie. — Domyślam się, że Malik od „Konfrontacji”? — John przytaknął i Roosevelt z uśmiechem rozparł się wygodnie na fotelu inwalidzkim. — Mamy do niego murowany dostęp. Nasz agent pracuje w jego redakcji.

(Żaden z nich nie miał jednak pojęcia, że za dziesięć dni pewien morświn, płynąc nad ruinami Atlantydy, zorientuje się, że nigdy tam nie spadła żadna Smocza Gwiazda. Nie mogli też

21

przewidzieć, że Hagbard Celine, kiedy się o tym dowie, przejrzy na wskroś prawdziwą historię Iluminatów i podejmie decyzję, która w sposób nieoczekiwany i szokujący pokrzyżuje tajne plany każdej ze stron.)

— Oto pięć alternatywnych historii — oświadczył Gru-ad, a w jego starych, mądrych oczach rozbłysły iskiereki humoru. Każdy z was będzie miał obowiązek zorganizować dowody rzeczowe przemawiające za jedną z tych wersji. Tobie, Wo Topod, przydzielam historię Carcosy. Ty, Evoe, dostajesz zaginiony kontynent Mu. — Rozdał dwie pękate koperty. — Gao Twone, weźmiesz tę uroczą opowiadkę o wężu — chciałbym, żeby w różnych wariantach obiegała Afrykę i Bliski Wschód. — Wręczył kolejną kopertę. — Ty, Unico, dostaniesz historię Urantii, która jednak zostanie włączona dopiero w dość zaawansowanym stadium Gry. — Wziął do ręki piątą kopertę i uśmiech ponownie rozjaśnił mu twarz. — Kajeci, serce moje, tobie przypadnie historia o Atlantydzie z pewnymi poprawkami, które zyskają nam sławę szczerwanych skurczybyków, jakich świat nie widział. Pozwólcie, że wam wyjawię mój zamysł...

W 1974 roku czterech członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego chmurnie spoglądało na Joe Malika ze ścian jego gabinetu. Dzień zapowiadał się długi, Joe nie czekało nic równie ekscytującego. W skrzynce z korespondencją w kopercie z włókien manili czekał gruby rękopis; zauważył, że ktoś poodklejał znaczki. Jak nic robota Pat Walsh — jej braciszek był kolekcjonerem. Joe uśmiechnął się na wspomnienie pamiętnika, który prowadził jako nastolatek. Na wypadek, gdyby starzy mieli się do niego dorwać, walenie konia relacjonował jako zbieranie znaczków. „Dziś uzbierałem pięć znaczków — kolejny rekord”. „Po pięciu dniach bez nowych nabytków zdobyłem cacko w kolorach tęczy. Rozmiar imponujący, ale też mało ducha nie wyzionąłem dobijając targu”. Dzisiejsze dzieciaki, o ile w ogóle prowadzą pamiętniki (w tym celu używają zapewne magnetofonów kasetowych), albo otwarcie mówią o tych sprawach, albo uważają je za niegodne wzmianki. Joe

22

potrzęsał głową. Katolicki nastolatek, którym był w 1946, nie wydawał mu się ani odrobinę odleglejszy niż rozczarowany liberał, którym był w 1968. A jednak mimo całej swojej drogi życiowej zwykle czuł, że jego poglądy nie mają najmniejszego znaczenia. Ludzie tacy jak Pat i Peter traktowali go, jakby się w ogóle nie zmienił, w dodatku stale wykonywał tę samą pracę w taki sam sposób.

Wyjął opasy rękopis i potrzęsał kopertą. Tam do diabła, nie było koperty zwrotnej. Cóż, kiedy człowiek działa w czasopiśmie współpracującym głównie z radykałami i innymi świrami, którym opłaca się pisać za darmo, trudno oczekiwać kopert zwrotnych w korespondencji. Do rękopisu dołączono list. Na widok złotego jabłka wytłoczonego w lewym górnym narożniku Joe wciągnął głębiej powietrze do płuc.

Hail Eris, Hej, Joe

Przesyłam dowcipną, oryginalną analizę ekonomii międzynarodowej pt.: „Wampiryzm, system

heliocentryczny a parytet złota". Autorem jest Jorge Lobengula, młody obiecujący teoretyk dyskordiański. PSM-owcy nie przykładają wielkiej wagi do literatury, u Dyskordian, na szczęście, sprawy się mają inaczej. Jeśli uznasz, że rzecz jest warta druku, możesz ją wykorzystać po normalnych stawkach. Czek wystawiony na Ruch Na Rzecz Odłączenia Fernando Po należy wysłać Jorgemu pod adresem 15 Rue Hassan, Algiers 8.

Jorge, nawiasem mówiąc, nie będzie uczestniczył w zamachu stanu na Fernando Po. Aktualnie zwrócił się w stronę ekonomii synergistycznej, która stopniowo uzmysłowi mu bezsens separatystycznych dążeń Fernando Po. Naturalnie zamach w żadnym wypadku nie będzie naszym dziełem. Tym niemniej Jorge stanie się czołową postacią zrodzonej w konsekwencji zamachu gospodarczej odnowy Gwinei Równikowej — pod warunkiem, naturalnie, że świat wyj-

23

dzie cało z tej chryi. Jeśli nie możesz wykorzystać artykułu, spal go. Jorge posiada niezliczoną liczbę kopii.

Pięć ton Inu Mai.

P.S. Rewolucja na Fernando Po może się odwlec o rok czy dwa, nie chciałbym, żebyś odniósł wrażenie, że siedzimy już na beczie prochu. Przypomnij sobie, co ci mówiłem o gęsi w butelce.

M.

(Na drugim końcu korytarza, w toalecie damskiej, zamknięta na zasuwkę Pat Walsh wyciąga z rajstop nadajnik tranzystorowy i kabluje do sztabu Rady do Spraw Stosunków Międzynarodowych mieszczącego się o pół przecznicy na wschód. „Nadal podsyłam mu noty na temat Iluminatów, ukazując mu kolejne mylne tropy. Dziś wydarzeniem dnia jest artykuł na temat ekonomii erizyjskiej autorstwa pewnego nacjonalisty z Fernando Po. Do artykułu załączono list podpisany: Mai; z kontekstu wnoszę, że jest to raczej autentyk — autorstwa samego Malaklipsy Starszego. Jeśli się mylę, to przynajmniej złapaliśmy jakiś namiar na tego cholernego Malaklipsę Młodszeo, który nam się stale wymyka z rąk. Pieczętka na kopercie pochodzi z Mad Dog w Teksasie...)

Joe odłożył list Mała, usiłując sobie przypomnieć niejasne aluzje na temat Fernando Po, rzucane zeszłej nocy przed projekcją filmu. Ktoś wspomniał, że coś się tam będzie wkrótce działo. Może powinien sobie załatwić jakiegoś informatora na miejscu czy wysłać wręcz na wyspę kogoś ze swoich. Po twarzy przemknął mu złośliwy uśmiech: interesujące byłoby wysłać Petera. Najpierw trochę AUM, potem wypad na Fernando Po. Może będą z niego ludzie.

Joe szybko przeleciał wzrokiem rękopis Lobenguli. *Żadnych fnordów*. To była ulga. Bolesnie odczuwał ich obecność, od kiedy Hagbard pozbawił go odruchu awersyjnego; ścisnęło go na wspomnienie niskiego poziomu mobilizacji, w

24

jakim uprzednio wegetował. Wrócił do pierwszej strony i zaczął czytać, tym razem z uwagą.

Jorge Lobengula

WAMPIRYZM, TEORIA HELIOCENTRYCZNA A PARYTET ZŁOTA

Pragnienia wasze niech będą prawem jedynym.

Joe przerwał lekturę. Sentencja, którą słyszał podczas Czarnej Mszy w Chicago, dawniej, o ile dobrze pamiętał, przyświecała rabelaisowskiemu opactwu Theleme; było w niej coś jeszcze, co nie dawało mu spokoju, coś, co sugerowało zaszyfrowany podtekst. Nie chodziło wyłącznie o pierwszy aksjomat anarchizmu — w tym zdaniu kryło się coś jeszcze, znacznie bardziej hermetycznego. Jeszcze raz zerknął do listu Mała: „Przypomnij sobie, co ci mówiłem o gęsi w butelce.”

Joe pamiętał tę prostą zagadkę, której mistrzowie Zen używali w treningu mnichów. Bierzesz pisklę gęsi i wkładasz przez szyjkę do butelki. Karmisz gęś miesiącami, aż wyrośnie na sporego ptaka, którego nie sposób precyzyjnie przez szyjkę. Pytanie: Jak wydostaniesz gęś nie tłukąc butelki?

Nie wyglądało na to, żeby obie zagadki wyjaśniały się nawzajem.

Pragnienia wasze niech będą prawem jedynym.

Jak wydobyć gęś z butelki?

— Rany boskie — roześmiał się Joe. — Pragnienia wasze niech będą prawem jedynym.

Gęś wydostaje się z butelki tak samo jak John Dillinger z więzienia „pod specjalnym nadzorem” w Crown Point.

— Jezu pieprzony Chryste — sapnął Joe. — Gęś żyje! JAK DRZEWA ROSNĄCE NAD WODĄ

NIC NAS STĄD, NIC NAS STĄD NIE RU-U-SZY Jedynym miejscem spotkań całej piątki Illuminati Primi była rezydencja Gruada w Agharti na tybetańskich szczytach Himalajów, trzystuwiekowym ośrodku Iluminatów wyposażonym

25

we własny, głębiny port u brzegów rozległego, podziemnego Morza Waluzyjskiego.

— Zabierzemy głos w tej samej kolejności, co zwykle — oznajmił brat Grakchus Guad, dotykając przycisku na stole przed sobą, tak by radiogram jego słów automatycznie został utrwalony w archiwach Iluminatów. — Sprawa pierwsza: Fernando Po. Jorge Lobengula, uznawszy, że połączony dochód Fernando Po i Rio Murti można by redystrybuować tak, aby podnieść dochód per *capita* mieszkańców obu prowincji, zerwał w konsekwencji z separatystami Fernando Po i powrócił do Rio Muni, licząc, że uda mu się nakłonić przywódców Fangu do współpracy w przestawianiu gospodarki na nowy tor. W naszych planach centralną postacią jest w tej chwili kapitan Ernesto Tequila y Mota, jeden z nielicznych białych na Fernando Po. Tequila ma dobre układy wśród warstw posiadających Bubich, którzy popierają dążenia separatystyczne; jest poza tym niesamowicie ambitny. Nie wydaje mi się, żeby sytuacja wymagała jakichkolwiek zmian w naszym rozkładzie jazdy.

— Też mam taką nadzieję — poparł go brat Marcus Marconi. — Byłby wstyd, gdyby nie udało się nam zimmanen-tyzować eschatonu na pierwszego maja.

— Na tę datę nie możemy liczyć — ostudził go brat Grakchus Guad — jednak w sytuacji, gdy trzy starannie opracowane projekty zmierzają w tym samym kierunku, jeden z nich z pewnością wypali. Posłuchajmy teraz, co ty masz nam do powiedzenia, bracie Marcusie.

— Charles Mocenigo uzyskał już Wąglik-Trąd-Mu. Jeszcze parę koszmarów w odpowiednim momencie i będzie ugotowany.

Głos zabrała siostra Theda Theodora.

— Atlanta Hope i Boży Grom zdobywają coraz szersze wpływy. Kiedy przyjdzie co do czego, prezydent spuści się w gacie ze strachu i będzie gotów do najbardziej totalitarnych posunięć, byle tylko nie oddać jej władzy.

— Nie ufam Drake'owi — wyznał brat Marcus Marconi.

26

— I słusznie — przytaknął brat Grakchus Guad. — Niemniej Drake wzniosł swoją nową rezydencję nad morzem.

— A ten, kto stawia dom na morskim brzegu, stawia go na piaskach — oświadczył brat Otto Ogatai. — Moja kolej. Nasza płyta *Daj, współczuj, rządź!* stała się światowym hitem. Tournée po Europie zapowiada się jako pasmo sukcesów. Potem będziemy mogli powolutku zacząć niezwykle ostrożne negocjacje w sprawie festiwalu *Walpurgisnacht*. Wszystkich, naturalnie, którzy przedwcześnie wpadną na ten pomysł, trzeba będzie przystopować...

— Bądź zlikwidować — dokończył brat Grakchus Guad. Przeniósł wzrok na drugi koniec długiego stołu, gdzie siedział samotny mężczyzna. — Twoja kolej. Milczałeś przez cały czas. Co masz do powiedzenia?

— Parę słów z ust nieboszczyka przy biesiadnym stole, co?

— Mężczyzna roześmiał się. Był to piąty, zarazem najznaczniejszy Illuminatus Primus, brat Henry Hastur, jedyny, który miał czelność przejąć imię po Lloigorze. — Pisma głoszą — ciągnął — że wszechświat stanowi psikus spleatany szczegółowemu przez ogólne. Jeśli wierzycie tym słowom, nie powinniście zbyt pochopnie śmiać się ani płakać. Ostrzegam jedynie, że wasze plany są poważnie zagrożone. I nie mówcie potem, że was nie ostrzegałem. Niewykluczone, że umrzecie wszyscy. Czy boicie się śmierci? Nie musicie nic mówić — widzę po was, że się boicie. Możliwe, że to was właśnie zgubi. Próbowałem was przekonać, żebyście nie bali się śmierci, ale nie chcieliście słuchać. Stąd wszystkie wasze obecne kłopoty.

Pozostała czwórka Illuminati Primi słuchała bez słowa w chłodnym, wzdarczym milczeniu.

— Jeżeli wszystko jest Jednym — dorzucił znacząco piąty Illuminatus — to wszelka przemoc jest masochizmem.

— Jeżeli wszystko jest Jednym — odszczeknął brat Otto

— to wszelki seks jest masturbacją. Nie mieszajmy do naszych spraw metafizyki zwyrodniałej.

HARE KRISZNA HARE HARE

— George!

27

■
A więc George był tutaj, razem z Celinę'em w Ingolstadt. Sprawy nie zapowiadały się najlepiej. Głowa George'a wspierała się na kamionkowym kuflu wypełnionym, bez wątpienia, miejscowym browarem.

— George! — ponownie zawołał Joe. George podniósł wzrok i Joe osłupiał. Nigdy jeszcze nie widział George'a w takim stanie. George odrzucił z twarzy długie do ramion blond włosy i Joe mógł mu zajrzeć w oczy. Były to oczy niezwykle, wolne od strachu, litości czy winy, oczy, które zdawały się

mówić, że naturalnym stanem duszy ludzkiej jest stan nieustannego zdumienia, w związku z czym taki drobiazg jak nieoczekiwane pojawienie się Joe Malika nie jest w stanie George'a zaskoczyć. Co mu zrobił przez tych siedem dni Celinę? — zastanawiał się Joe. Czyżby wykasował mu umysł lub, co gorsza, iluminował George'a?

W rzeczywistości George obciągał już dziesiąty kufel tego dnia i był bardzo, ale to bardzo zalany.

HARRY ROBOT HARRY HARRY

(W nadzwyczajnym wystąpieniu nadawanym przez wszystkie stacje radiowe w dniu 30 kwietnia między 12.00 a 12.30 prezydent ogłosił stan wyjątkowy. W piętnaście minut później zaczęły się pierwsze rozruchy w Nowym Jorku na Port Authority przy Czterdziestej Pierwszej; tłum usiłował obezwładnić siły policyjne i uprowadzić autobusy z dworca do Kanady. W Ingolstadt była w tym momencie 18.45; Hrabia Drakula i Jego Oblubienice prezentowali właśnie raga-rockową wersję starej piosenki z kreskówki Disneya... W Los Angeles natomiast, gdzie była dopiero 9.45, pięcioosobowy oddział Morituri w pośpiechu podejmował decyzję jednoczesnego podłożenia wszystkich bomb pod komisariaty. „Dać w łeb matkojebcy, zanim odsłoni kły” — zarządziła ich przywódczyni, szesnastka w ortodontycznych klamerkach... Jej słowa, w ogólnie przyjętej angielszczyźnie, znaczyły tyle, co: „Nie dopuścić, by państwo faszystowskie okopało się na swoich pozycjach”... a Saul, zaufawszy wewnętrznemu głosowi, prowadził Barneya i Markof-fa Chaneya prosto w gardziel Groty Lehmana... Jakiś kilometr

28

na południe od nich i o paręset stóp bliżej środka ziemi Carmel nadal przyciskał teczkę z pięcioma milionami zielonych bogów, nie poruszał się jednak... Obok niego poniewierały się kości tuzina nietoperzy, które spożył...)

NIETOPERZ TO NIESZCZĘSNY GOŚĆ
ŻAŁOSNY GOŚĆ POKRACZNY GOŚĆ
ALE NIETOPERZ TO CHOĆ COŚ
TY JESTEŚ NICZYM

Joe Malik powalony raga-rockiem niczym lawiną, w której każdy dźwięk stanowił odrębny kamień, poczuł, że jego ciało zaczyna tracić spistość. Hrabia Drakula załkał ponownie (TY JESTEŚ NICZYM) i Joe poczuł, że jego umysł rozpada się na równi z ciałem, w dodatku nie mógł znaleźć żadnego centrum, żadnego stabilnego punktu w falującym zalewie energii i dźwięku; pieprzony kwas był sprzymierzeńcem Hagbarda, więc zwrócił się przeciw George'owi, który w związku z tym właśnie umierał; nawet słowa: „Patrzcie, ale koleżkę sponiewierało” napłynęły z oddali, a jego wysiłek, żeby ustalić, czy to o nim mowa, spełził na próbie przypomnienia sobie, czym są słowa, próbie, która z kolei ugrzęzła pośród wątpliwości, czy miał zamiar pomyśleć coś, czy może zrobić, a także po co.

— Ponieważ — wykrzyknął — ponieważ, ponieważ... — Ale „ponieważ” nie znaczyło nic.

JESTEŚ NICZYM INNYM JAK NICZYM NICZYM INNYM JAK NICZYM

— Nie mogę w tej chwili wziąć kwasu — wymawiał się George. — Jestem tak schlany tym bawarskim piwskim, że na mur beton miałbym denny trip.

— Wszyscy muszą zarzucić kwas — zarządził chłodno Hagbard. — Takie jest polecenie panny Portinari, a ona się nie myli. Możemy stawić temu czoło, jeśli nasze umysły będą całkowicie otwarte na Zewnątrz.

— Te — odezwał się Clark Kent — spójrzcie na tego żabojada z lodem na patyku.

— Taaa? — zaciekawił się jeden z Supermanów.

29

— To Jean-Paul Sartre. On tutaj — koniec świata! — Kent pokręcił głową. — Jezu, ale bym chciał, żeby doczekał naszego występu. Żebyście, kurde, wiedzieli, ile ja mu zawdzięczam! Chciałbym mu się odwdziżyć moją muzyką.

— To twój trip, stary — skwitował drugi Superman. — Mnie tam gównem obchodzi, co którykolwiek z tych pieprzonych ciuli myśli o naszej muzyce.

JESTEŚ NICZYM INNYM JAK NICZYM

— Mick Jagger nie zdążył jeszcze zagrać *Sympathy for the Devil*, a już zaczyna się rozróżba... — wycedził jakiś głos z angielska... Attyla i Jego Hunowie usiłowali dopuścić się ciężkich obrażeń cielesnych na Senacie i Ludzie Rzymu... Obie kapele przyspidowały, po czym uwikłały się w wysoce intelektualny spór na temat wymowy któregoś z tekstów Dy lana... Hun przyłożył Rzymianinowi kuflem w chwili, gdy ktoś inny mamrotał coś o sowizdrzalskich figlach.

JESTEŚ NICZYM I NIE MA CIĘ

W „Konfrontacjach” Joe wprowadził zasadę, że prawdziwych świrusów przysyła się do niego

na osobistą audiencję, ale mały grubasek, który stał przed nim, nie wyglądał, jakby mu specjalnie odjechało, tyle że miał bezbarwne, regularne, nieco zbyt drobne rysy typowego WASP-a.

— Nazwisko brzmi James Cash Cartwright — oznajmił grubasek wyciągając dłoń. — Materiał dotyczy energii świadomości.

— Jaki znów materiał?

— No, ten tutaj artykuł, który napisałem dla was. — Cartwright sięgnął do walizeczki z krokodylej skóry i wydobył gruby maszynopis. Papier miał dziwne wymiary, na oko osiem cali na dziesięć. Wręczył maszynopis Joe.

— Co to za gatunek papieru? — zaciekawiał się Joe.

— Standardowy rozmiar w Wielkiej Brytanii — wyjaśnił Cartwright. — Kiedy w 1963 udałem się do Anglii odwiedzić groby moich przodków, nabyłem 10 ryz. Wyleciałem samolotem z Dallas 22 listopada, w dniu zabójstwa Kennedy'ego. Synchroniczność. Tak się składa również, że kichnąłem dokładnie

30

w momencie, kiedy padł strzał. Kolejna synchroniczność. Wracając jednak do papieru, od tamtego czasu zawsze już piszę tylko na nim. Miło pomyśleć, że wszystkie drzewa na ten papier poszły pod topór z górą dziesięć lat temu i od tamtej chwili nikt już nie musiał przyplacić życiem bujnej twórczości filozoficznej Jima Cartwrighta.

— To fantastyczne — przytaknął Joe, który w głębi duszy nie cierpiał ekologicznych mędrków. W latach 1970 i 1971, kiedy moda na ekologię rozszalała się na dobre, paru facetów miało chęć zwrócić się do Joe z żądaniem, by jego czasopismo, w imię odpowiedzialności ekologicznej, zrezygnowało z niszczącego drzewostan druku. — Jakież to owoc zrodziły pańskie dociekania filozoficzne, panie Cartwright? — zwrócił się do gościa.

— Złote jabłka słońca, srebrne jabłka księżycy — odparł Cartwright z uśmiechem. Joe na moment stanęła w oczach Lilith Velkor zmagająca się z Gruadem na szczycie Piramidy Oka.

— Tak jest, drogi panie — ciągnął Cartwright — moim koronnym odkryciem jest fakt, że energia życiowa przenika cały wszechświat na podobieństwo światła i grawitacji. Stąd wniosek o jedności wszelkiego życia, porównywalnej do jedności światła. Rozumie pan, wszelkie energie emitowane są z jednego ośrodka, którego nie udało się nam jeszcze zlokalizować. Skoro cztery aminokwasy — adenina, cytozyna, gua-nina i tymina — budzą się do życia z chwilą, gdy zostaną wrzucone do wspólnego tygla, to znaczy, że wszystkie związki chemiczne mają w sobie potencjał życia. Pan i ja, ryba i pchła — jesteśmy w równym stopniu okazami życia powstałego z adeniny, cytozyny, guaniny i tyminy: życia typu DNA. To, co nazywamy materią nieożywioną, jest inną postacią życia: życia typu nie-DNA. Kapuje pan? Jeśli świadomość jest życiem, a życie jest jedno, to znaczy, że świadomość jednostkowa jest jednym z narządów zmysłowych wszechświata. Wszechświat wytwarza indywidua takie jak pan lub ja po to, by obserwować samego siebie. Można powiedzieć, że wszechświat to oko, które patrzy w głąb siebie.

31

Joe słuchał niewzruszony.

— Tak więc świadomość manifestuje się w postaci telepatii, jasnowidzenia i telekinezy. Zjawiska te są po prostu przejawami nieograniczonej przestrzennie świadomości. Bardzo interesuję się telepatią i, jak dotąd, odniosłem niejeden sukces w badaniach nad tym zjawiskiem. Istnienie komunikacji tego typu jest kolejnym dowodem na to, że świadomość nieprzerwaną siecią oplata wszechświat.

— Chwileczkę — przerwał mu Joe. — Samochody korzystają z energii mechanicznej, energii cieplnej i energii elektrycznej — czy to ma jednak znaczyć, że wszystkie samochody na świecie porozumiewają się ze sobą?

— Co płonie? — spytał z uśmiechem Cartwright.

— Pyta pan o samochód? No cóż, w cylindrze następuje zapłon, a następnie wybuch benzyny...

— Płonie wyłącznie materia organiczna — wyjaśnił Cartwright tonem satysfakcji. — Jedność wszelkiego ognia. Wszystkie samochody komunikują się ze sobą. Nie musi mnie pan instruować na temat benzyny czy oleju. Ani samochodów. Jestem Teksasńczykiem, wspomniałem panu o tym?

Joe pokręcił przecząco głową.

— Z jakich okolic Teksasu pan pochodzi?

— Z dziury pod tytułem Mad Dog.

— Cóż, nie powiem, że bym był bardzo zaskoczony. Proszę mi powiedzieć, panie Cartwright, czy słyszał pan kiedykolwiek o tajnej organizacji Starożytnych Iluminowanych Bawarskich Mędrków?

— Owszem, znam trzy organizacje o podobnych nazwach: Asocjacje Bawarskich

Cudotwórców, Nowych Bawarskich Cudotwórców, wreszcie — Cech Bawarskich Strażników.

Joe skinął głową. Cartwright wyraźnie nie orientował się w całej sprawie — przynajmniej nie w tym stopniu, co Malik. Jednak tłuscioszek mógł kryć w zanadru inne elementy łamigłówki, zapewne mniej liczne niż te, którymi dysponował Joe, za to inne, tym samym — użyteczne.

— Każda z tych organizacji kontroluje którąś z ważniej-

32

szych sieci telewizyjnych w USA — ciągnął Cartwright. — Inicjały każdej z sieci zostały dobrane tak, by nawiązywać do inicjałów organizacji, w rękach której dana sieć spoczywa. Kontrolują również znacznie większe sieci sklepów i czasopisma. Dlatego właśnie zwracam się do pana. Sądząc z tego, co się panu udaje ostatnio przemycić w druku, Iluminaci chyba trzymają się z dala od pańskiego pisma, w dodatku ma pan jakiegoś potężnego protektora.

— Mam rozumieć, że istnieją trzy odrębne ugrupowania iluminackie, które łącznie sprawują kontrolę nad całością mediów? — upewnił się Joe.

— Owszem — potwierdził Cartwright z twarzą tak promienną, jakby objaśniał żonie działanie maszynki do kręcenia lodów. — Zdominowali również przemysł filmowy. Maczali palce w produkcji setek filmów, z których najlepiej znane to *Gunga Din* i *Obywatel Kane*, filmy naszpikowane iluminacką symboliką, zaszyfrowanymi aluzjami i podprogową propagandą. „Pączek róży”, na przykład, to w ich języku nazwa najstarszego symbolu iluminackiego, tak zwanego Różo-Krzyża. Rozumie pan, o czym mówię. — Zachichotał oblesnie.

Joe skinął głową.

— Mam rozumieć, że słyszał pan o „walce kwiatów”?

— Kto nie słyszał? — Cartwright wzruszył ramionami. — Doktor Horace Naismith, mój uczony przyjaciel, a zarazem przewodniczący stowarzyszenia John Dillinger Umarł za Was, jest autorem analizy *Gunga Din*, w której wyjaśnia rzeczywiste znaczenie sekty rytualnych morderców, bogini zła, Kali, dołu wypełnionego węzami, słoniowej driakwii, trąb na dachu świątyni i tak dalej. *Gunga Din* to pean pochwalny na cześć zwycięstwa prawa i porządku na obszarach sterroryzowanych przez zbrodniczych wyznawców bogini czczonej jako matka chaosu i występku. Rytualni zbrodniarze stanowią karykaturę Dyskordian, Anglicy natomiast reprezentują Iluminatów. Iluminaci uwielbiają ten film.

— Czasami mam wrażenie, że czego by człowiek nie zrobił, zawsze gra do ich bramki — oświadczył Joe, specjalnie

33

zostawiając otwartą furtkę, żeby sprawdzić, jaki będzie następny ruch Cartwrighta.

— Oczywiście, że tak — przytaknął Cartwright. — Każdy postępek, który burzy harmonię w świecie ludzkim, jest im na rękę. Nieustannie wywołują wstrząsy społeczne eksperymentami, w które wkalkulowano śmierć i cierpienia wielkiej ilości ludzi. Proszę sobie przypomnieć katastrofę „Generała Slocuma” z 15 czerwca 1904. Nawiasem mówiąc, proszę zwrócić uwagę, że 19 plus 04 równa się 23.

On również? — jęknął w duchu Joe. Musi być albo jednym z nas, albo jednym z nich, ale gdyby był jednym z nich, po co by puszczał tyle farby?

— Proszę mi tylko wyjaśnić — ciągnął Cartwright — jakim cudem, gdyby wszelka świadomość nie była jednym, Joyce wybrałby na akcję Ulissego dzień po katastrofie, dzięki czemu jego bohaterowie mogą czytać w gazetach o zatonięciu „Generała Slocuma”? Widzi pan, Joyce wiedział, że jest geniuszem, nigdy jednak nie przeniknął istoty geniuszu, która polega na kontakcie ze świadomością uniwersalną — głębszym niż ten, który jest udziałem zwykłych śmiertelników. Co by jednak nie mówił, katastrofa „Generała Slocuma” była ze strony Iluminatów próbą zastosowania nowej, bardziej ekonomicznej techniki transcendentnej iluminacji — techniki, wymagającej zaledwie paruset ofiar, zamiast wielu tysięcy. Nie znaczy to bynajmniej, że Iluminatom zależy na czymkolwiek z życiu, choć intencja taka nie byłaby nieprawdopodobna, gdyby wskrzeszono z niepamięci szczytne cele, jakie pierwotnie przyświecały Iluminatom.

— Doprawdy? — zdumiał się Joe. — Cóż miało być tym szczytnym celem?

— Przechowanie wiedzy ludzkiej po katastrofie, która zniszczyła kontynent Atlantydy i pierwszą cywilizację ludzką trzydzieści tysięcy lat temu — wyjaśnił Cartwright.

— Katastrofie?

— Owszem. Wybuch na Słońcu, który nastąpił w chwili, gdy Atlantyda była zwrócona w jego stronę. Pierwsi Iluminaci

34

byli naukowcami, którzy przewidzieli wybuch, zostali jednak zignorowani przez współczesnych, wobec czego zorganizowali ucieczkę. Humanitarne dążenia starożytnych Iluminatów

zostały u ich następców wyparte przez postawy elitarystyczne, jednak pierwotny cel co chwila powraca w działalności frakcji, które odłączają się od trzonu Iluminatów. Prawowici Starożytni Mummu zostali przez Iluminatów wypędzeni w 1888. Jednak najstarszym tajnym stowarzyszeniem antyiluminackim jest Eri-zyjski Front Wyzwolenia, odłam, który odszczepił się jeszcze w okresie prehistorycznym. Kolejna frakcja to Ruch Dyskor-diański — ci jednak są nielepsi od Iluminatów, coś na kształt krzyżówki scjentystów z wyznawcami Ayn Rand. Ich bossem jest gość o nazwisku Hagbard Celinę. Gazety milczały, bo rządy supermocarstw miały pełne gacie, ale ten cały Celinę z ramienia Iluminatów dokonał infiltracji w szeregach marynarzy atomowych łodzi podwodnych marynarki USA i gwizdnął jedną łajbę. Ma nieprawdopodobny dar perswazji — potrafiłby wycyckać od starego H.L. Hunta połowę jego szybów naftowych. Pływał w randze starszego podoficera marynarki. Najpierw skaptował połowę załogi, wciskając kit, jakiego nikt nie słyszał, od kiedy Tim Leary posuwał na najwyższych obrotach. Potem dosypał jakiegoś drażu do systemu wentylacyjnego i pod działaniem tego środka skaptował drugą połowę. Opornych najzwyczajniej w świecie wystrzelił z wyrzutni torpedowej. Przyjemniaczek. Owa łódź, pan sobie wyobrazi, była uzbrojona w pociski typu polaris. Co w związku z tym robi Celinę? Dekuje się w jakimś zakątku oceanu, gdzie go nie mogą namierzyć, i szantażuje zakichane rządy USA, ZSRR i komunistycznych Chin, że skieruje pociski na miasto któregoś z tych krajów, o ile od każdego z rządów nie dostanie po dziesięć milionów dolców. Wtedy dopiero zatopi pociski.

— Czy na tym etapie Hagbard nadal działał z ramienia Iluminatów?

— Jasne, że nie! — sarknął Cartwright. — To nie są ich metody. Oni lubią przemykać chyłkiem, czają się w kularach. Imają się trucizn, sztyletów i te de, bomba wodorowa to nie

35

w ich guście. Celinę kazał Iluminatom się wypchać, a oni mogli najwyżej zgrzytać zębami. Od tego czasu działa na pirackich papierach. Więcej panu powiem: przywódcy Iluminatów nie są jedynymi przywódcami na świecie, którzy nie mogą oka zmrużyć z powodu tego, co Hagbard Celinę ma jeszcze na swojej łodzi.

— Co takiego, panie Cartwright?

— No cóż, rząd USA strzelił pewne głupstwo. Nie wystarczyło mu, że łodzie podwodne wyposażone są w głowice nuklearne typu polaris, ale jeszcze zafundował sobie drugą broń — mikroby.

Joe poczuł zimny dreszcz na karku. Niech inni się martwią zagładą nuklearną. Jego prześladował inny koszmar: ludzka rasa wymiera wskutek zarazy, którą sama wyprodukowała, której jednak nie potrafi zaradzić. Być może nie bez znaczenia był fakt, że jako siedmioletni chłopiec mało nie umarł na polio; choć później był zdrow jak ryba, nigdy nie otrząsnął się z lęku przed śmiertelną chorobą.

— Ten Hagbard Celinę — ci Dyskordianie — trzymają broń bakteriologiczną na pokładzie?

— Zgadł pan. Niejaki Wąglik Tau. Wystarczy, że Celinę wsypie to do wody i za tydzień będzie po całej ludzkości. Uwija się to to prędzej z klientem niż tania kurwa w sobotnią noc. Każdy żywy organizm może być nosicielem. Ma jednak pewną zaletę — jest zabójczy tylko dla człowieka. Jeśli Ce-line'owi odbije na tyle, żeby tego użyć — a ostatnio odbija mu coraz częściej — dla planety, w jakimś sensie, zaświta szansa, żeby zacząć od nowa. Być może jakaś inna forma życia rozwinię inteligencję. Jeśli natomiast wywołamy wojnę nuklearną albo doszczętnie zatrujemy środowisko, nie zostanie tu nic, o czym warto byłoby wspominać. Kto wie, może należy sobie życzyć, żeby Hagbard Celinę wystrzelił ten cały Wąglik Tau. Niewątpliwie uchroniłoby nas to przed gorszą ewentualnością.

— Skoro nikt by nie przeżył, to z czyjego punktu widzenia byłoby to najlepsze wyjście? — zaciekawiał się Joe.

36

— Z punktu widzenia życia — wyjaśnił Cartwright. — Tłumaczyłem panu, że wszelkie życie to jedno. Skoro już mowa o artykule: zostawiam go panu. Zdaję sobie sprawę, że jego objętość przekracza wasze możliwości, wobec czego upoważniam pana do wykorzystania dowolnie wybranych fragmentów. Oczekuję wynagrodzenia według przyjętych w waszym piśmie stawek.

Joe siedział w redakcji do dziewiątej wieczór. Jak zwykle był spóźniony o cały dzień z oddaniem do składu wstępniaka i rubryki korespondencyjnej. To były dwie rubryki w „Konfrontacjach”, z którymi, w swoim mniemaniu, tylko on radził sobie jak trzeba i nie pozwalał się wyřęcać Peterowi ani nikomu z zespołu. Zaczął od tego, że przepisał jeszcze raz listy, dokonując niezbędnych cięć i wyostrzając pointy, następnie tam, gdzie uznał to za stosowne, dorzucił krótkie odpowiedzi od redakcji. Skończywszy, odsunął na bok notatki i dokumentację do planowanego na sierpień wstępniaka, by zamiast tego przystąpić do płomiennej odezwy, w której apelował do sumienia

każdego z czytelników o osobisty wkład w walkę z groźbą wojny bakteriologicznej. Jeżeli nawet Cartwright wciskał mu jakiś kit, przy okazji obudził w nim stare podejrzenia, że broń bakteriologiczna ma większe niż arsenał atomowy szanse położyć kres ludzkości. Była po prostu dziecinnie łatwa w użyciu. Wyobraził sobie Hagbarda, jak z pokładu swojej łodzi sypie w wody mórz bakterie śmiertelnej zarazy, i zadrzał.

Z teczką ciężką od niesionego do domu maszynopisu Cartwrighta przystanął w hallu głównym budynku, w którym mieściła się redakcja. Smętym spojrzeniem obrzucił roje tropikalnych rybek uwijające się w akwariach w witrynie sklepu zoologicznego. Jedno z akwariów miało na dnie, w charakterze ozdoby, porcelanowy model zatopionego statku pirackiego. Myśli Joe zaczęły znów krążyć wokół Hagbarda Celine'a. Nie wiedział, czy ma mu ufać, czy nie. Czy to możliwe, żeby Hagbard, niczym schyzjały kapitan Nemo, ślezczał nad probówkami i słojami z hodowlą bakterii, a jego włochaty paluch zawisł niezdecydowanie nad przyciskiem, który katapultuje torpedy

37

wypełnione zarazkami Wąglika Tau w mroczne głębie Atlantyku? Po tygodniu byłoby po ludzkości, twierdził Cartwright. A Cartwright najprawdopodobniej nie łął, wnosząc z tego, jak wiele wiedział o innych sprawach.

Po powrocie do domu Joe nastawił ulubioną płytę z katalogu Muzeum Historii Naturalnej, *Mowa i śpiew wilków*, po czym zapalił jointa. Lubił na haju słuchać wilków i odgadywać, co mówią. W końcu wyjął z teczki maszynopisu Cartwrighta i przestudiował stronę tytułową. Nie znalazł wprawdzie ani słowa na temat energii świadomości, za to tytuł traktował o sprawach, które wydały mu się daleko bardziej zajmujące.

JAK ASOCJACJA BAWARSKICH CUDOTWÓRCÓW PLANOWAŁA I WYKONYWAŁA WYROKI ŚMIERCI NA MALCOLMIE X, JOHNIE F.KENNEDYM, MARTINIE LUTHERZE KINGU, JR., GEORGE'U LINCOLNIE ROCKWELLU, ROBERCIE KENNEDYM, RICHARDZIE M. NIXONIE, GEORGE'U WALLASIE, JANE FONDZIE, GABRIELU CONRADZIE ORAZ HANKU BRUMMERZE.

— Niech mnie kule biją — skwitował Joe.

— To był niezły odlot — przyznał Hagbard Celinę.

— Ty też jesteś odlotowy — pochwaliła Miss Portinari. — Dobrze ci poszło bycie Harrym Coinem. Chyba nie gorzej niż jemu samemu, kiedy zdobędzie się na odwagę, żeby mi złożyć wizytę.

— To było łatwiejsze, niż mój własny trip — wyznał ze znużeniem Hagbard. — Mam o wiele dotkliwsze poczucie winy, ponieważ więcej wiem. Łatwiej mi było unieść jego niż własny trip w poczucie winy.

— Już po wszystkim? Sierść ci się już nie jeży?

— Wiem, kim jestem i skąd się wziąłem. Adenina, cyto-zyna, guanina, tymina.

— Jak mogłeś o tym zapomnieć?

38

— Zapomina się łatwo, wiesz przecież dobrze — uśmiechnął się Hagbard.

— Chwała ci, kapitanie — odwzajemniła uśmiech.

— Tobie też chwała — odparł.

W drodze do prywatnej kajuty czuł się nadal oszołomiony. Wizja **samostworzenia** i węża zjadającego własny ogon podcięły linki słowom, obrazom i energii emocjonalnej, która ponownie popychała jego duszę w objęcia CZARNEJ NOCY — ale rozwiązanie jego osobistego problemu nie ocaliło Demonstracji ani nie pomogło mu uporać się z nadciągającą klęską. Tyle, że mógł zacząć od nowa. Przypomniano mu, że koniec jest początkiem, a pokora koniecznością. Przez chwilę krotocwilnie pchnięto o koło kolej na taroto-wieżową Coin-cy-dencję...

Zorientował się, że ciągle jeszcze tripuje. Na to akurat była prosta rada: tripował Harry Coin, a on, chwilowo, nie był Harrym Coinem.

Kolejny raz przypominając sobie, kim jest i skąd się wziął, otworzył drzwi do swojej kajuty. W fotelu, pod freskiem przedstawiającym ośmiornicę, siedział Joe Malik mierząc go zimnym spojrzeniem.

— Kto zabił Johna Kennedy'ego? — spytał spokojnie Joe. — Tylko bez łgarstw tym razem, H.C.

Hagbard z uprzejmym uśmiechem opadł na sąsiedni fotel.

— No no, wreszcie dotarło do ciebie. Wtedy, przed laty, prosiłem Johna, żeby ci kładł do głowy, że nie masz ufać nikomu o inicjałach H.C, a jednak przez te wszystkie lata wierzyłeś mi i nigdy przez myśl ci nie przeszło, że moje inicjały również brzmią H.C.

— Przeszło. Ale wszystko zbyt szybko zakrawało na absurd, żebym mógł to traktować serio.

— John Kennedy został zamordowany przez niejakiego Harolda Canverę, zamieszkałego przy Fullerton Avenue w Chicago, w pobliżu restauracji „Seminary”, w której pierwszy raz Simon wyłożył ci swoje teorie numerologiczne. Pod koniec lat pięćdziesiątych w tamtej dzielnicy zamieszkał Dillinger, który

39

przez wzgląd na stare dzieje lubił zająć do kina „Biograph”. Canvera był właścicielem domu, w którym zamieszkał Dillinger. Przeciętny, zdrowy na umyśle i raczej nieciekawy osobnik. A potem, w 1963, John namierzył go, jak rozwała głowę prezydentowi, ubiegając Oswalda, Harry'ego Coina i spluwę mafii

— Hagbard urwał, zapalając cygaro. — Wzięliśmy potem Canverę pod lupę, jak naukowcy, którym wpadł w łapy pierwszy okaz ufoludka. Możesz-sobie wyobrazić, jak pilnie przystąpiliśmy do dzieła. W tamtym okresie nie miał żadnych poglądów politycznych, czym niezłe nas zadziwił. Wyszło na jaw, że Canvera wyłożył sporo forsy na Blue Sky, inc, firmę produkującą sprzęt do lądowań na planetach o słabej grawitacji. Rzecz miała miejsce na samym początku lat pięćdziesiątych. Jednak niechęć Eisenhowera do programu kosmicznego spowodowała gwałtowny spadek akcji Blue Sky i Canvera musiał wyprzedać się, ponosząc wielkie straty. Wtedy do akcji wkroczył Kennedy i oznajmił, że Stany Zjednoczone pošlą człowieka na Księżyc. Dawne akcje Canvery z dnia na dzień zyskały milionową wartość. Canverze walnęły bezpieczniki w mózgu

— i tyle. Zabójstwo Kennedy'ego i fakt, że mu się upiekło, do reszty przestawiły mu pod sufitem. Przez jakiś czas zadawał się ze spirytualistami, następnie przyłączył się do Konserwatywnych Rycerzy Opozycją Czerwonej Ameryki, jednego z zupełnie porabianych ugrupowań antyiluminackich, i zajął nagrywaniem telefonicznych odezwo, propagujących ideologię KROCZE'a.

— I nikt się nigdy nie domyślił? — zaciekał się Joe.

— Canvera nadal siedzi sobie w Chicago, zajęty swoimi sprawami, jeszcze jeden szary przechodzień i tyle?

— Nie całkiem. Parę lat temu został zastrzelony. Z twojej winy.

— Z mojej winy?

— Tak jest. Był jednym z pierwszych królików doświadczalnych testu AUM. Zaraz potem miał nieszczęście przyprawić brzuch córce jednego z miejscowych polityków. Wygląda na to, że AUM zaszczeplił w nim libertyńskie poglądy.

40

WE 'RE GONNA ROCK ROCK ROCK TILL BROAD DAYLIGHT

— To, co mówisz, brzmi bardzo przekonująco, skłonny jestem nieomal ci uwierzyć — oświadczył Joe z namysłem. ;— Skąd ta nagła prawdomówność? Czemu mam przypisać koniec krętałów i sztuczek?

— Wkrótce wybije północ — stwierdził Hagbard, wzruszając ramionami jak rasowy Sycylijczyk. — Czar pryska. Lada moment karetka zamieni się z powrotem w dynię, Kopciuszek wróci do kuchni, goście pozdejmują maski i skończy się karnawał. Nie żartuję — dodał, a z jego twarzy biła szczerść. — Pytaj, o co zechcesz, usłyszysz tylko prawdę.

— Dlaczego nie dopuszczasz mnie do George'a? Dlaczego muszę przemykać się po łodzi jak ścigany przestępca i jeść z Calleyem i Eichmannem? Dlaczego nie chcesz, żebyśmy z George'em porównali nasze notatki?

— Nie starczyłoby dnia, żeby wyjaśnić ci wszystko — westchnął Hagbard. — Najpierw musiałbyś pojąć cały system Celine'a. Odwołując się do ple-ple tradycyjnej psychologii: pozbawiłem George'a wszelkich figur ojcowskich. Jesteś jedną z nich: jego pierwszym i jedynym szefem, starszym mężczyzną wzbudzającym szacunek i zaufanie. Ja również szybko dołączyłem do tego panteonu, więc z tego oraz tysiąca innych powodów złożyłem urząd guru w ręce panny Portinari. Musiał odbyć konfrontację z Drakiem, złym ojcem, oraz stracić ciebie i mnie, dobrych ojców, żeby być w stanie przelecieć kobietę jak należy. Następny krok, jeśli chcesz wiedzieć, będzie polegał na odebraniu mu kobiety. Czasowo — dodał pośpiesznie. — Nie masz się co tak stroszyć. Sam odbyłeś niezłą podróż systemem Celine'a i jakoś to przeżyłeś, a nawet zmężniałeś nieco, nieprawdaż?

Joe skinął potakująco, zaraz jednak wypalił:

— Czy wiesz, kto podłożył bombę w „Konfrontacjach”?

— Wiem, Joe. Wiem też, dlaczego to zrobiłeś. JESTEŚ NICZYM I NIE MA CIĘ

— Dobrze, teraz moja kolej i wołałbym, żeby odpowiedź

41

była pozytywna. Dlaczego pomagasz Iluminatom zimmanenty-zowć Eschaton, Hagbardzie?

— Po to, żeby nas para wiozła, kiedy przyjdzie czas parowozu, jak kiedyś powiedział pewien

bardzo mądry gość.

— Jezu, myślałem, że już przeszedłem przez *pons asino-rum* — stwierdził ze znużeniem Joe. — Kiedy rozwiązałem koan z wydobyciem gęsi z butelki — nie trzeba robić nic, gaska wydostanie się sama, rozbijając szkło dziobem jak pisklę, które się wykluwa z jaja — pojąłem, że „Pragnienia wasze” przechodzi w „prawo jedyne” dzięki przekształceniu algebraicznemu. Równanie zgadza się z chwilą, gdy uświadomisz sobie, czym jest „pragnienie” w odróżnieniu od zwykłej „zachcianki”. Cała ta pieprzona fabryka wszechświata jest w równym stopniu żywa, jak my i równie jak my — mechaniczna. Robot. Bardziej wiarygodny od wszystkich buddów i świętych mędrców. Na Boga, wydawało mi się, że to wszystko rozumiem. Ale ten, ten... niewzruszony fatalizm — po co, do diabła, jedziemy do Ingolstadt, skoro i tak wszystko na nic?

— Każdy kij ma dwa końce. W tej chwili jest to jedyny kij, jakim dysponujemy, niemniej on również ma dwa końce. — Hagbard z przejęciem nachylił się do przodu. — Jest i mechaniczny i ożywiony. Pozwól, że posłużę się metaforą seksualną, jako że chętnie się pławisz w światku intelektualistów nowojorskich. Patrzysz przez pokój na jakąś babę i wiesz, że nim świt zajrzy do okien, wylądujesz z nią w łóżku. Mechanizm mechaniczny: coś zaskoczyło, kiedy wasze oczy spotkały się. Ale orgazm jest organiczny; nikt z was nie jest w stanie przewidzieć, jak wam pójdzie. Na tej samej zasadzie wiem, tak jak wiedzą to Iluminaci, że immanentyzacja nastąpi pierwszego maja za sprawą mechanicznej reakcji łańcuchowej, którą przed dwustu laty, pierwszego maja, zainicjował Adam Weishaupt oraz za sprawą innych procesów zapoczątkowanych przez innych ludzi przed nim i po nim. Ale ani ja, ani Iluminaci nie wiemy, jaką postać przybierze immanentyzacja. Niekoniecznie musi się skończyć piekłem na ziemi. Równie dobrze może nastąpić raj na ziemi. Dlatego właśnie zmierzamy w stronę Ingolstadt.

42

THREE O'CLOCK TWO O'CLOCK ONE O'CLOCK
ROCK

Gliną zostałam przez Billie Freshette. Nie, nie zamierzam wciskać wam kitu — miałam też inne powody. Ale Billie to był cholernie ważny argument, a wszystko doprowadziło do bardzo ciekawych wydarzeń, kiedy Milo Flanagan wyznaczył jennie do infiltracji oddziału anarchistów z Lincoln Park, a ja ugrzęzłam po mój czarny tyłek w całej tej międzynarodowej intrydze i pieprzeniu o jodze w stylu Simona Moona. Być może jednak powinnam zacząć od początku, od Billie Freshette. Kiedy byłam małą dziewczynką, Billie była już stara — rozumiecie, to były wczesne lata pięćdziesiąte (Hassan i Sabbah X działał jeszcze jawnie, głosząc po South Side, że największy z Białych Magów zszedł niedawno z tego świata w Anglii, i wieszcząc świt ery Czarnych Magów; wszyscy myśleli, że to jakiś ćpun, któremu odbiło), a mój ojciec w tym czasie był kucharzem w restauracji na Halsted. Pokazał mi ją kiedyś na ulicy (musiało to być tuż przed tym, jak wyjechała do Wisconsin umrzeć w rezerwacie).

— Spójrz, moje dziecko, na tę staruszkę. Była kiedyś dziewczyną Johna Dillingera.

No więc spojrzałam i zobaczyłam chmurną i nieugiętą kobietę, kobietę, która nie dała się złamać, choć spotkał ją niejeden niesprawiedliwy wyrok z rąk prawa, ale widziałam również unoszący się wokół, niej cień smutku. Tato rozgadał się na dobre, opowiedział mi o Dillingerze, jednak w każdej komórce mojego dzieciennego mózgu odcisnął się najbardziej właśnie ten smutek. Wiele lat minęło, nim zrozumiałam, co się wtedy naprawdę stało — że rzuciła na mnie urok tym, jak bardzo przypominała kobiety czarnych przywódców gangów z South Side, mimo że była Indianką. W Chicago Czarny ma szansę przeżyć tylko w jeden sposób, mianowicie wstępując do gangu — Solidarność na Zabój, jakby powiedział Simon — ale ja skapowałam, że istnieje tylko jeden bezpieczny gang, gang nad gangi, chłopcy Wuja Sama, pieprzony establishment.

43

Podejrzewam, że każdy czarny glina, kombinuje w podobny sposób, póki nie zorientuje się, że nigdy nie zostanie prawdziwym członkiem tego gangu, a jeśli nawet, to niepełno-prawnym. Nie dość, że byłam czarna, to jeszcze byłam kobietą — dzięki temu prędzej niż inni skapowałam, co tu jest grane. Tkwiłam więc w gangu, najpodlejszym i najbardziej ponurym z wszystkich gangów, ale stale marzyłam o czymś lepszym, o niemożliwym, o tym, żeby za sprawą jakiejś czarodziejskiej sztuczki zmyć się z tej czarno-białej planszy wymyślonej przez mężczyzn i wylądować gdzieś, gdzie mogłabym być sobą a nie tylko pionkiem popychanym według widzimisię Wuja Sama.

Otto Waterhouse nigdy takich pragnień nie miał, przynajmniej do momentu, kiedy gra zaczęła zbliżać się do końca. Nigdy nie dobrałam się na tyle do wnętrza jego głowy, żeby wiedzieć, co się tam odbywa (on był natomiast stuprocentowym gliną; przejrzał mnie już przy pierwszym spotkaniu i odtąd czułam już stale, że ma mnie na oku, czekając, aż się wypnę na Wuja Sama i przejdę na drugą stronę), tak więc muszę mu oddać sprawiedliwość: Waterhouse był dosyć niecodziennym gościem: nie

ruchał czarnych w imieniu białych, ruchał ich z absolutnie prywatnych pobudek; taki miał trip i już.

Otto został moim kontaktem, kiedy przeszłam do roboty w podziemiu. Spotykaliśmy się w miejscu, które zawsze mogłam pod jakimś pretekstem odwiedzić, w podupadłej firmie prawniczej występującej pod szyldem Washington, Weishaupt, Budweiser and Kief przy North Clark 23. Później, z nie znanych mi powodów, zmienili nazwę na Ruly, Kempt, Sheveled and Couth, a następnie na Weery, Stale, Flatt and Profitable; dla zachowania pozorów wynajmowali zawsze kilku prawników i prowadzili interesy prawne korporacji Blue Sky, Inc.

29 kwietnia, wciąż nurtowany wątpliwościami co do osoby Hagbarda, Joe Malik zdecydował się na najprostszą wróżbę z tarota. Koncentrując całą energię na pytaniu, przełożył talię i wyciągnął kartę, która miała, o ile wróżba zadziała, ujawnić prawdziwe oblicze Celine'a. Serce zamarło mu, kiedy zorien-

44

tował się, że wyciągnął kartę Papieża. Przelatując w pamięci wyliczankę, której nauczył go Simon, Joe szybko zorientował się że ma do czynienia z numerem pięć, hebrajską literą *Vau* (oznaczającą „gwóźdź”), tradycyjnie interpretowaną jako fałszywe pozory: hipokryzja bądź trick. Piątka odpowiadała *Grummet*, chaotycznemu i niszczyielskiemu zakończeniu cyklu. *Vau* jako litera kojarzone było z waśnią, a symbol „gwóźdź” często odnoszono do okoliczności śmierci Chrystusa. Karta informowała go, że Hagbard był hipokrytą i oszustem, który dąży do zniszczenia, mordercą pokroju wizjonersko-me-sjanistycznego. Albo, interpretując w kategoriach bardziej wskazanych przy odczycie tarota, Hagbard jedynie stwarzał wokół siebie takie pozory, w rzeczywistości będąc agentem Zmartwychwstania i Odrodzenia — tak jak Chrystus musiał umrzeć, zanim mógł zostać Ojcem, czy jak (w Wedancie) trzeba się wyzbyć fałszywego „ja”, żeby być zdolnym do połączenia z większą Jaźnią. Zaklął. Karta odzwierciedlała jedynie jego własną niepewność. Przejrzał półkę z książkami, w którą Hagbard wyposażył jego kajutę, i znalazł trzy książki na temat tarota. Pierwsza, popularny podręcznik, okazała się absolutnie bezużyteczna: interpretowała kartę Papieża jako skostniałe formy religijne będące zaprzeczeniem prawdziwej duchowości, oraz konformizm i konformistyczną moralność klas średnich, której z pewnością Hagbard nie reprezentował. Druga książka (autorstwa prawdziwego adepta tarota) z powrotem odesłała go do jego własnych wątpliwości, informując, że Papież bywa „tajemniczy, a nawet podstępny. Wygląda, jakby w najgłębszej tajemnicy bawił się czymś kosztem”. Trzecie dzieło rozniecało najwięcej wątpliwości: Była to *Liber 555* pióra osobnika o nazwisku Mordecai Malignatus. Nazwisko kojarzyło się niejasno Joe ze schematem ze starego *East Village Other*, w którym w tajnych strukturach Iluminatów za Sferę Chaosu odpowiedzialny miał być niejaki Mordekai Plugawy — Mordecai Malignatus było w miarę wiernym łacińskim odpowiednikiem imienia Mordekai Plugawy. Mordekai, jak pamiętał Joe, według tego na wpół prawdziwego i na wpół zmyślnego schematu,

45

sprawować miał na spółkę z Richardem Nixonem (który wtedy bawił jeszcze pośród żywych) kontrolę nad Mędrkami Syjonu, Domem Rotschildów, Politbiurem, Systemem Rezerw Federalnych, Partią Komunistyczną Stanów Zjednoczonych i Studentami na Rzecz Demokratycznego Społeczeństwa. Joe przekar-tkował książkę, chcąc sprawdzić, co na wpół mityczny Mord ma do powiedzenia na temat Papieża. Rozdział zamieszczony w „Księdze Republikanów i Łotrów” był krótki i brzmiał następująco:

5 *Vau* PAPIEŻ Ukrzyżowali Miłość (gwóźdź) Na znak Władzy

Lecz Miłość niezwyciężona Nie podjęła ich walki.

Pięciu zaćpanych mężczyzn siedziało na dziedzińcu w chwili, gdy wmaszerował słoń.

Pierwszy mężczyzna był zaćpany snem; nie widział słońca, gdyż śnił o rzeczach, które w oczach przebudzonych uchodzą za ułudę.

Drugi mężczyzna był zaćpany nikotyną, kofeiną, DDT, nadmiarem węglowodanów, niedoborem białka i różnymi chemikaliami, które Iluminaci podrzucają do diety na wpół przebudzonym, żeby nie dopuścić do pełnego przebudzenia.

— Hej — zdumiał się mężczyzna — po naszym dziedzińcu łązi jakieś wielkie, cuchnące bydlę.

Trzeci mężczyzna był zaćpany trawą.

— Co ty, koleś, tutaj odchodzi na całego Bal Upiorów, Czarne Nic Duszy. — Mówiąc to, zachichotał głupawo.

Czwarty zaćpany leciał na peyotlu.

— Jesteście ślepi, gdyż nie widzicie, że słoń jest poematem, pisany zwałami cielska — oświadczył wywracając białkami.

Piąty zaćpany był na kwasie i nie powiedział nic, w milczeniu oddając cześć słońcowi jako

Praojcu Buddzie.

Wtedy pojawił się Papież, wbijając w ich serca gwóźdź tajemnicy.

46

— Wszyscy jesteście słoniami! — powiedział. Nikt nie pojął znaczenia jego słów.

(0 ósmej rano w Ingolstadt nieprzewidziany w rozkładzie zespół Kult Cargo dorwał się do mikrofonu ogłuszając kosmiczną aranżacją starej dziecinnej piosenki:

ZZA TEJ GÓRY, ZZA TEJ GÓRY JEDZIE JUŻ,
JEDZIE JUŻ
ZZA TEJ GÓRY, ZZA TEJ GÓRY JEDZIE JUŻ,
JEDZIE JUŻ

A w Waszyngtonie, gdzie nadal była dopiero druga po południu, Biały Dom stanął w płomieniach, podczas gdy Gwardia Narodowa z karabinów maszynowych ostrzeliwała uzbrojony tłum paradujący przed pomnikiem Waszyngtona z jednym palcem uniesionym do góry w geście, którego znaczenie: „Pierdolę was!” umieli rozszyfrować wyłącznie Iluminaci... W Los Angeles, gdzie była jedenasta rano, zaczęły eksplodować bomby pod komisariatami... A w Grocie Lehmana pełen niesmaku Markoff Chaney zwrócił uwagę Saula i Barneya na graffiti: WALCZ Z ROZMIARYZMEM — ZAPROŚ KURDUPLA NA LUNCH.

— Spójrzcie tylko — zażądał. — To ma być niby śmieszne. Za grosz nie widzę w tym nic śmiesznego.

W SZÓSTKĘ SIWKÓW ZAPRZEŻONA
W SZÓSTKĘ SIWKÓW ZAPRZEŻONA
W SZÓSTKĘ SIWKÓW ZAPRZEŻONA
JEDZIE JUŻ, JEDZIE JUŻ

29 kwietnia Hagbard zaprosił George'a na mostek kapitański „Leifa Ericssona”. Płynęli podwodnym tunelem o gładkich ścianach. Tunel, całkowicie wypełniony wodą, był podziemny i podmorski zarazem. Zbudowany przez Atlantydwów, nie tylko przetrwał katastrofę, ale również przez następnych trzydzieści tysięcy lat utrzymywany był w dobrym stanie przez Ilumina-tów. Posiadał nawet, mniej więcej pod Lyonem, służę słono-wodną, która oddzielała słone wody Atlantyku od dalszych partii tunelu i słodkich, podziemnych wód Morza Waluzyjskiego. Podziemne szlaki prowadzą do licznych jezior Szwajcarii, Ba-

47

warii, Europy Wschodniej — wyjaśnił Hagbard, gdyby w jeziorach pojawiła się słona woda, istnienie tajemniczego, głębinowego świata Iluminatów mogłoby wyjść na światło dzienne. Kiedy łódź dopływała do wielkiej, okrągłej grodzi, Hagbard wyłączył urządzenia chroniące statek przed wykryciem. Wielkie, okrągłe, metalowe wrota natychmiast zaczęły się uchylać w ich kierunku.

— Czy Iluminaci nie zorientują się, że uruchomiliśmy tę maszynię? — zaniepokoił się George.

— Nie. Śluzą działa automatycznie. Nigdy nie przyszło im do głowy, że ktoś oprócz nich mógłby korzystać z tunelu.

— Wiedzą przecież, że ty możesz to zrobić. Wtedy też pomyliłeś się, sądząc, że umkniesz niepostrzeżenie ich pająko-watym statkom.

Hagbard odwrócił się gwałtownie do George'a, celując włochatym palcem w jego pierś.

— Ani słowa więcej o pieprzonych pająkowatych statkach! Żebyś więcej nie musiał słuchać o pająkowatych statkach! Tym razem spektakl reżyseruje Portinari. A ona twierdzi, że jesteśmy bezpieczni. Kapę?

— Komandorze, kompletnie ci odjechało — stwierdził George z mocą.

— W porządku — zaśmiał się Hagbard, zwieszając swobodnie ramiona. — Możesz opuścić pokład, kiedy tylko sobie zażyczysz. Otworzymy służę i wypuścimy cię na wolność.

— Kompletnie ci odjechało, ale jadę z tobą na jednym wózku — oświadczył George i klepnął Hagbarda po ramieniu.

— Albo się jest na łajbie, albo pod łajbą — skonstatował Hagbard. — Spójrz.

„Leif Ericsson” płynął przez okrągłe, metalowe wrota, które zaczęły się zamykać za nim. Na tym odcinku tunel był wyższy o jakieś piętnaście metrów i częściowo jedynie wypełniony wodą. Wyglądało na to, że w stropie działa nawiew powietrza. W oddali widać było kolejną stalową grodz.

— Kawał śluzy! — zadumał się George. — Iluminaci musieli przeprować tędy gigantyczne łodzie.

48

— I zwierzęta — uzupełnił Hagbard.

Grodź otwarła się przed nimi i zaczęła napływać słodka woda. Poziom wody w śluzie podnosił się, sięgnął stropu; zagrały silniki „Leifa Ericssona” i łódź podjęła swoją podróż.

George tymczasem podjął swój dziennik:

29 kwietnia

Co, u diabła, znaczy stwierdzenie, że życie nie powinno biec zbyt szybko. Jak szybko zasuwa ewolucja? Czy tempo mierzone jest w kategoriach ludzkiego życia? Rok to dla wielu gatunków zwierząt więcej niż czas trwania ich życia, zaś siedemdziesiąt lat to godzina w życiu sekwoi. A sam wszechświat ma zaledwie dziesięć miliardów lat. Jak szybko płynie dziesięć miliardów lat? Dla boga, naturalnie, może to być raptem chwilka. Niewykluczone też, że wszystko dzieje się jednocześnie. Przyjmijmy, że długość życia naszego głównego, standardowego boga wynosi sto kwintylionów lat. W tej sytuacji całe istnienie naszego wszechświata to dla niego tyle, co dla nas wypad do kina.

Tak więc, z punktu widzenia boga czy wszechświata, sprawy toczą się bardzo szybko. Jak na jednym z tych filmów Walta Disneya, które w dwie minuty przelatują cały cykl od pączka do owocu. Życie, w oczach boga, jest organizmem rozprzestrzeniającym się we wszystkich kierunkach po Ziemi, obecnie również po Księżycu i Marsie, a cały proces, od pierwszych organizmów żywych do George'a Dorna i jego bliźnich, trwa zaledwie

— Wracaj na mostek, George. Jest na co patrzeć. — Głos Hagbarda w interkombie wyrwał George'a z głębokich rozważań.

Tym razem Hagbardowi na mostku towarzyszyła Mavis. Na widok George'a Hagbard bez pośpiechu odjął dłoń od jej lewej piersi. George poczuł żądzę mordu przemieszana z ulgą, że to nie Mavis dotyka Hagbarda w erotyczny sposób. Tego by nie zniósł. Mógłby wypróbować swoją nowo nabytą odwagę walnąwszy Hagbarda, choć jedna Bogini wie, jakim karate, czaro-

49

dziejską sztuką czy jogą zostałyby potraktowany w odpowiedzi. Poza tym Mavis i Hagbard z pewnością walili się na okrągło. Kogóż jak nie Hagbarda kobieta pokroju Mavis wzięłaby sobie za kochanka? Który by jej potrafił dogodzić tak jak Hagbard?

Mavis powitała George'a koleżeńskim uściskiem, od którego ścisnęło go boleśnie w piersi. Hagbard wskazał na napis wykuty w skałach groty. Składał się z wielu niepojętych znaków, nad którymi jednak widniał znajomy symbol: koło ze skierowanym w dół trójzębem.

— Pacyfa — zdumiał się George. — Nie wiedziałem, że jest aż taka stara.

— W czasach, kiedy ją tutaj ryto, nosiła nazwę Krzyża Lilith Velkor — wyjaśnił Hagbard Celinę — a znaczy po prostu tyle, że każdy, kto wejdzie w drogę Iluminatom, dostąpi najgorszych tortur, do jakich są zdolni. Lilith Velkor była jedną z ich pierwszych ofiar. Ukrzyżowali ją na obrotowym krzyżu, bardzo podobnym do tego, na który patrzysz.

— Wspominałeś mi, że nie jest to symbol pokoju, ale nie wiedziałem, co masz na myśli — powiedział George, patrząc na krzyż z rozczuleniem.

— W kręgach Bertranda Russella działał Illuminatus w stopniu Dirigens, który natchnął kogoś ideą, że koło i trójząb będą znakomitymi symbolami dla uczestników marszu w Alderma-ston. Całość była pomyślana z głową i bardzo cienkimi nićmi szyta. Gdyby Komitet Na Rzecz Rozbrojenia Atomowego zastanowił się chwilę, na dobrą sprawę symbole były im potrzebne jak psu na budę. Ale Russell i jego ludzie dali się na to złapać. Nie wiedzieli jednego — trójząb i koło przez tysiące lat były tradycyjnymi symbolami zła wśród satanistów ścieżki lewej ręki. Wielu prawicowców potajemnie uprawia magię leworęczną i satanizm, więc, naturalnie, od razu rozpoznało ten symbol. Dali się nabrać, że za ruchem pacyfistycznym kryją się Iluminaci, wobec czego oskarżyli ich o posługiwanie się symbolami Szatana, czym, do pewnego stopnia, zdyskredytowali ruch na rzecz pokoju. Chytre zagranie.

50

— Skąd się wziął tu na ścianie?

— Napis poucza przepływających, by oczyścili serca, gdyż wpływają na Morze Waluzyjskie, będące wyłączną własnością Iluminatów. Wędrowiec po wodach waluzyjskich prędzej czy później natyka się na podziemny port Agharti, w którym schronili się Iluminaci po katastrofie Atlantydy. Właśnie wpływamy na Morze Waluzyjskie. Spójrz — skinął ręką.

George z otwartymi ustami patrzył, jak rozstępują się ściany groty, którą posuwała się łódź. Wyraźnie wypływali z tunelu, wkraczali natomiast w coś, co wydawało się nieskończoną mgłą. Kamery telewizyjne działające na radarach laserowych w wodach tych miały taki sam zasięg, jak na Atlantyku, ten ocean jednak nie był ani błękitny, ani zielony, lecz szary. Była to szarość, która zdawała się ciągnąć we wszystkich kierunkach, bez końca, jak chmurne niebo. Nie sposób było ocenić

odległości. Najgłębsza szarość mogła równie dobrze znajdować się o setki mil, jak tuż za powłoką statku.

— Gdzie jest dno? — zapytał.

— Tam, gdzie oko nie sięga — odparła Mavis. — Najwyższe partie natomiast znajdują się nieco powyżej dna Atlantyku.

— Moja mądrała — pochwalił Mavis Hagbard, szczypiąc ją w pośladek. George podskoczył.

— Nie zwracaj na niego uwagi, George — poprosiła Ma-vis. — Jest ciut zdenerwowany, więc robi z siebie dumia.

— Stul pieprzony pysk — wkurzył się Hagbard.

Teraz George również poczuł się zaniepokojony. Czyżby szlachetny umysł Hagbarda Celine'a ugiął się pod naporem odpowiedzialności? Odwrócił się, by rzucić wzrokiem na pustkę wód. To, co zobaczył, nie było zupełną pustką. Mijały ich ryby duże i małe, niekiedy o kształtach wręcz groteskowych. Żadna nie miała oczu. Monstrualna ośmiornica z niebywale długimi, smukłymi mackami w poszukiwaniu zdobyczy przemknęła obok łodzi. Koniuszki jej macek pokrywały delikatne włoski. Mała ryba, ślepa, jak wszystkie, dość blisko jednej z macek, by falowanie wody poruszyło włoski. Niezwłocznie cały

51

korpus ośmiornicy wykonał w tył zwrot, zaalarmowana macka owinęła się wokół nieszczęsnej ryby, a kilka sąsiednich odnóży pomogło jej dostarczyć ofiarę do paszczy. Ośmiornica uporała się z rybą w trzech kaskach. George ucieszył się, że chociaż krew tych stworzeń ma kolor czerwony. Za ich plecami otwarły się drzwi. Na mostek wkroczył Harry Coin.

— Witajcie wszyscy. Myślałem, że może znajdzie tutaj pannę Mao.

— Odrabia teraz swoją dolę Nawigacji — odparł Hagbard. — Zostań z nami popatrzeć na Morze Waluzyjskie, Harry.

Harry rozejrzał się powoli i uważnie, po czym potrząsnął głową.

— Wiesz — stwierdził — zdarzają się chwile, kiedy podejrzewam, że to wszystko wasza robota.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Harry? — zaciekawiała się Mavis.

— No wiesz — Harry machnął długą, węzowatą ręką — że to wszystko jest sztucznie zrobione, jak na filmie sci-fi. Trzymacie nas w jakimś opuszczonym hotelu, w piwnicy pracuje wielki motor, od którego cały hotel się trzęsie, a tu trzymacie kamery, które wcale nie są wycelowane na zewnątrz tylko na ekran, wiecie, o co mi chodzi?

— Tylina projekcja — uściślił Hagbard. — Powiedz, Harry, jaką by ci to robiło różnicę, gdyby to wszystko nie było prawdziwe?

Harry zadumał się na chwilę, krzywiąc pozbawioną podbródka twarz.

— Nie musielibyśmy robić tego, co naszym zdaniem powinniśmy robić. Z drugiej strony jednak to, że robimy coś, czego nie musimy robić, sądząc, że musimy to robić, nie stanowi żadnej różnicy. Z czego wniosek, że należy po prostu robić swoje.

— Po prostu robić swoje — westchnęła Mavis.

— Po prostu robić swoje — powtórzył Hagbard. — Bardzo celna mantra.

52

— A jeśli przestaniemy robić swoje — uzupełnił George — to też nie będzie żadnej różnicy. Z czego wniosek, że należy po prostu robić swoje i tyle.

— Kolejna celna mantra — pochwalił Hagbard. — Robić swoje i tyle.

George wypatrzył niewielki punkt w oddali. Punkt sunął w ich kierunku i George po chwili go rozpoznał. Potrząsnął głową. Czyżby surrealistyczne niespodzianki, którym był poddawany od sześciu dni, nie miały końca? Delfin w sprzęcie płetwonurka!

— Witaj, Howardzie — powiedział Hagbard. — Jak tam naziści?

— Umarli, posnęli, czort wie. Zatrudniam całą gromadę morświnem — głównie Adeptów Atlantydzkich — żeby ich mieli na oku.

— Gotowych, w razie konieczności, również do innych zadań, mam nadzieję.

— Gotowych aż miło — potwierdził Howard i fiknął kozła.

— W porządku — powiedział Harry Coin słabym głosem. — W porządku — powtórzył nieco dobitniej. — To tylko zwykła gadająca ryba. Ale czemu, u diabła, nosi zbiornik z tlenem i oddycha przez tę pieprzoną maskę?

— Widzę, że mamy nowego przyjaciela na mostku — stwierdził Howard. — Dostałem tę maskę na Fernando Po od lądowego przedstawiciela Hagbarda. Morświny, co by nie mówić, też muszą oddychać powietrzem, a podziemny ocean prawie nigdzie nie ma powierzchni. Woda szczelnie

wypełnia jego grobowe komnaty. Jedynym miejscem w okolicy, gdzie można zaczerpnąć powietrza, jest powierzchnia jeziora Totenkopf.

— Potwór z jeziora Totenkopf — zażartował George.

— Jeszcze dzisiaj rzucimy kotwicę u brzegów jeziora Totenkopf — zapowiedział Howard. — Hagbardzie, chciałbym, żebyś ze swoim plemieniem towarzyszył nam dzisiejszej i jutrzejszej nocy. Jutro przygotujcie się na huk ciężkiej roboty. Póki co unikajcie nazistów — są pod ochroną, która szczególnie skierowana jest przeciwko stworzeniom morskim, uważa-

53

nym za najpotężniejszego wroga. Dysponujemy każdą ilością sprzętu i aparatury tlenowej dla twoich ludzi. Powiedz im, żeby tylko w ostateczności wynurzali się na powierzchnię jeziora. Nie chcemy wzbudzać niepotrzebnej sensacji.

— Przyjmij wyrazy szacunku w imieniu stada morświnów — odparł Howard. — Bądź zdrow i żegnaj. — Powiedziawszy to, odpłynął.

Nieco później ujrzeni w pewnej odległości olbrzymiego gada, który wiosłował czterema płetwami. Szyja gada była dwa razy dłuższa od tułowia. Zwierzę z zapalem ścigało ławicę ślepych ryb.

— Potwór z Loch Ness — wyjaśnił Hagbard, a George'owi przypomniało się, jak żartobliwie przestrzegał Howarda przed wynurzaniem się na powierzchnię jeziora Totenkopf. — Jeden z eksperymentów Gruada nad formami zwierzęcymi — ciągnął Hagbard. — Miał autentycznego pierdolca na punkcie gadów. Zaludnił Morze Waluzyjskie pleiozaurowatymi. Naturalnie, ślepyimi, żeby się lepiej orientowały w ciemnościach. Pomyśleć tylko, że oczy w pewnych okolicznościach mogą być przeszkodą. Gruad wyobrażał sobie, że tego typu potwory będą zaporą chroniącą przed wykryciem Agharti. Ale „Leif Ericsson” jest za duży na to, żeby Nessie opłacało się z nim zaczynać, o czym ona wie doskonale.

Wreszcie wyrósł przed nimi słup żółtego światła. Światło z jeziora Totenkopf wpadało do Morza Wal użyj skiego. Hagbard wyjaśnił, że jezioro było miejscem, w którym nadwątlony strop skalny nad Morzem Waluzyjskim nie wytrzymał i runął. Dziura w stropie morza podeszła wodą, a gruz utworzył górę na dnie jeziora.

— Naturalnie, jezuita wiedzieli od zawsze, że jezioro Totenkopf łączy się z Morzem Waluzyjskim umożliwiając łatwy dostęp do Agharti — wyjaśnił Hagbard. — Dlatego właśnie, kiedy zlecili Weisshauptowi założenie jawnej filii Iluminatów, wysłali go do Ingolstadt, położonego na samym brzegu jeziora Totenkopf. A oto i nasza podwodna góra.

Góra, ciemna i niedostępna, zamajaczyła w oddali. Kiedy

54

łódź płynęła nad nią, George zauważył krążącą w pewnej odległości chmurę delfinów. Wierzchołek góry był ścięty w sposób, który wydawał się zbyt precyzyjny, aby mógł być dziełem natury; tworzył płaskowyż długi mniej więcej na dwie, a szeroki na jedną milę. Na szarej równinie majaczyły ciemne kwadraty. Łódź zanurkowała i George zorientował się, że kwadraty to kolumny ludzi. Przez chwilę zawiśli nad armią niczym helikopter obserwujący paradę wojsk. George widział wyraźnie czarne mundury, zielone czołgi z wymalowanymi czarno-białymi krzyżami, długie, ciemne, wycelowane w górę lufy dział. Stali w milczeniu nieruchomo, tysiące stóp pod powierzchnią jeziora.

— Czy to jest broń, którą Iluminaci zamierzają zimmanen-tyzować Eschaton? — spytał George. — A może by im tak dać łupnia?

— Nie da rady, są w tej chwili pod ochroną pola biomisty-cznego — odparł Hagbard. — Ale chciałem, żebyś ich zobaczył. Z chwilą, gdy elektryczne, astralne i orgonomiczne wibracje Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego wzmocnione synergetycznymi ładunkami dźwięku, wizji i energii emocjonalnej ich młodych słuchaczy przebudzą nazistowski legion do życia, na ratunek przybędzie na pole bitwy nie kto inny, lecz Bogini Eris We Własnej Osobie.

— Hagbardzie — zaprotestował George z niesmakiem. — Czy chcesz mi wmówić, że Eris jest kimś realnym? Realnie realnym, nie tylko alegorią czy symbolem. Wydaje mi się to równie absurdalne jak myśl, że Jehowa czy Ozyrys są realnie realni.

— Kiedy się rozpatruje owe moce czy też potęgi nie wstając z fotela, w kategoriach filozoficznych bądź naukowych, racjonalistyczne podejście zdaje w pełni egzamin — odparł Hagbard całkiem serio. — Traktowanie bogów, bogiń i demonów jako projekcje ludzkiego umysłu czy nieświadomione aspekty naszej psyche w takich warunkach sprawdza się najzupełniej. Każda prawda jest jednak prawdą tylko w pewnych granicach czasowo-przestrzennych; ta prawda, jak już wspo-

55

niałem, sprawdza się na fotelu. Kiedy natomiast obcujemy naprawdę z boskimi istotami,

jedynym bezpiecznym, pragmatycznym i praktycznym podejściem jest traktowanie ich tak, jakby były obdarzone istnieniem, wolą i motywacją całkowicie niezależną od psychiki wyznawców. Gdyby uczeń czarnoksiężnika przyjął ten fakt do wiadomości, oszczędziłby sobie wielu perypetii.

W PURPUROWYCH SZARAWARACH W PURPUROWYCH SZARAWARACH W PURPUROWYCH SZARAWARACH JEDZIE JUŻ Dochodząc do obrzeży tłumu Fuzja Chips zobaczył grupę muzyków, którzy, wnosząc z fryzur i strojów, musieli być Anglikami. Na największym z bębnow widniała nazwa zespołu: Nudy na Pudy, gitarzysta zaś miał przypiętą do biodra manierkę. Jej widok uświadomił Fuzji, jak bardzo jest spragniony.

— Przepraszam, wiecie może, gdzie tu można napić się wody czy czegoś w tym stylu?

— Chlapnij sobie ode mnie — zaproponował gitarzysta, uprzejmie podsuwając manierkę. Wskazał na zachód. — Widzisz tę geometryczną kopułę z dykty? Tam sika olbrzym. Ko-ol-Aid z pomocą Kabutersów zainstalował swoją cysternę. Gwarantują, że starczy do końca, nawet jeżeli tłum się podwoi. Powinno być chłodne, napeniłem manierkę przed chwilą. W każdej chwili możesz tam iść i dostać więcej.

— Dzięki — powiedział 00005 z uczuciem, łykając łapczywie rozkosznie chłodny płyn.

Miał bardzo niski próg odporności na LSD, więc nie minęło parę minut, a świat pojaśniał wokół, stał się dziwnie obcy i kolorowy.

(Autorką tego żartu był nie kto inny tylko Rhoda Chief, wokalistka Głównych z Wysp Wielkanocnych, która wzbudziła najgłębszy podziw młodej generacji — i równie głęboką zgrozę starszej — chrzcząc nieślubnego synka Jesus Jehova Lucifer Satan Chief. O dawnej scjentystce i pentakostalistce, aktualnie podążającej ścieżką Wicca dorodnej Rhodzie, w kręgach estradowych mówiło się, że „nie ma drugiej laski, która by tak

56

targała laskę”; renoma ta często skłaniała satanistów z komitetu Lindy Lovelace na Prezydenta do wysyłania w jej kierunku zabójczych wibracji, które jednak odbijały się od Rhody dzięki jej tarczy Wicca. Niewykluczone, że była najwybitniejszą piosenkarką swojego pokolenia, a zarazem niezłomną wyznawczynią poglądu, że większość problemów ludzkości zniknęłaby, gdyby tylko świat zechciał dać się nawrócić na LSD. Do festiwalu w Ingolstadt przygotowywała się przez dobrych parę miesięcy, kupując wyłącznie towar najwyższej jakości od najbardziej zaufanych dealerów; do cysterny Kool-Aidu zakradła się raptem przed chwilą, dosypując dwuetyloamidu kwasu lizergo-wego w ilościach, które wystarczyłyby, żeby wysadzić mózgi całej populacji niewielkiego państewka. Pomysł ten w rzeczywistości został dyskretnie podrzucony do jej umysłu przez przywódczynię jej Wiccanu, zdumiewająco piękną kobietę o ogni-storudych włosach i płomiennych oczach, tę samą, która była gwiazdą Czarnej Mszy odprawianej przez Padre Pederastię pod numerem 2323 przy Lakę Shore Drive. Kobieta, przedstawiająca się jako Lady Velkor, często żartowała ze swoich wspomnień z XVIII-wiecznej Bawarii, branych przez Rhodę za dowód reinkarnacji.)

10 kwietnia, kiedy Howard dokonał swojego odkrycia w ruinach Atlantydy, a Tlaloc szczyrzył zęby w Mexico D.F., Tobias Knight w swoim pokoju w hotelu „Pan Kreston” w Santa Isobel zakończył transmisję radiową na pokład amerykańskiej łodzi podwodnej w zatoce Biafry.

— Ruskie i Kitajce wycofali się już do końca, a Genera-lissimo Puta jest nam zdecydowanie przychylny, nie mówiąc o tym, że cieszy się popularnością pośród Bubich i Fangów. Moja misja zdecydowanie dobiegła końca, czekam na rozkaz powrotu do Waszyngtonu.

— Roger. Bez odbioru.

(Frank Sullivan, czerpiąc zyski ze swojego jedyne go niepodważalnego atutu, prosperował w Hawanie jako kubański Superman pod nazwiskiem Papa Piaba, kiedy Bractwu wpadło w oko jego podobieństwo do Johna Dillingera.

57

— Rany — zdumiał się, kiedy składano mu ofertę — pięć tysięcy dolców za to tylko, że wezmę dwie babki do kina? I to tylko dla jaj?

— Będą jaja aż miło — zapewnił go Jaime Mocenigo. Smithsonian Institute miał później przechowywać atut pana Sullivana jako jeden z najbardziej interesujących zabytków.)

BIERZMY SIĘ ZARZYNAĆ KURA Hagbard wracał do swojej kabiny w towarzystwie Joe Malika.

— Pójdiesz do piwiarni w Monachium — mówił — i ukradniesz cokolwiek, obojętnie co, byle tylko było na tyle stare, żeby pamiętać noc, kiedy próbował zrobić *Putsch*. Potem dołączysz do nas w Ingolstadt. Kapujesz?

BIERZMY SIĘ ZARZYNAĆ KURA

Lady Velkor w zielonej rubaszce i zielonych szortach rozejrzała się po geometrycznej kopule

Kool-Aida. Jej wzrok przykuł mężczyzna w zielonym swetrze z żółtym golfem i zielonych spodniach.

— Czy jesteś żółwim? — spytała podchodząc.

— Załóż się o słodką dupcię, że tak — odparł ochoczo, czyli że znów nie złapała kontaktu; temu tłumokowi będzie musiała czym prędzej postawić drinka. Mimo wszystko, miłym uśmiechem pokryła zniecierpliwienie.

BIERZMY SIĘ ZARZYNAĆ KURA BO JEDZIE JUŻ Robinson i Lehrman z Wydziału Zabójstw rozpoczęli właśnie ostatnią fazę operacji. Akurat przyjechałam do Nowego Jorku spotkać się z Hassanem i Sabbah X w sprawie wkroczenia laotańskiej operacji opiumowej w kolejną fazę (jechałam prościutko z Chicago, gdzie na benefis dla panny Servix nagrałam całą tę rozmowę z Waterhouse'em) i postanowiłam omówić z nimi parę drobiazgów z gatunku tych, których nie umieszcza się w raportach służbowych. Spotkaliśmy się na Washington Square, gdzie udało nam się znaleźć dyskretną ławeczkę z dala od amatorów szachownicy.

— Muldoon nas rozpracował — oświadczył z miejsca Robinson. Zapuścił brodę; znaczyło to, że wstąpił do oddziału

58

Weather Undergroundu, bo był zbyt stary, żeby nabrać kogokolwiek, że nie ma dwudziestu jeden lat, i załapać się do Mo-riturich.

— Jesteś pewien? — spytałam.

— Czy można być pewnym czegośkolwiek w tej profesji

— odparł, jak zawsze. — Ale Barney to glina najczystszej

wody, a jego intuicja działa z nieomylnością różdżki — dorzucił. — Tak czy owak, w szeregach policji powszechnie wiadomo, że dokonaliśmy infiltracji. Krążą nawet wice w rodzaju: „Kto w twoim wydziale jest agentem CIA?” i tak dalej.

— To prawda, Muldoon nas rozpracował — przyznał Lehrman. — Ale to nie on najbardziej mnie niepokoi.

— A kto? — spytałem gładząc nerwowo sumiasty wąs; fakt, że byłem pierwszym w dziejach wywiadu agentem Piątki, zaczynał mnie przytłaczać. Naprawdę nie miałem pojęcia, którego z moich szefów powinienem powiadomić, chociaż CIA z pewnością należało poinformować, gdyż, o ile się mogłem zorientować, Robinson i Lehrman ślali im podwójne raporty, posługując się na wszelki wypadek innym kontaktem, który miał być sprawdzianem mojej wiarygodności.

— Komendant Północnego Wydziału Zabójstw — wyjaśnił Lehrman. — Stary przyk nazwiskiem Goodman. Kurewsko bystry gość, chwilami zastanawiam się, czy to aby nie on jest podwójnym agentem dla samego Oka. Jego umysł potrafi wyprzedzać fakty niczym umysł Adepta Exempta w Hierarchii.

Podniosłem wzrok na pomnik Garibaldiego, wspominając popularną niegdyś na NYU legendę, że wyjmie swój miecz do końca z pochwy, kiedy przez Washington Park przejdzie dziewczica.

— Powiedz mi coś jeszcze o tym Goodmanie — poprosiłem.

— Ależ ta lala ma dwojaczki — entuzjastycznie zaanonsował Superman.

— Melony — przytaknął entuzjastycznie drugi Superman. — A my, entelgentne ludzie, przepadamy wprost za melonami — dorzucił oblizując się.

59

— Rąsia! — wrzasnął pierwszy.

— Rąsia! — odwrzasnął drugi.

Przybili piączę i Clark Kent wypłynął na powierzchnię. Przed chwilą zakosztował właśnie Kool-Aidu i zaczynał leciutko odlatywać, nie zdając sobie jeszcze sprawy, co się z nim dzieje — po prostu dosyć niecodzienny napływ skojarzeń z działki antropologicznej, którą niegdyś uprawiał; był bardzo poruszony nagłym olśnieniem na temat związków między Czarną Madonną z Gwadelupy, grecką boginią Persefona a własnymi upodobaniami seksualnymi — ocknął się nagle, wpatrując w kobietę, której piersi wprawiły go w tak głęboką zadumę.

— O żeż kurwa — wyszeptał z nabożeństwem, rozciągając wargi w uśmiechu.

Rebeka Goodman wyszła z domu o trzeciej po południu, pchając przed sobą wózek na zakupy. Nie zatrzymała się przy garażu. Najbliższy supermarket znajdował się o dobrych dziesięć minut na piechotę i był wystarczająco duży, żeby znalezienie wszystkich potrzebnych rzeczy i dojście do kasy zajęło jej co najmniej pół godziny. Wyśliznąłem się z samochodu i pomaszerowałem prosto na tyły jej domu; kombinezon technika Bell Telephone dostarczał mi kamuflażu przed wzrokiem sąsiadów.

W drzwiach kuchennych był bardzo prosty zatrzask, nie musiałem nawet wyciągać kluczy. Jedna karta do gry i już byłem w środku.

W pierwszej chwili chciałem pruć prosto do sypialni — starszy pan w Wiedniu miał rację,

sypialnia to nieomylny klucz do charakteru mężczyzny — zastopowało mnie jednak krzesło kuchenne. Wibracje były tak silne, że musiałem przymknąć oczy i dokonać pomiaru psychometrycznego trudną metodą Trzeciego Alko z A.: A.: Rebeka we własnej osobie: na tym krześle przesiadywała kombinując, czyby nie walnąć w żyłę. Ślad szybko zanikł, zanim zdążyłem się zorientować, co ją powstrzymało.

Wibracje w sypialni mało mnie nie zwały z nóg.

— Kto by przypuścił, że starzec miał w sobie tyle gorącej krwi? — sparafrazowałem wycofując się. Nadmierne węższe-

60

nie tutaj zakrawało na świętokradztwo, a to, co odczytałem, wystarczyło mi aż nadto. Ten facet, mówiąc językiem panny Mao, był Tao-Yin (Beta-prim w terminologii I.). Nie dziwota, że Robinson w kółko nawijał o jego „intuicji”.

W saloniku zaryło mnie przed posążkiem kopenhaskiej syrenki. Na ten widok parsknąłem śmiechem i pomyślałem: Panie Boże, któż z nas nie ma swoich słabostek.

Jedna ściana składała się z samych regałów. W tym domu czytała chyba głównie Rebeka. Zrobiłem próbny skaning i wyłowiłem wibracje Saula na półce z literaturą kryminalną i wydaną przez Scientific American antologię zagadek matematycznych i logicznych. Ten gość nie mając bladego pojęcia, jaka potęga w nim drzemie, widział świat przez pryzmat zagadek, które czekają na rozwiązanie. Sherlock Holmes bez skrzypiec czy choćby dragów, żeby stonować nadczynność kory mózgowej. Wszystkie nadwyżki łądował w małżeństwo, w tropikalną sypialnię na piętrze.

Jednak nie: na stoliczku do kawy leżał szkicownik. Sądząc z aury — Goodmana.

Błyskawicznie przewertowałem zawartość: precyzja, dbałość o detale, perfekcyjny naturalizm. Głównie twarze: kryminaliści, których widywał po linii zawodowej, szkicowani z wnikliwością i współczuciem, jakich całymi godzinami zmuszony był odmawiać sobie w swojej pracy. Drzewa w Parku Centralnym. Akty Rebeki, uwielbienie w każdym pociągnięciu ołówka. Fascynująca twarz czarnego dzieciaka na tle slumsów Harlemu — kolejny przebłysk nieoczekiwanego współczucia. I nagle zmiana kierunku — pierwsza abstrakcja. W zasadzie była to Gwiazda Dawida, emitująca fale energii, tak że trójkąt skierowany w dół był częściowo zaćmiony — gdzieś w głębi umysłu Goodmanowi udało się nadgryźć jej symbolizm i zbliżyć zaskakująco do prawdy. I znowu twarze typowych kryminalistów. Scena z Catskill, Rebeka czyta pod drzewen — coś jest nie tak, czuje się jakiś cień smutku i lęku. Przymknąłem oczy i skoncentrowałem się: odebrałem obraz innej kobiety... Spotniały otwarłem oczy. Pierwsza żona Goodmana, zmarła na raka.

61

Bał się, że mógłby stracić również Rebeke, chociaż była młoda i zdrowa. Kolejny mężczyzna. Bał się, że mogłaby odejść z młodszym mężczyzną. Więc to był klucz. Przewertowałem jeszcze parę stron, aż trafiłem na jednorozca — kolejny akt podświadomości, podobnie jak erotyczna Gwiazda Dawida.

Teraz szybko ponamierzałem książki Rebeki. Głównie antropologia, głównie Afryki. Zdjąłem jedną z półki i pottrzymałem w ręku. Znów Eros, tym razem niezwykle wysublimowany. Kolejny klucz.

— Znajdź mi choć jedną białą cizję tak wyzutą z ducha, żeby nie chciała spocząć w objęciach czarnucha — zauważył kiedyś w mojej obecności Hassan i Sabbah X.

Starannie odłożyłem wszystko na miejsce i ruszyłem do wyjścia. Przystanąłem w kuchni, sczytać ponownie krzesło, ponieważ nawroty są równie typowe dla syndromu heroinowego, jak i dla pylicy płuc. Tym razem udało mi się złapać, co ją powstrzymało. Jeżeli powiem, że miłość, wyjdę na sentymentalnego, jeżeli powiem, że seks, wyjdę na cynika. Powiem więc, że więź partnerska, i wyjdę na intelektualistę. Wskoczywszy do samochodu, sprawdziłem czas: minęło siedemnaście minut. Wydobyć tytuł informacji za pomocą tradycyjnych metod zajęłoby co najmniej parę godzin, zresztą byłyby to całkiem odmienne informacje, o wiele mniej znaczące. Trening A.\A.\ z pewnością procentował w mojej pracy.

Pozostał tylko jeden problem: na tym etapie nie chciałem zabijać nikogo, a podłożenie bomby ściągnęłoby jedynie uwagę Muldoona. Nawet zniknięcie Malika zepchnięto do Wydziału Osób Zaginionych.

Aż nagle przyszły mi na myśl manekiny używane przez firmę krawiecką z siedemnastego piętra, bezpośrednio nad redakcją „Konfrontacji”. Gdyby tak spalić manekina tuż przed odpaleniem bomby... tak, to mógł być pomysł. Ruszyłem z powrotem na Manhattan pogwizdując: „Ha-ha-ha, kto się ostatni będzie śmiał?”

(Bomba eksplodowała tydzień później, o 2.30 nad ranem. Simon, opuszczając lotnisko O'Hare,

gdzie była dopiero 1.30,

62

doszedł do wniosku, że zdąży jeszcze wpaść do Przyjaznego Obcego i spotkać się z tą laleczką z policji, która tak inteligentnie zinfiltrowała Hordę Bezimiennych Anarchistów. Mógł ją mieć u siebie w łóżku bez większego trudu, ponieważ facetki z wywiadu zawsze liczyły na to, że kiedy będzie po wszystkim, mężczyzna, senny i rozanielony, porzuci ostrożność i zacznie sypać; podszkoli ją trochę w jodze seksualnej, postanowił, i zobaczy co mu się uda z niej wyciągnąć. Nie zapominał jednak o konferencji w gmachu ONZ zwołanej o północy tego samego wieczoru, kiedy podłożono bombę i posępnych słowach Malika:

— Jeśli się nie mylimy, może się zdarzyć, że nikt z-nas nie doczeka europejskiego Woodstock za tydzień.)

— Czy jesteś żółwem? — ponownie zagadnęła Lady Velkor, podchodząc do kolejnego mężczyzny w zieleni.

— Nie — odparł — nie mam pancerza.

— Bądź błogosławion — mówi Lady Velkor półgłosem i uśmiecha się.

— Bądź błogosławiona — odpowiada mężczyzna...

— Co z Miscatonic Messaliną? — słyszy za sobą Doris Horus i serce jej skacze do gardła, to nie do wiary, kiedy jednak odwraca głowę, poznaje, że to on, Stack...

— Jezu — mówi jeden Superman do drugiego — czy on zna osobiście wszystkie rajcowne laski na świecie?

...Senat i Lud Rzymu nadal kotłował się z Attylą i Jego Hunami, zaś Hermie „Król Spidu” Trismegitos, perkusista z Luki w Wiarygodności, z odległości zaledwie paru stóp podziwiał skomplikowaną, niemal matematyczną choreografię ich ruchów; jedynym jego pragnieniem było ustalić, czy byli uosobieniem odwiecznej walki Ozyrysa z Setem, czy może odgrywają łączenie się atomów w molekuly. Połapał się, że jest na kwasie, ki diabeł, to musiał być ten Kool-Aid, następna krotochwila Dyla Sowizdrzała...

Łódź wzbija się nad płaskowyż, sunąc po wodach jeziora Totenkopf. Zacumowawszy na sporej głębokości naprzeciw In-golstadt, Hagbard z trzydziestką załogi wsiadł do windy dla

63

^

płetwonurków i pomknął na powierzchnię. Na brzegu, przy szosie stał szpaler samochodów, któremu przewodził bugatti royale. Hagbard wielkopańskim gestem zaprosił George'a, Stellę i Harry'ego Coina do olbrzymiego samochodu. George skonstatował z osłupieniem, że twarz szofera porasta siwe futro.

Dojazd do Ingolstadt wokół jeziora trwał dosyć długo. Miasto wyglądało zupełnie tak, jak sobie George wyobrażał, gotyckie wieże i wieżyczki o • spiczastych dachach przeplatane gmachami w stylu modernistyczno-marsjańskim przeniesionymi żywcem z Mad Avenue, większość domów wyglądała jednak, jakby je zbudowano pod rządami księcia Henryka Ptasznika.

— Miasto obfituje w dzieła architektury — wyjaśnił Hagbard. — Wielka gotycka katedra w centrum to Liebfrauen-miinster. Jest też rokokowy kościółek pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej — zawsze miałem ochotę pooglądać te wykwintne reliefy na kwasie.

— Byłeś już tutaj kiedyś? — zaciekawił się Harry.

— Robiłem tutaj mały zwiad. Znam wszystkie przyzwoite miejsca. Dziś wieczór chciałbym, żebyście zostali moimi gośćmi w Schlosskeller na zamku ingolstackim.

— Chcąc nie chcąc musimy być twoimi gośćmi. Zaden z nas nie ma grosza przy duszy — zauważył George.

— Kto ma len, może w Schlosskeller płacić lnem — poinformował Hagbard.

Na początek udali się do Donau-Hotel, który, w opinii Hagbarda, był najnowocześniejszym i najbardziej luksusowym hotelem w Ingolstadt. Wszystkie niemal pokoje zostały zarezerwowane dla ludzi Hagbarda. W sytuacji, w której pozostałe hotele pękały w szwach, ktoś musiał nieźle z góry posmarować, żeby załatwić coś takiego. Na widok szpaleru samochodów ze wspianym bugatti royale na czele obsługa hotelu porwała się na baczność. Nawet w mieście, w którym roiło się od znakomitości, w mieście obłożonym przez zamożnych muzyków rockowych i równie zamożnych fanów rocka z całego świata, pojazd Howarda wzbudzał respekt.

64

George wszedł za Hagbardem do hallu, znienacka stając twarzą w twarz z parą zgrzybiałych niemieckich starców.

— Zejdz mi z drogi, zdegenerowany żydokomunistyczny pederasto — powiedział po angielsku

z wyraźnym niemieckim akcentem starzec o długich, siwych wąsach z siwym kosmykiem opadającym na czoło. Drugi mężczyzna drgnął i po cichu zaczął mitygować towarzysza. Pierwszy zbył go machnięciem ręki i ramię w ramię podreptali w kierunku windy. Na oczach Georga, zbyt zdumionego, żeby się wściec, dołączyło do nich jeszcze kilku starców. Cóż, tu, w ojczyźnie tego typu mentalności, nienawiść starca miała przede wszystkim posmak historycznego kuriozum. Tacy jak on bez wątpienia osobiście znali Hitlera.

Hagbard z pańską miną przyjął pęk kluczy z rąk recepcjonisty.

— Dla uproszczenia spraw w każdym pokoju zameldowałem po jednym panu i jednej pani — powiedział, wręczając klucze. — Dobierajcie współlokatorów i wymieniajcie się do woli. Na łóżkach znajdziecie stosowne bawarskie stroje ludowe. Prosiłbym, żebyście się przebrali.

Stella i George wspólnie pomaszrowali na górę. George przekręcił klucz w zamku i oczom jego ukazał się wielki pokój z dwoma małżeńskimi łóżkami. Na jednym z nich leżał strój męski złożony z krótkich, skórzanych spodenek, jedwabnej koszuli i podkolanówek, na drugim — chłopska spódnica, bluzka i gorsecik.

— Stroje ludowe — zdumiała się Stella. — On jest naprawdę szalony. — Zamknęła drzwi i pociągnęła za zamek jednoczęściowego kombinezonu ze złotej dzianiny. Pod spodem nie miała nic. Z uśmiechem przyjęła wielbiące spojrzenie George'a.

Kiedy wszyscy ponownie zeszli się w hallu, jedna Stella wyglądała dobrze w swoim przebraniu. Pośród panów Hagbard bodaj czuł się najlepiej w tyrolskich spodenkach — kto wie, czy nie dlatego jego wybór padł na ten właśnie strój. Gidiowaty Harry wyglądał w swoim kostiumie śmiesznie

65

i niezdarnie, szczyrzył jednak wystające zęby w gorliwym uśmiechu.

George rozejrzał się wokół.

— Gdzie Mavis? — spytał Hagbarda.

— Nie przyjechała z nami. Pilnuje dobytku. — Władczym gestem uniósł dłoń. — W drogę do Schlosskeller.

Na zamku ingolstackim, średniowiecznej warowni wzniesionej na wzgórzu, w dawnych lochach więziennych czy piwnicach książęcych, bądź kombinacji jednego z drugim, mieściła się luksusowa restauracja. Hagbard zarezerwował na wieczór całą piwnicę.

— Tutaj — oświadczył — wypoczniemy, zabawimy się i przygotujemy na jutrzejszy dzień. Wydawał się podekscytowany, niemal nadpobudliwy. Zajął poczesne miejsce przy wielkim stole, siadając na rzeźbionym, ciemnym krześle, które przypominało fotel biskupa. Za jego plecami wisiał słynny obraz przedstawiający bosego Henryka IV, władcę Świętego Cesarstwa Rzymu, pośród śniegów Canossy, z tym jednak, że jedną ze stóp wsparł na karku Grzegorza Wielkiego, który leżał bezsilnie, ze zrzuconą tiarą, kryjąc zhańbioną twarz w śnieżnej zaspie.

— Wieść głosi, że obraz powstał na zamówienie bawarskiego błazna, Dyla Sowizdrzała, kiedy ten był u szczytu powodzenia — poinformował Hagbard. — Później, kiedy był stary i bez grosza, został powieszony za anarchistyczne poglądy i wulgarne bawarskie poczucie humoru. Tak to już jest.

W PURPUROWYCH SZARAWARACH

(— Tutaj jest! — szepce z napięciem Markoff Chaney. Saul i Barney wyciągają szyję w stronę majaczącej w oddali sylwetki. Metr siedemdziesiąt, wycenia Saul na oko, Carmel miał metr pięćdziesiąt pięć, jeżeli wierzyć danym, które rąbnęli z kartoteki komisariatu w Las Vegas... Kto wobec tego mógł się jeszcze tam zaplatać z dala od wyznaczonych szlaków turystycznych? Dłonie Saula wędrują w stronę pistoletu, jednak postać odwraca się zniemacka, mignawszy własną spluwą.

— Stać, nie ruszać się z miejsca! — wrzeszczy.)

66

W PURPUROWYCH SZARAWARACH

— Chryste — krzywi się Saul z niesmakiem. — Hail Eris, przyjacielu, jesteśmy po tej samej stronie. — Unosi puste dłonie. — Jestem Saul Goodman, a to jest Barney Muldoon, obaj do niedawna w policji nowojorskiej. To nasz przyjaciel Markoff Chaney, człowiek wielkiej wyobraźni, a zarazem prawdziwy sługa Bogini. Poza tym: hail Discordia, Dwadzieścia Trzy Skidoo, Kallisti, a może jeszcze potrzebuje pan jakichś haseł, panie Sullivan?

— Rany — osłupiał Markoff Chaney. — Chcesz powiedzieć, że to naprawdę jest John Dillinger?

W PURPUROWYCH SZARAWARACH JEDZIE JUŻ (Rhoda Chief, wokalistka i początkująca czarownica, skosztowała trochę Kool-Aidu własnego wyrobu późnym popołudniem. Do śmierci miała przysięgać, że podczas *Walpurgisnacht* w Ingolstadt na wodach jeziora Totenkopf zmaterializował się olbrzymi wąż morski. Wąż, twierdziła, zwinął się w precel, wziął do paszczy własny ogon i zaczął

kurczyć się aż do całkowitego zaniku, emitując przy tym dobre wibracje i wybuchy Astralnej Światłości.)

Kiedy Dyskordianie usadowili się przy wielkim stole, zostało sporo wolnych miejsc. Hagbardowi wyraźnie nie paliło się z zamawianiem obiadu, stawał natomiast niezliczone kolejki miejscowego piwa, naszykowanego w wielkich ilościach na użytek tłumnej klienteli festiwalu rockowego. George, Stella i Harry Coin siedzieli razem niedaleko Hagbarda, George z Harrym toczyli naukową dysputę na temat sodomii przeplataną długimi chwilami namysłu połączonego z solidnymi haustami piwa. Hagbard stawał w takim tempie, że George, żeby nadażyć, musiał obalać jeden kufel w minutę czy dwie. Zaczęli schodzić się goście zajmując wolne miejsca. George wymienił uścisk dłoni z mężczyzną około trzydziestki, który przedstawił się jako Simon Moon. Towarzyszyła mu czarująca czarnoskóra kobieta, niejaka Mary Lou Servix. Simon natychmiast zaczął opowiadać na lewo i prawo o fantastycznej książce, którą czytał lecąc do Ingolstadt. George z początku zaciekał się, jednak

67

stracił zainteresowanie, kiedy dowiedział się, że chodzi o *Te-lemach kichnął* autorstwa Atlanty Hope. Nie rozumiał, jak można traktować serio podobny bzdet.

Mniej więcej w chwili, gdy George dosuszał dziesiąty kufel słynnego ingolstackiego piwka i był już nieźle wstawiony, w jego pole widzenia wpłynął mężczyzna o dziwnie znajomych rysach. Mężczyzna, siwy, przycięty na jeża, nosił brązowy garnitur i okulary w rogowej oprawie.

— George! — zdumiał się.

— Tak, to ja, Joe — potwierdził George. — Jasne, że to ja. A to ty, Joe, prawda? — Odwrócił się do Harry'ego Coina. — To ten gość, który wysłał mnie do Mad Dog na przeszpiegi.

Harry zarżał.

— Rany Boskie, co się z tobą działo, George? — Joe wyglądał na lekko spietranego.

— Wiele rzeczy — odparł George. — Ile lat upłynęło, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni?

— Lat? To było siedem dni temu, George. Widziałem cię przed twoim odlotem do Teksasu. Co przez ten czas porabiałeś?

— Nie grałeś ze mną uczciwie, Joe. — George pokiwał palcem. — Nie byłoby cię tutaj, gdybyś nie wiedział o wiele więcej, niż udawałeś, wysyłając mnie do Mad Dog. Może stary pocziwy Hagbard będzie ci umiał powiedzieć, co porabiałem. Stary pocziwy Hagbard właśnie się nam przygląda ze swojego końca stołu. Co powiesz, Hagbardzie? Znaie się ze starym, pocziwym Joe?

Hagbard uniósł wielki, ozdobny kufel, którym kierownictwo Schlosskeller uczciło go jako honorowego gościa. Kufel zdobiły wymyślne płaskorzeźby przedstawiające pogańskie sceny, w których tłuste satyry goniły pulchne nimfy po kniei.

— Jak się miewasz, Malik? — spytał Hagbard.

— Znakomicie, Hagbardzie, znakomicie — odparł Joe.

— Uratujemy ziemię, nieprawdaz, Joe? — wrzasnął Hagbard. — Uratujemy ziemię, tak czy nie?

— Nasz ratunek w Panu — oznajmił George. Zaczął śpiewać:

68

Pokój niepojęty nawiedził

Serce me

Serce me

Serce me

Pokój niepojęty nawiedził

Serce me

Serce me — na — wieki!

Hagbard i Stella ze śmiechem nagrodzili go oklaskami.

— Ech, te lata — wymamrotał Harry Coin, kręcąc głową. — Stare, dobre lata.

Joe odstąpił parę kroków od George'a, tak że widział twarz Hagbarda po drugiej stronie stołu.

— Uratujemy ziemię, co chcesz przez to powiedzieć? Hagbard z półotwartymi ustami zmierzył go wzrokiem półgłówka.

— Skoro tego nie wiesz, to po co się tu pchasz?

— Wiem, że uratujemy ziemię, ale czy uratujemy ludzi?

— Jakich ludzi?

— Ludzi, którzy mieszkają na ziemi.

— A, tych ludzi — zgodził się Hagbard. — Jasne, jasne, uratujemy co do jednego.

— To najgłupsza rozmowa, jaką w życiu słyszałam — nachmurzyła się Stella.

— Stello, skarbie, może byś wróciła na pokład „Leifa Ericssona”? — zniecierpliwił się Hagbard.

— Wiesz co, pieprz się, Lolek. — Stella porwała się do wyjścia, zamiatając ludową spódniczką.

W tej samej chwili mały człowieczek o wyłupiastych oczach klepnął Joe po ramieniu.

— Siadaj, Joe. Napij się. Usiądź ze mną i z George'em.

— Widziałem cię już gdzieś — zastanowił się Joe.

— Niewykluczone. Siadaj. Chłapnijmy trochę tego pysznego, bawarskiego browarku. Bardzo przyzwoity wyrób. Próbowalesz już kiedyś? Kelnerka! — Przybyły niecierpliwie pstryknął palcami, nie spuszczać z Joe swoich oczu wyzie-

69

rających zza szkieł grubości dna kufla. Joe dał się zaprowadzić na miejsce.

— Wyglądasz zupełnie jak Jean-Paul Sartre — oświadczył, siadając. — Zawsze chciałem poznać Jean-Paul Sartre'a.

— Niestety, muszę cię rozczarować, Joe — odparł mężczyzna. — Włóż mi rękę w bok.

— Mai, stary! — wykrzyknął Joe, usiłując uścisnąć zjawę, wskutek czego wyładował w objęciach George'a. Zbara-niał, potem potrząsnął głową. — Co za radość widzieć cię tutaj — podjął. — Czemu jednak robisz za Jean-Paul Sartre'a, zamiast za tego kudłatego taryfiarza?

— To dobry kamuflaż — odparł Malaklipsa. — Ludzie spodziewają się, że Jean-Paul Sartre przybędzie skomentować z egzystencjalnego punktu widzenia największy festiwal rockowy świata. Zresztą, jesteśmy w kraju Lon Chaneya Jr. i na widok pokrytej futrem twarzy Sylvana Martiseta motłoch z pochodniami ruszyłyby w miasto, żeby mnie dopaść.

— Widziałem dzisiaj kudłatego szofera — wtrącił Geor-ge. — Myślicie, że to mógł być Lon Chaney Jr.?

— Spokojna głowa, George — odparł Malaklipsa z uśmiechem. — Kudłacze są po naszej stronie.

— Naprawdę? — zainteresował się Joe. Rozejrzał się dookoła. Hagbard Celinę był najbardziej włochatym z biesiadników. Palce, dłonie i nagie ramiona porastały mu czarne kudły. Szczecina zarostu zakrywała policzki pod same oczy. Włosy nie kończyły się na karku, lecz rosły dalej, znikając pod kołnierzykiem. Ten facet nago musi wyglądać jak niedźwiedzia skóra, pomyślał Joe. Wiele osób przy stole nosiło długie włosy bądź afro, mężczyźni mieli wąsy i brody. Joe przypomniał sobie włochate pachy panny Mao. Chłopskie bluzeczki zgromadzonych w lokalu pań nie pozwalały na przestudiowanie pach. George, naturalnie, miał te długie do ramion blond włosy, które mu nadawały wygląd giottowskiego anioła. A ja? — zadumał się Joe. Wcale nie jestem kudłaty. Noszę włosy na jeża, bo tak mi pasuje. W jakim to świetle stawia mnie?

70

— Co za różnica, czy ktoś ma włosy czy nie? — spytał Malaklipsy.

— Włosy to w społeczeństwie najważniejsza rzecz — włączył się George. — Stale próbuję ci to wyjaśnić, Joe, ale mnie nigdy nie słuchasz. Włosy to wszystko.

— W obecnych czasach włosy w społeczeństwie są symbolem — oświadczył Malaklipsa. — Istnieje jednak pewien realny aspekt włosów, który pozwala mi rozejrzawszy się po tej sali stwierdzić, że wielu z obecnych jest wrogami Ilumi-natów. Jak wiesz, swego czasu cała ludzkość była porośnięta sierścią.

— Widziałem w kinie — przytaknął Joe.

— Ach tak, pewnie widziałeś *Gdy Atlantyda władała Ziemią* — domyślił się Malaklipsa. — Tak więc, jak pewnie pamiętasz, brak włosów był osobliwością Gruada. Większość ludzi, którym Iluminaci pozwolili żyć — by następnie reedukować ich w iluminackim duchu — została poślubiona lub zgwałcona przez potomków Gruada. Ale gen odpowiedzialny za sierść, obecny w garniturze genetycznym wszystkich ludzi przed kataklizmem, nie zaginął. Występuje dość często u wrogów Iluminatów. Osobiście przypuszczam, że śledząc rodowód EWF, Dyskordian i PSM-owców dokopalibyśmy się do atlantydzkich korzeni, w których kołaczą się szczątki genów przeciwników Gruada. Skłonny jestem wierzyć, że osoby kudłate, w których garniturze dominują geny innych niż Gruad Atlantydów, przejawiają wrodzoną predyspozycję do działalności antyiluminac-kiej. I na odwrót, ludzie walczący z Iluminatami wykazują skłonność do bujnych fryzur. Wszystko razem dało początek legendom o wilkołakach, wampirach, wszelkiej maści ludzkich bestiach, straszliwym człowieku śniegu i włochatych demonach. Zwróć uwagę na sukces iluminackiej kampanii propagandowej, której celem jest przedstawianie kosmatych istot tego rodzaju jako występnych i groźnych. Słabość do kudłów jako symptom antyiluminatyzmu wyjaśnia również, dlaczego bujne

czupryny stanowią wspólny atrybut bohemy, beatników, osobników lewicujących, naukowców, artystów i hippisów. Wyżej

71

wymienieni stanowią potencjalny narybek dla organizacji anty-iluminackich.

— Chwilami odnoszę wrażenie, że Iluminaci to jedyne zagrożenie na kuli ziemskiej — wyznał Joe. — Czy przeciwnicy Iluminatów nie mogą okazać się równie niebezpieczni?

— Zaiste, tak — zgodził się Malaklipsa. — Dobro i zło to dwa końce tej samej drogi. Ale droga została wytyczona przez Iluminatów. Jak dobrze wiesz; wpajanie masom etyki chrześcijańskiej było im szalenie na rękę. Pamiętasz Jana Wine?

Joe przypomniał sobie swoje słowa skierowane przed paru laty do szeryfa Jima Cartwrighta: *Czasami mam wrażenie, że cokolwiek by człowiek zrobił, zawsze gra do ich bramki.* Wtedy bynajmniej tak nie sądził, teraz jednak zdał sobie sprawę, że zapewne się nie mylił. Kto wie, czy nie jest narzędziem w dłoniach Iluminatów właśnie teraz, kiedy sądzi, że ratuje rasę ludzką? Podobnie zresztą Celinę mógł być wykonawcą ich woli, tkwiąc w przeświadczeniu, że ratuje Ziemię.

— Gdzie poznałeś szeryfa Jima, Joe? — spytał George, uśmiechając się z mglistym spojrzeniem.

— Że co? — Joe wytrzeszczył oczy.

— Właśnie brak uwłosienia wywoływał u Gruada i jego potomnych taką słabość do gadów — wyjaśnił Malaklipsa, poprawiając grube szkła. — Czują z nimi głębokie pokrewieństwo. Jednym z ich symboli był wąż polykający własny ogon, nawiązujący zarówno do Wężowych Asasynów Gruada, jak i pozostałych eksperymentów nad formą gadzią.

— Od mitów o węzach roi się pod każdą szerokością — przytaknął Joe; nadal był wstrząśnięty pytaniem George'a, wołał się jednak w to nie zagłębiać.

— Ich autorstwo należy przypisać Gruadowi — oświadczył Malaklipsa. — Symbol węża i katastrofa Atlantydy zrodziły mit o Adamie i Ewie, którzy ulegając namowom węża skończyli marnie, ponieważ zaczęli odróżniać dobro od zła. Podobnie Atlantyda upadek swój zawdzięczała moralistycznej ideologii Gruada-herpetologa. Dalej mamy stary nordycki mit o Kosmicznym Wężu, który trzymając ogon w pysku podtrzy-

72

muje istnienie Wszechświata. Iluminacki symbol węża zrodził również laskę Mojżesza, pierzastego węża Azteków i ich legendy o orle pożerającym węża, kaduceusz Merkurego, wygnanie węży z Irlandii przez św. Patryka, bałtyckie klechdy o królu--wężu, legendy o smokach i potworze strzegącym baśniowych bogactw na dnie Renu, potwora z Loch Ness i całe mnóstwo innych historii sugerujących związki węży z mocami nadprzyrodzonymi. W samej rzeczy imię „Gruad” pochodzi od atlan-tydzkiego słowa, tłumaczonego, zależnie od kontekstu, jako „smok”, „wąż” bądź „glista”.

— Z tego, co wiem, Gruad łączył w sobie cechy jednego, drugiego i trzeciego — zauważył Joe.

— Widziałem dzisiaj potwora z Loch Ness — wtrącił George. — Hagbard zaskoczył mnie, mówiąc o nim „ona”. O węzach natomiast pierwsze słyszę. Myślałem, że symbolem Iluminatów jest oko w piramidzie.

— Wielkie Oko jest ich głównym symbolem — wyjaśnił Malaklipsa — ale nie jedynym. Innym takim symbolem jest Różo-Krzyż. Najczęściej jednak rozpowszechniany jest symbol węża. Oko w piramidzie i węża najczęściej widuje się razem. W tej kombinacji symbolizują morskiego potwora Lewiatana, którego macki rysuje się jako węże, a środek tułowia jako piramidę z okiem. Bardzo skromnie, zważywszy na to, że każda z macek Lewiatana rzekomo ma być obdarzona osobnym mózgiem. Swastyka, symbol dość popularny w tych stronach parę dziesiątków lat temu, pierwotnie była stylizowanym przedstawieniem Lewiatana z jego licznymi odnóżami. Wcześniejsze wersje mają więcej niż cztery haczyki, zdarza się też, że w centrum mają trójkąt, a nawet trójkąt i oko. Często spotykaną formą przejściową jest trójkąt o przedłużonych bokach, które zaginają się haczykowato, imitując macki. Każdemu z trzech rogów odpowiadają dwie macki, co sugeruje liczbę dwadzieścia trzy. Polscy archeolodzy odkryli swastykę w jaskini. Rysunek pochodził z okresu kromaniańskiego, tuż po upadku Atlantydy, i składał się z dwudziestu trzech macek wirujących wokół precyzyjnej piramidy z ochrowym okiem w centrum.

73

George wstrzymał oddech. Na salę wkroczyła Mavis. Zamiast zarządzanej przez Hagbarda ludowej spódniczki miała na sobie coś w rodzaju tyrolskich miniszortów, podkasane, obcisłe spodenki, które bajecznie wydłużały jej nogi oraz uwypuklały krągłość zadka.

— Ależ klasa kobieta — zachwycił się Joe.

— Nie znasz jej? — zdziwił się George. — Jeden do zera dla mnie. Zaraz ją zresztą poznasz.

Podeszła do nich.

— Mavis, poznaj Joe Malika, tego samego, który wpakował mnie do celi, z której mnie wyrwałaś.

— Lekka przesada — zaprotestował Joe, z uśmiechem ujmując dłonie Mavis — faktycznie jednak to ja wysłałem go do Mad Dog.

— Przepraszam bardzo — ucięła Mavis. — Chciałam porozmawiać z Hagbardem. — Wyswobodziła dłoń i odmaszerowała. Joe i George osłupieli. Malaklipsa uśmiechnął się tylko.

Dokładnie w tej samej chwili na salę wkroczył wysoki czarnoskóry mężczyzna o surowym wyglądzie. On również miał na sobie bawarski strój ludowy. Podeszedł do Hagbarda i wymienił z nim uścisk dłoni.

— Hej, oto i Otto Waterhouse, niesławny gliniarz zabójca oraz zabójca gliniarzy! — ryknął Hagbard, pociągając haust piwka ze swojego kufła-giganta. Waterhouse przez chwilę zdawał się urażony, w końcu jednak usiadł, lustrując lokal przez szczeliny powiek.

— Gdzie moja Stella? — spytał burkliwie. George nastroszył się. Wiedział, że nie ma prawa wyłączności do Stelli. Ale ten gość też takiego prawa nie miał. Prawo wyłącznej własności było chyba jedynym rodzajem więzi seksualnej nie praktykowanej przez Dyskordian i ich sympatyków. Kochali się miłością plemienną, wszechogarniającą, która nie stawiała barier sypianiu kogokolwiek z kimkolwiek. Nieżyczliwy obserwator mógłby to nazwać „rozwiązłością”, słowo to jednak, w odczuciu George'a, oznaczało wykorzystywanie cudzego ciała bez uczuć, w celach seksualnych. Tymczasem Dyskordianie byli

74

zbyt sobie bliscy, zbyt się troszczyli nawzajem o siebie jak bliźni o bliźniego, by słowo „rozwiązłość” miało jakiegokolwiek zastosowanie do ich życia erotycznego. George w każdym razie kochał ich bez wyjątku: Hagbarda, Mavis, Stellę, innych Dyskordian, Joe, nawet Harry'ego Coina, być może nawet Ottona Waterhouse'a, który dopiero co się zjawił.

— Stella zeszła do łodzi, Otto. Wróci w stosownym czasie — wyjaśniła Mavis.

Hagbard porwał się nagle z miejsca.

— Cisza! — ryknął. W zadymionej piwnicy zapadła cisza. Wszyscy z zaciekawieniem wlepili w niego spojrzenia.

— Jesteśmy w komplecie, więc postanowiłem zawiadomić was o czymś — oświadczył. — Chciałbym, żebyście wypili ze mną wszyscy z okazji zapowiedzi.

— Zapowiedzi? — spytał ktoś z niedowierzaniem.

— Stulić pieprzone pyski — wycedził Hagbard. — Teraz ja mówię i jeśli ktoś mi znowu przerwie, wykopię go za drzwi. Owszem, mówię o zapowiedziach. Będzie ślub. Pojutrze, kiedy Eschaton zostanie zimmanentyzowany i nasza misja dobiegnie końca — kufle w górę — Mavis i ja zostaniemy na pokładzie „Leifa Ericssona” połączeni węzłem małżeńskim przez pannę Portinari.

George zamarł na chwilę. Wgapiiony w Hagbarda trawił jego słowa. Przeniósł wzrok z Hagbarda na Mavis i lzy zaczęły gromadzić się w jego oczach. Wstał wznosząc kufel.

— Twoje zdrowie, Hagbard! — powiedział, po czym zamachnął się i nie uroniwszy ani kropli piwa cisnął pełnym kuflem w głowę Hagbarda. Hagbard rycząc ze śmiechu przesunął się od niechcenia, jakby w ogóle nie robił uniku. Kufel rąbnął w głowę cesarza Henryka IV. Malowidło musiało zostać wykonane na solidnej desce, gdyż kufel roztrzaskał się w drobny mak, nie zostawiając najmniejszej rysy. Kelner podskoczył zetrzeć piwo, obrzucając George'a spojrzeniem pełnym nagany.

— Bardzo mi przykro — zakpił George. — Nie cierpię niszczyć dzieł sztuki. Nie powinieś był uchylać głowy, Hag-bardzie. Byłaby mniejsza strata. — Nabrał głęboko powietrza

75

i ryknął: — Wszetecznicy! Wszetecznicy, dopadnie was gniew boży! Jesteście marne czerwie w rękach Pana! — Wyciągnął przed siebie dłoń zwróconą grzbietem w dół. — Pan spuści was w piekielne otchłanie! — Odwrócił dłoń grzbietem do góry. Zorientowawszy się nagle, że wszyscy na sali gapią się na niego w milczeniu, zemdlął osuwając się w objęcia Joe Malika.

— Pięknie — powiedział Hagbard. — Ślicznie.

— Czy to miałeś na myśli zapowiadając, że mu odbierzesz kobietę? — spytał gniewnie Joe opuszczając George'a na krzesło. — Jesteś sadystycznym złamusem.

— To dopiero krok wstępny — oświadczył Hagbard. — Jak już wspomniałem, tylko tymczasowo. Widziałeś, jak ciskał tym kuflem? Idealnie celny rzut. Rozwaliłby mi łeb, gdybym się nie wykazał refleksem.

— Dobrze by zrobił — skwitował Joe. — Chcesz powiedzieć, że wasz ślub z Mavis to bujda? Mówiłeś tak tylko po to, żeby wkurzyć George'a?

— Absolutnie nie — włączyła się Mavis. — Hagbard i ja mamy już dosyć kawalerskich przygód. Poza tym nie ma na świecie mężczyzny, którego system wartości tak bez reszty pokrywałby się z moim. On mi wystarczy za wszystkich. — Na potwierdzenie prawdziwości tych słów rzuciła się na kolana i ucałowała włochaty grzbiet lewej stopy Hagbarda.

— Nowa doktryna okultystyczna! — wykrzyknął Simon. — Ścieżka Lewej Nogi.

Joe, zażenowany gestem Mavis, odwrócił wzrok, jednak nagła myśl kazała mu ponownie zerknąć w jej stronę. Scena wzbudziła w nim jakieś wspomnienia — przeszłe czy może przyszłe?

— Co tu gadać? — wyszczerzył zęby Hagbard. — Kocham ją.

Napłynęły kolejne półmiski.

— Hagbard, nie zalewasz z tą całą boginią Eris? Naprawdę pojawi się tu dzisiaj, prawdziwa i namacalna jak ty czyja? — spytał Harry Coin, przysuwając się do Celine'a.

76

— Wciąż jeszcze wątpisz? — zagadnął wyniośle Hagbard. — Zobaczysz Naszą Panią tak, jak mnie widzisz. — Władczo machnął ręką.

Jemu faktycznie odjechało, pomyślał Joe.

— Dziękuję, nie będę więcej jadł — powiedział, skinieniem dłoni odprawiając kelnera.

Hagbard podслуchał go.

— Jedz! — ryknął. — Jedz, pij i wesel się. Kto wie, czy nie widzisz mnie po raz ostatni, Joe. Ktoś przy tym stole zdradzi mnie, czyżbyś o tym nie wiedział?

Dwie myśli zderzyły się w mózgu Joe: *Wie wszystko; jest Magiem* oraz *Myśli, że jest Jezusem; szajba mu odbiła*. Na co ocknął się George Dorn.

— Jezu, Hagbard, nie dam rady wziąć kwasu — powiedział.

— *Morgenheutegesternwelt* — zaśmiał się Hagbard. — Wyprzedziłeś scenariusz, George. Jeszcze nie zacząłem rozdawać kwasu. — Wyjął z kieszeni flakonik i wysypał garść kapsułek.

I wtedy, Joe wyraźnie to usłyszał, kur zapiał.

Zakaz ruchu kołowego obowiązywał w promieniu dziesięciu mil od podium festiwalowego wszystkich z wyjątkiem pojazdów służb porządkowych, wozów wykonawców i ich ekip oraz organizatorów festiwalu. Hagbard, George, Harry Coin, Otto Waterhouse i Joe przepychali się przez skłębiony tłum młodych ludzi. Wyminął ich volkswagen minibus, wiozący Clarka Kenta i Jego Supermanów. Za mikrobusem, torując sobie drogę pośród wiwatujących dzieciaków, sunął z wolna wielki, czarny mercedes rocznik 1930 w otoczeniu eskadry odzianych w białe kombinezony motocyklistów, których zadaniem było trzymać rozszalałych fanów na dystans. Joe z podziwem potrząsnął głową na widok lśniących rur dopalacza, połysku ręcznie polerowanego lakieru, szprych w kołach. Składany dach samochodu był zamknięty, ale przez okno mignęło kilka jasnowłosych głów przyszyżonych na jeża. Do szyby przywarła nagle twarz blondynki, patrząc spojrzeniem bez wyrazu.

77

— Ci w mercedesie to Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne — wyjaśnił George.

— Słuchajta — odezwał się Harry Coin — a jakby tak wrzucić im bombę do wozu i załatwić ich tutaj na miejscu?

— Zabiłbyś przy okazji sporo innych osób i zostawił zbyt wiele spraw niedokończonych — odparł Hagbard, patrząc w ślad za mercedesem, który powoli oddalał się drogą. — Ładna zabawka. Dawniej własność feldmarszałka Gerda von Rundstedta, jednego z najzdolniejszych generałów Hitlera.

Za mercedesem sunął czarny, kobylasty autokar ze sprzętem ASM. Wyminął ich i gładko potoczył się dalej.

BIERZMY SIĘ ZARZYNAĆ KURA

BIERZMY SIĘ ZARZYNAĆ KURA

Korpus Elitarny uważano powszechnie za najbardziej ezoteryczną z eksperymentalnych grup rockowych; stąd też grono ich wielbicieli, jakkolwiek fanatyczne, było dość szczupłe.

— Zgoda, mają czad — mawiała większość młodych fanów — ale, czy to jest rock? — To samo pytanie, sformułowane nieco taktowniej, często zadawano im w wywiadach, na co lider grupy, Peter „Pall” Mail, odpowiadał nieodmiennie: „Owszem, to jest rock”, po czym dodawał ze śmiertelną powagą: „rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci od narodzin Jezusa Chrystusa”. Następnie zaczynał się chichrac, ponieważ podczas wywiadów zwykle był napalony. Reporterzy działali mu na nerwy. Nad wystąpieniem festiwalowym Korpusu faktycznie pobrzmiwały religijne tony, słuchacze zaś żalili się głównie na niezrozumiałość pieśni towarzyszących szczególnie pangalaktycznym brzmieniom. Pieśni były skomponowane według enochiańskich gam, które odkrył dr John Dee rozszyfrowując akrostychy *Necronomiconu*, najsłynniejszymi ze współczesnych, którzy je stosowali,

byli poeta Aleister Crowley oraz Wielebny Anton Lavey z Pierwszego Kościoła Szatana w San Francisco. Wieczorem 30 kwietnia Korpus Elitarny dokonał rytualnej ofiary z koguta w pentagramie (nim poderżnięto mu gardło, kogut wydał ostatnie, rozpaczliwe pienie), inwokowano Imiona Bestii, następnie wszyscy zarzucili po drażetce meska-

78

liny i wyruszyli na pole festiwalowe gotowi odpakować wibracje, od których nawet Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Medycznemu oko zbieleje.

BIERZMY SIĘ ZARZYNAĆ KURA BO JEDZIE JUŻ

— Widziałem przed chwilą Hagbarda Celine'a — oznajmił Winifred Saure.

— Naturalnie wlecze za sobą ogon pupilek i zakochanych w nim pedziów — orzekł Wilhelm Saure. — Musimy liczyć się z walką na śmierć i życie.

— Ciekaw jestem, jakie ma plany — oświadczył Werner Saure.

— Żadne — zawyrokował Wolfgang Saure. — Moim zdaniem on nie ma żadnych planów. Wiem, jak pracuje jego umysł — ma we łbie pełno ckliwego orientalnego mistycyzmu. Będzie polegał na podszeptach swojej intuicji. Ma nadzieję, że w ten sposób nie będziemy w stanie przejrzeć jego zamiarów, jako że sam nie ma pojęcia, co będzie robił. Myli się jednak. Jego pole działania jest drastycznie ograniczone i nie będzie nam w stanie przeszkodzić.

Najpierw zza czarno-zielonych wierzchołków świerków wyłoniły się wieże. Wyglądały jak wieże strażnicze w więzieniu, choć znajdujący się na nich mężczyźni nie byli uzbrojeni, a ich głównym zadaniem była obsługa jupiterów i nagłośnienia. Droga zakreśliła i szli teraz wzdłuż wysokiego na sześć metrów ogrodzenia. Równolegle, w odległości dziesięciu metrów, biegło wewnętrzne ogrodzenie podobnej wysokości. Za ogrodzeniem ciągnęły się pokryte świeżą zielenią wzgórza. Organizatorzy festiwalu wycięli i sprzedali wszystkie drzewa na wzgórzach w obrębie ogrodzenia, usunęli pnie za pomocą koparek, a łachy gołej ziemi załatali darnią. Już teraz zieleń była miejscami niewidoczna spod zgromadzonych tłumów. Namioty wyrastały jak grzyby po deszczu, w powietrzu łopotały flagi. Przenośne kibelki, dla łatwiejszej lokalizacji pomalowane na odbłaskowy oranż, rozstawiono w równych odstępach. Nad wzgórzami unosił się potężny gwar rozmów, pokrzykiwań, śpiewu i muzyki. Za wzgórzami, za centralnym wzgórzem, na

79

którym wzniesiono scenę, marszczyły się i falowały atramentowe wody jeziora Totenkopf. Nawet od strony jeziora tereny festiwalowe były chronione wieżami i zasiekami.

— Cholernie musi im zależeć, żeby nikt nie wszedł na gapę

— skomentował Joe.

— Fakt, oni naprawdę wiedzą, jak się stawia takie miejsca

— przyznał Otto Waterhouse.

— Co powiesz Otto, czyżbyś był antyniemieckim rasistą?

— zaśmiał się Hagbard.

— Miałem na myśli Białych. W Stanach też są takie miejsca. Sam oglądałem parę.

— Ja też, ale nigdy z geometryczną kopułą — stwierdził George. — Popatrzcie, jaka kolubryna. Ciekawe, co jest w środku.

— Czytałem, że Kabouters mają stawiać kopułę — powiedział Joe. — Punkt Pierwszej Pomocy, Kiepskiego Odlotu czy czegoś w tym rodzaju.

— Może w środku słucha się muzyki — rozważał Harry Coin. — To kurewstwo jest takie wielkie, że ledwie widać ludzi na scenie, a co dopiero słyszeć.

— Chyba nie widziałeś ich głośników — uspokoił go Hagbard. — Jak muzycy dołożą, będzie słyszeć stąd do Monachium.

Doszli do bramy. Nad bramą, po łuku, biegł czerwonym gotykiem napis: EWIGE BLUMENKRAFT UND EWIGE SCHLANGEKRAFT.

— Widzicie? — zwrócił uwagę Hagbard. — Jak na dłoni. Każdy, kto to rozumie, będzie wiedział, że wybiła godzina. Nie muszą się już ukrywać.

— Zawsze to lepiej niż gdyby pisali *Arbeit macht frei* — skonstatował Joe.

Hagbard rozdał swojej grupie pomarańczowe, tygodniowe karnety, bramkarz w czarnym uniformie przedziurkował je sprawnie i oddał im z powrotem. Byli na Festiwalu Ingolstac-kim. W chwili, gdy słońce zachodziło po drugiej stronie jeziora Totenkopf, Hagbard i jego rekruci wspięli się na wzgórze. Wiel-

80

ki znak nad sceną głosił, że aktualnie gra Lokalny Protest z Oklahomy, a z głośników grzmiał stary przebój grupy: „Ustawa Custer”.

Za sceną czterech członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego stało samotnie oglądając zachód słońca. Mieli na sobie czarne odblaskowe spodnie i tuniki. Członkowie innych zespołów rozmawiali ze sobą, wiele grup z radością korzystało z okazji, żeby się poznać. Gawędzono nawet przyjaźnie z garstką odważnych małolatów, którym udało się przemknąć przez strażę i zakraść na tyły sceny. Jedynie od Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego służby w białych garniturach trzymały z dala fanów i inne zespoły. Nikt nie wątpił, że przywilej ten w pełni im przysługuje. Co by nie mówić, cieszyli się powszechnie sławą największej grupy rockowej świata. Ich płyty były rekordy sprzedaży. Ich tournee przyciągały widownię, przy której publika Beatlesów wyglądała jak garstka żalonych niedobitków. Ich muzyka rozbrzmiewała wszędzie. Tak jak Beatlesi swego czasu uosabiali nową wolność lat 60., tak ASM ucieleśniało kwintesencję represyjnego ducha lat 70. Popularność zawdzięczali umiejętnemu wywoływaniu zgrozy. Przypominali swoim fanom o wszystkich nieszczęściach, jakie dotyczą ich na co dzień, tak więc słuchanie i oglądanie ASM było bolesne jak gmeranie w jątrzącej się ranie. Z kolei ich sugestie, by młodzi dopadli swoich ciemnych i dokonali zamiany ról, potrafiły w okamgnieniu zamienić cierpienie w rozkosz. Młodzi milionami ciągnęli na koncerty ASM nauczyć się czerpać rozkosz z cierpienia, na jakie skazywała ich młodość.

— Jak grzejnik na podczerwieni — powiedział Wolfgang. — W centrum jesteśmy my. Nasz przekaz zostaje wypromieniowany w amfiteatr rozedrganej świadomości młodych istot ludzkich. Nasze promieniowanie ulega stężonemu odbiciu i zostaje wyprojektowane w głąb jeziora — na głębokość mili. Promienie dosięgają zatopionej armii, która, nie cofajmy się przed tym słowem, powstaje z martwych.

— Jesteśmy o krok od tego, by zrealizować marzenie trzydziestu tysięcy lat — przypomniał Winifred. — Czy nam się

81

uda? Czy właśnie nam przypadnie w udziale zaszczyt dokończenia dzieła rozpoczętego przez wielkiego Gruada? A jeśli nie, to co się z nami stanie?

— Będziemy się smażyć w piekle przez całą wieczność — stwierdził rzeczowo Werner. — A ty co byś zaproponował dla nas, gdybyśmy zawiedli?

— Wieczności bać się będziemy musieli dopiero wtedy, kiedy do akcji wkroczy Pożeracz Dusz — oświadczył Wilhelm. — A on ciągle jest jeszcze więźniem Pentagonu.

— Zabraniam wspominać o klęsce — rzekł Wolfgang. — Klęska nie wchodzi w rachubę. Nasz plan nie ma słabych punktów.

— Z wyjątkiem ludzkich słabości — potrząsnął głową Winifred. — O czym ty, Wolfgangu, powinieneś najlepiej wiedzieć.

Zapadł zmierzch. W zacisznym miejscu między ogrodzeniem a trawiastym pagórkiem wyrósł wielki namiot ze złotogłowiu. Miejsce, położone najdalej jak się da od sceny i obłożone głównie przez Dyskordian zapewniało maksymalną dyskrecję. Hagbard wszedł do namiotu i został tam przez pewien czas. George i Joe rozmawiali na zewnątrz. George, który przypuszczał, że Hagbard zabawia się z Mavis, miał ochotę wpaść do środka i zatłuc sukinsyna. Joe, rozdrażniony do szaleństwa, podejrzewał, że Hagbard jest w namiocie z kobietą, zapewne z Mavis; zastanawiał się, czy by nie wpaść do środka i, korzystając z faktu, że wódz Dyskordian jest bardzo zajęty, nie dać mu w czapę. Rękę trzymał w kieszeni, zaciskając palce na niewielkim pistolecie.

Kołuję, kołuję...

Mniej więcej po półgodzinie z namiotu wyłonił się uśmiechnięty Hagbard.

— Właż — powiedział do Joe. — Jest tam dla ciebie robótka.

George co sił w palcach wczepił się w ramię Hagbarda, ale Hagbard miał mięśnie twarde jak skała; zdawał się niczego nie zauważać.

82

— Kto tam jest? — spytał groźnie George.

— Stella — odparł Hagbard, patrząc na scenę, na której grało właśnie Plastikowe Canoe.

— I waliłeś ją, tak? — chciał wiedzieć Joe. — Żeby uwolnić energię? A teraz ja mam ją walić, tak? A po mnie George? I cała reszta? Od takiej leworęcznej magii rzygać się chce.

— Wejść tylko do środka — odparł Hagbard — a zdziwisz się. Wcale nie pieprzyłem Stelli. W ogóle jej tam przez ten czas nie było.

— To kto tam był? — spytał George do reszty zbity z tropu.

— Moja matka — oznajmił promiennie Hagbard.

Joe odwrócił się w stronę namiotu. Po raz ostatni zaufa Celine'owi, ale później... Nagle jastrzębia twarz przysunęła się do niego.

— Wiem, co planujesz na później. Pośpiesz się z tym, jak możesz — szepnął Hagbard.

W PURPUROWYCH SZARAWARACH JEDZIE JUŻ 2 lutego Robert Putney Drake za pośrednictwem poczty otrzymał książkę. Adres zwrotny, jak zauważył, opiewał na Gold i Appel, Przeprowadzki, przy Canal Street, jedną z firm należących do tego zagadkowego typu, Celine'a, który mniej więcej od roku pojawiał się na najlepszych przyjęciach. Tytuł brzmiał: *Nigdy nie gwiżdź, kiedy sikasz*, a na pierwszej stronie widniała zamaszysta dedykacja: „Od autora z wyrazami szacunku”, podpisana olbrzymim półksiężycem litery C. Książka wydana została przez Green and Pleasant Publications, P.O. Box 359, Glencoe, Illinois 60022.

Drakę otworzył książkę i przeleciał parę stron. Zdumiał się, widząc, że autor wyciąga na światło dzienne niejednego sekret Iluminatów, co prawda w tonie wrogim i sarkastycznym. Przerzucił kartki w poszukiwaniu dalszych smacznych kąsków. Gdzieś w połowie książki natknął się na coś takiego:

83

DEFINICJE I ROZRÓŻNIENIA

WOLNY RYNEK: Organizacja społeczeństwa, w której wszelkie transakcje ekonomiczne są wynikiem wolnego wyboru i nie podlegają środkom przymusu.

PAŃSTWO: Instytucja ingerująca w Wolny Rynek poprzez stosowanie środków przymusu oraz politykę uprzywilejowania (wspieraną środkami przymusu).

PODATKI: Forma przymusu bądź ingerencji w Wolny Rynek, polegająca na ściąganiu haraczu (tzw. podatku) przez państwo; pieniądze te pozwalają państwu na wynajem sił zbrojnych stosujących przymus w interesach grup uprzywilejowanych, jak również na bezkarne angażowanie się w wojny, rozróbę, eksperymenty, „reformy” itp., nie na koszt własny, lecz na koszt „swoich” obywateli.

PRZYWILEJ: Z łacińskiego *privi*, prywatny, i *legē*, prawo. Korzyści zagwarantowane przez państwo i chronione za pomocą aparatury przymusu. Prawo na użytek prywatny.

LICHWA: Forma przywileju oraz ingerencja w Wolny Rynek polegająca na tym, że któraś z grup popieranych przez państwo monopolizuje system monetarny, dzięki czemu pobiera haracz (tzw. udziały), pośrednio lub bezpośrednio, z większości, o ile nie wszystkich, transakcji gospodarczych.

PRYWATNA WŁASNOŚĆ ZIEMSKA: Forma przywileju oraz ingerencja w Wolny Rynek, w której jedna z grup popieranych przez państwo „posiada” ziemię, co pozwala jej ściągać haracz (podatek) od osób zamieszkałych, pracujących i produkujących na tym terenie.

CŁA: Forma przywileju oraz ingerencji w Wolny Rynek, która nie dopuszcza równoprawnej konkurencji produktów wytwarzanych poza granicami państwa z produktami krajowymi.

KAPITALIZM: Typ organizacji społecznej opartej na podatkach, lichwie, prywatnej własności ziemskiej i cłach w sposób uniemożliwiający funkcjonowanie Wolnego Rynku, którego jest rzekomo wyrazicielem.

84

KONSERWATYZM: Szkoła myśli kapitalistycznej rzekomo na usługach Wolnego Rynku, w rzeczywistości chroniąca lichwę, prywatną własność ziemską, cła i podatki.

LIBERALIZM: Szkoła myśli kapitalistycznej dążąca do naprawienia błędów kapitalizmu przez dodanie nowych praw do praw już istniejących. Ilekroć konserwatystom uda się przeforsować kolejny przywilej na drodze prawa, liberałowie usiłują przepchnąć ustawę ograniczającą przywilej, co zmusza konserwatystów do precyzyjniejszego sformułowania prawa forsującego przywilej itd., w myśl zasady „wszystko, co nie jest zakazane, obowiązuje” oraz „wszystko, co nie obowiązuje, jest zakazane”.

SOCJALIZM: Dążenie do obalenia wszelkich przywilejów i przekazania władzy z powrotem w ręce chroniącego przywileje dysponenta aparatu przymusu, jakim jest państwo; oligarchia kapitalistyczna zostaje niniejszym zamieniona na monopolizm państwowy. Bielenie izby za pomocą czarnej farby.

ANARCHIZM: Taka organizacja społeczna, w której Wolny Rynek funkcjonuje swobodnie bez podatków, lichwy, prywatnej własności ziemskiej, ceł i innych form przymusu i przywileju. **ANARCHIŚCI PRAWICOWI** przewidują, że Wolny Rynek będzie spontanicznie wywoływał silniejsze tendencje do rywalizacji niż współpracy. **ANARCHIŚCI LEWICOWI** przewidują, że Wolny Rynek będzie spontanicznie wywoływał w ludziach silniejsze tendencje do współpracy, niż rywalizacji.

Drakę, po uszy zatopiony w lekturze, odwrócił kartkę. Trafił na raport antropologów dotyczący prymitywnego plemienia, o którym nigdy nie słyszał; wkrótce zorientował się, że ma do czynienia z satyryczną alegorią. Oderwał się na chwilę od książki i zadzwonił do sekretarki, prosząc, by połączyła go z firmą Gold&Appel, Przeprowadzki.

— G i A T. Panna Maris przy telefonie — rozległo się po chwili w słuchawce.

85

— Pan Drake chciałby mówić z panem Celinem — powiedziała sekretarka Drake'a.

— Pan Celinę udał się w długą podróż — odparła panna Maris — zostawił jednak wiadomość na wypadek, gdyby dzwonił pan Drake.

— Sam odbiorę — pośpiesznie włączył się Drake. Stuknęły widelki i sekretarka rozłączyła się.

— Pan Celinę wysze do pana w opowiednim czasie swojego wysłannika — oświadczyła panna Maris. — Powiedział, że rozpozna pan posłańca po tym, że będzie miał przy sobie dzieła sztuki pochodzące z epoki Gruada. Obawiam się, że to już wszystko, sir.

— Dziękuję — powiedział głucho Drake, odkładając słuchawkę. Metoda nie była mu obca; sam zastosował ją w rozgrywkach z syndykatem w 1936.

— Pieprzyłeś Stellę?

— Kto mówi, że pieprzyłem kogokolwiek?

Joe wszedł do środka. Namiot był suto udrapowany, niczym kwatery herszta Maurów. W jednym końcu wisiała półprzezroczysta zasłona, za którą, na stercie poduch, spoczywała postać. Jej skóra była biała, a więc Hagbard łgał twierdząc, że był ze Stellą. Joe postąpił naprzód i odsunął zasłonę.

Więc jednak Mavis, tak jak przypuszczał. Miała na sobie przezroczystry strój hurysy: przez purpurowe bolerko przebijały ciemne sutki, przez purpurowe szarawary widział wyraźnie bujny gąszcz włosów u styku jej nóg. Kutas napęczniał mu na myśl, że będą się kochać. Był jednak zdeterminowany zabarwić scenę rozterkami swojego umysłu.

— Po co tu jestem? — spytał, nadal nie wypuszczając zasłony i siląc się na nonszalancką pozę. Mavis uśmiechnęła się pod nosem; skinieniem dłoni wskazała poduszkę przy sobie. Zastosował się do polecenia, automatycznie lądując w pozycji półleżącej. Perfumy Mavis dyskretnie muskały jego nozdrza; poczuł rosnące napięcie w lędźwiach.

— Potrzebuję wszelkich dostępnych energii, żeby pokonać

86

Iluminatów — wyznała Mavis. — Pomóż mi, Joe. — Wyciągnęła do niego ramiona.

— Waliłaś się z Hagbardem? Nie gustuję w mokrej robocie. Z gniewnym warknięciem rzuciła się na niego. Ujęła jego

usta w wilgotne, obrzmiałe wargi i wsunęła mu jęzor do gardła, jednocześnie wciskając udo między jego nogi. Opadł na plecy i poddał się. Była po prostu kurewsko podniecająca. W mgnieniu oka poradziła sobie z rozporciem i ujęła w dłoń wyprężony, najarany, pulsujący kutas Joe. Zniżyła głowę i rytmicznie zaczęła go obciążać.

— Czekaj — zaniepokoił się Joe. — Zleję ci się do buzi. Tydzień już nie rypałem i nie panuję nad cynglem.

— No to mnie wyliz. Słyszałam, że jesteś w tym dobry. — Podniosła oczy z uśmiechem.

— Od kogo słyszałaś? — spytał.

— Od zaprzyjaźnionego księdza pedała — odparła ze śmiechem, rozsuplując troczki czerwonych szarawarów.

Zaczął harcować językiem między wargami cipy Mavis, upajając się gorzką, piźmową wonią jej gniazda. Na dzień dobry parę razy rzeczowo przejechał językiem góra-dół, góra-dół po lechtaczce. Po chwili poczuł, że ciało Mavis wypręża się. Teżęła z chwili na chwilę. Zakolebała miednicą. Zacisnął obie dłonie na jej biodrach, chłęcząc bez wytchnienia. Wreszcie wydała krótki skrzek, usiłując w całości wepchnąć mu wzgórek Wenery do ust.

— Teraz mnie wypieprz, już — zażądała i Joe, z opuszczonymi spodniami, w porzpinanej koszuli, wsadził jej. Ekspłodował kanonadą cudownych spazmów, po czym głowa opadła mu na poduszkę obok głowy Mavis. Pozwoliła mu odpocząć przez parę minut, następnie łagodnym szturchnięciem dała do zrozumienia, żeby się z niej zabrał. Odwróciła się na bok, patrząc mu w twarz.

— Jestem już wolny? — spytał. — Zrobiłem swoje? Uwolniłem te energie, czy co to tam miało być?

— Wyczuwam w tobie smutek i rozgoryczenie — skonstatowała. — Chciałabym, żebyś ze mną został jeszcze chwilę. Co cię gnębi?

87

— Wiele różnych rzeczy. Czuję się dość podle. George niewątpliwie jest w tobie zakochany, a wy z Hagbardem nabijacie się z niego. Hagbard też robi sobie ze mnie jaja. I oboje ewidentnie mnie wykorzystujecie. Ty wykorzystujesz mnie seksualnie, a Hagbarda też zaczynam podejrzewać o to, że wysługuje się mną w pewien sposób. Sądzę, że wiesz, o czym mówię.

— Nie wzięłaś kwasu, prawda? — spytała przyglądając mu się ze współczuciem.

— Nie. Przejrzałem Hagbarda. Chwila jest zbyt poważna, żeby nabijać się z Męki Pańskiej.

Mavis uśmiechnęła się. Docisnęła się mocniej do Joe i zaczęła się zabawiać zwiotczającym penisem, delikatnie pocierając końcem kępek włosów na swojej cipie.

— Joe, wychowano cię na katolika. Katolicy są bardziej wyczuleni na świętokradztwo niż reszta. Dlatego Hagbard wybrał ciebie. A może ciebie też trzeba wziąć na męki? Co ty na to, żeby się porypać z najświętszą panienką? — zaproponowała szeptem, przywierając do niego nagim ciałem.

Joe zobaczył twarz swojej matki; krew zatętniła mu w penisie. Chyba wiedział, co miał na myśli Hagbard mówiąc, że był w namiocie z matką.

— Jestem wieczną dziewicą, Joe — szepnęła w chwilę później, kiedy już w nią wskoczył. — Podobnie jak każda kobieta. Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć. Chcieliśmy ci dzisiaj wręczyć parę oczu, ale odmówiłeś sakramentu. Wybrałeś najtrudniejszą z dróg, Joe. Jeżeli uda ci się przetrwać dzisiejszą noc, będziesz musiał poszukać własnej drogi dla siebie. Innej niż proponuje Hagbard. Będziesz musiał odnaleźć własny sakrament.

A kiedy było już po wszystkim i u niej, i u niego, spytała szeptem:

— Czy to był sakrament?

Wsparł się na łokciach, patrząc na czerwony, trójkątny tatuaż między jej piersiami.

— Nie, nie jesteś najświętszą panienką. Dalej jesteś Mavis.

88

— A ty wciąż jeszcze musisz podjąć decyzję — stwierdziła. — Do widzenia, Joe. Przyślij mi George'a.

Kiedy Joe zaczął się ubierać, czując w kieszeni ciężar pistoletu, Mavis przekreśliła się na brzuch i leżała nie patrząc w jego stronę. Jej nagie pośladki wydały mu się straszliwie bezbronne. Przyjrzał się poduszce, na której wspierała pupę, kiedy się kochali. Na złotogłowie zawijasami wyhaftowano słowo KALLISTI. Potrząsnął głową i wyszedł z namiotu.

— ...chętnie bym się przychylił do twoich życzeń, ale mamy dla ciebie inną robotę. Wąglik-Trąd-Pi potrafi zmieść całą ludzkość w parę dni — mówił właśnie poufnym głosem Hagbard do Otto Waterhouse'a.

W jednej chwili biel koszuli Hagbarda, złotogłów namiotu i oślepiające jupitery nad sceną nabrały nieznanej jasności. Adrenalina. W ustach mi zaschło — nastąpiło odwodnienie. Klasyczne symptomy walki-ucieczki. Syndrom aktywacji, jakby powiedział Skinner. Całość zgrabnie skomponowana w odlot.

— Witaj, Joe — powiedział Hagbard cicho. Joe zorientował się nagle, że ścisła w dłoni pistolet. Hagbard zaserwował mu uśmiech i Joe poczuł się jak uczeń przyłapany na bilardzie kieszonkowym. Czym prędzej wyciągnął rękę z kieszeni.

— Chce widzieć George'a — powiedział słabym głosem. Odwrócił się plecami do Hagbarda i spojrzął na scenę, nad którą świetlisty napis głosił w ciemnościach: CHLEB I RYBY.

— Kołuję, kołuję u krańców świata... — niosła się pieśń. Na stercie poduch, za przejrzystą zasłoną w końcu namiotu

spoczywała Stella odziana wyłącznie w czerwone, szyfonowe bolerko.

— Dałaś się bzyknąć Joe? — spytał George.

— Joe nigdy mnie nie bzykał — odparła. — Dziś będziesz moim pierwszym. Zrozum, George, musimy zgromadzić całą dostępną energię, żeby pokonać Iluminatów. Zbliź się, napędzimy trochę dynamo.

— *To Danny Pricefucer — powiedziała Doris Horus. — Poznaliśmy się w samolocie, w drodze na festiwal.*

89

(— Święty Jezu — mówi Maria Imbium, wokalistka Sycylijskich Smoków Zaciężnych — z jeziora wylażą anioły. Anioły w złotych szatach. Patrzcie!

— Lecisz na tym Kool-Aidzie Kaboutersów, baby — mówi jej jeden z Hunów, gęsto spowity w bandaż. — Nic nie wylaży z żadnego jeziora.

— Coś wylaży — mówi perkusista Sycylijskich Smoków — tylko ty jesteś tak zaćpany, że nic nie widzisz.

— Jeśli to nie są anioły, to co? — gorączkuje się Maria.

— Chryste, nie mam pojęcia. Kim by jednak nie byli, łażą po wodzie.)

Przybrany w pióropusz zielonych piór kołuję, kołuję...

(— Łażą po wodzie. Jak rany, ludzie, chyba się wam we łbach popieprzyło.

— To są zwykli surfingowcy, po coś tam pozakładali zielone czapki.

— Surfingowcy? Akurat! Prędzej zgrają bawarskich biesów! Każdy z nich wygląda jak owinięty w wodorost wytwór Frankensteina.)

— *Pricefucer? — zagadnął Kent. — Czy myśmy się nie spotkali pięć czy sześć lat temu w Arkham? Jesteś glina?*

(— To jest olbrzymie, zielone jajo... które mnie kocha...)

— Ten tam rudzielec — ten, co stoi z czarnymi muzykami i z tą cizią, co ma takie obłądne balony — to jest gliniarz z Nowojorskiej Sekcji Pirotechnicznej — mówi Dillinger półgłosem do Hagbarda. — Załóż się, że próbuje coś zwęszyć w sprawie wybuchu w „Konfrontacjach”.

— Chyba rozmawiał z Mama Sutką — stwierdził Hagbard w zadumie.

W PURPUROWYCH SZARAWARACH W PURPUROWYCH SZARAWARACH JEDZIE JUŻ

Kiedy Otto Waterhouse wkroczył do namiotu, czekała na niego panna Mao.

— Jeszcze się nigdy nie waliłem z chińską dupą — wy-

90

znał Otto wyskakując z gatek. — Stella nie będzie chyba zachwycona.

— Nie będzie miała żalu — uspokoiła go panna Mao. — Musimy uruchomić wszelkie energie, żeby pokonać Iluminatów. Potrzebna jest nam twoja pomoc. — Wyciągnęła ramiona.

— Nie dam się prosić dwa razy — odparł Otto, biorąc ją między nogi.

O 5.45 centrala w Pentagonie odebrała ostrzeżenie, że bomby podłożone w budynku eksplodują za dziesięć minut.

— Zabiliście setki naszych ludzi dziś na ulicach Waszyngtonu — oznajmił kobiecy głos. — Mimo wszystko dajemy wam szansę na ewakuację budynku. Nie zdążycie wykryć bomb. Opuśćcie Pentagon i niech historia osądzi, kto z nas naprawdę opowiedział się po stronie życia, przeciwko śmierci.

Najwyższy rangą personel Pentagonu (a z racji wybuchu rewolucji w stolicy na miejscu znaleźli się wszyscy) został bezzwłocznie oddelegowany do podziemnych schronów przeciwbombowych. Po naradzie z szefami sztabów minister obrony narodowej oznajmił, że alarm na 95% jest bluffem, mającym na celu zakłócić koordynację działań skierowanych na tłumienie ogólnokrajowej rewolty. Organa śledcze podejmą dochodzenie w tej sprawie, co nie powinno jednak zakłócić toku prac.

— Poza tym — zauważył dowcipnie minister obrony w obecności głównodowodzącego sztabu — jedna mała bombka radykałów temu budynkowi zaszkodzi tyle, co słoniowi petarda.

Dziwnym trafem fakt, że dzwoniąca wspominała o bombach (w liczbie mnogiej), uszedł jakoś uwadze wszystkich. Eksplozje tymczasem okazały się o wiele potężniejsze, niż sugerowała anonimowa rozmówczyni. Ponieważ nigdy nie podjęto dochodzenia w tej sprawie, nikt dokładnie nie wiedział, jakiego rodzaju materiałów wybuchowych użyto, ile bomb podłożono, w jaki sposób przemycono je do Pentagonu, gdzie zostały podłożone, ani też jak je zdetonowano. Nigdy też nie uzyskano zadowalającej odpowiedzi na najbardziej interesujące pytanie:

91

Kto to zrobił? Tak czy owak, o 17.55 czasu waszyngtońskiego seria wybuchów rozwalila jedną trzecią skrzydła od strony rzeki, dokonując wyłomu we wszystkich czterech kręgach, od wewnętrznego dziedzińca po zewnętrzny mur.

Straty w ludziach były dotkliwe. Zginęły setki osób pracujących po tamtej stronie budynku. Chociaż eksplozja w żaden widoczny sposób nie uszkodziła schronu przeciwbombowego, ministra obrony, szefów sztabu oraz wielu innych wojskowych wysokiej rangi znaleziono martwych; uznano, że przyczyną ich zgonu był wstrząs, a w ogólnym zamieszaniu nikomu nie przyszło do głowy staranniej przebadać zwłoki. Po eksplozji ewakuowano poniewczasie Pentagon, obawiając się, że to jeszcze nie koniec, jednak nic więcej się nie wydarzyło i tylko władze wojskowe USA przez pewien czas pozbawione były najwyższego zwierzchnictwa.

Kolejną ciekawostką był niejaki pan H.C. Winifred z Departamentu Sprawiedliwości USA. Winifred, urzędnik państwowy mający za sobą wiele lat szczytnej wysługi, w szoku najprawdopodobniej wywołanym wydarzeniami sądnego dnia ujął kierownicę limuzyny Departamentu Sprawiedliwości i jak wariat popędził przez dwadzieścia trzy czerwone światła do Pentagonu. Dopadł miejsca wybuchu, wywijając wielkim kawałkiem kredy, którym następnie usiłował nakreślić linię łączącą oba brzegi wyrwy w murach Pentagonu, lecz padł martwy, zapewne wskutek zawału.

O 11.45 czasu ingolstackiego głośniki oraz napis nad sceną zapowiedziały Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne. Po dziesięciominutowej owacji czwórka platynowych blondynów o niepokojących oczach zaczęła grać swój najpopularniejszy utwór, „Erę Bawarii”. (W Los Angeles wskaźnik Mercallego na sejsmografie UCLA podskoczył nagle do jedyńki.

— Będą drobne wstrząsy — stwierdził bez niepokoju dr Vulcan Troll obserwując podziałkę. Jedyńka to jeszcze nic poważnego.)

— *Co cię natchnęło, żeby go tułaj szukać?* — spytał Saul.

— Prosta logika i szczypta psychologii — odparł Dillin-

ger. — Znam się na mentalności alfonsa. Taki robi po nogach, kiedy przyjdzie mu przejść nielegalnie przez granicę. Banda maminsynków. Pierwsza rzecz, sprawdziłem, czy nie zaszył się we własnej piwnicy. Nie zdziwiłbym się, gdyby tam miał tajny schowek.

— Saul też tam od razu zajrzał — roześmiał się Barney.

— Zdaje się, że rozumujemy podobnie, panie Dillinger — stwierdził Saul oschle.

— W świetle psychologii glinę od kryminalisty nie dzieli zbyt wiele — powiedział Dillinger filozoficznie.

— Ja też to zaobserwowałem — poparł go Hagbard. — Jaki z tego wniosek?

— No cóż — stwierdził Dillinger — Pricefixer nie poderwał tej lali tylko dlatego, że mu się chce pieprzyć. Musiał coś zwęszyc.

— Tamten muzyk nie ma o niczym pojęcia — zauważył Hagbard. — Przyjrzyjcie się jego dłoniom. Powstrzymywana agresja; za parę minut sprowokuje kłótnię. On i ta babka spali ze sobą — widzicie, jak jej lata miednica, kiedy do niego mówi? — i on chciałby, żeby Białas się zmył. Ale Białas ani myśli się zmywać. Podejrzewa, że babka ma związek ze sprawą, która go interesuje.

— Byłem gliną — odparł Danny z rozbrajającą fałszywą szczerością. — To było jednak lata temu, zresztą praca mi nie odpowiadała. Teraz jestem akwizytorem *Britanniki*. Dogodniejsze godziny pracy, a ludzie najwyżej zatrzasną mi drzwi przed nosem — nikt nie próbuje do mnie zza nich strzelać.

— Słuchajcie — podnieciła się Doris. — ASM gra „Erę Bawarii”. — Utwór ten z niezrównaną dosadnością wyrażał, wykpiwając zarazem, ambicje młodych całego świata, a wnikliwość, z jaką traktował ich pragnienia, i okrucieństwo, z jakim burzył ich nadzieje, zjednały mu rzesze odbiorców.

Zaczęło się równo z muzyką. O milę pod powierzchnią jeziora, w pobliżu przeciwległego brzegu, zaczęła zmartwy-chwstawać armia. Trupy w czarnych mundurach zerwawszy kotwice podryfowały w kierunku brzegu. Z chwili na chwilę

przybywało im pozorów życia, ich ruchy coraz bardziej przypominały pływanie, potem zaczęli maszerować po wodzie. Po wyjściu na brzeg sformowali szyki. Ich twarze pod stalowymi hełmami były zielonkawe; powieki mieli obrzękłe, czarne wargi rozciągnięte w upiornym grymasie. Usta oficerów i podoficerów poruszały się, wydając rozkazy, chociaż nie padło z nich ani jedno słowo. Wyraźnie dźwięk nie grał żadnej roli, gdyż rozkazy były wykonywane bezzwłocznie. Raz jeszcze moc, którą Loża Iluminatów obdarzyła Adolfa Hitlera w 1923 („Bo jesteś wyjątkowym pajacem” — brzmiało uzasadnienie) ■— moc, która pozwoliła szeregom stalowych hełmów zdobyć dla Hitlera imperium od Stalingradu po Atlantyk i od Kręgu Polarnego po Saharę — raz jeszcze moc ta miała się przejawiać na ziemi.

— Nadchodzą, czuję to — szepnął Werner swojemu bliźniakowi Wilhelmowi w chwili, gdy Wolfgang przyczadował na bębnoch, a Winifred zagrzmał:

To jest świtanie Ery Bawarii Ery Bawarii Bawarii... Bawarii!

Czołgi i artyleria ustawiały się na pozycjach. Gąsienice transporterów bojowych ryły ziemię. Kurierzy na motocyklach śmigali po plaży w tę i z powrotem. Wzdłuż drogi ustawiła się eskadra zdemontowanych częściowo stukasów. Po masakrze uczestników festiwalu i zajęciu Ingolstadt samoloty miały zostać przewiezione ciężarówkami na lotnisko ingolstackie, a stamtąd, po zmontowaniu, wystartować następnego ranka.

Nieboszczycy zsunęli gumowe opaski ze zwiniętych flag. Załopotaly czerwono-biało-czarne proporce. Większość zdobyły dobrze znane insygnia Trzeciej Rzeszy, z jedną tylko różnicą: na środku każdej swastyki widniała czerwona piramida z okiem. Na pozostałych gotykami wyhaftowano hasła w rodzaju: DRANG NACH OSTEN czy HEUTE DIE WELT, MORGEN DAS SONNENSYSTEM.

Nastała pełna gotowość. Sinoczarne wargi generała SS, nie żyjącego od trzydziestu lat Rudolfa Hanfgeista, ułożyły się w: naprzód marsz. Hasło zostało przekazane w podobny sposób przez oficerów podoficerom, którzy z kolei podali je szeregowcom. Z drugiego brzegu, ponad czarnymi, bezdennymi głębinami wód, dolatywały światła i muzyka. Kompania za kompanią ruszały przed siebie; księżyc połyskiwał na trupich czaszkach u czapek i runach SS przy kołnierzach. Ciszę zakłócał jedynie pomruk dieslowskich silników w transporterach i szcęk oręża.

— Już tu dochodzą — stwierdziła kobieta pod Hagbardem, która nie była ani Mavis, ani Stellą, ani Mao, lecz śniadą brunetką o czarnych, prostych włosach, oliwkowej cerze, czarnych, groźnie ściągniętych brwiach i kościstej twarzy.

— Ja też dochodzę, Matko — oznajmił Hagbard, poddając się fali, która uniosła go na skraj orgazmu i przrzuciła przez krawędź.

— Nie jestem twoją matką — rzekła kobieta. — Twoja matka była niebieskooką norweską blondyną. Ja wyglądam na Greczynkę, o ile się nie mylę.

— Jesteś matką nas wszystkich — stwierdził Hagbard, całując jej spotniałą szyję.

— Ach tak? — zakpiła kobieta. — To by znaczyło, żeśmy wreszcie doszli do czegoś.

I wtedy trzepnęło mną, Malaklipsa to Malika eklipsa, a Celinę wbija klin, Mary Lou Dała Psu, Czerwone Oko się mieni, Mooni, nieme mamy czy nim manipuluje? i wy inne wyble bryki siMoontyki (u mojej czaszki ruchome piaski, gdzie *Imperatyw terytorialny* to nieuchronne *Łapy precz*, Latynowie z Saksonami wadzą się w synapsach biednego Simona, języki martwe walczą o mój język, więc z Eksplozji Populacji robi się Chujowy Ścisk i na odwrót, skąd krok do Eksplozji Kopulacji, zresztą garbata Hagbarda da w dach tej czarno-białej mszy, éma émi, épam kwach, mam odlot, podlot, zalot, wylot na Drodze z Mao-tsy Tao-tsy, bowiem numer Naszej Pani to sto, pięćdziesiąt i sześć — tak głosi naWicca!), ale gdzieżbym się spodziewał, że aż tak.

95

— Co widzisz? — spytałem Mary Lou.

— Jakichś ludzi, którzy przedtem pływali, a teraz wylażą z jeziora. A ty?

— Coś, czego nie powinienem widzieć.

W pierwszym szeregu, jasny jak najjaśniejsza jasność szedł Meskalito z odlotu na peyotlu i Ozyrys z cycami Mamy, Człowiek Pająk, Tarot Magów, Poczciwy Charlie Brown z Królikiem i Bugs z browningiem i Łeb jak Sklep, Archie i Kapitan America i Hermes Po Trzykroć Sławion, Atena, Zagreus i jego rysie i żbiki, Myszka Miki, Superman, Dziadek Mróz i Roześmiany Budda Jezus i milion milionów ptaków, kanary i pardwy, człapiące czaple, białe kruki, orzeł bielik, żońna, turkawka żałobna (żałoba nie ma końca), a wszystkie nawalone jeszcze w górnym dewonie, kiedy zaczęły się opychać ziarnami konopii, nic dziwnego, że Huxley uważał ptactwo za „najbardziej uczuciową formę życia”, od rana do nocy trylują, od rana do nocy odlocik, trylują „kołuję, kołuję”, chyba że szpaki azjatyckie skrzeczą „świr-kici, kici, kici!”, a ja znów sobie przypomniałem, że istnienie nie jest bardziej sensowne niż czerwone, wrzące, kwaśne czy wysokie, tylko fragmenty bytu posiadają wyżej wymienione atrybuty, no i jeszcze człowiek-guma, w głowie czuwa i, Boże mój, Boże, mój ojciec na ich czele śpiewając

SOLIDARNOŚĆ

SOLI — DAARRR — NOŚĆ

NASZ ZWIĄZEK TO NASZA MOC

— Mówię — perorował Anglik — że wydawało mi się, iż mam do czynienia z potworem, tymczasem to jest po prostu Ropuch z Ropuszego Dworu... w towarzystwie Szczura... Brzęczka... Wandzi... i Dupki...

— To ty jesteś tym wszystkim, jakkolwiek to dość gówniana tożsamość — oświadczył Hagbard.

— Chyba już pora, żebyś wyszedł na scenę i podał do wiadomości nasze drobne ogłoszenie. Myślę, że są już gotowi na to.

— Podeślę ci Dillingera!

— Super!

96

— Tylko, widzisz, to była zmyła. Naprawdę to Sullivan miał takiego.

— Nie to miałam na myśli. Zadowolę się i mysim ogonkiem. Rzecz w tym, że będę się dymać z *Johnem Dillingerem*. Łeb odpada!

— Nareszcie zaczynasz wyglądać i mówić jak Mavis. — Hagbard podniósł się ze śmiechem. — Znów się wymykasz, Supersuko!

Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne zeszło już ze sceny, więc kiedy Hagbard w towarzystwie George'a, Ottona, Har-ry'ego i Malaklipsy schodził ze swojej górki i wspinał się na pagór, na którym wzniesiono scenę, przy mikrofonach był już Clark Kent i Jego Supermani. Dojście zajęło im około pół godziny, gdyż musieli torować sobie drogę pośród grup uprawiających mongolski seks „na kumys”, siedzących w zazen czy, zwyczajnie, słuchających muzyki. Kiedy doszli do sceny, Hagbard wyciągnął złotą kartę i okazał ją broniącym dostępu gorylom.

— Muszę podać coś do wiadomości — powiedział nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Goryle wpuścili go prosząc, żeby zaczekał do końca bloku Supermanów.

Na widok Hagbarda Pearson gestem ręki uciszył swoich muzyków. Na widowni rozległ się pomruk.

— Nareszcie, Hagbardzie — powitał Pearson Celine'a. — Już myślałem, że się nie zjawisz. — Podszedł do Hagbarda i jego ludzi stojących na skraju sceny.

— Dobry wieczór, Waterhouse — powiedział. — Jak się miewa moja rozkoszna Stella?
— Jakim prawem, złamusię, nazywasz ją twoją rozkoszną Stellą? — spytał Waterhouse, tonem najczystszej groźby.

— Kwas tylko ci otworzy oczy, George. Sam w sobie nie zdziała cudów.

/ stanie się tak, że żyć będą tylko ci, którzy wezwą imienia Pana.

— Co, do diabła, może być w tej walizce? — mruknął Dillinger.

97

— Ja ją otworzę — zaofiarował się Saul. — Tak czy owak, będziemy musieli po tym wszystkim zażyć antidotum. Mam je na zewnątrz, w samochodzie. — Nachylił się, rozprostował sztywne, sine dłonie Carmela i wyciągnął z nich walizkę. Barney, Dillinger i Markoff Chaney otoczyli go ciasnym kołem patrząc, jak otwiera zatrask i unosi wieko.

— Niech mnie diabli, niech mnie wszyscy diabli — powiedział Barney Muldoon głuchym, drżącym głosem.

— Hagbard robił nas w konia — powiedział Simon sennym głosem. (W Pierwszym Bardo to nie ma najmniejszego znaczenia.) — Ci naziści nie żyją od trzydziestu lat, koniec, kropka. Ściągnął nas tutaj, żeby nas wpuścić w trip. Z żadnego jeziora nic nie wychodzi. Wszystko jest moją halucynacją.

— Coś się jednak dzieje — upierała się podekscytowana Mary Lou. — Jezioro to tylko zmyła, żeby odciągnąć naszą uwagę od prawdziwej walki, która się toczy między tym twoim Hagbardem a tymi świrniętymi muzykami tam na górze. Cholera, gdybym nie była taka nawalona, wiedziałabym lepiej, co jest grane. To chyba ma coś wspólnego z falą dźwiękową. Fale dźwiękowe krzepną w powietrzu. Cokolwiek by to było, nie mamy tego rozumieć. Numer z jeziorem jest po to, żeby nam dać coś, co jesteśmy w stanie pojąć, czy prawie pojąć. — Na jej czarnej, napiętej twarzy znać było walkę intelektu z zalewem nieprzetwarzalnych informacji atakujących zmysły.

— Tato! — wykrzyknął Simon, łkając ze szczęścia. — Powiedz mi Słowo. Teraz musisz je znać. Co to jest za Słowo?

— Kether — odparł Tim Moon promieniejąc.

— Kether? To wszystko? Kabała i tyle? — Simon potrząsnął głową. — To nie może być aż takie proste.

— Kether — powtórzył Tim Moon tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Właśnie tu, w samym środku Malkutu. Jak na górze, tak na dole.

Widzę tron świata. Jedno jednoosobowe krzesło, dwadzieścia trzy stopy nad ziemią, wysadzone siedemnastoma rubinami, nad nim unosi się wąż połykający własny ogon, Różo-Krzyż i Oko.

98

— Kim był ten miły gość? — spytała Mary Lou.

— Mój stary — powiedział Simon, teraz już szlochając na dobre. — Mogę go nigdy już nie zobaczyć. Żałoba nie ma końca.

Dopiero wtedy zrozumiałam, dlaczego Hagbard dał nam kwasu — dlaczego Weather Underground i Morituri brali na okrągło — ponieważ zaczęłam umierać, dosłownie czułam, że cofam się do punktu wyjściowego i lada moment osiągnę zero bezwzględne. Byłam tak kurewsko przerażona, że złapałam Simona za rękę. „Pomóż”, zaczęłam błagać ciekim głosem i gdyby mi odpowiedział „Przyznaj się, że jesteś gliną, albo radź se sama”, wszystko bym mu wygadała jak na spowiedzi, wyrzuciła za jednym zamachem, ale on się tylko uśmiechnął, leciutko uściśnął moją dłoń i wymruczał: „To żyje” i faktycznie, to żyło, rozdając światło i energię, moje światło i moją energię ale również światło i energię Boga i wcale nie było straszne, bo żyło i rosło. Skądś napłynęło do mnie słowo „wielokierunkowa holoemanacja” (czy może Hagbard mówił o tym do Dillinger-a?), spojrzałam, rany słonia, na moich oczach Dillinger rozpadł się na dwóch. To była odpowiedź na jedno z pytań: istniało dwóch Dillingerów bliźniaków, nie licząc fałszywego Dillinger-a, który został zastrzelony pod Biograph, 0=2 pomyślałam, czując, że kryje się za tym jakaś abstrakcyjna, ponadczasowa odpowiedź, jak również odpowiedź na niejedno z pytań, które nurtowały piszących o przestępczej karierze Dillinger-a (na przykład, dlaczego część świadków twierdziła, że tamtego dnia w 1934 widziano go w Miami, kiedy inni widzieli go, jak robi skok na bank w East Chicago, i czemu Hagbard wspominał o tym, że jest w Las Vegas, a ja tymczasem widziałam go tu w Ingolstadt), lecz wszystko było w nieustannym ruchu, jeden punkt, ale wszystko, co z niego wychodziło było w nieustannym ruchu, gwiazda z promieniami mieczy i buław, korona, a zarazem kielich i wirujący dysk, śnieżnobiała świetlistość, która mówi: „Jestem Ptah, przybywam by cię zabrać z Memphis do nieba” ale ja pamiętałam tyle tylko, że w Memphis gliny pobiły tatę, wobec czego poprzysiągł sobie, że nigdy więcej

jego noga nie stanie na Południu (jak to się ma do tego, że sama zostałam gliną?), a Ptaħ zamienił się w Zeusa, Iakchusa, Wotana i nieważne co jeszcze, wszyscy byli dalecy, obojętni i zimni, nie bogowie ludzkości, lecz bogowie ponad ludzkością, bogowie pustej otchłani, lśniący jak diament i zimni jak diament, trójka wirująca wokół centrum zamienia się w swastykę, a potem twarz doktora, który mnie wyskrobał, jak zaszłam w ciążę z Hassanem i Sabbahem X, „Czarna niewiasto, zabiłaś w swoim łonie Syna Bożego”, powiedział, więc znowu się rozbeczałam, a Simon trzymał mnie za rękę i powtarzał: „To żyje”, ale ja czułam, że to umiera, i ja jestem winna jego śmierci. Byłam Ottonem Waterhousem na opak: chciałam pozbawić jaj Simona, pozbawić jaj wszystkich białych mężczyzn, ale nie mogłam; zamiast tego bez końca kastrowałam czarnych — Koszmar Życia w Śmierci to ja.

— To żyje — powtarzał Simon — to żyje. A ja cię kocham, mała, chociaż jesteś gliną.

— Całe jezioro ożyło — usiłował wyjaśnić kolegom z zespołu wibrafonista Filetów Duszy — jedna wielka spirala, która rośnie i wiruje jak cząsteczka DNA tyle, że z głową jastrzębia...)

— Dobry wieczór, Waterhouse — powiedział. — Jak się miewa moja rozkoszna Stella?

— Jakim prawem, złamusię, nazywasz ją twoją rozkoszną Stellą — spytał Waterhouse, a w jego tonie dało się słyszeć wyłącznie groźbę.

— Spoko, bracie — otrzeźwił go Pearson.

— Nie jestem twoim pieprzonym bratem. Pytam cię o coś.

— Możesz sobie twoje pytanie w tyłek wsadzić — odparł Pearson.

— Robert wali tylko białe dziewczyny, Otto — uspokajał go Hagbard. — Jestem pewien, że nigdy nie dymał Stelli Maris.

— Nie byłbym taki pewien — powiedział Pearson.

— Lepiej go nie denerwuj — ostrzegł go Hagbard. — Otto specjalizuje się w zabijaniu czarnych mężczyzn. Co pra-

100

wda zabił właśnie swojego pierwszego Białego, ale wcale nie jest pewien, czy miał z tego radochę.

— Przedtem nie miałem pojęcia, co to jest zabójstwo — powiedział Waterhouse. — Byłem chory przez te wszystkie lata, zabijanie sprawiało mi radochę, bo nie wiedziałem, co robię. Dopiero jak zabiłem Flanagana, poczułem, co robię, i to było tak, jakbym ich wszystkich jeszcze raz pozabijał. — Policzki mu zwilgotniały, odwrócił się.

Pearson przyglądał mu się przez chwilę.

— Jeju — westchnął. — Chodź, Hagbard, pokażemy cię ludziom. — Razem podeszli do mikrofonu. Parę osób na widowni zaczęło klaskać rytmicznie, upominając się o muzykę. Więszość jednak czekała w pogodnym milczeniu na dalszy rozwój wydarzeń.

— Siostry i bracia — zwrócił się do nich tymczasem Robert Pearson. — Oto jest Wolny Człowiek, Hagbard Celine, supergość i najteższy zawiadziak na tej ziemi. Słuchajcie uważnie, co wam ma do zakomunikowania.

Odsunął się na bok, gestem pełnym szacunku zapraszając Hagbarda do mikrofonu.

— Jak już wspomniał Clark Kent, nazywam się Hagbard Celine... — rzucił Hagbard w milczący tłum.

(W Mad Dog w Teksasie John Dillinger i Jim Cartwright unieśli wzrok znad szachownicy. W radiu urwała się muzyka.

— Przerwywamy audycję, żeby przekazać nadzwyczajną wiadomość z Waszyngtonu — oświadczył spiker.

— Szach — powiedział spokojnie John, robiąc ruch koniem. — Założę się, że chodzi o prezydenta. Mam nadzieję, że mój brat znajdzie tego gnojka, zanim sprawy przyjmą jeszcze gorszy obrót.

Cartwright posepnie wbił wzrok w szachownicę.

— Szach — przyznał w końcu. — Mam nadzieję, że twój drugi brat z Hagbardem panują nad sytuacją w Ingolstadt — dodał, po czym obaj, posłuszni odruchom telewidza, odwrócili się i spojrzeli na radio...)

Być kobietą to i tak ciężka sprawa, co dopiero — czarną

101

kobietą. Zawsze czułam w sobie jakieś rozdarcie, jakbym była rozdarta lwicą (myślę teraz jak Simon) z dziurą w środku (to właśnie najbardziej facetów interesuje, dziura w środku), ale kwas sprawiał, że przeżywałam tę torturę w pełnej przytomności, a potem pozwalał mi się zbliżyć, znów byłam całą Lwicą, gotową pożreć wroga: Zrozumiałam mojego ojca i to, dlaczego uznał, że wreszcie

musi postawić się białym, chociaż przyplacił to życiem. Konik porusza się po jałowych bezdrożach pustyni wokół Las Vegas pokratkowanej jak szachownica; uniósł ogniste berło, wołając „Władza Czarnych” i to był Hassan i Sabbah, mój kochanek, mój wróg, czarny Chrystus, a zarazem goryl z grymasem szaleńca, cały błękitno-szaro-perłowy jak nasienie, w każdej kobiecie wściekły mężczyzna usiłuje wydostać się na zewnątrz, mężczyźno-kobieta o sowich oczach, i zalała mnie fala radości, kiedy z nagrzanego lechtaczki zrobił mi się penis; byłam moim ojcem; nie bałam się niczego; mogłam zniszczyć cały świat, kiedy mi się spodoba, jednym gniewnym mrugnięciem oka jak Sziwa. MÓJ PENIS TO NIEWIDZIALNY RUBIN NAJWYŻSZEJ PRÓBY, A ZMOWA MĘŻCZYŹN KAŻE MI GO UKRYĆ, WIĘC MUSZĘ ODRZEĆ ICH Z PENISÓW. Jestem dwulicowa, nieodmiennie zdradziecka, jak każda kobieta; zdrada jest naszym jedynym orężem, widzę to coraz jaśniej, w miarę jak pogłębia się mądrość mojego szaleństwa, piżmowy zapach haszyszu dolatujący z przyczepy campingowej Plastikowego Kanoa jest jak ja — roślina żeńska o męskiej mocy, przybijają mnie do krzyża (dosłownie), ale krzyż jest w centrum wirującej płonącej obreczy, Mojżeszu Święty, w szyszynce natrafiam na Buddę, nie na Eris, otwiera się Trzecie Oko, jestem ziemią u twoich stóp, jestem Billie Freschette, jestem legion, jest mnie miliony, niech szarańcza dopadnie waszą Technologią Białych Mężczyzn, „Nazywam się Hagbard Celine”, mówi, sprzedawali heroinę w mojej podstawówce (tak wygląda edukacja czarnych w Chicago), Simon dalej próbuje mnie przez to przepchnąć mówiąc „Śmierć nie zwycięży”, a ja próbuję uwierzyć, że Miłość zwycięży, ale najpierw muszę wydać nienawiść do ostatniego centa, przez nich

102

zabiłam moje dziecko, naprawdę oszaleję, znów mnie dopadła ta wścica i chęć, żeby Simon przeszył włócznią mój kielich, ale wiem również, że prawdziwy Bóg jest ponad Bogiem, a prawdziwi Iluminaci ponad Iluminatami, za tajnym stowarzyszeniem kryje się następne tajne stowarzyszenie: Iluminaci, z którymi walczyliśmy, są marionetkami w rękach innych Iluminatów i tak dalej.

NAZYWAM SIĘ HAGBARD CELINE, OGŁASZAM KONIEC BALU. GOŚCIE PROSZENI SĄ O ZDJĘCIE MASEK.

— Śmieszny tekst, jak na Ropucha z Ropuszego Dworu

— mruknął Fuzja Chips w przestrzeń. Ale grzmiący głos nie cichł. NAZYWAM SIĘ HAGBARD CELINE. PROSZĘ, NIE PANIKUJCIE, KIEDY USŁYSZYCIE, CO WAM MAM DO POWIEDZENIA, i Chips zorientował się, że to nie Ropuch z Ropuszego Dworu ani nawet występny Święty Ropuch, lecz po prostu elegancko ubrany, dwulicy makaroniarz — jedna twarz uśmiecha się, druga gniewnie sroży.

— Wiecie co — mówi na głos 00005 — oni musieli do tej wody dodać jakiegoś cholernego dragu.

NAZYWAM SIĘ HAGBARD CELINE. PROSZĘ, NIE PANIKUJCIE, KIEDY USŁYSZYCIE, CO WAM MAM DO POWIEDZENIA. SŁUCHAJCIE UWAŻNIE. PRZYCHODZĘ OSTRZEC WAS, ŻE WASZE ŻYCIE JEST W POWAŻNYM NIEBEZPIECZEŃSTWIE. W CHWILI OBECNEJ BRZEGIEM JEZIORA TOTENKOPF MASZERUJE ARMIA, KTÓREJ ZADANIEM JEST MASAKRA WSZYSTKICH UCZESTNIKÓW FESTIWALU.

— Rany, nic z tego nie będzie — przestraszył się George.

— Robi to nie tak, jak trzeba. W życiu mu nie uwierzą. Wyśmieją go. Trzy czwarte z nich nie rozumie nawet po angielsku.

— Tak to właśnie brzmi dla ciebie? — zaciekawił się Malaklipsa. — Jakby mówił po angielsku? W moim odczuciu również wyklada kawe na ławę. Ale ja go słyszę po grecku, w dialekcie ateńskim z piątego wieku przed narodzeniem Chrystusa.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

103

— Naprawdę mówi po norwesku czy po włosku, który tam język zna lepiej. Stosuje coś, co nazywam Numerem Zielonoświątkowym. W Księdze Proroków nazywało się to zesłaniem języków. Po śmierci Jezusa Apostołowie zebrali się na ucztę zielonoświątkowej, kiedy nad ich głowami pojawiły się ogniste języki. Wyszli więc i zaczęli nauczać tłum przybyłych z różnych krain, a każdy człowiek usłyszał ich kazania w swoim własnym języku w postaci, która była dla niego najbardziej przekonująca. W ten sposób przyciągnęli do chrześcijaństwa dziesiątki tysięcy wiernych. To ja sprezentowałem im tę sztuczkę o czym zresztą nie mają pojęcia.

— Zesłanie języków! — powtórzył oczarowany George. — Braliśmy to na religii: „A gdy nadejdzie dzień ostatni, rzecze Pan, zesłę ducha mojego na wszelkie stworzenie: a wasi synowie i wasze córki głosić prorocтва będą, na młodych zstąpi objawienie, starzy zobaczą we śnie”.

(Nie oszukuj się, George. Wiesz dobrze, że przed chwilą *byłam* Mavis.)

— To czarna olbrzymka... goetheańska Matka Noc — mówił ktoś ale ja myślałam o strzeleniu 69 z Simonem ach te wszystkie numery którymi ten ćpun umie dogodzić kobiecie czujesz się jak królowa na tronie wisi mi czy on wie że ja jestem gliną w tej dziedzinie panuje śmiech przez łzy tak zawsze będę rozdarta na dwie w środku wiecznie próżnia Boże tak na mojej twarzy jest maska nocy tak jak czytałam w szkole u Szekspira jestem rzeką żółtą od ścieków a obciążanie druta to brzydkie słowo ale w gruncie rzeczy przecież o to chodzi w znaku Raka czy w tym całym jin-jang Chryste uwielbiam to robić kobiety które mówią że nie to zwykle kłamczuchy nienawidzę go i Kocham go wiecznie ta dwoistość detektyw który mnie wtedy chciał pochwalić powiedział „Jesteś baba z jajami” jakby to zabrzmiało gdybym mu powiedziała „Jesteś chłop z cynamonem” tron za tronem obalone w otchłań a jednak ja mam moc którą wszyscy czczą w tych swoich trójcach i piramidach są symbolami cipy która mi znowu płonie aleja po prostu chcę żeby mnie obejmował nie mogę się teraz dupczyć nie mogę

104

już widzę twarz taty ale srebrną nie czarną i nagle zorientowałam się że Joe Malik miał spluwać nawet że miał w niej srebrną kulę Matko Boża czy on sądzi że Hagbard to coś nieludzkiego zalecał hasz zmieszany z opium ci w tym Plastikowym Kanoe to nieźli przyprawiacze czułam jak bucha mną energia jestem w namiocie pieprzona przez wszystkich facetów jestem Mavis i Stellą matką ich wszystkich jestem Demeter i Frygą i Kybele w tym samym stopniu co Eris jestem Naptis Czarną Siostrą Izis o której nikt nie odważa się wspomnieć widzę nawet dlaczego Joe Malik wysadził własny gabinet w powietrze to była pułapka a Hagbard wpadł w nią Joe teraz widzi go na wylot

— Braлиśmy to na religii: „A gdy nadejdzie dzień ostatni, rzecze Pan, ześlę ducha mojego na wszelkie stworzenie: a wasi synowie i wasze córki głosić prorocstwa będą, na młodych zstąpi objawienie, starzy zobaczą we śnie”. I jeszcze to: „Wszelkie stworzenie przejrzy w okamgnieniu”.

— „Trzeba umrzeć, żeby pojąć nauki Zielonoświątkowców — uśmiechnął się Malaklipsa. — Oto słowa pierwszych, ostatnich i środkowych, Kallisti”. Wersety miałeś chyba wykute na blachę na tej twojej religii, George.

— Miałbym piątkę, ale katecheta nie pochwalał mojej ogólnej postawy.

— No i w pytę — skwitował Malaklipsa. — Nauczyłem Hagbarda Numeru Zielonoświątkowego. To, co mówi, dla ciebie brzmi rzeczowo, bo ciebie nie trzeba zbytnio przekonywać. Cała reszta słyszy dokładnie tyle emocji i retoryki, ile trzeba, żeby dostać ostrogi. Numer Zielonoświątkowy to niezły numer.

I nadciągnęło namacalne i trójwymiarowe miłosierdzie zaczęło się ze mnie sączyć jak jakaś psychiczna miesiączka tyle że wodą a nie krwią wybaczyłam nawet Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Medycznemu wszystkim naraz i każdemu z osobna byłam Izis całą w błękicie i purpurze spowitą w welony i nawet gdyby Posejdon powstał z wód jeziora wybaczyłabym mu Cały w gałązkach oliwnych i koniczynie zielony wodny bożek połyskujący jak ametyst z jednym ogromnym rogiem

105

jednorożca a potem został zsyłającym deszcz Indrą który błogosławił piorunami posłuchałam go i włożyłam lalkę w tetra-hedron nie było się czego bać bo wszystko wokół było błogosławione i dobre kiedy Świetliści zstąpili niosąc biały ogień czerwonej ziemi dzieło dopełniło się w rozkoszy a nie w bólu bo wiem nawet to że Joe specjalnie podrzucano notatki Pat Walsh bo Hagbard chciał żeby je znalazł chciał żeby podłożył bombę a nawet chciał żeby miał dzisiaj pistolet wszystko byłoby jasne gdyby człowiek miał globus czarne światelka migająby ilekroć ktoś by odchodził a białe ilekroć ktoś by dochodził wyglądałoby jakby się cały czas świecił dlatego właśnie być kobietą jest super mogę dochodzić dochodzić o Boże tyle razy ile zechcę a faceci nawet Simon zwykle dochodzą góra raz na noc z czego wniosek że pannie Forbes z pierwszej klasy przydałoby się żeby ją ktoś dobrze przeleciał ale nawet jej jestem w stanie przebaczyć

PANIE I PANOWIE, PREZYDENT STANÓW
ZJEDNOCZONYCH

— Wszyscy muszą opuścić tereny festiwalowe — oznajmił Hagbard. — Zmartwychwstali naziści mają zamiar wyciąć was w pień. Na szczęście mamy jeszcze czas, żeby zapewnić wam bezpieczną ucieczkę. Spójrzcie! — Wyciągnął rękę i reflektor powędrował za jego plecy, na jezioro, oświetlając wielki most pontonowy łączący przyległy do terenów festiwalowych wschodni brzeg z brzegiem północno-zachodnim. Most, dzięki nieocenionej pomocy Howarda i jego delfinów, został bezszelestnie wzniesiony w ciągu ostatniej godziny przez załogę Hag-barda.

— Rany — zwrócił się George do Malaklipsy — rozumiem, że dla ciebie to jest po prostu Numer z Morzem Czerwonym.

— Nadaję mu imię Mostu Adama Weishaupta. — Hagbard wznosił do góry dłonie. — Teraz

wszyscy wstaną z miejsc i zachowując porządek, ruszą przez jezioro.

RODACY, AMERYKANIE, Z CIĘŻKIM SERCEM STAJĘ PRZED WAMI DZIŚ PO RAZ DRUGI. WIELE NIEODPO-

106

r^

WIEDZIALNYCH ELEMENTÓW ZAREAGOWAŁO NA STAN NADZWYCZAJNY OBŁĘDNĄ, ZWIERZĘCĄ PANIKA, ZAGRAŻAJĄC NAM WSZYSTKIM. CHCĘ JESZCZE RAZ USPOKOIĆ WAS SŁOWAMI WIELKIEGO WODZA NASZEJ HISTORII, ŻE LĘKAĆ NALEŻY SIĘ TYLKO LĘKU.

Twarz na ekranie telewizyjnym wyrażała niewzruszoną pewnością siebie i w serce wielu obywateli wstąpiła iskra nadziei; w rzeczywistości prezydent był ciężko nawalony demerolem, a parę godzin wcześniej, kiedy płonął Biały Dom, jego najbardziej twórcza propozycja brzmiała: „Zostańmy jeszcze chwilę; moglibyśmy upiec ciasteczka prawoślazowe”.

WŁAŚNIE PRZED CHWILĄ SZEFE FBI ZAPEWNIŁ MNIE, ŻE JEGO LUDZIE PLOMBUJĄ JEDYNY POJEMNIK Z WIRUSEM EPIDEMII, KTÓRY STAŁ SIĘ ŹRÓDŁEM PANIKI. NIC WAM NIE GROZI, JEŚLI NIE BĘDZIECIE OPUSZCZAĆ DOMÓW. ALARM WKRÓTCE ZOSTANIE ODWOŁANY.

— Możemy skierować armię na brzeg zachodni, gdzie ich dopadnie — zaproponował Wilhelm.

(— Pączki róż — krzyknął John Dillinger. — Po cholere taszczyłby aż tutaj walizkę z pąkami róż?)

Nagle wszyscy ocknęli się i zaczęli związać się Simon prowadził mnie łagodnie znów byłam w Czasie między Hagbardem a Amerykańskim Towarzystwem Medycznym doszło do autentycznej walki a walka znaczy że ktoś przegra otwarły się Wrota Piekieł i nogi miałam jak z ołowiu Taty głowa leżała na podłodze komisariatu w Memphis a gliny deptały po nim bez końca dlaczego nie wbili mu włóczni w bok kiedy mieli okazję i jakże bym mogła naprawdę przebaczyć to tylko narkotyk ale pod spodem zawsze będę nienawidzić białych facetów nawet Simona jeśli to Sąd Ostateczny wiem co Chrystus robi z każdym niebieskookim sukinsynem rozdzielili władzę między swoich przez nich są te wojny rozpiardolili całą planetę ich jedynym bogiem jest Śmierć niszczą wszystko co żyje olbrzymi jasnowłosy bóg Thor unosi młot i miazdzy wszystkie kolorowe rasy czerwona szkarłatna czerwona krew na młocie a już najbardziej

107

czarna krew ale Hagbard to Horus tak już zawsze będzie walka i zabijanie aż do końca czasu a ofiarami będą przede wszystkim kobiety i dzieci tylko ciało jest święte a mężczyźni są zabójcami kanibali ciała.

— Jak myślicie, ilu ich tam jest? — spytał sennie lider Korpusu Elitarnego.

— Sześciuset sześćdziesięciu sześciu — odparł któryś z zespołu. — W Noc Walpurgii po złożeniu ofiary z koguta w pentagramie zawsze wychodzi sześćset sześćdziesiąt sześć.

— W dodatku wałą prosto na nas — ciągnął lider tym samym sennym głosem. — Złożyć nam hold i służyć.

Korpus Elitarny zamarł w pozycji siedzącej, w milczącej ekstazie oczekując zbliżenia 666 rogatych demonów z ogonami, które posuwały się w ich kierunku... Przed Grotą Lehmana Saul napełnia strzykawkę antydotum.

— Ja pierwszy — mówi John Herbert Dillinger podwijając rękaw...

W CHWILI GDY RZĄD POTRZEBUJE WASZEGO ZAUFANIA...

Wśród kanonady kul prezydent zjeżdża za podium, pozostawiając na ekranach TV samotne godło USA. Wyraz głębokiej ufności nie znika z twarzy prezydenta, kiedy na oczach widzów w demerolowym stuporze osuwa się w objęcia śmierci.

— Jezus Maria! — rozległ się głos spikera zza ramki ekranu... W Mad Dog John Hoover Dillinger patrzy na Jima Cartw-righta pytającym wzrokiem.

— Kto za tym stoi?

— Wygląda na to, że pięć osób wystrzeliło z pięciu miejsc w rzędach dla prasy, niewykluczone, że prezydent żyje... — bełkocze histerycznie spiker.

— Rozkwasił mi łeb na miazgę — konstatuje bezradnie inny głos w pobliżu mikrofonu... W Nowym Jorku August Per-sonage, jeden z nielicznych mieszkańców, którzy nie biorą udziału w rozruchach ani nie słuchają TV, siedzi po uszy w *Atlas Się Wzdrygnął*, by chłonąć nową religię...

108

— Czy jesteś zółwiem? — pyta Lady Velkor.

— Hę? — odpowiada Danny Pricefixer.

— Nic, nic — mówi pośpiesznie. Danny słyszy, jak zaczepia następnego mężczyznę z prawej:
— Czy jesteś żółwiem?
— Możemy pchnąć armię zachodnim brzegiem i zająć im drogę — mówi Wilhelm.
— *Nein* — protestuje Wolfgang. Stojąc na tyle sunącego z wolna wozu dowództwa bada sytuację przez lornetkę polową. — Ten *verdammte* most sięga do północnego brzegu. Będą po drugiej stronie przed nami.

— Moglibyśmy go stąd ostrzelać — powiedział Werner.

— Nie wolno nam użyć artylerii — odparł Wolfgang. — Zaraz by się nam na kark zwała cała armia zachodnioniemiecka, zagradzając drogę na Wschód. Gdyby doszło do walki z Niemcami Zachodnimi, Niemcy Wschodnie nie popełnią błędu, o który nam chodzi. Chcemy, żeby nas brali za napastników zachodnioniemieckich. Również Rosjanie zostaliby przedwcześnie ostrzeżeni. Nici z całego planu.

— No to darujmy sobie ten punkt programu — zaproponowała Winifred. — Za dużo zwracania głowy. Olejmy dzieciaki i walmy od razu na wschód.

— Jeszcze raz *nein* najdroższa siostrzyczko — odparł Wolfgang. — W dawnym apartamencie fuehrera w Donau-Hotel czeka na nas dwudziestu trzech adeptów ubiegających się o iluminację transcendentalną, wśród nich sam Hitler. Błyskawiczna masowa egzekucja obecnych tutaj umożliwi im życie wieczne na poziomie energii. Poza tym nie dopuszczę, żeby ten *Scheiss-fop/Hagbard* Celinę pokrzyżował nam plany. Raz na zawsze chcę mu pokazać, kto jest tutaj górą. Jemu i całej reszcie tych *Schweine* — Dillingerowi, Dealy Lamie, Malaklipsie, jak również starej Lady, o ile jest z nimi. Jeżeli są tutaj wszyscy, mamy szansę pozbyć się opozycji za jednym zamachem już na początku, a nie dopiero pod koniec immanentyzacji Eschatonu.

— Ale nie mamy jak dopaść tych młodych — wtrącił Wilhelm.

109

— Jak najbardziej mamy i dopadniemy. Sporo czasu upłynie, zanim wszyscy przejdą przez most pontonowy, w dodatku

— pieszo. Jesteśmy zmotoryzowani i dogonimy ich jeszcze, zanim połowa wejdzie na most. Wszyscy się stłoczą do kupy, a ci z mostu będą stanowić wyborny cel dla naszej broni automatycznej. Skosimy ich równo, zbierając krwawe żniwo. Lata całe włożyliśmy w zbudowanie dla siebie fasady Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego, by móc zorganizować festiwal ingolstacki i na brzegu jeziora Totenkopf zastawić pułapkę na rzesze ludzkich istnień, dzięki której nasze święte jezioro spłynie krwią. Chcecie, żeby te trudy poszły wniwecz?

— Masz rację. Trafnie to ująłeś — przyznał Wilhelm.

— Skoro tak, no to gaz do dechy — powiedział Wolfgang.

— *Vorwdrts* gazem — wykrzyknął, odwracając się w stronę stojącego za nim samochodu. Generał SS Hangfeist wstał i odwrócił się do swoich żołnierzy, układając szerniałe wargi w te same słowa. Zaryczały silniki czołgów, wozów na gąsienicach, motocykli i wozów pancernych; wojsko, na dwójce, zaczęło posuwać się drogą.

Ruch wojska zanotowała czujka na jednej z festiwalowych wież oświetleniowo-nagłośniających. Ostrzeżenie przekazano na scenę, gdzie przy mikrofonie stał Robert Pearson.

— Z przykrością muszę was poinformować, że świny zaostrzają atak — mówił. — Nie, nie trzeba biec. Trzeba jednak iść najszybciej jak się da.

— John, na litość dyskordiańską, kończ wreszcie i wpuść Malaklipsę — wołał Hagbard przez drzwi złotego namiotu.

— Myślałem, że jesteś bezcielesny — zdziwił się George.

— Gdybyś znał mnie dłużej, zauważyłbyś pewnie, że lubię podłubać w nosie — odparła sartropodobna zjawa.

— Fiu — odsapnął John-John Dillinger, wychodząc z namiotu — stary ze mnie, ale jeszcze jary. Prosi, żeby po Malu zajrzał do niej George.

Kobieta za zasłoną jaśniała w ciemnościach. W namiocie nie było żadnego światła poza złotą poświatą sączącą się z jej ciała.

110

— Podejdz tu, George — zażądała. — Nie chcę, żebyś się ze mną kochał w tej chwili — chcę tylko, żebyś poznał prawdę. Stań przede mną.

Kobietą za zasłoną była Mavis.

— Mavis, kocham cię — powiedział George. — Kocham cię, od kiedy wyciągnęłaś mnie z mamra w Mad Dog.

— Przyjrzyj mi się dokładnie — powiedziała Stella.

— Stella! Co się stało z Mavis? Kołuję, kołuję...
— Nie oszukuj się, George. Wiesz dobrze, że przed chwilą byłam Mavis.
— To kwas — domyślił się.
— Kwas tylko ci otworzył oczy, George. Kwas cudów nie działa — powiedziała panna Mao.
— Kołuję, kołuję...
— O rany! — powiedział George, a jednocześnie pomyślał: I będzie tak, że każdy, kto wezwie Imienia Pana, dostąpi życia wiecznego.

— Rozumiesz, George? — to była znowu Mavis. — Rozumiesz, dlaczego nigdy nie widziałeś nas razem? Czy rozumiesz, że kiedy myśląc o mnie leciałeś Stellę, rzeczywiście waliłeś się ze mną. Czy rozumiesz, że nie jestem jedną ani trzema kobietami, ale nieskończonym zastępem kobiet? — Na jego oczach stała się czerwona, żółta, czarna, brązowa, młoda, podstarzała, starszka, dziewczynka, norweska blondyną, sycylijską brunetką, Greczynką o groźnym spojrzeniu, wysmukłą Aszanti, skosnooką Masajką, Japonką, Wietnamką, Chinką i tak dalej, i tak dalej.

Błada twarz zmieniała kolory. Na peyotlu — zwyczajna rzecz. Teraz wyglądał prawie jak Indianin. O wiele łatwiej było z nim rozmawiać. Właściwie dlaczego ludzie nie mieliby zmieniać kolorów? Wszystkie kłopoty na świecie brały się z tego, że stale byli jednego koloru. James pokiwał głową w głębokiej zadumie. Peyotl, jak zawsze, obdarzył go wielką Prawdą. Gdyby biali, czarni i Indianie co rusz zmieniali barwę, świat byłby wolny od nienawiści, bo nikt by nie wiedział, kogo ma nienawidzić.

111

Czyj to jest umysł, do diabła, zastanawiał się George. W namiocie panowały ciemności. Rozejrzał się w poszukiwaniu kobiety. Wyskoczył na zewnątrz. Nikt nie patrzył w jego stronę. Wszyscy, nie wyłączając Hagbarda, w nabożnym zachwycie wpatrywali się w gigantyczną postać, która nie przestawała rosnąć, choć oddalała się od nich. Złota kobieta w złotych szatach powiewała swobodnie złotymi, czarnymi i rudymi włosami. Lekko, jakby przestępowała próg domu, przeszła nad ogrodzeniem wokół terenu festiwalowego, górując nad koronami bawarskich sosen. W lewej dłoni niosła olbrzymie złote jabłko.

Hagbard położył dłoń na ramieniu Hagbarda.

— Transcendentalnej iluminacji można dostąpić w równym stopniu przez zmasowany orgazm co przez masową zagładę.

Drogą sunęły światła. Kobieta, aktualnie licząca sobie dwadzieścia osiem metrów, kroczyła w stronę światła. Śmiała się, a jej śmiech grzmiał echem nad jeziorem Totenkopf.

— Wielki Gruadzie! A to co? — wykrzyknął Werner.

— Stara kobieta! — wrzasnął Wolfgang, odsłaniając zęby w grymasie wściekłości.

Donośniejszy od całej muzyki festiwalu w Ingolstadt, nagły okrzyk *Kallisti!* przetoczył się nad wzgórzami Bawarii. Ciągąc za sobą smugę iskier jak warkocz komety, złote jabłko spadło w sam środek nadciągających wojsk.

Jakkolwiek Supernazi byli żywymi trupami, nadal nieobca była im natura ludzka. Każdy z nich w jabłku ujrzał to, co mu było najdroższe. Szeregowiec Heinrich Krause zobaczył rodzinę pozostawioną przed trzydziestu laty; nie wiedział, że jego wnuki właśnie uciekają przed nim po moście pontonowym rozpiętym przez jezioro Totenkopf. Kapral Gottfried Kuntz ujrzał swoją kochankę (w rzeczywistości, po upadku Berlina w 1945, Rosjanie zgwałcili ją, a następnie wypruli jej flaki). Starszy sierżant Sigmund Voegel widział bilet na Festiwal Wagnerowski w Bayreuth. Pułkownik SS Konrad Schein z palcem na spuście zobaczył setkę Żydów patrzących w lufę jego automatu. Obergruppenfuehrer Ernst Bickler dostrzegł błękitną porcelanową wazę w wygasłym kominku swojej babki w Kassel. Wazę

112

po brzegi wypełniało dymiące, psie łajno; ze środka sterczała sebrna chochla. Generał Hanfgeist ujrzał Adolfa Hitlera z poczerwiałą twarzą, wytrzeszczonymi gałkami i wywalonym ozorem, jak dyndał z przetrąconym karkiem na stryczku.

Obojętne pod jaką postacią każdemu z nich objawiło się jabłko, mężczyźni rzucali się na siebie walcząc na śmierć i życie w obronie swojej własności. Czołgi zderzały się czołowo. Artylerzyści skierowali lufy dział w dół, piorąc na osłep w sam środek bitewnego zamętu.

— Wolfgang, co się tam dzieje? — dopytywała się Wini-fred błagalnym tonem, w panice obejmując brata w pól.

— Spójrz w środek bitwy — odparł bezlitośnie Wolfgang.

— Co widzisz?

— Widzę tron świata. Tron nad trony wysadzany siedemnastoma rubinami unosi się

dwadzieścia trzy stopy nad ziemią. Nad nim wąż połykający własny ogon, Rózo-Krzyż i Oko. Widzę ów tron i wiem, że to właśnie mi przypadnie zasiąść na nim na wieki. A ty co widzisz?

— Widzę, *teufelscheiss*, głowę Hagbarda Celine'a na srebrnym półmisku — warknął Wolfgang odpychając ją trzęsącymi rękami. — Eris rzuciła Jabłko Niezgody, a nasi Super-nazi będą się prac do upadłego, póki go nie zniszczymy.

— Gdzie ona poszła? — spytał Werner.

— Zapewne wychynęła już gdzie indziej pod inną postacią

— odparł Wolfgang. — Jako muchomorek, sowa czy coś w tym gatunku, zrywa boki z powodu chaosu, który udało jej się wywołać.

Nagle Wilhelm wstał, przebierając w powietrzu rozczapierzonymi palcami. Pokracznie, jakby ogłuchł, oślepl i oniemiał, z łoskotem wygramolił się z dawnego mercedesa von Rund-stedta. Na zewnątrz ustawił się w odległości mniej więcej trzech metrów od wozu, zwracając twarzą do siostry i braci. Napięty po ostatni mięsień, obserwował, jak wzdyma się krocze jego spodni.

Z jego ust wydobywał się straszliwy głos, głęboki i ociekający obleśnym łojem.

113

— Przyszedłem wyrównać nasze rachunki, diatwo Gruada.

— Ty! Tutaj! Jakim cudem udało ci się wyrwać na wolność? — krzyknął Wolfgang, niepomny na odgłosy szalejącej bitwy.

Głos sączył się jak ropa naftowa przez warstwę żwiru, jak ropa, przedpotopowy, gdyż należał do istoty, którą planeta wydała, kiedy biegun południowy mieścił się na Saharze, a gigantyczne głowonogi były najwyższą formą życia.

— Nie mam pojęcia. Nagle pentagram przestał działać. Wyszędłem. Jadłem dusze. Świeże dusze, nie żadną nędzną plazmę, którą karmiliście mnie przez te wszystkie lata.

— Wielki Gruadzie! I to ma być wdzięczność? — ryknął Wolfgang. — Poszukaj talizmanu — polecił ciszej Wernerowi. — Zdaje się, że jest w czarnym kufrze, tym z Pieczęcią Salomona i Okiem Traszki. Przybywasz w stosownej chwili — zwrócił się do istoty okupującej ciało Wilhelma. — Będzie tu sporo krwi i sporo dusz do spożycia.

— Ci tu dokoła nie mają dusz. To tylko niby-życie. Zbiera mnie od nich na wymioty.

— Lloigor odczuwający niesmak — zakpił Wolfgang.

— Rzygać mi się chciało przez wiele setek lat, kiedy więziliście mnie w kolejnych pentagramach, wpychając we mnie ohydny marynowany kondensat zamiast żywych dusz.

— Nikt ci niczego nie żałował! — wściekł się Werner. — Rok w rok, dla ciebie jednego — po trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy zgonów w samych tylko wypadkach drogowych.

— Ale nie świeżych. Świeżych! Może jednak będziecie mogli wyrównać nasze rachunki tej nocy. Wyczuwam tutaj wiele życia — życia, które zwabiliście w pułapkę. Chętnie je wchłonę.

Werner podsunął Wolfgangowi różdżkę ze srebrnym pentagramem na końcu. Wolfgang machnął nią w stronę opętanego Wilhelma, który wydał z siebie skrzek i runął na kolana. Zapanowała chwila ciszy, przerywanej jedynie trwożnym szlochem Winifred, wystrzałami z karabinów i grzechotem broni automatycznej.

114

— Ich życie nie jest dla ciebie, Yog Sothoth. Przeznaczamy je na transcendentálną iluminację naszych sług. Jeśli uzbroisz się w cierpliwość, starczy go dla nas wszystkich.

— My tu gadu-gadu, a tam nasza armia się wykańcza i lada moment nie będzie żadnego życia dla nikogo — wtrącił Werner.

— Naprawdę? — zaniepokoił się gruby głos. — W którym punkcie wasz plan się załamał? Pozwolisz, że poczytam ci w myślach. — Wolfgang od stóp do głów okrył się gęsią skórą. Zadrżał, kiedy prostackie, gąbczaste, lepkie od śluzu paluchy zaczęły wertować karty jego umysłu.

— Hmm — rozumiem. A więc ona jest tutaj. Moja odwieczna nieprzyjaciółka. Chętnie z nią stanę znów do walki.

— Możesz się z nią mierzyć? — spytał Wolfgang z nadzieją.

— Jestem niezwykcieżony — padła dumna odpowiedź.

— Spytaj go, czemu wobec tego ciągle się daje schwytać w pentagon — podsunął Werner półgłosem.

— Zamknij się! — szepnął Wolfgang z furią. — Zniszcz jej złote jabłko — zwrócił się do Lloigora — i spraw, żeby moja armia znów ruszyła przed siebie, to zdejmę z ciebie zaklęcie tego pentagramu i dam ci tyle życia, ile zechcesz.

— Zgoda! — odparł głos. Wilhelm odrzucił nagle głowę do tyłu i otworzył usta na oścież, wydając przy tym zdławione rżenie. Fajtną orła na wznak. Z rozdziawionych ust wydobył się kłęb

dziwnego, fosforyzującego gazu.

Werner wyskoczył z samochodu i przypadł do Wilhelma.

— Żyje!

— Oczywiście, że żyje — przytaknął Wolfgang. — Pożeracz Dusz owładnął tylko jego ciałem, żeby się z nami porozumieć.

— Patrzcie! — pisnęła Winifred.

Ten sam zielony, fosforyzujący gaz, teraz rozmiarów sporego obłoku, spowił sam środek pola bitwy. Z wolna przybierał kształt niby-pajaka o niezliczonych odnóżach, ramionach, czułkach i mackach. Z chwili na chwilę świecił coraz jaśniej. W jego

115

świecie najbliższa wieża strażnicza była widoczna wyraźnie jak w dzień. Blask przygasł i wieża z powrotem zamieniła się w kontur majaczący w świetle księżyca. Wielka cisza padła na wzgórza otaczające jezioro Totenkopf, cisza przerywana jedynie radosnymi pokrzykiwaniami ostatniej grupy uczestników festiwalu, którym udało się bezpiecznie dotrzeć na przeciwległy brzeg.

— Nie ma czasu do stracenia — powiedział Wolfgang do Wenera i Wilhelma. — Dołapcie paru oficerów. Postarajcie się znaleźć Hangfeista.

Hangfeist zniknął. Najwyższym rangą wśród żyjących oficerów był obergruppenfuehrer Bickler, w którego umyśle, będącym jedynie upiorną repliką życia, żałośnie dogasały wizje psych odchodów. Jeden rzut oka przekonał czterech Illuminati Primi, że Jabłko Niezgody kosztowało ich połowę wojsk.

— Naprzód! — ryknął Wolfgang i, prowadzeni przez czołgi, wyłamali ogrodzenie festiwalu, piechota biegiem pokonała wzgórza i szturmem wdarła się na most. Wolfgang stojąc na tylnym siedzeniu von runstedtowskiego mercedesa czarnymi rękawiczkami ścisnął oparcie przedniego siedzenia; wiatr chylił jego krótkie włosy jak pszenny łan. Nagle siedzący obok Wilhelm skrzeknął.

— O co idzie tym razem? — wrzasnął Wolfgang przekrzykując ryk nadciągającej armii.

— To życie, które odbierzemy? — zaskrzypiał głos Lloi-gora. — Będzie dla mnie i tylko dla mnie?

— Słuchaj no, ty wampirze energetyczny, musimy pospła-cać rozmaite długie i załatwić parę spraw. Dwudziestu trzech naszych wiernych służących oczekuje w Donau-Hotel na transcendentną iluminację. Najpierw oni. Potem ty. Wszystko ma swoją kolej.

— Żegnaj — oświadczył Lloigor. — Spotkamy się w godzinie twojej śmierci.

— Nigdy nie umrę!

— Idiota! — skrzeknął głos ustami Wilhelma. Nagle Wilhelm zerwał się, otworzył drzwi samochodu i pokozioł-

116

kował w stronę jeziora. Z głośnym pluskiem uderzył w taflę i poszedł na dno jak kamień. W miejscu, w którym zatonął, woda zalśniła zielonkawym blaskiem.

W ten sposób zostało ich czworo.

Hagbard ze szczytu wzgórza obserwował wtaczające się na most czołgi, za którymi jechał mercedes i dalej pancerne transporterzy, artyleria i wreszcie piechota. Ukłękł przy detonatorze i wcisnął zapłon.

Most wraz z wszystkim, co się na nim znajdowało, zniknął w spienionym gejzerze. Grzmot eksplozji — ładunki wybuchowe umieściło pod kierunkiem Howarda plemię morświnów — odbił się echem od okalających jezioro wzgórz.

Pierwsze na dno poszły czołgi.

— Coś mnie trzyma za nogę — krzyczał Werner Saure, kiedy przód samochodu dowództwa zanurzał się pod wodą. Poszedł na dno wraz z wozem, tymczasem Wolfgang i Winifred, roniąc łzy do jeziora Totenkopf, taplali się nie opodal wraz z garstką ocalałych Supernazi.

W ten sposób zostało ich troje.

— Trafiony — zatopiony! Zatopiłem most George'a Washingtona!

— Czy to coś zmienia? — spytał George.

— Naturalnie — odparł Hagbard. — Daliśmy im popalić. Za parę minut będzie po nich. A wtedy zło zniknie z tego świata i wszystko będzie cacy. — W jego głosie było więcej sarkazmu niż triumfu, co George odnotował z niepokojem.

— Zgoda — przyznał roztropnie Fuzja Chips — łyknąłem jakieś dranstwo w tym Kool-Aidzie. Ale to nie może być czysta halucynacja. Trzyście osób serio zrzuciło ciuchy i zaczęło tańczyć. Wyraźnie słyszałem, jak śpiewali w kółko: „Chwała, chwała”. A potem wyrosła skądś kobieta do samego nieba i wszystkie syreny, rusalki i nimfy powskakiwały z powrotem do wody. Jeżeli to był

Armageddon, to niezupełnie zgadzał się z opisem w Biblii. Dobrze podsumowałem sytuację?

Drzewo, do którego się zwracał, nie udzieliło odpowiedzi.

117

^

— Chwała, chwała — intonowała nadal Lady Velkor, tańcząc przeciwnie do obiegu słońca w zaimprovizowanym kręgu czarownic. Zakłęcie miało moc. Na własne oczy widziała Wielką Matkę, Izis, jak powstała i pokonała złe duchy Świętej Inkwizycji, które Iluminaci usiłowali wskrzesić. Chociaż wiedziała, że w przyszłości Hagbard Celinę w najbardziej snobistycznych kręgach okultystów będzie przechwalał się, że dokonał cudu, i przypisywał zasługi tej destruktywnej suce Eris

— nic a nic jej to nie ruszało. Wystarczyło, że na własne oczy widziała Izis.

— Chciałbym wiedzieć — ciągnął Fuzja Chips zwracając się do kolejnego drzewa, które zdawało się bardziej rozmowne

— czy też jesteś zdania, że przetoczyło się tu niezłe piekło?

— Widziałem Najwyższego Maga — odparło drzewo — a może Superszarlatana, na jedno wychodzi, jak szepnął słówko tu i ówdzie i gromada nahaj owanych zaczęła uciekać przed własnym cieniem. Chyba żebym był świadkiem ostatecznej walki Dobra ze Złem, w której Horus wspomagał obie strony — dodało drzewo, które naprawdę było Joe Malikiem, wziętym przez nieszczęsnego 00005 w narkotycznej oćmie za drzewo.

— Też musisz być naprane — stwierdził Chips niechętnie.

— I to jeszcze jak — odparło drzewo i odmaszerowało.

...pojęcia nie mam, jaki sąd na świecie poradzi sobie z czymś takim. Pięciu strzelało naraz, tajniacy nie byli im dłużni, nie ma laboratorium kryminalistycznego pod słońcem, które by odtworzyło wszystkie trajektorie. Kogo z tych, którzy przeżyli, sądzić za zabójstwo, a kogo za usiłowanie zabójstwa? Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów, w dodatku... co takiego?... rozumiem... Panie i panowie, w zaistniałych, smutnych okolicznościach... ehm... w tej dramatycznej chwili w historii narodu, ze szczególną uwagą wysłuchajmy orędzia naszego nowego prezydenta.

Co to za jakiś pizdyk tam stoi? — pytał właśnie Przywódca Narodu kogoś niewidocznego dla kamery w chwili, gdy ukazywał się na ekranie.

118

Chevrolet stegosaurus wjechał na puste pole festiwalowe zwalniając powoli.

— Co się tutaj, u diabła, stało? — krzyknął do Lady Velkor gitarzysta wystawiając głowę przez okno.

— Do Kool-Aidu dodano bardzo kiepskiego kwasu — odparła ze śmiertelną powagą. — Wszyscy ześwirowali i zerwali się stąd.

— Kurcze — zaklął — pierwszy raz mieliśmy grać przed dużą widownią. Jesteśmy nową grupą, dopiero co powstaliśmy. Co za niefart.

Zawrócił i odjechał. INCYDENT NA FERNANDO PO — odczytała Lady na tyle wozu.

— I jak się teraz miewasz, mała? — spytał Simon.

— Wiem, kim jestem — odparła Mary Lou w zamyśleniu — ale chyba będziesz tym równie mało zachwycony, jak chicagowski Departament Policji. — Patrzyła nieobecny wzrokiem.

Wolfgang i Winifred byli bardzo blisko brzegu, kiedy woda dokoła nich zaroiła się od ciemnych, wybrzuszonych kształtów.

— Wolfgang! Na litość Gruada, Wolfgang! One mnie ciągną na dno — zachrypiała Winifred. Jej długie, platynowe włosy jeszcze przez chwilę unosiły się na wodzie; potem i one zniknęły.

W ten sposób zostało ich dwóch.

Dopadły ją morświny, pomyślał Wolfgang. Nadal jak szalony pruć w kierunku brzegu. Coś go chwyciło za nogawkę, ale uwolnił się kopniakiem. Wydostał się na mieliznę, zbyt płytką dla pościgu morskich stworzeń. Wstał i człapiąc wyszedł na brzeg. Tam spotkał się twarzą w twarz z Johnem Dillingerem.

— Przykro mi, koleś — powiedział John przyciskając spust maszynowego thompsona. Trzydzieści srebrnych kul siekło Wolfganga jak grad kijów, ciskając nim z powrotem w wodę. Kiedy opuściło go uczucie, ohydne macki zacisnęły się wokół jego świadomości, cichy, przerażający śmiech przerodził się w bezgłośny rechot, a lepki głos przemówił do niego w myślach: *Witaj w miejscu przeznaczonym dla ciebie od początku czasu*

119

po wieczność. Teraz, zaiste, nie umrzesz nigdy. I umysł Wolfganga Saure'a, uwięziony jak mucha w bursztynie, wiedząc, że trwać tak będzie przez miliardy miliardów lat, zaniósł się niegasnącym krzykiem.

I wtedy został jeden.

A Joe Malik czując się, jakby siedział na widowni i przypatrywał samemu sobie, z wyciągniętą dłonią podszedł do Jednego.

— Gratulacje — powiedział lodowato. — Faktycznie, dopiąłeś swego.

— Ostatnim razem byłeś ciut serdeczniej szy. — Hagbard zmierzył spojrzeniem wyciągniętą dłoń.

— Niech ci będzie — odparł Joe. — Kto się lubi, ten się czubi. — Nachylił się i ucałował Hagbarda w same usta. Następnie wyjął broń z kieszeni i precyzyjnie wypalił prosto w mózg Hagbarda. I wtedy już nie został nikt.

To było niezwykle realne; Joe otrząsnął się i wstał z krzywym uśmiechem. Wyjął pistolet z kieszeni i wręczył Hagbardowi.

— Finał zaskakujący — oświadczył. — Przejrzałem cię, tak jak tego chciałeś. Wiem, że jesteś piątym Illuminatus Primus, a twoje prawdziwe motywy, żeby wykończyć pozostałą czwórkę, różnią się od tego, co nam wmawiasz. Nie jestem jednak w stanie odegrać mojej roli. Nadal ci ufam. Musisz mieć jakieś głębsze powody.

Hagbardowi szczeka opadła z niekłamane go zdumienia.

— Cóż, chyba zostałem trafiony — zatopiony — stwierdził ze śmiechem.

Świtało; Dziewięciu Nieznajomych, najbardziej mistyczna z rockowych kapel, założyła rytualne kaski footballowe i zwróciwszy się twarzami na Wschód, zaintonowała:

Jest tylko JEDEN Bóg, Jedyny SŁOŃCA Bóg Ra! Ra! Ra!

KSIĘGA PIĄTA

GRUMMET

Wypadki na Księżyc i inne planety nie są wydarzeniami historycznymi, lecz punktami zwrotnymi ewolucji... Dziś o nieśmiertelności i odwiedzinach w innych światach nie mówi się wyłącznie w sensie teologicznym czy metafizycznym.

Współczesny człowiek dąży do nieśmiertelności. Współczesny człowiek podróżuje po innych światach. Transcendencja przestała być terminem metafizycznym. Stała się faktem.

F.M.Esfandiary, *Uskrzydlenicy*

ODLOT DZIESIĄTY ALBO MALKUT

(POŻEGNANIE Z PLANETĄ ZIEMIA)

Gdyż zamknęliście się w klatkach strachu i narzekacie teraz, że wam brak wolności.

Lord Omar Khayyam Ravenhurst, S.S.C.,

„Listy do paranoików”

Księga Szczerej Prawdy

W miarę jak Ziemia obracała się wokół swojej osi i świt dosięgał miasto za miastem, wioskę za wioską, zagrodę za zagrodą, górę i dolinę za górą i doliną, stawało się oczywiste, że 1 maja będzie dniem pogodnym i słonecznym niemal na całym świecie. W Atenach znawca starożytności budząc się w małej celi, w której wylądował przez pewne poglądy Platona, w przyływie nagłego optymizmu powitał Heliosa potoczystą mową Safony, wołając przez kraty: *Brodadaktylos Eos!* Ptaki, spłoszone jego krzykiem, porwały się z więziennego podwórca wypełniając powietrze łopotem skrzydeł; nadeszli strażnicy i kazali mu się zamknąć. *Polyphloisbos thalassas!* — odparł radośnie — Odebraliście mi wszystko, ale nikt mnie nie pozbawi staruszka Homera!

W Paryżu komuniści pod czerwonym sztandarem i anarchiści pod czarnym przygotowywali się do dorocznych obchodów Międzynarodowego Święta Solidarności Ludu Pracy, podczas której jak zwykle dominować miały sekciarstwo i tendencje frakcyjne w sposób ujawniający absolutny brak wszelkiej solidarności ludu pracy. W Londynie, Berlinie i tysiącu miast załopotać miała czerwień i czerń, języki wyznawców tych barw zaczynały już mielić; znów miała dojść do głosu wielowiekowa tęsknota do społeczeństwa bezklasowego; w tych samych miastach jeszcze starsze imię i jeszcze starszy powód do święto-

123

wania miał być celebrowany klasztor po klasztorze, szkoła po szkole w słowach (daleko starszej niż chrześcijaństwo) pieśni ku czci Matki Bożej:

Królowo Anielska Królowo Majowa

W Stanach Zjednoczonych, niestety, odwołano uroczystości z okazji Narodowego Dnia Prawa, ponieważ rozruchy nie wygasły do końca.

Wszędzie jednak, tak w Azji i Afryce, jak w Europie i obu Amerykach, wyznawcy Najstarszej Religii wracali ze swoich uroczystości, zegnając się wypowiedzanym półgłosem „Chwała”, uspokojeni

pewnością, że Matka Boża żyje wciąż i ukazała im się o północy w dobrze znanej im postaci Diany, Dan, Tan, Tany, Sakti czy nawet Erzulie.

Królowo Anielska Królowo Majowa

W Nairobi Nkrumah Fubar odebrał swoją korespondencję z rąk przyjaciela zatrudnionego w urzędzie pocztowym. Z radością przyjął do wiadomości fakt, że American Express uznało swoją pomyłkę i postanowiło ją naprawić wypłacając mu nareszcie zaległe pieniądze z 2 lutego. Czar musiał być potężny, stwierdził, gdyż zawiadomienie wysłano z Nowego Jorku, jeszcze zanim 25 kwietnia posługując się tetrahedronem rzucił zaklęcie na prezesa American Express. Naturalnie warto było się przyjrzeć bliżej zaklęciu, które miało moc wsteczną; wszystko opierało się na synergetycznej geometrii fullerowskiego czworościanu, w którym trzymał swoją figurkę podczas rzucania czaru. Przy śniadaniu, przed wyjściem na uniwersytet, otworzył *Koniec bogów z drugiej ręki* Fullera i kolejny raz zaczął się zmagać z matematyką i metafizyką wielokierunkowej holoemancji. Ukończywszy śniadanie zamknął książkę, przymknął oczy i spróbował zwizualizować uniwersum Fullera. Obraz wyłonił się, identyczny, ku jego zdumieniu i rozbawieniu,

124

"

ze znakami, które rysował mu stary szaman Kikujów, usiłując wyjaśnić doktrynę „wachlarzowatej przyszłości”.

W chwili gdy w Kenii zamykała się książka, bębny Orabi umilkły z nienacka. U Hopich była pierwsza w nocy i bawiący u nich antropolog, Indole Ringh, koniecznie chciał ustalić, skąd tancerze wiedzieli, że ceremonia dobiegła końca.

— Niebezpieczeństwo minęło — cierpliwie wyjaśnił mu stary Hopi — nie czujesz różnicy w powietrzu? (Saul, Barney i Markoff Chaney pędzą w kierunku Las Vegas wynajętym brontosaurom, Dillinger, tymczasem, niespiesznie wraca do Las Vegas.) W Honolulu, gdzie zegary biją dziewiątą poprzedniego wieczora, wzrok drepczącego między samolotami Buckminste-ra Fullera pada na nowoczesną kopułę, która reprezentuje doskonały model wielokierunkowej holoemancji... Po czterogodzinnym locie na wschód, lądując w Tokio „o tej samej porze”, o której opuścił Honolulu, miał już gotowy szczegółowy szkic (całość wyglądała nieco wachlarzowato) w chwili, gdy zapłonęły napisy PALENIE WZBRONIONE PROSZĘ ZAPIĄĆ PASY. (W Los Angeles była czwarta rano i Dillinger, który sądził, że bezpiecznie dobrnął do domu, usłyszał strzały milknące w oddali. Prezydent pewnie zaczyna już wycofywać Gwardię Narodową, pomyślał.) W tym momencie zadzwonił telefon u wezglowia Rebeki. W Nowym Jorku była już ósma, Rebeka odebrała telefon.

— Saul i Barney są w telewizji! Włącz telewizor — uratowali kraj!

W Las Vegas Barney mrugał w świetle jupiterów, patrząc tępo w kamerę, Saul natomiast, nie spuszczać wzroku z dziennikarza, przybrał ton pocziwego doktora rodziny.

— Inspektorze Goodman, czy mógłby pan powiedzieć naszym telewidzom, jak doszło do tego, że tropiąc zbiegłego trafiliście panowie do Jaskiń Lehmana? — Dziennikarz przemawiał zawodowym tonem, jakim posługiwali się wszyscy newsmeni TV; tym samym tonem pytałby „Dlaczego reklamowany przez nas produkt bardziej pana zadowolił?” czy „Jak przyjął pan wiadomość, że ma pan raka mózgu?”

125

"1

— Kłania się psychologia — oznajmił Saul z powagą. — Ścigany był zawodowym stręczycielem. Reprezentował określony typ psychiczny, podobnie jak włamywacze, bandyci, pedofile czy policjanci. Staralem się wczuć w mentalność sute-nera. Co robi taki człowiek w chwili, gdy wszystkie władze depczą mu po piętach? Próbuje zwać do Meksyku, czy coś w tym stylu? Absolutnie nie — taka ucieczka to reakcja typowa dla uczestników napadów na bank. Sutenerzy nie należą do ludzi, którzy lubią ryzyko, których byłoby stać na śmiałe posunięcia w trudnej sytuacji. Co robi w trudnej sytuacji sutener? Szuka nory, w której mógłby się zaszyć.

— Laboratorium kryminalistyki zdecydowanie potwierdza, że mężczyzna, którego znalazł inspektor Goodman, jest poszukiwanym złodziejem szczepu bakterii, Carmelem — wtrąca dziennikarz. (Otrzymał rozkaz, żeby powtarzać tę wiadomość co dwie minuty.) — Czy mógłby pan powiedzieć, inspektorze, dlaczego osobnik tego pokroju nie będzie szukał schronienia w pustym domu czy, dajmy na to, chacie na górskim odludziu?

— Nie odejdzie daleko — wyjaśnił Saul. — Widok policji na każdym kroku wpędza go w paranoję. W dodatku jego wyobraźnia podsuwa mu bardzo przesadzony obraz możliwości władz. W naszym kraju na czterystu obywateli wypada raptem jeden przedstawiciel prawa, ale w jego wyobraźni proporcje ulegają odwróceniu. Nawet na najdalszym odludziu nerwy miałby w strzępach. Oczami

duszy widziałby, jak zastępy Gwardii Narodowej i wszelkiej maści przedstawiciele prawa przeczesują każdą piędź lasu w Stanach. Poważnie. Sutenerzy w porównaniu z innymi kryminalistami są bardzo ludzcy. W większości spraw rozumują jak zwyczajni ludzie. Zwykli mężczyźni i kobiety nigdy nie popełniają zbrodni, ponieważ mają takie same, przesadne wyobrażenie na temat naszej wszechmocy. — Ton Saula był rzeczowy, beznamiętny, ale w Nowym Jorku Rebecce serce zamarło na chwilę: tak mówił nowy Saul, Saul, który nie był już po stronie porządku i prawa.

— I wtedy zadał sobie pan pytanie, gdzie jest jakaś solidniejsza nora w pobliżu Las Vegas?

126

— Dokładnie tak.

— Naród amerykański z pewnością będzie panu wdzięczny. A jak doszło do tego, że zajął się pan tą sprawą? Jest pan pracownikiem nowojorskiego Departamentu Policji, nieprawdaż?

Co na to powie? — zastanawiała się Rebeka; w tym momencie zadzwonił telefon.

— Słucham? — powiedziała podnosząc słuchawkę i ścisząc telewizor.

— Sądząc z pani głosu jest pani kobietą, której system wartości całkowicie pokrywa się z moim — oświadczył August Personage. — Chciałbym wylizać pani dupę i cipę, chciałbym, żeby zrobiła pani na mnie siku, chciałbym...

— To rzeczywiście zdumiewająca historia, inspektorze Goodman — mówił dziennikarz. Rany, pomyślała Rebeka. Prostoduszny wyraz twarzy Saula sugerował, że musiał łągać bezczelnie jak nigdy.

Telefon zadzwonił znowu. Jak sęp rzuciła się na słuchawkę.

— Słuchaj, obleśny dziadu, jeszcze raz zadzwonisz do mnie... — wrzasnęła.

— Tak się mówi do człowieka, który właśnie uratował ludzkość? — łagodnie napomniał ją Saul.

— Saul! Przecież jesteś w telewizorze...

— Nakręcili mnie pół godziny temu. Jestem na lotnisku w Las Vegas, zaraz lecę odrzutowcem do Waszyngtonu na konferencję z prezydentem.

— Rany boskie. Co ty mu powiesz?

— Powiem mu tyle, ile taki dupek jak on będzie w stanie strawić — oznajmił Saul dobitnie.

(W Los Angeles dr Vulcan Troll obserwuje, jak wskazówka sejsmografu wychyla się w stronę dwójki. Dwójka to jeszcze nic groźnego, na wszelki wypadek jednak zostawia notatkę studentowi, który ma go zastąpić. „Gdyby podskoczyło do trzech, zadzwoń do mnie”. Następnie jedzie do domu, mijając po drodze bungalów Dillingera; nuci wesoło, zadowolony, że zamieszki skończyły się i odwołano Gwardię. W laboratorium student

127

zaczęty w *Orgietce zmysłów* nie zauważa, że wykres przelatuje przez 3 i dochodzi do 4.)

Danny Pricerfixer budzi się w Ingolstadt i patrzy na zegarek. Południe. *Rany boskie*, zaniepokoił się; tak późne wstawanie było jednym z głównych wykroczeń w jego kodzie moralnym. A potem przypomniał sobie co nieco z ostatniej nocy, uśmiechnął się z zadowoleniem i przekręcił na łóżku, żeby pocałować Lady Velkor w dekolt. Wielkie, czarne łapsko obejmowało Lady z drugiej strony, a czarna dłoń, ciężka od snu, ścisnęła jej pierś.

— Rany boskie! — powiedział na głos, przypominając sobie wszystko do końca. Clark Kent usiadł, gapiąc się nieprzytomnie w Danny'ego.

(„Uśmiechnięty Jim” Trepomena przeciskał się właśnie przez niezwykle niebezpieczną szczelinę w górach Północnej Kalifornii. Do pleców przypiął sześciomilimetrowego remingtona model 700 Bolt Action z powiększającym 6-krotnie celownikiem typu bushnell; z jednej strony u pasa miał przytroczonej manierkę whisky, z drugiej manierkę wody. Mimo znacznej wysokości pocił się z wysiłku, był jednak jednym z niewielu pogodnych ludzi w kraju, a to dlatego, że w ciągu ostatnich trzech dni ani razu nie znalazł się w zasięgu radioodbiornika, w związku z czym ominęła go panika związana z zarazką Wąglika-Trądu-Pi, ogłoszenie stanu wyjątkowego, rozruchy i eksplozje bomb. Miał swój doroczny urlop, z dala od parszywego ścieku, w którym spędzał czterdzieści dziewięć tygodni w roku — brudu i smrodu, w którym tyrał bohaterstwo dzień po dniu, narażając całość swej duszy dla dobra współobywateli — oddychał krystalicznym powietrzem i myśli miał też krystalicznie jasne. Zwłaszcza że jako zapalony myśliwy przeczytał się, że na świecie żyje już tylko ostatni egzemplarz orła amerykańskiego, i postanowił zdobyć w literaturze łowieckiej nieśmiertelność jako człowiek, który go zabił. Naturalnie wiedział doskonale, jak jego wyczyn ocenią ekolodzy i przyrodoznawcy, jednak opinii ich miał gdzieś. Banda pedryli, komuchów i porypanych gnojów — tak brzmiał werdykt Jima

128

w sprawie tego pokroju mięczaków. W dodatku pewnie palą trawkę. Nie ma wśród nich jednego

chłopa z jajami. Przesunął karabin, uwierający go boleśnie przez spotniałą koszulę, i dalej piął się niestrudzenie.)

Mama Sutra wbiła wzrok w centralną kartę Tarota w Drzewie Życia: kartą był Głupiec.

— Pan wybaczy — zwróciło się małe, włoskie drzewko.

— To zaczyna zakrawać na komedię — mruknął Fuzja Chips. — Nie zamierzam spędzać reszty życia na rozmówkach z drzewami.

— Jestem drzewem, z którym akurat warto rozmawiać — powiedziało śniade drzewko z włosami upiętymi w kok.

Fuzja skrzywił się.

— Wiem, kim jesteś — zawyrokował w końcu — pół drzewem a pół kobietą. *Ergo*, jesteś driadą. Kłania się wykształcenie klasyczne.

— Świetnie — pochwaliła driada. — Ale kiedy skończysz tripować, czeka cię twarde lądowanie. Będiesz wprawdzie pamiętał Londyn i swoją robotę, ale będziesz zachodził w głowę, jak im wytłumaczyć swoją miesięczną nieobecność.

— Ktoś wykradł mi miesiąc — zgodził się Chips uprzejmie. — Stara, cyniczna świnia nazwiskiem Dealy Lama. Albo ten drugi, o ksywie Ropuch. Niezłe ziółko. Kręci się tutaj i pod-pyla ludziom miesiące.

Drzewko wręczyło mu kopertę.

— Spróbuj tego nie zgubić — powiedziało. — To, co jest w środku, uszczęśliwi kogoś w twoim biurze tak dalece, że dadzą sobie wcisnąć każde wyjaśnienie, dlaczego zdobycie tego zajęło ci miesiąc.

— Co to jest?

— Kompletna lista wszystkich ZASYFIONYCH agentów w rządzie brytyjskim. Łącznie z fałszywymi nazwiskami, którymi posługują się korzystając z kont, na których trzymają forszę, z której nie mogą się rozliczyć. Również numery kont i nazwy banków. W jednym, zgrabnym pakiecie. Nic, tylko przewiązać czerwoną wstążeczką.

129

— Znów mnie chyba ktoś robi w konia — powiedział Chips. Niemniej jednak to już było lądowanie. Otworzył kopertę i przejrzał zawartość.

— To wszystko prawda? — upewnił się.

— Nie będą w stanie udowodnić źródła tych dochodów — uspokoiło go drzewko. — Dojdzie do bardzo interesujących spowiedzi.

— Kim ty jesteś, do diabła? — spytał Chips, wyraźnie już widząc przed sobą włoską nastolatę a nie drzewko.

— Jestem twoim Aniołem Stróżem — odparła.

— Wyglądasz jak anioł — przyznał Chips niechętnie — ale nie chce mi się w to wszystko wierzyć. Podróż w czasie, gadające drzewa, gigantyczne ropuchy — jedna wielka bujda. Ktoś musiał mi wcisnąć jakiś narkotyk.

— Zgadza się, ktoś wcisnął ci jakiś narkotyk, ale ja jestem twoim Aniołem Stróżem i wciskam ci tę kopertę, dzięki której w Londynie wszystko będzie grało. Ze swojej strony musisz wyprodukować tylko jakies w miarę przekonujące kłamstwo...

— Wzięli mnie w jakichś ZASYFIONYCH lochach, w czarujących objęciach skośnookiej niewolnicy — zaczął improwizować Chips.

— Bardzo dobrze — pochwaliła. — Nie uwierzą ci, ale będą przekonani, że ty w to wierzysz. To ich zadowoli.

— Kim jesteś naprawdę?

Ale drzewko powtórzyło tylko: „Nie zgub koperty” i odeszło, zamieniając się we włoską nastolatę, a następnie w ol-brzymkę ze złotym jabłkiem.

Hauptmann, szef operacji terenowych zachodnioniemieckiej policji, z odrazą rozglądał się po apartamencie fuehrera. Przyjechał z Bonn i udał się prosto do Donau-Hotel, licząc, że uda mu się rzucić światło na skandale, targedie i tajemnicze wydarzenia ostatniej nocy. Pierwszym podejrzanym, którego wziął na muszkę, był *Freiherr* Hagbard Celine, rozpustny, zaliczany do jet-set milioner, który przybył na festiwal z imponującą świtą. Celine i Hauptmann gawędzili cicho w kącie apartamentu fuehrera; za ich plecami trzaskały policyjne flesze.

130

Hauptmann, wysoki i szczupły, siwy, obcięty na jeża, miał wąską, lisią twarz i świdrujący wzrok.

— Wczorajsza śmierć waszego prezydenta to doprawdy straszna tragedia — powiedział. —

Proszę przyjąć moje kon-dolencje, również z powodu dramatycznej sytuacji w pańskim kraju. — W rzeczywistości Hauptmann z głębokim zadowoleniem obserwował, jak Ameryka pogrąża się w chaosie. Miał piętnaście lat, kiedy kończyła się druga wojna światowa, do wojska został powołany, kiedy alianci wkraczali już do Niemiec, i był świadkiem, jak jego ojczyznę deptce żołnierz amerykański. To wszystko odcisnęło w jego psychice głębsze i trwalsze piętno niż późniejsza współpraca USA-RFN.

— Nie mój prezydent nie mojego kraju — sprostował pośpiesznie Hagbard. — Urodziłem się w Norwegii. Mieszkałem w Stanach przez jakiś czas i nawet uzyskałem kiedyś tam obywatelstwo amerykańskie, jednak zrezygnowałem z niego już dawno.

— Rozumiem — powiedział Hauptmann, bez powodzenia usiłując ukryć niesmak, jaki wzbudzała w nim niejasna przynależność narodowa Hagbarda. — Jakie państwo wobec tego ma zaszczyt aktualnie zaliczać pana do grona swoich obywateli?

Hagbard z uśmiechem sięgnął do wewnętrznej kieszeni granatowej, marynarskiej kurtki z mosiężnymi guzikami, którą przywdział na tę okazję. Wręczył paszport Hauptmannowi, który odebrał go i chrząknął ze zdumienia.

— Gwinea Równikowa. — Uniósł wzrok, ściągając brwi. — Fernando Po!

— Dokładnie — potwierdził Hagbard, szczerząc w śniadej twarzy białe zęby. — Jestem gotów przyjąć pańskie wyrazy ubolewania z powodu dramatycznej sytuacji w tym kraju.

Niechęć Hauptmanna do śródziemnomorskiego plutokraty pogłębiała się z chwili na chwilę. Gość bez wątpienia należał do grona wyzutych z zasad kosmopolitycznych awanturników, którzy posługiwali się obywatelstwem jak statki pływające pod banderą Panamy. Majątek Celine'a był najprawdopodobniej równy, o ile nie większy, od dochodu narodowego Gwinei

131

Równikowej, ale on dla swojej przybranej ojczyzny nie zdziałał zapewne nic poza przekupieniem paru urzędników, żeby uzyskać obywatelstwo. Gwinea Równikowa pogrążyła się w wojnie domowej, przez co świat wylądował na krawędzi trzeciej, ostatniej wojny, a ten wymuskany makaroniarski truteń zajeżdża na festiwal rockowy swoim bugatti royale z bandą nierobów, klakierów, fagasów, pieszczoszkow, dziwek, ćpunów i wszelkiej maści zakał społeczeństwa. Odrażające!

— W tym pokoju coś śmierdzi. — Hagbard rozejrzał się dookoła. — Jak pan może rozmawiać w takim smrodzie? Niedobrze mi się robi.

Zadowolony, że chociaż tak może sprawić przykrość facetowi, którego z chwili na chwilę coraz bardziej nie lubił, Hauptmann rozparł się w czerwonym fotelu, odsłaniając zęby w uśmiechu.

— Wybacz mi pan, Freiherr Celine, niestety zmuszony jestem odbyć z panem rozmowę właśnie w tym miejscu. Nie przypuszczałem jednak, że ten dziwny zapach ryb będzie dla pana przykry. Być może zmylił mnie pański strój marynarza.

Hagbard wzruszył ramionami.

— Między innymi param się żeglarstwem. Jednak fakt, że ktoś lubi morze, nie znaczy automatycznie, że ma ochotę siedzieć w pobliżu tony zdechłych makreli. Swoją drogą, co to jest, pańskim zdaniem?

— Nie mam pojęcia. Spodziewałem się, że pan będzie wiedział.

— Dla mnie to cuchnie zdechłą rybą i tyle. Obawiam się, że pańskie oczekiwania wobec mojej osoby mogą być wygórowane. Domyślam się, że liczy pan na informacje na temat wczorajszej nocy. Co chciałby pan wiedzieć?

— Po pierwsze, chciałbym się dowiedzieć, co się tutaj naprawdę działo. Mam wrażenie, że doszło do nadużycia narkotyków na niespotykaną skalę. A my — mam na myśli Zachód — mieliśmy z tym dosyć kłopotów w ostatnich latach. Nie sposób znaleźć nawet jednego uczestnika festiwalu, który nie skosztowałby chociaż napoju chłodzącego zaprawionego LSD.

132

— Daj każdemu, ile dusza pragnie, by się żaden nie wywinął tripowaniu — powiedział Hagbard.

— Że co, przepraszam?

— Parodiowałem Szekspira — wyjaśnił Hagbard. — Ale to tak na boku. Proszę, niech pan mówi dalej.

— Cóż, jak dotąd nikt nie był mi w stanie podać spójnej czy choćby wiarygodnej wersji wczorajszych wydarzeń — stwierdził Hauptmann. — Mamy dwadzieścia siedem udokumentowanych zgonów. Doszło do zbiorowego nadużycia LSD. Mamy liczne relacje o strzałach z rewolwerów, karabinów i broni maszynowej na brzegu jeziora. Sporo świadków twierdzi, że widziało biegających po lesie mężczyzn w hitlerowskich mundurach. O ile nie była to halucynacja, noszenie mundurów

hitlerowskich jest w Niemieckiej Republice Federalnej poważnym przestępstwem. Na razie, odmawiając informacji przybyłym przedstawicielom prasy, udało nam się powstrzymać przeciek podobnych bredni do wiadomości publicznej, będziemy jednak musieli precyzyjnie określić, do jakich przestępstw doszło i kto je popełnił, a następnie energicznie przystąpić do ścigania winnych. W przeciwnym wypadku w oczach świata uzyskamy opinię narodu, który nie potrafi się uporać ze zbiorową deprawacją młodzieży goszczącej w naszym kraju.

— Nie ma kraju, w którym by się nie odbywała zbiorowa deprawacja młodzieży — pocieszył go Hagbard. — Tym bym się akurat nie przejmował.

Hauptmann odchrząknął; w jego pamięci odżyła parada zaćpanych przebierańców w hitlerowskich mundurach i piętnastolatek w mundurze niemieckiej armii, jakim był on sam przed trzydziestu laty. Doskonale rozumiał, co Hagbard ma na myśli.

— Muszę robić to, co należy do moich obowiązków — oświadczył posepnie.

Spójrz o ile miłszym miejscem stal się świat, od kiedy Sau-re 'owie zniknęli z jego powierzchni, błysnęła mu w mózgu myśl od Dealy Lamy. Hagbard zachował twarz pokerzysty.

— Wygląda na to, że w całym tym incydencie odegrał pan bardzo pozytywną rolę, FraTim-Celinę — ciągnął Hauptmann.

133

— Z relacji wynika, że w chwili gdy histeria i halucynacje sięgnęły swoistego zenitu, wszedł pan na scenę i wygłosił mowę, która znacznie uspokoiła publiczność.

— Pojęcia nie mam, co mówiłem — roześmiał się Hagbard. — Wie pan, co mi się wydawało? Zdawało mi się, że jestem Mojżeszem, a oni są Izraelitami, i mam przeprowadzić ich przez Morze Czerwone przed pałającym żądzą rzezi wojskiem faraona.

— Wygląda na to, że Izraelici, którzy byli wczoraj na miejscu, tak czy owak odjechali dosyć daleko. Pan sam nie jest przypadkiem Żydem, *Freiherr* Celinę?

— Nie wyznaję żadnej religii. Czemu pan pyta?

— Myślałem, że pomógłby nam pan zrozumieć pewne rzeczy w tych pokojach. Nieważne na razie. Ciekawe, że prowadził ich pan przez jezioro. Dziś rano, kiedy oddziały policji wkroczyły na teren festiwalu, faktycznie odnaleziono większość młodych błądzących po drugim brzegu jeziora.

— Cóż, być może obeszlśmy je dookoła w przekonaniu, że idziemy po wodzie — stwierdził Hagbard. — A tak nawiasem, pańskich ludzi nie było na festiwalu? Jeśli mieliście kogoś, na pewno będzie mógł panu powiedzieć, co się naprawdę działo.

— Mieliśmy paru agentów w cywilu, ale nie byli mi w stanie nic powiedzieć. Wszyscy, z wyjątkiem jednego, niechcący zażyli LSD, a ten, który nie zażył, musiał również halucynować, ulegając zbiorowej sugestii. Widział hitlerowców, świetlistą kobietę wzrostu stu stóp, most przez jezioro. Czyste brednie. Niewątpliwie nie uszło pańskiej uwagi, że na miejscu nie było policji mundurowej. Przygotowania — zatwierdzone na najwyższym szczeblu — poszły w kierunku pozostawienia kwestii bezpieczeństwa w rękach organizatorów festiwalu. W odczuciu władz, w obliczu panujących wśród współczesnej młodzieży nastrojów, oficjalni przedstawiciele prawa nie będą efektywni w kontrolowaniu olbrzymich mas ludzkich. Przyznam, że moim zdaniem podobna decyzja była chowaniem głowy w piasek, ale, Bogu dzięki, nie jestem politykiem. W efekcie utrzymanie porządku spoczęło ostatecznie na barkach osób,

134

które, podobnie jak pan, poczuwały się w zaistniałej sytuacji do działania. Osób o ograniczonej poczytalności, nieświadomych ofiar LSD.

— Cóż, żeby w pełni zrozumieć, co się wydarzyło, musi pan przyjąć do wiadomości, że niejeden z obecnych na festiwalu zapewne z przyjemnością zorientował się, że leci na kwasie. Wielu z pewnością przywiozło własny kwas, żeby zażyć na miejscu. Osobiście mam bardzo bogate doświadczenia z LSD. Jak pan zapewne rozumie, człowiek o moich horyzontach czuje się zobowiązany spróbować wszystkiego chociaż raz. Próbowałem LSD jeszcze w czasach, kiedy na całym świecie było legalne.

— Rozumiem — przytaknął kwaśno Hauptmann.

— Czy wziął pan pod uwagę taką ewentualność, że ci panowie, mimo podeszłego wieku, mogli niechcący łyknąć LSD i wykitować na zawał lub coś w tym stylu? — spytał Hagbard rozglądając się po pokoju.

W apartamencie znajdowało się dwudziestu trzech nieboszczyków, w tym trzynastu w dużym salonie, gdzie siedzieli Hagbard z Hauptmannem. Nieboszczycy upozowani byli w różnych stadiach kompletnego zwisu; jedni głowy odrzucili do tyłu, inni siedzieli złożeni w scyzoryk z głową dyndającą między kolanami. Oprócz tego dziewięciu starców siedziało w sypialni, a jeden w łazience. Większość

z nich była siwa; paru miało łysiny. Wszyscy przekroczyli osiemdziesiątkę, a paru wyglądało, jakby im stuknęło dziewięćdziesiąt. Starca w łazience śmierć przyłapała we wstydlivej pozie, z opuszczonymi spodniami. Był to ten sam starszy mężczyzna z białym wąsem i niesfornym kosmykiem na czole, który dwa dni wcześniej tak nieuprzejmie zwrócił się w hallu do George'a.

— Obawiam się, że niełatwo będzie ustalić, co przydarzyło się tym panom — pokręcił głową Hauptmann. — Wygląda, jakby wszyscy zeszedli jednocześnie. Nie ma żadnych zewnętrznych objawów otrucia, śladów walki czy cierpienia, poza wyrazem ich oczu. Wszyscy patrzyli przed siebie takim wzrokiem, jakby widzieli coś nieopisanie przerażającego.

135

— Czy ma pan jakiegokolwiek pojęcie, kim są? Czemu sądził pan, że mógłbym pomóc, gdybym był Żydem?

— Znaleźliśmy ich paszporty. Wszyscy są obywatelami Izraela. Już to, samo w sobie, jest dość dziwne. Żydzi w tym wieku zwykle, z oczywistych powodów, nie palą się do odwiedzania naszego kraju. Niemniej właśnie tu, w Ingolstadt, 1 maja 1776 powstała powiązana z ruchem syjonistycznym organizacja. Mogli być mędrkami Syjonu, którzy zjechali się dla uczczenia tej rocznicy.

— Możliwe — potwierdził Hagbard. — Iluminaci Bawarscy, o ile się nie mylę? Wspomniano mi o nich, kiedy tylko tu przyjechałem.

— Organizacja została założona przez usuniętego z zakonu jezuitę, a jej członkami byli masoni, wolnomyśliciele i Żydzi. Było też parę nazwisk zasłużonych na polu polityki czy sztuki: król Leopold, Goethe, Beethoven.

— I mówi pan, że właśnie ta organizacja stała za ruchem syjonistycznym?

— Nie twierdę, że oni stali za czymkolwiek — Hauptmann niecierpliwie strzepnął długimi, szczupłymi palcami. — Nigdy nie brak takich, którzy za każdym faktem politycznym czy kryminalnym zwęszą kogoś lub coś. Teoria spiskowa zawsze im wszystko wyjaśni. Moim zdaniem, to nienaukowe. Chcąc zrozumieć podłoże wydarzeń, trzeba dokonać analizy społeczeństwa pod kątem ekonomii, kultury i warunków socjalno-bytowych. Syjonizm był logiczną konsekwencją sytuacji Żydów w ostatnim stuleciu. Nie ma żadnej potrzeby doszukiwać się jakichś Iluminatów, którzy byliby twórcami i propagatorami ruchu. W wielu krajach Żydzi byli w bardzo paskudnej sytuacji — szukali, gdzie by się podziać — jest dziecinną oczywistością, że wizja Palestyny musiała być dla nich pociągająca.

— Cóż — stwierdził Hagbard — skoro Iluminaci nie odegrali żadnej roli w historii Izraela, co wobec tego robi tutaj dwudziestu trzech Izraelitów w rocznicę założenia organizacji?

136

— Być może oni sądzili, że Iluminaci odegrali jakąś rolę. Może nawet byli członkami tej organizacji. Mam zamiar zwrócić się do Izraela o ustalenie ich tożsamości. Krewni zapewne zgłoszą się po zwłoki. Jeżeli nie, rząd niemiecki dopilnuje pochówku w obecności rabina, zgodnie z wymogami obrządku, na cmentarzu żydowskim w Ingolstadt. Nasz rząd troszczy się nadzwyczajnie o osoby pochodzenia żydowskiego. Ostatnio.

— Może byli wolnomyślicielami i nie życzyliby sobie pochówku w religijnym stylu — zauważył Hagbard.

— Ani mnie to ziębi, ani grzeje — odparł Hauptmann. — Zasięgnijemy rady rządu izraelskiego i postąpimy zgodnie z ich zaleceniami. — Do drzwi zastukał lokaj w podeszłym wieku; wpuścił go jeden z ludzi Hauptmanna. Lokaj pchał przed sobą wózek z wykwintnym srebrnym dzbankiem do kawy, filiżankami i tacą ciastek. Podtoczył wózek po puszystym dywanie prosto do stolika Hauptmanna i Hagbarda. Załzawionymi oczami starannie unikał spoglądania w stronę poroższadzanych po apartamencie zwłok. Nalał obu rozmówcom kawy.

— Mnóstwo śmietanki i cukru — zaordynował Hagbard.

— Dla mnie czarna — poprosił Hauptmann, z apetytem zatapiając zęby w ciastku z wiśniowym nadzieniem.

— Skąd pan ma pewność, czy ktoś nie dosypał LSD do kawy i ciastek? — spytał Hagbard z łobuzerskim uśmiechem.

Hauptmann pogładził się po włosach, odwzajemniając uśmiech.

— Ponieważ dobrze wiemy, że kazałbym zamknąć ten hotel, gdyby podali mi jedzenie zaprawione czymkolwiek. Jestem pewien, że nie zaniedbano niczego.

— Skoro weszliśmy na grunt towarzyski, pozwoli pan, że przy kawie poproszę go o drobną uprzejmość — powiedział Hagbard. — Chciałbym, żeby mnie pan zwolnił już dziś. Mam parę spraw, które powinienem doglądać w Stanach, i chciałbym wyjechać.

— Pierwotnie zamierzał pan zostać przez cały tydzień, a teraz porywa się pan tak nagle. Trudno mi to zrozumieć.

137

— Planowałem dłuższy pobyt, jednak wykoszono prawie cały rząd amerykański, zresztą w sytuacji, w której odwołano festiwal, nie mam tu żadnych interesów. Swoją drogą, ciekawi mnie, dlaczego odwołano festiwal? Czyj to był pomysł i czym umotywowany?

Hauptmann rzucił mu ponure spojrzenie, biorąc do ust kolejny kęs ciastka, Hagbard tymczasem zachodził w głowę, jak ktokolwiek może cokolwiek konsumować w tym koszmarnym smrodzie. Rozumiał, że detektyw może być nieczuły na obecność trupów, ale ten rybi fetor przechodził wszelkie pojęcie.

— Po pierwsze, *Freiherr* Celinę, istnieje kwestia zaginięcia, a najprawdopodobniej utonięcia czterech członków rodziny Saure, znanych również jako Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne. Fantastyczne relacje na ich temat przeczą sobie nawzajem, podobnie jak relacje na temat wszystkich incydentów, które wydarzyły się zeszłego wieczoru. Reasumując, wygląda na to, że wjechali samochodem w sam środek jeziora.

— Od której strony? Hauptmann wzruszył ramionami.

— Nieważne. Jezioro jest praktycznie bezdenne. Jeżeli poszli na dno, nie sądzę, żebyśmy mieli ich kiedykolwiek znaleźć. Musieli być pod działaniem LSD, co dla nich z pewnością było niecodziennym doświadczeniem. — Posłał oskarżycielskie spojrzenie Hagbardowi. — Byli tacy schludni. Prawdziwa nadzieja przyszłości. A samochód był zabytkiem narodowym. Wielka strata.

— Czy tylko oni zaginęli?

— Któż może wiedzieć? Nie mamy ścisłej ewidencji uczestników festiwalu. Nie ma żadnej listy osób, które kupiły bilety, a powinna być. Tysiące chłopców i dziewcząt mogło utonąć w jeziorze, a my nic o tym nie wiedzielibyśmy. Tak czy owak, Saure'owie, jak pan zapewne orientuje się, byli *spiritus movens* festiwalu ingolstackiego. Prawdziwie patriotyczny gest. Jako rodowici Bawarczyści chcieli przyciągnąć turystów do Niemiec, zwłaszcza do Bawarii.

138

W

— Rozumiem — powiedział Hagbard. — Czytałem, że Ingolstadt było ich miastem rodzinnym. Hauptmann pokręcił głową.

— Ich rzecznik prasowy wymyślił tę historyjkę, kiedy wpadli na pomysł festiwalu. W rzeczywistości urodzili się w północnej Bawarii, w Wolframs-Eschenbach, miejscowości, w której przyszedł na świat inny sławny muzyk niemiecki, *Minnesinger* Wolfram von Eschenbach, kompozytor *Parsifala*. Cóż, nie wrócą już, chyba że zdarzy się cud, a nie ma nikogo, kto zająłby ich miejsce. Festiwal bez nich upadnie jak ciało bez głowy. Zresztą władze żądają zamknięcia festiwalu, żeby nie powtórzyła się wczorajsza noc. W Niemczech Zachodnich, w przeciwieństwie do USA, LSD jest nielegalne.

— W niektórych stanach też jeszcze jest nielegalne — sprostował Hagbard. — Natomiast w Gwinei Równikowej nigdy nie zostało zdelegalizowane, ponieważ nie mieliśmy tam dotąd żadnych problemów z narkomanią.

— Pan, jako entuzjastyczny obywatel Gwinei Równikowej, z pewnością jest zachwycony takim obrotem rzeczy — zakpił Hauptmann. — Cóż, *Freiherr* Celinę, chętnie zwolniłbym pana natychmiast, jednak kiedy ubieram więcej informacji na temat ubiegłej nocy, będę miał do pana więcej pytań. Muszę pana prosić o pozostanie na terenie Ingolstadt.

— Jeśli obieca mi pan, że nie każe mnie śledzić ani pilnować, daję słowo, że nie będę się oddalał.

— Pańskie słowo nie jest potrzebne. — Hauptmann uśmiechnął się z przekąsem. — Wszystkie drogi są zablokowane; samolotom nie wolno startować ani lądować na ingolstackim lotnisku. Bez przeszkód może się pan poruszać po mieście, wokół jeziora i po terenie festiwalu.

Hagbard ruszył do wyjścia jednocześnie ze starym kelnerem. Kelner z ukłonem otworzył przed nim drzwi.

— Straszna szkoda — powiedział, kiedy drzwi się zamknęły.

— Cóż — powiedział Hagbard — wszystkim stuknęła już osiemdziesiątka. Piękny wiek, żeby umierać.

139

— Mam siedemdziesiąt pięć lat i żaden wiek nie wydaje mi się stosowny do umierania — roześmiał się kelner. — Nie o nich mi jednak chodziło. Być może *mein herr* nie zauważył akwarium w salonie. Stłukło się, a ryby powypadały na cały pokój. Opiekowałem się tym akwarium od ponad

dwudziestu lat. Zawierało unikalną kolekcję ryb tropikalnych. Nawet pielęgnice egipskie. Wyzdychały co do jednej. Ech, życie, życie.

Hagbard chciał się spytać kelnera, co to takiego egipskie pielęgnice, ale stary nieoczekiwanie kiwnął głową, pchnął drzwi do pomieszczeń służbowych i zniknął.

Danny Pricefixer, czując się absolutnie cudownie, błędził w ciemnościach z Lady Velkor i Clarkiem Kentem, kiedy dopadła go panna Portinari.

— To cię powinno zainteresować — oświadczyła wręczając mu kopertę podobną do tej, którą dała Fuzji Chipsowi.

— Co to takiego? — spytał widząc przed sobą grecką boginię ze złotym jabłkiem w ręku.

— Zobacz sam.

Otworzył kopertę i wyciągnął ze środka zdjęcie Tobiasa Knighta i Zeva Hirscha nastawiających bombę zegarową na środku redakcji „Konfrontacji”.

— Ten gość — powiedziała wskazując na Knighta — gotów jest złożyć zeznania obciążające zarówno Hirscha, jak i Atlantę Hope. Zdaje się, że już dawno miałeś chętkę ich ca-pnąć, nieprawdaż?

— Kim jesteś? — spytał zbaraniały Danny.

— Jestem osobą, o której mówiła ci Mama Sutra, wyznaczono mnie, bym skontaktowała się z tobą w Ingolstadt. Jestem Iluminowana.

(— O czym tych dwoje gada? — spytał Clark Kent Lady Velkor.

— Trudno orzec — odparła. — Oboje są nahajowani.)

— Boży Grom to aktualnie najaktywniejsze ugrupowanie w Stanach Podporządkowane Kultowi Żółtego Znak — łągała jak z nut panna Portinari.

140

— Nie lubię fabrykować oskarżeń. Nawet wobec ludzi w rodzaju Hirscha i Hope — parę kroków dalej Joe Malik mówił do Hagbarda.

— Oskarżasz nas o nieetyczne postępowanie? — niewinnie spytał Hagbard.

(Pat Walsh wykreca numer telefonu.)

— Nie wierzę w więzienia — oświadczył szorstko Joe.

— Nie wierzę, że Atlanta i Zev będą choć odrobinę lepsi, kiedy wyjdą. Będą gorsi.

— Możesz liczyć na pewną ochronę ze strony Iluminatów

— zakonkludowała z powagą panna Portinari. Danny Pricefixer wciąż gapił się w nią w osłupieniu.

Gdzieś daleko dzwoni telefon, przywołując mnie z powrotem do ciała, mojego ja, moich celów, niszcząc moje wspomnienia jako Dyrektora Cyrku. Siadam.

— Hirsch — mówię w słuchawkę.

— Mówi Pat Walsh — odzywa się kobiecy głos. — Dzwonię na bezpośrednie polecenie Atlanty. Hasło — Telemach.

— Proszę mówić — polecam ochryple, zastanawiając się, czy chodzi o pacyfiarskiego profesora, którego zabiliśmy przed siedzibą ONZ 1 kwietnia.

— Montują przeciw panu oskarżenie o podłożenie bomby

— oświadczyła. — Musi pan zejść w podziemie.

— Atlanta nie wraca do Stanów — roześmiał się Hagbard.

— Od ponad dwu lat jest podwójną agentką. Pracuje dla mnie. (Znalazłem wejście do magazynu, tak jak je opisała ta cała Walsh. Zgodnie z obietnicą drzwi były otwarte, coś zastanowiło mnie w szyldzie nad nimi: Gold i Appel, Przeprowadzki...) — Podobnie jak Tobias Knight, który przyzna się dobrowolnie do winy. Wszystko zostało przemyślane w najdrobniejszych szczegółach, Joe. Tylko tobie zdawało się, że podłożenie bomby w redakcji jest *twoim* pomysłem.

— A co z Zevem Hirschem? — spytał Joe.

— Aktualnie przechodzi bardzo edukujące doświadczenia w Nowym Jorku — odparł Hagbard — Ja również nie wierzę w więzienia.

141

A ja jestem w pułapce, cała trójka napiera na mnie, „Powiedz Słowo”, żąda Jubela, „Powiedz Słowo”, powtarza Jubelo, „Powiedz Słowo, Zevie Hirsch”, Jubelum wyciąga z pochwy miecz...

— Eksplozja bomby w Nowym Jorku? — podchwycił znacząco prezydent, starając się wyglądać równie nieustraszenie jak jego poprzednik.

— Owszem — kontynuował Saul. — Kiedy tylko wyjaśniły się nasze związki z Bożym Gromem, ruszyliśmy z Barne-yem do Las Vegas. Rozumie pan dlaczego.

Prezydent nic nie rozumiał, do czego zamierzał się jednak przyznać.

— Ruszyliście do Las Vegas? — podchwycił chytrze, starając się wyglądać równie niezłomnie

jak jego poprzednik.

— Tak — przyznał Saul szczerze. — Kiedy dowiedzieliśmy się o Trądzie-Wągliku-Pi i śmierci doktora Mocenigo, zorientowaliśmy się natychmiast, że musiała w tym maczać palce ta sama organizacja. Boży Grom...

— Boży Grom? — podchwycił znacząco prezydent, wspominając dawne lata, kiedy był mówcą na ich mityngach.

— Oraz Kult Żółtego Znak, tajna grupa, która dokonała infiltracji, a następnie opanowała Boży Grom. Mamy powody podejrzewać, że agent angielskiego wywiadu nazwiskiem Chips za parę dni przybędzie do Londynu z dowodami demaskującymi większość agentów Żółtego Znak w rządzie brytyjskim. Jak pan widzi, mamy do czynienia z międzynarodową konspiracją.

— Międzynarodową konspiracją? — podchwycił znacząco prezydent.

A w Central Parku nasz stary znajomy Perri zeskakuje z drzewa na ziemię, porywa orzeszek rzucony przez Augusta Personage'a i trzykrotnie kica wokół drzewa na wypadek, gdyby ten przyjaciel-a-może-nieprzyjaciel wyjął spluwę i otworzył ogień do Perriego...

Tymczasem wysoko na niebie, nad najwyższymi szczytami Kalifornii, inny aspekt mej świadomości buja niczym uskrzyd-

142

lony poemat: niewykluczone, że na temat tego, co się święci, wie więcej niż sejsmograf doktora Trolla: gdyż jestem ostatni, ostatni z ostatnich. Ekologowie się nie mylą: reprezentuję nie tylko zagrożony, ale wręcz wymarły gatunek, a moje zmysły w ostatnich latach uległy wyostreniu ponad instynkt. Kołuję, kołuję, wzbijam się: pikuję: szybuję. Czyste istnienie to dla mnie rarytas! Z pełnym żołądkiem przestaję myśleć o rybach. Kołuję, kołuję, myśląc tylko o locie, wolności i, niewyraźnie, o niedobrych wibracjach, które dochodzą do mnie z dołu. Potrzebne ci jest do szczęścia moje imię? Możesz mi mówić Hali Pierwszy: haliaetus leucocephalus ostatni; niegdyś symbol Imperium Rzymskiego, teraz imperium amerykańskiego: ani mnie to ziębi, ani grzeje, liczy się dla mnie jedynie moja swoboda, a Rzymianie i Amerykanie zawsze produkowali wyłącznie chybione i wynaturzone idee. W stroju z długich, zielonych piór kołuję. Jestem Hali Pierwszy. Wydaję z siebie krzyk, ale nie jest to krzyk wściekłości, strachu czy gniewu, lecz krzyk ekstazy, przeraźliwej radości mojego istnienia; krzyk mój leci echem od szczytu do szczytu i do następnego szczytu, rozchodzi się coraz dalej i dalej, dźwięk, który tylko inny osobnik mojego gatunku może zrozumieć, ale już nie ma komu go słuchać. Krzyczę jednak dalej: kraczę jak Siwa Niszczyciel, prawdziwa twarz Wisznu Obrońcy i Brahmy Stworzyciela: mój krzyk nie mówi o życiu lub śmierci, lecz o życiu-w-śmierci, jednakowo pogardzam Perrim i Augustem Personage'em, wiewiórkami i ludźmi, i pomniejszym ptactwem, które nie jest w stanie wzbic się na moje wyżyny i zaznać udręki mojej niedosiężnej wolności.

NIE — dlatego że gnoili Billie Freschette brzydsko i powoli a Marilyn Monroe z szybkością i blaskiem błyskawicy Gnoili tatę i gnoili mamę ale niech sobie kurwa wybiją z głowy że tym razem uda im się to ze mną NIE i nie nawet choćby to z Simonem było lepsze niż z jakimkolwiek gościem nawet jeśli on zna się na tym lepiej niż każdy z facetów z którymi to robiłam NIE to nie może być on nie może też być Hagbard który wydaje się dyrektorem cyrku prawdziwym Panem Areny

143

strażnikiem ostatecznej tajemnicy Nie to z pewnością nie może być byle jaki facet a już z pewnością Jezu i Chryste nie mogą wracać z powrotem w szeregi policji Wuja Sama NIE to jest ciemne jak moja skóra i ciemne jak los który mi przypadł w udziale z powodu mojej skóry zresztą czym by to nie było mogę to znaleźć tylko sama Boże ten szczur który mnie ukąsił kiedy spałam Tata wrzeszczał i wrzeszczał prawie się pobeczał „Zabiję pieprzonego właściciela zabiję sukinsyna i wypatroszę jego białe serce” póki mama go nie uspokoiła NIE on wtedy już trochę umarł NIE byłoby lepiej gdyby zabił wtedy właściciela NIE choćby go nawet mieli złapać a złapaliby go NIE nawet gdyby miał pójść na cholerne krzesło elektryczne a nami zajęłaby się opieka społeczna NIE mężczyzna nie powinien dopuścić żeby coś takiego zdarzyło się jego dzieciom nie powinien być pragmatycznym realistą NIE choćby to było Bóg wie jakie choćby orgazm był nie wiem jak cudowny zawsze gdzieś w tyle głowy pamiętam że Simon jest biały NIE biały radykał biały rewolucjonista biały kochanek wszystko jedno i tak zawsze biały i to nie jest kwas ani nastrój chwili tylko kurwa rozumiesz prędzej czy później musisz podjąć decyzję czy bierzesz udział w cudzym odlocie czy we własnym NIE i nie mogę wstąpić do Bożego Gromu ani nawet do tego co pozostało z Women's Lib ten wiersz który Simon cytował to kurwa wszystko nieprawda NIE to nieprawda że nikt nie jest wyspą NIE prawda jest taka że każdy człowiek jest wyspą a zwłaszcza każda kobieta jest wyspą a już czarna kobieta jest wyspą jak mało kto

23 sierpnia 1928 Rancid, lokaj w Drake Mansion przy starej Beacon Hill, przyniósł

chlebodawcy dość niewesołą wiadomość.

— Święty Panie Janie — wykrzyknął w pierwszym odruchu stary Drake — czyżby został dla odmiany papistą? — Następne pytanie nie było już retoryczne: — Jesteś całkiem pewien?

— Nie ma cienia wątpliwości — odparł Rancid. — Pokojówka pokazała mi jego skarpety, sir. Oraz buty.

144

Tego wieczoru w dość dusznej atmosferze doszło do konwersacji w starej bibliotece rezydencji.

— Wracasz na Harvard?

— Jeszcze nie.

— Czy masz zamiar spróbować przynajmniej jednego z tych cholernych alienistów?

— W dzisiejszych czasach, ojczy, nazywają się psychiatrami. Nie sądzę.

— Do diabła, Robert, co się naprawdę wydarzyło na tej wojnie?

— Wiele rzeczy. Ale nie masz się czym niepokoić — wszystkie przyniosły naszemu bankowi zyski.

— Czyżbyś został Czerwonym?

— Kiepski interes. Dziś w stanie Massachusetts dwóch niewinnych mężczyzn tego rodzaju poglądy przypłaciło życiem.

— Niewinnych, niech mnie Lolo. Robercie, osobiście znam tego sędziego...

— A on z kolei ma poglądy takie, jakie powinien mieć kolega bankiera.

Zapadła długa cisza; stary Drake zgniół ledwie napoczęte cygaro.

— Robercie, *wiesz*, że jesteś chory.

— Wiem.

— Co to tam było ostatniego — szkło i gwoździe w butach? Twoja matka umarłaby, gdyby się dowiedziała.

Ponownie zapadła cisza.

— To był eksperyment — odparł w końcu Robert Putney Drake apatycznie. — Pewien etap. Siuksowie robią z sobą o wiele gorsze rzeczy podczas Tańca Słońca. Podobnie wielu gości w hiszpańskich klasztorach, w Indiach i na całym świecie. To nie jest żadna deklaracja.

— Naprawdę skończyłeś z tym?

— Owszem. Całkowicie. Teraz próbuję czegoś innego.

— Innej techniki zadawania sobie bólu?

— Nie, żadnej techniki zadawania sobie bólu.

145

— Cóż, wobec tego, cieszę się, że to słyszę. Bardzo bym jednak pragnął, żebyś złożył wizytę innemu alieniście, psychiatrze, czy jak ich tam zwał. — Znów zapadła cisza. — *Dasz* radę się pozbierać do kupy, wiesz dobrze. Bądź mężczyzną, Robercie, bądź mężczyzną.

Stary Drake był zadowolony. Postawił chłopcu sprawę jasno; dopełnił ojcowskiego obowiązku. Poza tym, prywatni detektywi zapewnili go, że z tymi Czerwonymi to nic poważnego: chłopak parę razy polazł na mitingi anarchistów i komunistów, jego relacje były jednak nieodmiennie pełne cynizmu i rezerwy.

Rok prawie minął od czasu, kiedy prywatni detektywi przynieśli mu prawdziwie złą nowinę.

— Ile jej trzeba dać, żeby trzymała dziób na kłódkę? — spytał z miejsca Drake.

— Po opłaceniu pobytu w szpitalu jeszcze z tysiąc — odparł człowiek od Pinkertona.

— Zaproponuj jej pięćset — zażądał starszy pan. — Winduj do tysiąca tylko w ostateczności.

— Powiedziałem może z tysiąc — odparł detektyw hardo. — Użył specjalnej odmiany bata, ze stalowymi haczykami na końcach. Może zażądać dwóch albo trzech tysięcy.

— To prosta kurwa. Są nawykłe do takich rzeczy.

— Nie aż takich. — Detektyw zaczynał tracić służbisty ton. — Zdjęcia jej pleców, a przede wszystkim pośladków, nie zrobiły na mnie większego wrażenia, dlatego, że pracuję w tej branży i widziałem niejedno. Ale zwykły sędzia zwymiotowałby, panie Drake. W sądzie...

— W sądzie — przerwał mu Drake — stanęłaby przed sędzią, który jest członkiem jednego z kilku moich klubów i ma udział w moim banku. Zaproponuj jej pięćset.

W dwa miesiące później nastąpił krach na giełdzie i nowojorscy milionerzy zaczęli skakać z wyższych pięter na twardy bruk. Dzień po krachu stary Drake nadzieją się na swojego syna, zebrzącego na chodniku przed cmentarzem Old Granary. Chłopak miał na sobie łachmany ze sklepu ze starzyzną.

— Nie jest aż tak źle, synu. Jakoś się z tego wykaraskamy.

146

— Ależ wiem o tym doskonale. Moja znajomość natury ludzkiej podpowiada mi wręcz, że

wyjdziemy z tego wzbogaceni.

— Czemu więc służyć ma ta cholerna, poniżająca błazenada?

— To doświadczenie. Właśnie wyzwalam się z pęt. Starszy pan kipiał przez całą drogę do banku. Wieczorem

zdecydował, że pora na kolejną szczerą i otwartą wymianę zdań; wszedłszy jednak do pokoju Roberta, zastał chłopaka z purpurową twarzą, ciasno omotanego łańcuchami.

— Na Boga! Do diabła! Synu! A to co znów?

Chłopak — miał wtedy dwadzieścia siedem lat i pod wieloma względami był bardziej dojrzały od ojca — uśmiechnął się i rozluźnił. Czerwień zniknęła z jego twarzy.

— Jedna ze sztuczek Houdiniego — wyjaśnił beztrąsko.

— Masz zamiar zostać jarmarcznym iluzjonistą? Mój Boże!

— Nic podobnego. Zrywam tylko kolejne pęta — pęta przeświadczenia, że tylko Houdini jest do tego zdolny.

Trzeba oddać sprawiedliwość staremu Drake'owi, że nigdy nie zdobyłby swoich bogactw, gdyby nie doza zrozumienia dla ludzkich dziwactw.

— Zaczynam rozumieć — powiedział ponuro. — Ból to pęta. Dlatego wtedy sypałeś sobie szkło do butów. Lęk przed ubóstwem to kolejne pęta. Dlatego eksperymentowałeś wtedy z żebranią. Usiłujesz zostać Supermanem jak tamte zwariowane chłopaki z Chicago, „mordercy dla jaj”. To, co zrobiłeś tej kurwie w zeszłym roku, było fragmentem większej całości. Co masz jeszcze na sumieniu?

— Sporo. — Robert wzruszył ramionami. — Dość, żeby zostać kanonizowanym za dobre uczynki albo spalonym na stosie za konszachty z diabłem. Wciąż jednak nie dość. Nadal nie znalazłem drogi. — Wyteżył się raz jeszcze i łańcuchy zsunęły się na podłogę. — Zwykła joga i panowanie nad mięśniami — wyjaśnił skromnie. — Gorzej idzie z okowami umysłu. Chciałbym, żeby istniał jakiś środek chemiczny, klucz do systemu nerwowego...

147

— Robercie — powiedział stary Drake — w tej chwili masz się udać do alienisty. Jeśli nie pójdziesz po dobroci, pošlę cię siłą.

W ten sposób dr Faustusowi Unbewusstowi przybył nowy pacjent w chwili, gdy wiele z jego najbardziej lukratywnych przypadków wycofywało się z terapii wskutek kryzysu ekonomicznego. Jego nieliczne notatki na temat Drake'a miały zostać w przyszłości wykradzione przez agenta Illuminatów, a ich fotokopie umieszczone w archiwach Agarthi, gdzie w 1965 roku przestudiował je Hagbard Celine. Zapiskom, nabazgranym pośpiesznie, brakowało dat — dr Unbewusst, odreagowując własną analność, był osobnikiem rażąco niechlujnym i niedbałym — niemniej ich zawartość pokrywała się z prawdą:

RPD, lat 27, ukryty homo. Stary — istny Krezus. 5 sesji tygodniowo a \$50, \$250. Jeśli potrzynam go w terapii przez 5 lat, wyjdzie okrągłe \$65 000. Śmiało, celuj w 10 lat. \$130 000. Piękna sumka.

RPD wcale nie jest ukrytym homo. Zaawans. psychopata. Moralny imbecyl. Cieszy go, że obcyckuję starego z forsy. Przypadek beznadziejny. Wszystkie popędy ego-syntoniczne. Skurwysyn wszystko ma w dupie. Może by tak 12 lat? \$156 000. Ja cię pieprzę!

RPD znów poleciał w sado. To by chyba był klucz. Muszę bardzo uważać. Jeśli przyłapią go na czymś poważnym, mamro albo sanatorium; a wtedy żegnajcie \$156 000. Może zaordynować sedatywy?

RPD dziś w tonacji schizo. Cyganka nagadała mu jakichś bredni. Konieczna najwyższa ostrożność: jeśli dorwie go jakiś okultysta, 13 tuzenów rocznie jak w tyłek włożył.

Klucz do RPD: Życie jest walką. Cierpi na myśl, że wszyscy muszą umrzeć. Zgaga metafizyczna. Jestem bezsilny. Gdyby tylko mogła istnieć nieśmiertelność w pigułce. Większe niż przypuszczałem niebezpieczeństwo, że sprzątnie mi go sprzed nosa jakiś okultysta czy sekta. Czuję, że 13 tuzenów wymyka mi się z rąk.

148

RPD chce jechać do Europy. Chce się spotkać albo nawet leczyć u tego *scheissdreck dummkopfa* Karla Junga. Ostrzec starych: zbyt chory na podróż.

RPD wymknął się z rąk po 10 miesiącach raptem. Nędzne 11 tuzenów. Jestem tak zły, że nie przyjmuję dziś nikogo. Całe rano pisałem na brudno list do „Globe”, dlaczego wróżbiarstwo powinno zostać zakazane prawem. Gdybym tylko mógł dopaść tę babę, złapać sukę za tłuste gardło, tępą cuchnącą tłustą sukę. \$ 156 000. Jak w dupę włożył. Tylko dlatego, że łaknie nieśmiertelności, której nie może dostąpić

(Gdy w Ingolstadt Danny Pricefixer z Clarkiem Kentem wciąż gapią się na siebie ponad

uśpionym ciałem Lady Velkor, Atlanta Hope, odświeżona prysznicem, wpada do pokoju, rzuca się na łóżko, całuje wszystkich i ściska.

— Pierwszy raz w życiu! — wrzeszczy. — Pierwszy raz było naprawdę! Dzięki wam trzem!

— A mnie się nie należy żadna wdzięczność? Nie zapominajcie, że do tego trzeba całej Piątki — mówi Lady Velkor uchylając powieki po drugiej stronie Kenta.)

Mama Sutra miała wtedy dopiero trzydzieści lat, ale farbowała włosy na siwo, żeby sprawiać wrażenie Wiedzącej. Od razu poznała Drake'a, kiedy wszedł do herbaciarni: syn starego Drake'a, nadziany szajbus.

Pomachał do niej, zanim kelnerka zdążyła przyjąć zamówienie. Mama Sutra, z wrodzoną bystrością, po wygnieceniu marynarki domyśliła się, że leżał; z Boston Common na Beacon Hill idzie się długo; w okolicy roilo się od psychiatrów; *ergo*, nie przyszedł z domu, lecz z sesji z terapeutą.

— Fusy czy karty? — spytała uprzejmie, siadając naprzeciwko Drake'a.

— Karty — powiedział nieprzytomnie, patrząc przez okno na Common. — Kawę — zwrócił się do kelnerki. — Czarną jak diabli.

— Nasłuchiwał się pan na ulicy kaznodziejów? — spytała Mama Sutra domyślnie.

149

— Tak. — Uśmiechnął się rozbrajająco. — „Albowiem kto ma wiarę, nigdy nie zazna śmierci”. Są aktualnie w szczytowej formie.

— Proszę potasować — powiedziała, podając talię. — A jednak obudzili w tobie pragnienie duchowe, mój synu. Dlatego jesteś tutaj.

Odpowiedział cynicznym spojrzeniem.

— Postanowiłem spróbować jeden raz każdego rodzaju magii. Właśnie wracam od adepta jednej z najnowszych odmian; parę lat temu przyplłynął z Wiednia.

Ma się oko, pochwaliła się w duchu.

— Ani jego wiedza, ani nieoświecona wiara nie są w stanie pomóc panu — nie bacząc na cynizm Drake'a stwierdziła grobowym tonem Mama. — Miejmy nadzieję, że karty wskażą panu drogę. — Zastosowała tradycyjny rozkład, Drzewo Życia.

W koronie wyszła odwrócona Śmierć, pod nią Król Mieczy w Chokmie i Rycerz Buław w Binie.

— Albowiem kto ma wiarę, nigdy nie zazna śmierci — przytoczył cynicznie.

— Widzę pole bitewne — zaczęła; w Bostonie krążyły plotki, że Drake zdziwaczał po powrocie z wojny. — Widzę śmierć, która zbliża się do pana, by go jednak poniechać. — Dramatycznie wycelowała palcem w odwróconą kartę Śmierci. — Wielu jednak postradało życie, wielu z bliskich pańskiemu sercu.

— Lubilem paru z nich — odparł szorstko. — Głównie jednak drzałem o własny ty... własną skórę. Dobra, proszę mówić dalej.

Spojrzała na Rycerza Buław w Binie. Czy powinna wspomnieć, że sugeruje to biseksualizm? Chodził w końcu do psychoanalityka, powinien to jakoś przelknąć. Spróbowała utrzymać jednocześnie Króla Mieczy i Rycerza Buław w polu widzenia; po chwili zobaczyła drogę.

— Są w panu dwaj mężczyźni. Jeden z nich kocha innych mężczyzn, kto wie, czy nie za bardzo. Drugi rozpaczliwie usiłuje odciąć się od całej ludzkości, nawet od świata. Jest pan Lwem — dodała, nagle zmieniając temat.

150

— Owszem — przyznał nieporuszony. — Z 6 sierpnia. — Uznał, że najprawdopodobniej przejrzała daty urodzenia co zamożniejszych obywateli miasta, na wypadek, gdyby któregoś z nich zarzuciło do niej.

— Lwom bardzo trudno jest pogodzić się ze śmiercią — stwierdziła melancholijnie. — Jest pan jak Budda, który spotkał trupa na drodze. Choćby pan był nie wiedzieć jak bogaty, choćby nie wiedzieć jak daleko zaszedł, nic go nigdy nie zadowoli, od kiedy zobaczył podczas wojny trupy. Ach, mój synu, chciałabym ci pomóc! Ale jestem tylko wróżką, nie alchemikiem, który może frymarczyć Eliksirem Życia Wiecznego. — Kiedy Drake trawił jej słowa — czuła, że trafiła w dziesiątkę — Mama wzięła się do diagnozowania odwróconej piątki Kijów w Chesedzie i Maga w prawidłowej pozycji w Geburze. — Tyle Mieczy — zadumała się. — Tyle znaków ognistych. Prawdziwy Lew, ale wszystko prawie skierowane do wewnątrz. Pan spojrzy, jak energiczny Rycerz Buław w drodze w dół zamienia się w odwróconą piątkę: Wszystkie pańskie energie, a Lwy posiadają nie byle jakie energie, zwracają się przeciw panu. Płonie pan, usiłując strawić samego siebie, żeby narodzić się na nowo. Również Mag, który wskazuje drogę, znajduje się pod Królem Mieczy i jest przez niego zdominowany: Pański rozum nie pozwala panu przyjąć do wiadomości, że ogień jest niezbędny.

Wciąż buntuje się pan przeciwko Śmierci. — W Tifarecie znajdował się Głupiec, o dziwo, głową do góry. — Jest pan jednak niemal zdecydowany na ostateczny krok. Jest pan gotów pozwolić, by ogień pochłonął pański intelekt, i umrzeć dla tego świata. — Idzie gładko jak po maśle, pomyślała — i wtedy zobaczyła Diabła w Nocy i odwróconą dziewiątkę Mieczy w Jodzie. Reszta Drzewa prezentowała się jeszcze gorzej: Wieża w Jesodzie i Kochankowie odwróceniu (a jakżeby inaczej!) w Malkucie. Cienia Kielichów czy Pentakli.

— Wyjdzie pan z tego o wiele silniejszy — powiedziała bez przekonania.

— Nic takiego pani nie widzi — zaprotestował Drake. —

1

151

Ja też zresztą nie. Diabeł z Wieżą to dosyć destrukcyjny duet, nieprawdaż?

— Domyślam się, że wie pan również, co oznaczają odwróceniu Kochankowie? — spytała.

— „Wyrocznia w każdym wypadku brzmi: Śmierć” — zacytował.

— Pan jednak nie chce przyjąć jej do wiadomości.

— Jedyne sposobem, żeby zwyciężyć Śmierć — dopóki nauka nie wynajdzie pigułki nieśmiertelności — to zaprząć ją na swoje usługi, uczynić z niej swojego adiutanta — powiedział Drake spokojnie. — To klucz, którego poszukiwałem. Barman nigdy nie popada w alkoholizm, kapłan kpi sobie z bogów. Zresztą Wieża jest spróchniała od podstaw i aż się prosi, żeby ją rozwalić. — Gwałtownym gestem wskazał na Głupca. — Ma pani niewąpliwy dar — nawet jeśli kantuje pani, jak wszyscy w tym biznesie — wobec czego wie pani, że po wyjściu z Otchłani są dwie Drogi. Ścieżka prawej ręki i ścieżka lewej ręki. Czuję, że oscyluję w kierunku lewej ręki. Tak mi się przynajmniej zdaje; inne przeczucia to potwierdzają. Niech pani wali śmiało i powie, co jeszcze widzi; nie boję się tego, co mogę usłyszeć.

— To świetnie. — Mama zaczęła się zastanawiać, czy aby nie był jednym z nielicznych, bardzo nielicznych, którzy w końcu ściągają na siebie uwagę Świetlistych. — Zaprzęgnie pan Śmierć do swoich usług, żeby stać się jej panem. Zaiste, pisana jest panu ścieżka lewej ręki. Ściągnie pan ogrom cierpienia — na siebie przede wszystkim, początkowo. Po jakimś czasie jednak przestanie pan zauważać potworności, jakie na innych sprowadza. Ludzie będą o panu mówić, że jest pan materialistą, czcicielem pieniądza. Czego najbardziej pan nienawidzi? — spytała nagle.

— Ckliwych bredni i kłamstw. Chrześcijańskich łgarstw w szkółkach niedzielnych, demokratycznych łgarstw w prasie i socjalistycznych łgarstw, od których ślinią się dziś tak zwani intelektualści. Całej podłości, kręactwa, sprytu i hipokryzji, z jaką ludzie usiłują ukryć przed sobą fakt, że wciąż jesteśmy zacząjonymi w dżungli zwierzętami.

152

— Jest pan wielbicielem Nietzschego?

— Nietzsche był szalony. Powiedzmy, że mniej pogardzam nim i De Sade'em niż większością intelektualistów.

— Rozumiem. Wobec tego wiemy już, jaką Wieżę będzie pan burzył. Wszystko w Ameryce, co trąci demokracją, chrześcijaństwem bądź socjalizmem. Całą fasadę humanitaryzmu od Konstytucji po dziś dzień. Uwolni pan swój ogień i wypali to wszystko mocą swoich energii leonicznych. Siłą wdroży pan swoją wizję Ameryki i sprawi, że każdy obywatel będzie drżał przed dżunglą i śmiercią, która z dżungli wyziera. Występek i przedsiębiorczość dzięki prohibicji zbliżają się coraz bardziej do siebie; pan doprowadzi do skonsumowania ich związku. Wszystko po to, i tylko po to, żeby zniewolić Śmierć, zamiast samemu jej ulec. Pieniądze i władza będą tylko produktem ubocznym.

NIE — bo nawet kiedy ci się wydaje że jesteś ponad to kiedy myślisz że to się da pogodzić że można dokonać prywatnego pojednania ale kurwa wojna ciągle trwa NIE tylko sama się oszukujesz Nawet mówienie sobie że kocham Simona to zwykle hollywoodzkie gówno co można powiedzieć po tygodniu choćby było nie wiem jak ale nawet jeśli kocham Simona wojna trwa nadal dopóki każde z nas nosi inną skórę Biały Mężczyzna Czarny Mężczyzna Czerwony Mężczyzna Biała Kobieta Czarna Kobieta Czerwona Kobieta mimo że Hagbard twierdzi że oni na tej jego łodzi są ponad to to tylko dzięki temu że są pod wodą z dala od świata Tu u nas sukinsyny używają żywych naboju jak w tym starym kawale Może to jest jedyne wiarygodne źródło na świecie Nie Biblia czy poezja czy filozofia tylko wice z brodą Zwłaszcza makabryczne i obsceniczne NIE strzelają żywymi nabojami więc kurwa nie zobaczą mnie więcej Biały Mężczyzna Czarny Mężczyzna Czerwony Mężczyzna Biała Kobieta Czarna Kobieta Czerwona Kobieta patrzą na mnie a ja gram w ich sztuce mam swoją rolę jestem Czarną Kobieta nigdy nie jestem po prostu sobą NIE to nie ma końca każdy krok w górę jest krokiem w coraz większą hipokryzję chyba żeby przerwać całkiem grę a tego jeszcze nikt nie

dokonał NIE im częściej Simon powtarza że mnie rozumie tym bardziej oszukuje siebie NIE nigdy nie robi tego z Białą Kobietą bo za bardzo mu przypomina jego matkę czy z jakichś innych cholernych freudowskich powodów kurwa NIE nie mogą brać udziału w ich grze będą wrzeszczeć z wściekłości krakać jak orzeł wrzeszczeć całemu światu prosto w ucho aż w końcu ktoś zwróci na mnie uwagę aż przestanę być Czarną Kobietą przestanę być Czarną przestanę być Kobietą przestanę być kimkolwiek NIE nie kimkolwiek tylko sobą NIE powiedzą że wyrzekłam się serca i rozumu No to co pieprzę ich pieprzę w czambuł NIE nie ma już odwrotu kwas wszystko poprzestawiał NIE na samym końcu kiedy naprawdę będę sobą może odkryję w sobie lepsze serce i lepszy rozum NIE ale najpierw muszę odnaleźć *siebie*

— Proszę mówić dalej — zażądał Drake spokojnie, choć bez uśmiechu.

— I Król Mieczy, i Król Buław są bardzo aktywni. Mógłby pan dopiąć swego nieszkodliwie, zostając artystą i ukazując swoją wizję dżungli. Nie musi pan tworzyć jej dosłownie, przysparzając cierpienia bliźnim.

— Niech pani mi nie prawi morałów, tylko czyta z kart. Jest pani w tym lepsza ode mnie, ale i tak widzę dość, żeby wiedzieć, że nie ma dla mnie takiej alternatywy. Inne Kije i inne Miecze są odwrócone. Działanie symboliczne mnie nie zadowoli. Muszę to zrobić tak, żeby odczuli to wszyscy, a nie tylko garstka czytelników czy bywalców filharmonii. Proszę mi mówić to, czego sam nie wiem. Dlaczego ścieżka od Głupca do Wieży dopełnia się odwróceniem Kochanków? Wiem, że nie jestem zdolny do miłości, podobnie jak wszyscy, podejrzewam — miłość to hipokryzja i sentymentalizm. Ludzie wykorzystują się nawzajem w charakterze wibratorów erotycznych i ręczników do osuszania łez i nazywają to miłością. Ten układ kryje w sobie jednak drugie dno? Jakże?

— Zacznijmy od góry: Śmierć odwrócona. Odrzuca pan Śmierć, więc Głupiec nie może się odrodzić i po przekroczeniu Otchłani wstąpić na ścieżkę prawej ręki. Stąd: ścieżka leworę-

czna i ruina Wieży. Łańcuch karmy ma tylko jeden koniec, mój synu. Kochankowie oznaczają Śmierć, podobnie jak Śmierć oznacza Życie. Odrzuca pan śmierć naturalną, a zatem naturalne życie. Pańska ścieżka będzie prowadzić przez życie nienaturalne, któremu położy kres śmierć wbrew naturze. Umrze pan jako istota ludzka, zanim jeszcze umrze pańskie ciało. Pański ogień zawsze będzie ogniem samozniszczenia, nawet jeśli zwróci go pan na zewnątrz i cały świat zamieni w arenę pańskiego prywatnego *Götterdämmerung*. W dalszym ciągu pańską ofiarą będzie przede wszystkim pan sam.

— Ma pani talent — przyznał chłodno Drake — mimo to, jak wszyscy pańscy koledzy po fachu, jest pani przede wszystkim szarlatanem. Pani ofiarą, madame, jest przede wszystkim pani sama. Mami się pani kłamstwem, które tak często wciska innym. W branży metafizycznej to zawodowe spaczenie. Prawda jest taka, że nie ma znaczenia, czy zniszczę siebie samego i całą planetę — czy zrobię w tył zwrot i będę szukał praworęcznej ścieżki w mrokach jakiegoś klasztoru. Wszechświat dalej będzie się toczył na oślep, obojętny, ba, nieświadomy. Nie ma w niebie Dobrego Dziadunia, który zarządzi Sąd Ostateczny — lata tam tylko parę samolotów, które coraz lepiej radzą sobie z przewozem bomb. Za wygłaszanie podobnych opinii postawili generała Mitchella przed sądem wojennym, niemniej tak właśnie jest. Następnym razem bomby zgotują ludności cywilnej piekło. A wszechświat ani się tym przejmie, ani będzie o tym wiedział. Nie musi mi pani mówić, że moja ucieczka przed Śmiercią prowadzi z powrotem do Śmierci; nie jestem dzieckiem i wiem dobrze, że wszystkie drogi koniec końców prowadzą do Śmierci. Pytanie tylko, czy korzyć się przed nią przez całe życie, czy plwać jej otwarcie w twarz.

— Może się pan wznieść ponad żalną trwozę i buntowniczą nienawiść. Wystarczy dostrzec, że Śmierć jest częścią Wielkiego Koła i, jak każda jego część, jest nieodzowna dla całości. Wtedy będzie potrafił się pan z nią pogodzić.

— Czekam, kiedy mi pani powie, że powinienem ją pokochać.

— To swoją drogą.

— Tak, i wtedy uzyskam wielkie i wspaniałe Widzenie Panoramiczne. Ujrzę chłopaków, jak przed śmiercią w Chate-au-Thierry oddają kał i mocz do gaci, gapią się na jelita, które wypadły im na kolana, wrzeszczą przez otwór, w niczym nie przypominający ust, i zobaczą w nich działanie niewypowiedziane świętej, najwyższej harmonii i równowagi, której rozum nie pojmie, a słowo nie odda: Jasne. Mogę przyjąć taką perspektywę pod warunkiem, że wyłączę pół mózgu i zacznę się hipnotyzować myślą, iż świat widziany z tej sztucznej perspektywy jest głębszy, rozleglejszy i realniej realny niż świat widziany z perspektywy umysłu niezaćmionego. Niech pani przejdzie się na oddział

poczwórnych amputacji i tam ich spróbuje przekonać. Mówi pani o śmierci jako o bycie osobowym. Świetnie: w tej sytuacji jestem zmuszony traktować śmierć jak każdą inną istotę, która wchodzi mi w drogę. Miłość to mit wydumany przez poetów i ludzi, którzy nie są w stanie stawić czoła światu, więc zaszyli się w jakiś kąt i tam snują pocieszające fantazje. Faktem jest, że gdy spotykasz kogoś, to albo on ustępuje ci miejsca, albo ty ustępujesz miejsca jemu. Albo ty dominujesz, a on się podporządkowuje albo on dominuje, a ty się podporządkowujesz. Zabierzcie mnie do dowolnego klubu w Bostonie, a ja wam powiem, który milioner ma najwięcej milionów po sposobie, w jaki inni go traktują. Weźcie mnie do jakiegokolwiek baru w dzielnicy robotniczej, a ja wam powiem, kto się najlepiej bije na pięści po sposobie, w jaki inni go traktują. Wpuście do dowolnego domu, a ja w minutę powiem wam, kto w nim rządzi, mąż czy żona. Miłość? Równość? Pojednanie? Tolerancja? To są wymówki przegranych, którzy wmawiają sobie, że sami wybrali swoją kondycję, a nie zostali zepchnięci do niej siłą. Znajdźcie mi oddaną żonę, która naprawdę kocha męża. Góra w trzy dni będę ją miał w łóżku. Czy dlatego, że jestem tak cholernie atrakcyjny? Nie, dlatego, że znam się na mężczyznach i kobietach. Dam jej do zrozumienia, bez słów, które by mogły ją zaszokować, że akt jej zdrady, czy mąż się o nim dowie, czy nie, osłabi go tak czy

156

owak. Znajdźcie mi najsluźniejszego kolorowego kelnera w cieście, a kiedy skończy mówić o chrześcijańskiej pokorze i tym podobnych, policzcie, ile razy dziennie wchodzi do kuchni, żeby splunąć w chustkę do nosa. Jego koledzy będą was przekonywać, że ma „coś w piersiach”. Tym „czymś” jest chroniczna wściekłość. Matka i dziecko? Nie kończąca się walka o władzę. Proszę posłuchać, jak się zmienia niemowlęcy wrzask, jeżeli matka nie przyjdzie natychmiast. Czy słyhać w nim strach? Słyhać wściekłość — szaleńczą furję zawiedzionej nadziei na pełne podporządkowanie. Co się tyczy samych matek, to założę się, że dziewięćdziesiąt procent zameężnych kobiet leczących się u psychiatry znalazło się tam, ponieważ nie umiało wymotać się z bajek o miłości na tyle, żeby przyznać w duchu, że mają ochotę udusić monstrum w dzieciennym pokoiku. Miłość ojczyzny? Kolejne oszustwo: prawdą jest lęk przed policją i więzieniem. Umiłowanie sztuki? Jeszcze jedno kłamstwo; prawdą jest lęk przed nagą prawdą, bez upiększeń i retuszy. Umiłowanie samej prawdy? Największe z wszystkich łgarstw: lęk przed nieznanym. Czy ludzie wchłaniając te kłamstwa osiągają mądrość? Poddają się wyższym mocom, nazywając swoje tchórzostwo dojrzałością. Wszystko nieodmiennie sprowadza się do pytania: czy klęczysz u stóp ołtarza, czy patrzysz z ołtarza, jak inni korzą się przed tobą.

— Koło Tarota jest kołem Dharmy — przypomniała Mama Sutra łagodnie, kiedy skończył. — Jest również kołem galaktyki, którą postrzega pan jako ślepy mechanizm. Tak jak pan mówi, wszechświat toczy się, niepomny na nasze wyczyny. Wiedząc o tym, akceptuję Śmierć jako jeden wycinek koła i akceptuję pański brak akceptacji jako jeszcze inny. Nie posiadam władzy ani nad jednym, ani nad drugim. Mogę tylko powtarzać moje ostrzeżenie, które nie jest moim wymysłem, lecz nieuchronnym skutkiem wynikłym z konstrukcji Koła: Przeczając śmierci, ma pan jak w banku, że w końcu dopadnie go w najbardziej odrażającej postaci.

Drakę dopił kawy i uśmiechnął się cierpko.

— Rozumie pani — zaczął — moja pogarda dla kłam-

157

stwa ma w sobie element tego samego sentymentalizmu i fałszywego idealizmu, który odrzucam. Być może moje plany powiodą się lepiej, jeśli więcej nie pozwolę sobie na taką szczerość, jak z panią. Możliwe, że kiedy znów pani o mnie usłyszy, będę już znanym filantropem i dobroczyńcą ludzkości. — W zadumie zapalił cygaro. — I będzie to prawdą, nawet jeśli metafizyka Tarota jest nieomylna. Jeśli śmierć, na równi z innymi elementami, jest nieodzowna dla Koła, ja również jestem nieodzowny. Być może Koło przestałoby się obracać, gdyby mój duch buntu nie równoważył w nim pani ducha akceptacji. Niech pani postara się spojrzeć na to pod tym kątem.

— Wcale się pan nie myli. Dlatego ostrzegam pana, a nie osądzam.

— Byłżebym więc, jak mówi Goethe, „częścią tej siły, która dążąc do zła wiecznie stwarza dobro”?

— Niech się pan postara o tym pamiętać, kiedy przyjdzie koniec i znajdzie się pan w objęciach Czarnej Nocy Sammaela.

— Kolejny kit — oświadczył Drakę, któremu wrócił dawny cynizm. — Dążę do zła i osiągnę zło. Koło i jego harmonijna równowaga oraz uzdrowicielskie paradoksy to kolejny mit słabych i pokonanych. Jeden silny człowiek jest w stanie zatrzymać Koło, a nawet rozwalić w drzazgi, jeśli mu starczy odwagi.

— Być może. My, którzy zgłębiamy Koło, nie znamy wszystkich jego tajników. Niektórzy

wierzą, że duch odradza się stale w historii, gdyż ostatecznie pisane jest mu zwycięstwo. Być może żyjemy w ostatnim wieku ziemskich śmiertelników, a następne stulecie będzie należeć do nieśmiertelnych kosmitów. Co stanie się wtedy, kiedy Koło zostanie zatrzymane, nikt z nas nie umie przewidzieć. Może to będzie „dobre”, może „złe” czy nawet — żeby zacytować pańskiego ulubionego filozofa — ponad dobrem i złem. Nie potrafimy powiedzieć. To kolejny powód, dla którego cię nie osądzam.

— Niech pani słucha — zemocjonował się nagle Drake. — Oboje łżemy. To wcale nie jest aż takie filozoficzne czy kosmiczne. Prawda jest taka, że nie mogłem spać po nocach

158

i żadna z konwencjonalnych „terapii” nie skutkowałą, dopóki sam nie wziąłem się do siebie, systematycznie buntując przeciwko każdej rzeczy, która wydawała mi się silniejsza ode mnie.

— Wiem. Nie wiedziałam wprawdzie, że to była akurat bezsenność. Równie dobrze mógł pan mieć koszmary, zawroty głowy albo cierpieć na impotencję. Niemniej sceny, których pan był świadkiem w Chateau-Thierry, wciąż żyją w panu i wytrącają pana ze snu, w jakim pogrążeni są lunatycy, którzy zaludniają ulice miast. Pan budzi się: stoi na krawędzi otchłani. — Wskazała Głupca z ujadającym przy nodze psem. — A ja jestem tą jazgotliwą suką, która szczeka, żeby pana ostrzec, że ciągle jeszcze może wybrać ścieżkę prawej ręki. Dopóki nie przejdzie pan przez otchłań, zawsze jeszcze może zmienić decyzję.

— Przecież karty mówią, że właściwie nie mam wyboru. Zwłaszcza w świecie, który wyłoni się z obecnego kryzysu.

Mama Sutra uśmiechnęła się bez aprobaty, ale i bez potępienia.

— Trudno być świętym w dzisiejszych czasach — zgodziła się spokojnie. — Należą się dwa dolary.

George, tylko nie zrób jakiegoś nierozważnego ruchu. Holender widział teraz jasno jak na dłoni. Capone, Luciano, Mal-donado, Lepke i cała reszta trzęśli portkami przed Winifredem i zgrają z Waszyngtonu. Mieli zamiar się z nimi dogadać, a jego śmierć miała być monetą przetargową. Głupcy, nie wiedzieli, że nigdy się nie pertraktuje z pozycji strachu. Myśleli, że Bractwo jest tylko zręcznym kamuflażem dla międzynarodowej komunikacji i nielegalnego handlu; byli zbyt tępi, żeby naprawdę przestudiować Prawa. A już zwłaszcza nie zrozumieli trzeciego Prawa: *Strach to kląska*. Kiedy się raz zaczniesz bać glin, koniec z tobą. Ale gliniarz już poszedł.

— Coście z nim zrobili?! — zwrócił się z krzykiem do szpitalnej ściany.

(Uśmiechnięty Jim widział go raptem poprzedniego dnia. Jego gniazdo musiało się znajdować na którymś z tych szczy-

159

tów. Dopadnie go: Czuł to w kościach, przecucie tak silne, że nie sposób w nie wątpić. Zziąjany, spocony, zbolały, piął się niestrudzenie... Kawa chlusnęła z papierowego kubeczka zalewając stronicę *Orgietki zmysłów*. Igor Beaver, student starszego roku, zaskoczony podniósł wzrok: sejsmograf wskazywał 5. O milę stamtąd Dillingera zbudziło trzaśnięcie drzwi w sypialni; jego ulubiona statuetka, King Kong na szczycie Empire State Building, spadła z biurka.)

NIE MA ROZGRZESZENIA, NIE MA ROZGRZESZENIA, NIE MA ROZGRZESZENIA
BEZ PRZELANEJ KRWI. NIE MA ROZGRZESZENIA BEZ PRZELANEJ KRWI.

Mama Sutra spojrzała przez okno na Boston Common. Robert Putney Drake przystanął, przysłuchując się znów któremuś z kaznodziejów; nawet z tej odległości mogła dostrzec chłodny, pełen dystansu uśmiech na jego twarzy.

Dealy Lama usiadł po drugiej stronie stolika.

— I co? — spytał.

— Zdecydowanie. Zakon musi interweniować. — Mama Sutra melancholijnie pokiwała głową. — Stanowi groźbę dla całej ludzkości.

— Piękno i pośpiech nie idą w parze — zawyrokował Dealy Lama. — Najpierw niech Niższy Zakon nawiąże z nim kontakt. Jeżeli zdecydują, że wart jest zachodu, wkroczymy do akcji. Postaram się namówić Hagbarda na studia w Harvardzie, żeby go miał na oku, że się tak wyrażę.

TAKO RZECZE BIBLIA, TAKO RZECZE BÓG. SŁOWO ZOSTAŁO POWIEDZIANE
JASNO I WYRAŹNIE I ŻADEN Z UNIWERSYTECKICH MĘDRKÓW NIE DA RADY
DOWIEŚĆ, ŻE ZNACZY NIE TO, CO ZNACZY.

— Ile masz lat naprawdę? — zaciękała się Mama. Dealy Lama spojrzał na nią spod oka.

— Jak powiem, że trzydzieści tysięcy lat, to mi uwierzysz?

— Powinam się była domyślić — roześmiała się. — Wyżej wtajemniczonych poznać po poczuciu humoru.

A SŁOWO BRZMI: NIE MA ROZGRZESZENIA, NIE MA ROZGRZESZENIA, BRACIA I SIOSTRY, NIE MA

160

ROZGRZESZENIA BEZ PRZELANEJ KRWI, BEZ PRZELANEJ KRWI. NIE MA ROZGRZESZENIA BEZ PRZELANEJ KRWI.

Hagbardowi opadła szczeka z nieklamane go zdumienia.

— Cóż, jestem trafiony-zatopiony — oświadczył, wybuchając śmiechem.

Za jego plecami, na ścianie, Joe zamglonym wzrokiem dostrzegł nowiutkie graffiti, zapewne nabazgrane przez kogoś, komu mózg wyparował na kwasie: GOŁĘBIE W KLATKACH B.F. SKINNERA, JESTEŚCIE WIĘŹNIAMI POLITYCZNYMI!

— Obaj zdaliśmy egzamin — ciągnął radośnie Hagbard. — Zostaliśmy osądzeni i uniewinnieni przez wielkiego boga Kwasa.

Joe wziął głębszy oddech.

— Czekam, kiedy zaczniesz udzielać mi wyjaśnień za pośrednictwem monosylab, języka migowego, morse'a czy czegoś jeszcze, co taki nieiluminowany przygłup jak ja będzie w stanie pojąć.

— Domyśliłeś się wszystkiego. Prawda była widoczna gołym okiem. Jasna jak słońce. Kłula w oczy jak mój nos i była od niego o wiele prostsza — w każdym sensie.

— Hagbard, na litość boską, zmiłuj się nade mną i nad nami wszystkimi, skończ z krasomówstwem i odpowiedz wreszcie!

— Wybaczcie. — Hagbard wepchnął pistolet beztrąsko do kieszeni. — Jestem trochę nieprzytomny. Zeszłej nocy toczyłem pewną wojnę będąc ostro nahajowany. Żyłem w ogromnym napięciu, zwłaszcza że obstawiłem dziewięć do jednego, że zastrzelisz mnie, zanim będzie po wszystkim. — Zapalił jedno ze swoich cuchnących cygar. — A więc, krótko mówiąc, Iluminaci są dobrzy, hojni, współczujący i życzliwi, et cetera, et cetera. Możesz dodać wszystkie superlatywy, jakie ci wpadną do głowy. Reasumując, jesteście dobre chłopaki.

— Ale, ale — to niemożliwe.

— Możliwe. I prawdziwe. — Gestem ręki zaprosił Joe do

161

bugatti. — Lepiej Sobie Dupnijmy, jeśli wolno mi wtrącić jeszcze jeden akrostych, nim rozszyfrujemy wszystkie zagadki i kody. — Siedli na przednim siedzeniu i Joe wziął z rąk Hag-barda karafkę z brandy. — Naturalnie — ciągnął Hagbard — kiedy mówię „dobrzy”, nie możesz zapominać, że wszystko jest względne. Jesteśmy najlepsi, jak się tylko da w tym pojebanym sektorze galaktyki. Nie jesteśmy ideałami. Mnie, w każdym razie, daleko do ideału; nigdy też nie dopatrzyłem się oznak nadludzkiej doskonałości w żadnym z Mistrzów Świątyni. Jednak, mierząc zwyczajną, ludzką miarą, jesteście porządnymi gośćmi. Mamy zresztą swoje powody. Można je znaleźć w każdym podręczniku magii, studiując jej podstawowe prawo. Musiała kiedyś wpaść ci w ręce. Wiesz, o czym mówię? Joe chlapnął zdrowo brandy. Brzoskwiniowa, taka, jaką najbardziej lubił.

— Chyba tak. „Co zasiejesz, to zbierzesz”.

— Dokładnie. — Hagbard wyjął mu z rąk karafkę i pociągnął również. — Zwróć uwagę, Joe, że to jest prawo naukowe, a nie dyrektywa moralna. Nie ma żadnych dyrektyw, ponieważ nigdzie nie ma żadnego dyrektora. Wszelki autorytet jest uludą, czy to na gruncie teologii czy socjologii. Wszystko jest radykalnie, wręcz do urzygu, dozwolone. Pierwsze prawo magii jest równie neutralne jak pierwsza zasada dynamiki Newtona. Mówi, że w równaniu obie strony są równe i tyle. Jeżeli uznasz, że musisz zadawać ból i czynić zło — droga wolna. Ale jeśli to zrobisz, nigdy nie umkniesz konsekwencjom. Zawsze cię dopadną. Żadne modły, ofiary, umartwienia czy supliki nie zmienią tego, podobnie jak nie zmienią zasad Newtona czy praw Einsteina. Jesteście więc „dobrzy”, mówiąc słowami moralistów, ponieważ wiemy dość dużo, żeby dbać o to jak cholera. W zeszłym tygodniu sprawy potoczyły się za szybko, więc stałem się „zły” — specjalnie zażądałem i zapłaciłem za śmierć różnych osób, wprawiając w ruch maszynę, która doprowadziła do kolejnych śmierci. Wiedziałem, co robię, i byłem świadom — nadal jestem świadom — że zapłacę za to. Tego rodzaju decyzje w historii Zakonu podejmowaliśmy bardzo

162

rzadko i mój pryncypał, Dealy Lama, usiłował przekonać mnie, że tym razem było to również zbędne. Sprzeciwiłem mu się; to ja ponoszę za wszystko odpowiedzialność i nie zmienię tego żaden człowiek, żaden bóg ani żadna bogini. Zapłacę i gotów jestem zapłacić, kiedy przyjdzie na to czas oraz miejsce.

— Hagbardzie, czym ty jesteś?

— Zwyludem, jakby powiedziała rodzina Saure'ów — uśmiechnął się kwaśno Hagbard. — Zwykłą istotą ludzką. Niczym więcej. O włos.

— Ile krwi? — spytał Robert Putney Drake. Był zdumiony własnymi słowami; we wszystkich eksperymentach z pozbywaniem się kolejnych pęt nigdy nie zniżył się do handry-czenia z ulicznym kaznodzieją.

NIE STARCZY KRWI CAŁEGO ŚWIATA. KRWI WSZYSTKICH MĘŻCZYŹN, KOBIET I DZIECI. NAWET ZWIERZĄT, GDYBY, JEDNO PO DRUGIM, WSZYSTKIE POSZŁY POD NÓŻ VOODOO CZY INNEGO POGAŃSKIEGO RYTUAŁU. WCIAŻ ZA MAŁO. WCIAŻ ZA MAŁO, BRACIA. TAK MÓWI BIBLIA.

— Było nas pięcioro — wyjaśniał John-John Dillinger George'owi, kiedy wlekli się do Ingolstadt, zgubiwszy w tłumie Hagbarda i jego bugatti. — Moi rodzice utrzymywali wszystko w tajemnicy. Byli, jak to Niemcy, skryci i przesadni. Nie chcieli, żeby dziennikarze szwendali się im po domu, a gazety rozpiszywały o pierwszych żywych pięcioraczkach na świecie. Wszystko to musiała, wiele lat później, wycierpieć rodzina Dionne'ów.

GDYŻ KREW CAŁEGO ŚWIATA NIE ODKUPI JEDNEJ KROPLI, JEDNEJ, JEDYNEJ KROPLI.

— John Herbert Dillinger przebywa w Las Vegas, tropiąc Wąglik-Trąd-Pi — chyba że już go znalazł i wrócił do siebie do Los Angeles. — John-John uśmiechnął się. — Z nas wszystkich zawsze miał pod sufitem najrówniej. Prowadzi wytwórnię rockową, jest zawodowym biznesmenem. Był od nas starszy o parę minut i obaj czuliśmy do niego szczególny szacunek. To on odsiedział wyrok w więzieniu, chociaż ja na to zasłuży-

163

łem, ponieważ napad na tego sklepikarza był moim kretyńskim pomysłem. Ale on wytłumaczył mi, że nie da im się zgnoić i tak też było.

JEDNEJ KROPLI, JEDNEJ, JEDYNEJ KROPLI DROGOCENNEJ KRWI PANA NASZEGO ZBAWICIELA, JEZUSA CHRYSYTA.

— A jakiej była grupy? — chciał wiedzieć Drake. — A, B, AB czy 0?

— John Hoover Dillinger mieszka w Mad Dog pod nazwiskiem D.J. Hoover — nie ma nic przeciwko temu, żeby ludzie go brali za dalekiego krewnego J. Edgara. Na co dzień — ciągnął John-John — jest emerytem, czasem jednak podejmuje się niewielkich robót, takich jak pomoc w zorganizowaniu przekonywającego napadu na więzienie, kiedy Jim Cartwright chce, żeby więzień wydostał się na wolność z zachowaniem pozorów realizmu. To on natchnął Naismitha pomysłem stworzenia Stowarzyszenia John Dillinger Umarł Za Was.

— A pozostałych dwóch? — spytał George myśląc przy tym, że teraz, kiedy wiedział, że są jedną i tą samą osobą, jeszcze trudniej będzie mu się zdecydować, czy kocha Stellę bardziej niż Mavis, czy Mavis bardziej niż Stellę. Zastanawiał się, co czuje Joe, który ewidentnie przeleciał pannę Mao Tsu-hsi, będącą przecież również tą osobą. Trzy w jednej i jedna w trzech. Jak Dillinger. Czyżby Dillinger był pięcioma w trzech? Zorientował się, że ciągle jeszcze lekko połatuje na kwasie. Dillinger był pięcioma w jednym, a nie pięcioma w trzech: znów kłania się prawo Pięciu. Czy znaczyło to, że w zestaw Mavis-Stella-Mao wchodziły jeszcze dwie, których nigdy nie spotkał? Czemu ciągle wyskakiwały jakieś dwójki i trójki?

— Pozostali dwaj nie żyją — podjął John-John ze smutkiem. — John Edgar Dillinger urodził się pierwszy i pierwszy również wziął się i umarł. To on strzelił do tego strażnika w banku w East Chicago, kiedy reszta z nas brzuchem do góry byczyła się w Miami. Zawsze był w gorącej wodzie kąpany. W czterdziestym trzecim powalił go zawał; zszedł młodo z tego świata. John Thomas Dillinger zmarł w sześćdziesiątym dzie-

164

wiątym. To on z ramienia PSM w sześćdziesiątym ósmym spotykał się w Chicago z szurniętym angielskim szpiegiem nazwiskiem Chips. Wywiad brytyjski wyniuchał jakoś, że zjazdem Demokratów będą kierować Iluminaci Bawarscy, a ukoronowaniem imprezy ma być zabójstwo. Nie wierzyli w Iluminatów, więc wysłali Chipsa; zawsze go posyłają do szemranych spraw, bo ma dostatecznego szmergla, żeby je potraktować poważnie, dzięki czemu odwała robotę jak trzeba. Przy wyjściu z Hiltona obaj zostali potraktowani gazem łzawiącym i biedny Chips wyładował w policyjnej suce razem z gromadą młodych radykałów. John Thomas już wtedy miał kłopoty z oskrzelami — cierpiał na chroniczną astmę — a gaz łzawiący wcale mu nie pomógł. Biegał od lekarza do lekarza, wreszcie wyzionął ducha na początku sześćdziesiątego dziewiątego. Tak więc chodzi po Chicago glina, który miałby prawo przechwalać się, że zabił Johna Dillingera, tyle że sam o tym nie wie. Życie lubi

czasami płatać figle.

— Rodzeństwu Saure'ów zdawało się tylko, że należą do Iluminatów — ciągnął Hagbard. — Hitlerowi i Stalinowi zdawało się tylko, że należą do Iluminatów. Staremu Weis-hauptowi zdawało się tylko, że należy do Iluminatów. I tyle. Morał tej historii: strzeż się tandetnych imitacji rodem z Zachodu. — Uśmiechnął się ponuro.

— Chyba zaczyna mi coś świtać — powiedział powoli Joe. — Taka była zresztą pierwsza z moich hipotez: Wiele ugrupowań w dziejach podawało się za Iluminatów, przy czym ich cele niekoniecznie były ze sobą zbieżne.

— Dokładnie. — Hagbard zaciągnął się znów cygarem. — To jest pierwsza myśl, która przychodzi do głowy każdemu nie-paranoikowi. Później, kiedy zaczniesz poszukiwać dowodów, zauważysz powiązania między poszczególnymi ugrupowaniami. Wtedy hipoteza paranoiczna wyda mu się bardziej przekonująca i zaczniesz wierzyć, że zawsze istnieli tylko jedni Iluminaci, posługujący się wspólną ideologią i symboliką i zmierzający do wspólnego celu. Podesłałem ci Jima Cartwrighta z tą podpułą na temat trzech ugrupowań konspira-

165

cyjnych — ABC, czyli Asocjacji Bawarskich Cudotwórców NBC, czyli Nowych Bawarskich Cudotwórców, i CBS, czyli Cechu Bawarskich Strażników — po to, żeby natchnąć cię myślą, że prawda może znajdować się w pół drogi między pierwszym rozumowaniem a drugim. Od dziś możesz pożegnać się z myślą, że reprezentuję oryginalnych Iluminatów. Prawdę mówiąc, w ostatnich stuleciach nie używaliśmy w ogóle żadnej nazwy. Posługujemy się tylko inicjałami A.A., które piszemy w następujący sposób.

Na firmowych zapalkach Donau-Hotel nakreślił:

A.-A.-.

— Wielu autorów literatury okultystycznej — ciągnął — zachodziło w głowę, co by też mogło to znaczyć. Naprawdę nie znaczy to absolutnie nic. Po to, by nikt nie mógł się podszyć pod nas i wykoślawić naszych celów, zrezygnowaliśmy z wszelkiej nazwy. Każdy, komu wydaje się, że rozszyfrował skrót i ogłasza się naszym adeptem, twierdząc, że skrót oznacza Agentów Atlantydy czy Argentum Astrum, natychmiast demaskuje się jako oszust. Chytre zagranie — zadumał się melancholijnie Hagbard. — Żałuję, że nie wpadliśmy na to paręset lat temu.

Kiedy Saul z Barneyem wychodzili na ulicę, na biurku sekretarza prezydenta odezwał się brzęczyk. Sekretarz wcisnął przełącznik.

— Dowiedz się, jakie jest najwyższe odznaczenie cywilne, i zamów w moim imieniu po jednym dla tych dwóch detektywów — powiedział prezydent.

— Tak jest, sir — odparł sekretarz, bazgrząc.

— A potem każ FBI sprawdzić tego starszego. Wyglądał mi na gudłaja — dodał znacząco prezydent.

NIE — bo byłabym ciężką idiotką wierząc że na tym świecie zdarzają się cuda zanim zapłacisz czynsz i podatki i udowodnisz że masz papiery w porządku ale ludzie którzy tym zawiadują zawsze mogą powiedzieć że nie masz w porządku papierów NIE ponieważ nie są cudotwórcami nawet Hagbard

166

jest przede wszystkim oszustem i szarlatanem choćby miał dobre intencje NIE bo nie jestem papieżycą Joanną jeśli w ogóle istniała kiedykolwiek papieżycą Joanna NIE bo lubię tę piosenkę która mówi że nie jestem królową tylko kobietą a na dodatek kobietą nie tego koloru co trzeba NIE bo rzeki spłyną krwią i ziemia się zatrząse zanim uda się nam obalić Wuję Sama bo to nie ma być symboliczny Armageddon na jedną noc jak ten w który wpuścił wszystkich Hagbard NIE bo Hagbard jest po trosze magikiem i przez chwilę udało mu się wciągnąć nas wszystkich w swoją podróż na chwilę ale prawdziwe życie to nie jest podróż tylko poniewierka NIE ponieważ kochankowie nie żyją odtąd długo i szczęśliwie tylko pobierają się popadają w długi i żyją w niewoli do końca swoich dni a mi się śni coś lepszego NIE ponieważ żadne z nas nie kieruje tym wózkiem to wózek kieruje nami NIE bo to jest jak w tym starym wicu „Ale jaja” wzdycha królowa „gdybym je miała byłabym królem” „I chuj” mówi książę „na nic się nie zda bo i tak nie jestem królem” „A gówno” rzecze król i trzydzieści tysięcy królewskich poddanych kuca i wyteżę się bo w tamtych czasach słowo króla było prawem Hagbard powiedziałby że to mentalność analna seksizm i uprzedzenia wobec odmiennych grup wiekowych ale wszystko sprowadza się do tego że całe gówno dostaje się kobietom i dzieciom a paru samców dzieli między siebie całą resztę kawały z brodą kryją w sobie sporo prawdy zwłaszcza świńskie kawały jeszcze trochę tripują ale to jest prawda zawsze ci mogą powiedzieć że masz papiery nie w porządku NIE bo czasem kiedy jest się z kimś trzeba móc pobyć samemu przez jakiś czas NIE

bo koło obraca się bez końca i w dupie ma wszelkie zmiany nie może tak być żeby nie było na świecie ludzkiej istoty która nie miałaby cię w dupie NIE bo nigdy nie udało mi się zmusić Simona żeby się zamknął i zaczął słuchać NIE bo Jezus Chrystus był czarnym i nawet w tej kwestii nas oszukali jeszcze jednym czarnym którego zabili a teraz nie chcą się przyznać NIE ponieważ śmierć jest walutą w każdym imperium czy to rzymskim czy amerykańskim czy jakimkolwiek wszystkie imperia są takie

167

same Śmierć jest zawsze argumentem którym się posługują NIE bo wszyscy mogą sobie iść do diabła a ja mam zamiar zadbać o Mary Lou NIE przypomnij sobie tego profesora którego zabito pod siedzibą ONZ i żadnego z nich jeszcze nie posadzili NIE bo jest we mnie perpetuum mobile i uczę się puszczać je w ruch NIE bo mam zamiar rzucić na nich klątwę posłać ich na stos rzucić świat do moich stóp NIE przypomnij sobie co zrobili z tatą i mamą

— Jest na 5 i idzie w kierunku 6! — wrzasnął do słuchawki Igor Beaver.

— Idioto, myślisz, że tego sam nie wiem?! — odwrzasnął dr Troll. — Moje łóżko już dawno odtńczyło taniec świętego Wita. — Jego wzburzenie było zwykłą reakcją na to, że student nie zastosował się do poleceń; 5 to jeszcze dla Kalifornijczyka nie jest żadne aj waj, nawet 6 wywołuje panikę tylko wśród turystów bądź wyznawców słynnych prorocत्व Edgara Cayce'a... John Herbert Dillinger, należący do grona tych ostatnich, był już w garażu; górę od piżamy upchnął w pośpiesznie naciągnięte spodnie, bosą stopę położył na starterze... Uśmiechnięty Jim natomiast piał się w uniesieniu w górę, w niezmaconej komunii z przyrodą; przeżywał mistyczne olśnienie prawdziwego łowcy, zanim nadejdzie okazja, żeby nacisnąć spust i posłać kawał przyrody w diabły...

KTO CHCE, NIECH ŻARTUJE, KTO CHCE, NIECH SIĘ BAWI, NA SĄDZIE OSTATECZNYM UŚMIECH ZETRĄ MU Z TWARZY.

— Handryczy się z ulicznym kaznodzieją — zauważyła Mama. — Niezbyt imponujący start u kogoś, kto zamachnął się na ten rodzaj przeznaczenia.

— Handryczy się sam ze sobą — zawyrokował Dealy Lama. — Właściwie pojęte chrześcijaństwo jest spotkaniem ze Śmiercią. Wciąż się nie może z tym pogodzić. Chciałby zawierzyć symbolice Zmartwychwstania, ale nie potrafi. Przesadny intelektualizm — Król Mieczy — trzyma w cuglach intuicję — Rycerza Kijów.

— Cóż, niewykluczone — zgodził się Drake nieporuszony-

168

ny. — Założmy jednak, że miałyby grupę A. Gdyby w ostatniej chwili zrobiono Mu transfuzję...

Gniazdo znajdowało się już w zasięgu wzroku. Ptaka wprawdzie nie było nigdzie, ale Uśmiechnięty Jim wyraźnie widział charakterystyczne gniazdo orła na szczycie, jakieś sto metrów nad sobą, lekko na zachód.

— Kochanie, wracaj do domku — błagał w myślach żarliwie, odpinając karabinek — Wracaj do domku. Tatuś czeka.

— Saure'owie nie byli Iluminatami — powtórzył Hag-bard, pociągając kolejnego łyka brandy. — Nie byli nimi Weis-haupt ani Hitler. Najpierw oszukiwali siebie, potem innych. Mówiąc bez ogródek: Byli oszustami. Prawdziwi Iluminaci, A.'A.\, nigdy nie mieszały się do polityki ani innych form manipulacji i nacisku społecznego. Nasze zainteresowania koncentrują się wokół zupełnie innych zagadnień. Wola wasza jest naszym prawem jedynym. Dopiero w paru ostatnich dziesięcioleciach, kiedy zaczęło wyglądać, że los ziemi zawisł na włosku, przystąpiliśmy do działań bezpośrednich. Jednak nawet w tym przypadku zachowaliśmy ostrożność. Wiemy, że władza deprawuje. Działaliśmy głównie przez nie-działanie, przez to, co taoiści nazywają *wu-wei*. Potem jednak sytuacja zaczęła się nam wymykać z rąk. Sprawy toczyły się zbyt szybko... Gdzieś pograliśmy nie tak jak trzeba, bo zaczęło wyglądać na to, że całkowite nie-działanie doprowadzi do kataklizmu globalnego.

— Chcesz powiedzieć, że jako wysoko postawiony członek w szeregach A.\A.\ infiltrowałeś fałszywych Iluminatów i zostałeś jednym z ich Piątki z zamiarem unieszkodliwienia ich od wewnątrz? I nie udało ci się?

— Udało się na tyle, na ile może się powieść jakiegokolwiek działanie na takim szczeblu — ponuro stwierdził Hagbard. — Jak dotąd, większość ludzkości uszła z życiem. Żyją również dzikie zwierzęta. Na razie. — Westchnął. — Chyba będę musiał po prostu wyłożyć kawę na ławę. Naszym celem nie była nigdy władza. Dążyliśmy do obalenia władzy, do zwrócenia wolności kobietom i mężczyznom. Co znaczyło naprawdę: do uprzytomnienia im, że są wolni. Wszyscy są wolni. Niewol-

169

nik jest wolny. Najstraszliwszą bronią nie jest bynajmniej zaraza z Las Vegas ani nawet

najnowsza bomba wodorowa. Najstraszliwsza broń istniała od zarania czasów. Znajduje się w posiadaniu każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka. Broń ta to możliwość powiedzenia „Nie” i poniesienia konsekwencji tej decyzji. „Strach to klęska”. „Strach przed śmiercią czyni cię niewolnikiem”. „Nie masz innego prawa jak postępować według własnej woli”. „Gęś w każdej chwili może wyrwać się z butelki. Żeby dać temu świadectwo, Sokrates wypił cykutę. Jezus zawisł na krzyżu. Co krok trafiamy na dowody w historii, mitologii, poezji. Prawdę przez cały czas widać gołym okiem. — Hagbard westchnął znowu. — Nasz założyciel i przywódca, człowiek znany w mitologii jako Prometeusz bądź też wąż z ogrodu rajskiego...

— Chryste. — Joe sflaczał na siedzeniu. — Mam podejrzenia, że znów zaczynasz robić mnie w konia. Chcesz mi wcisnąć, że opowieści o Prometeuszu i historii z Księgi Rodzaju są oparte na faktach?

— Nasz przywódca, zwany Lucyferem bądź Szatanem — podjął Hagbard — przy czym imię Lucyfer oznacza *tego, który przyniósł światło*...

— Posłuchaj — przerwał Joe — nie zamierzam dać wiary ani jednemu twojemu słowu.

— Nasz przywódca, znany jako Prometeusz — ten, który przyniósł ogień, bądź Lucyfer — ten, który przyniósł światło, bądź Quetzalcoatl — gwiazda poranna, bądź wąż w ogrodzie niegodziwego brata Ozyrysa, Seta, bądź Szejtan kusiciel — cóż, krótko mówiąc, ukorzył się. — Hagbard uniósł brew. — Czy udało mi się zaintrygować cię na tyle, żebyś poskromił swój sceptycyzm i dał mi dokończyć zdanie?

— Ukorzył się? — Joe z powrotem siadł prosto.

— Jasne. Czemu by nie? — Na twarzy Hagbarda wykwitł znów dobrze znany złośliwy uśmiešek, którego daremnie by szukał w ostatnim tygodniu. — Skoro Atlas mógł się wzdrygnąć, Telemach mógł kichnąć, czemu by Szatan nie mógł się ukorzyć?

170

— Mów dalej — ponaglił go Joe. — To tylko jedna z wielu twoich bajek, ale nie mogę jej się oprzeć. Wysłucham cię. Na wszystko jednak mam własną odpowiedź, tę mianowicie, że nie ma żadnej odpowiedzi. Ty sam też jesteś alegorią wszechświata i wszelkie próby interpretacji ciebie czy twoich działań z góry skazane są na niepowodzenie. Zawsze może pojawić się nowsza, uaktualniona interpretacja. To jest moja odpowiedź.

Hagbard zaśmiał się niefrasobliwie.

— Uroczą — przyznał. — Muszę o niej pamiętać następnym razem, kiedy sam będę usiłował siebie zrozumieć. Rzecz dotyczy naturalnie wszelkich ludzkich istot. Każdy z nas jest alegorią wszechświata, kolejną maską, którą przymierza, usiłując zdecydować, co jest naprawdę realne... Ale, jak już wspomniałem, nasz założyciel i przywódca ukorzył się. Jest to sekret, który jak dotąd nie ujrzał światła dziennego. W całym kosmosie próżno by szukał czegoś takiego, jak niewzruszona rzeczywistość, a co dopiero w umysłach istot obdarzonych umysłami. Głównym błędem kiepskich literatów — a teologowie nagminnie są kiepskimi literatami — jest tworzenie papierowych postaci, postaci, które się nie zmieniają. Obdarzył nas światłem rozumu i, widząc jak przez nas zostało nadużyte, ukorzył się. Cała historia jest bardziej zawiła, ale w zarysie tak się przedstawia. Tak w każdym razie pojmowałem ją do zeszłego tygodnia. Przede wszystkim chciałbym jednak wyjaśnić, że on nigdy nie dążył do władzy ani zniszczenia. To tylko mit...

— Sfabykowany przez opozycję — uzupełnił Joe. — Zgadłem? Czytałem o tym u Twaina, w obronie Szatana.

— Twain był bystry — przyznał Hagbard pociągając brandy — ale nie dość bystry. Nie, mit nie został sfabykowany przez opozycję. Jego autorem był sam nasz założyciel.

— Szkoda, że Wilde tego nie dożył — stwierdził z uznaniem Joe. — Taki był z siebie dumny, ile razy udało mu się spiętrzyć paradoksy w zachwycające trzy-, cztero-, czy pięciopiętrowe konstrukcje złożone z wzajemnych zaprzeczeń. Niechby zobaczył twoje drapacze chmur!

171

— Zawsze mogę na ciebie liczyć — stwierdził Hagbard. — Na szubienicy do ostatniej chwili będziesz dyskutować o realności sznura. Dlatego właśnie ciebie wybrałem wtedy, przed laty, i przygotowywałem do roli, którą odegrasz dzisiejszej nocy. Tylko człowiek, którego ojciec był ex-muzul-maninem i który sam jest ex-katolikiem i byłym ex-studentem inżynierii, może być dostatecznie popieprzony do moich celów. Jednak, wracając do libretta, jak zwykł mawiać mój stary druh, błąd Weishaupta i Hitlera, i Stalina, i Saure'ów polegał na tym, że uwierzyli propagandzie, jaką nasz przywódca fabrykował przeciw sobie samemu — to jedno; druga sprawa to to, iż wierzyli, że komunikują się z nim, gdy w rzeczywistości komunikowali się jedynie z najohydniejszym obszarem własnych umysłów. Żaden zły duch ich nie mamił. Sami się omamili. A myśmy deptali im po fMętach,

strzegąc, żeby nie narobili zbyt wielu szkód. Wreszcie, na początku lat sześćdziesiątych — kiedy zawalka w Dallas przekonała mnie, że sprawy wymykają się nam z rąk — nawiązałem bezpośredni kontakt z ich Piątką. Ponieważ znałem prawdziwe tajniki magii, a oni tylko jej formy wynaturzone, bez trudu przekonałem ich, że jestem wysłannikiem istot, które oni nazywali Tajnymi Przywódcami lub Wielkimi Mędrkami, bądź też Świetlistymi. Będąc na wpół obłąkani, zareagowali wbrew wszelkim oczekiwaniom. Abdykowali zbiorowo, wyznaczając mnie i Saure'ów na swoich następców. Ogłosili, że wkraczamy w erę Horusa, boskiego dziecka, i młodzież powinna przejąć ster rządów nad światem — stąd też ich faworyzowanie Saure'ów. Mnie dorzucili na deser, ponieważ sprawiałem wrażenie, że wiem, co mówię. Zaraz jednak wyłoniła się prawdziwa trudność: Sau-re'owie za żadne skarby nie chcieli mnie słuchać. Te świńskie blondaski nie chciały wierzyć jednemu słowu z moich ust. Nie należy ufać nikomu po trzydziestce, oświadczyli. Jak wspominałem, prawda od dawna była widoczna gołym okiem; każdy, kto miał oczy w głowie, powinien był zorientować się, co jest grane, już na początku lat sześćdziesiątych. Wielcy Iluminaci przeszłości, przed którymi drżał cały świat, dostali

172

się pod rządy głupich, niedobrych dzieciaków. Nastął wiek butnego książątka.

— A ty uważasz, że rządy powinny spoczywać w dłoniach mądrych starców? — spytał Joe. — Nie wygląda mi to za bardzo na ciebie. Pewnie znowu jakaś podpucha.

— W ogóle nie uważam, żeby ktokolwiek musiał rządzić

— odparł Hagbard. — Staram się tylko — podobnie jak starał się zawsze cały Wyższy Zakon A.·A.· — nawiązywać kontakt z ludźmi, nie bacząc na ich lęki i przesady. Nie po to jednak, żeby nimi rządzić. To, co usiłujemy im zakomunikować

— najwyższy sekret, kamień filozoficzny, eliksir życia — to po prostu potęga słowa „Nie”. To my powiedzieliśmy *Non ser-viam* i tego samego staramy się nauczyć innych. Choć Drakę duchowo był jednym z nas, nigdy tego nie zrozumiał. To, że nie możemy dostąpić nieśmiertelności, nie znaczy, że nie mamy się starać, i to jeszcze jak. Jeśli nie możemy uratować tej planety — odfrunmy z niej do gwiazd.

— A teraz co? — spytał Joe.

— Kolejne niespodzianki — bez namysłu odparł Hagbard. — Nie mogę ci wszystkiego wyjawić o tej porze, kiedy obaj lecimy z nóg, lądując z kwasu. Wracamy przespać się do hotelu, a po śniadaniu ciąg dalszy rewelacji. Dla ciebie i dla George'a.

— Czy to prawda, że Hitler zostanie pochowany na żydowskim cmentarzu? — spytał nieco później George, kiedy prowadzone przez Harry'ego Coina bugatti miękko resorując wiozło go w towarzystwie Hagbarda i Joe południowym brzegiem jeziora Totenkopf.

— Na to się zapowiada — skrzywił się Hagbard. — Jego izraelskie dokumenty zostały po mistrzowsku podrobione. Zostanie zdjęty z kibla przez ludzi Hauptmanna, a następnie złożony z szacunkiem na Cmentarzu Hebrajskim Miasta Ingol-stadt, gdzie będzie spoczywał do końca świata.

— Od czego osobiście będę puszczał pawia raz na dzień do końca życia — oświadczył cierpko Joe. — Historia nie zna równie ohydnej profanacji miejsca ostatniego spoczynku.

— Cóż, ma to też swoją dobrą stronę — powiedział Hag-bard. — Spójrz na to z punktu widzenia przodujących nazistów. Pomyśl tylko, jak muszą się gotować na myśl, że zostaną pochowani na cmentarzu żydowskim przy akompaniamencie modłów rabina.

— Słaba pociecha — stwierdził George. — Joe ma rację. To jest w fatalnym guście.

— Zdawało mi się, chłopcy, że jesteście obaj skończonymi ateistami — odparł Hagbard. — Ateiści uważają, że zmarli są zmarli, i mało ich obchodzi, gdzie, co i kto z nimi robi. Co się tu dzieje? Czyżby was nagle wzięło na pobożność?

— W twoim towarzystwie, chcąc nie chcąc, człowiek się robi religijny — odciął się Joe.

— A dla mnie to niezły kawał: hitlerowcy gryzą ziemię na kupie z Żydami — rzucił Harry Coin z fotela kierowcy.

— Idź, wypieprz zdechłego kozła, Harry — wkurzył się George.

— Z przyjemnością, tylko mi go skombinuj — odparował Harry.

— Hagbardzie, jesteś niepoprawny — odezwał się Joe. — Jesteś krańcowo niepoprawny. W dodatku otaczasz się ludźmi, od których bynajmniej się nie poprawiasz.

— Nie potrzebuję pomocnej dłoni — odparł Hagbard. — Starczy mi własnej inicjatywy. Mam jej więcej niż którakolwiek ze znanych mi istot ludzkich, może z wyjątkiem Mavis.

— Czy zeszłej nocy wzrok mnie nie omylił? Mavis jest naprawdę boginią? — przyparł go do muru George. — A Stella, panna Mao i Mavis są jedną osobą, czy też miałem omamy?

— Następne paradoksy — jęknął Joe. — Będzie teraz mówił przez godzinę, a kiedy skończy, będziemy wiedzieć mniej niż na początku.

Siedzący na wielkim obrotowym fotelu Hagbard odwrócił się do nich tyłem i przez ramię Harry'ego Coina zaczął obserwować szosę.

— Chętnie wyjaśnię ci to później, George. Wy tłumaczył-

174

bym ci na miejscu, ale wkurza mnie ton Malika. Może już nie chce mnie rozwalić, ale nadal ma coś do mnie.

— Zgadłeś — odburknął Joe.

— Czy nadal zamierzasz ożenić się z Mavis?

— Co? — Hagbard odkręcił się i spojrzał na George'a z wyrazem mistrzowsko imitującym szczere zaskoczenie.

— Mówiłeś, że panna Portinari ma wam udzielić ślubu na pokładzie „Leifa Ericssona”. Czy to prawda?

— Owszem — potwierdził Hagbard. — Panna Portinari zaślubi nas po południu. Przykro mi, ale znałem Mavis przed tobą.

— To Mavis nie jest naprawdę Eris? — Nie chciał dać za wygraną George. — Jest tylko kapłanką Eris?

— Później, George — opędzał się Hagbard. — Ona ci to wyjaśni.

— Lepiej niż sam Hagbard — uzupełnił cynicznie Joe.

— Cóż — podjął Hagbard — wracając do Hitlera i jego kolesiów, trzeba wam wiedzieć, że będą oni świadomi faktu, że ich ciała zostały pogrzebane na cmentarzu żydowskim. Wciąż są przytomni i świadomi, choć nie są, w potocznym tego słowa znaczeniu, żywi. Ich energio-świadomość nie zaznała żadnego uszczerbku, mimo że w ich ciele brak życia. Przybyli na festiwal w Ingolstadt z nadzieją, że ich młodzi przywódcy obdarzą ich nieśmiertelnością. Fakt, osiągnęli nieśmiertelność, jednak w niezbyt atrakcyjnym gatunku. Ich energio-świadomość została wychłęptana przez Złego. Zachowali wprawdzie tożsamość, ale tylko pod postacią bezwolnej cząstki Zjadacza Dusz, najohydniejszej kreatury Wszechświata, jedynej istoty zdolnej obrócić ducha w ścierwo. Yog Sothoth upomniał się o swoją daninę.

— Yog Sothoth! — poruszył się Joe. — Uczyłem się o nim. Niewidzialna istota uwięziona w pentagonalnej budowlu na Atlantydzie. Prawdziwi Iluminaci wysadzili budowlę w powietrze i uwolnili potwora.

— No właśnie — potwierdził Hagbard. — Musiałeś widzieć film szkoleniowy Erizyjskiego Frontu Wyzwolenia o At-

175

lantydzie i Gruadzie Szarej Twarzy. Cóż, film, naturalnie, rozmija się z prawdą w szczegółach. Na przykład Yog Sothotha przedstawia się jako bestię mordującą ludzi tysiącami, prawda natomiast jest taka, że niemal zawsze ktoś musi odwalić za niego tę robotę. Stąd właśnie wzięło się składanie ofiar z ludzi. Również, żeby zapewnić sobie stosowną liczbę ofiar, manipulował niezliczonymi wydarzeniami na Atlantydzie, dopóki stary Szara Twarz, praojciec moralnego sadomasochizmu, nie pojawił się z własnymi opiniami na temat dobra i zła. Człowiek cierpi, ponieważ jest zły, twierdził Gruad, oraz dlatego, że jest bezsilny i słaby. We wszechświecie działają potężne siły, siły wobec których jesteśmy niczym, możemy je najwyżej próbować obłaskawić. Gruad uczył ludzi widzieć niewiedzę, ślepe namiętność, ból i śmierć jako zło i toczyć z nim walkę.

— Cóż... niewiedza jest złem — stwierdził Joe.

— Nie wtedy, kiedy człowiek zdaje sobie z niej sprawę i godzi się z nią — odparł Hagbard. — Musisz być głodny, żeby jeść. Trzeba niewiedzy, żeby osiąść wiedzę. Niewiedza jest nieodzownym warunkiem nauki. Ból jest niezbędny dla zdrowia. Bez ślepej namiętności nie byłoby trzeźwej myśli. Śmierć jest warunkiem życia. Gruad uczył swoich atlantydzkich wyznawców postrzegać te stany w kategorii zła, po czym wpoił im składanie ofiar z ludzi, techniki wojenne i prześladowania. Działał z polecenia Yog Sothotha, o czym jednak nie wiedział.

— A więc to Yog Sothoth jest wężem w rajskim ogrodzie — skonstatował Joe.

— W pewnym sensie — przyznał Hagbard. — Jednak musicie pamiętać, że mit ogrodu rajskiego został wyśniony i rozpowszechniony przez Iluminatów.

— Kto wobec tego wyśnił mit o Gruadzie z Atlantydy? — spytał Joe.

— No właśnie — przytaknął Hagbard ze śmiertelną powagą.

— W życiu nikt nie próbował wcisnąć mi takiego kitu — oświadczył Joe. — Chcesz mi wmówić, że nie istnieje dobro ani zło? Że te pojęcia są ludzkim wymysłem, który ma nas

176

psychicznie rozwalić? Jednak twój dowód opiera się na założeniu, że ludzka natura przed Gruadem była dobra, a później stała się zła. A Yog Sothoth w twoim ujęciu jest odpowiednikiem Szatana. Nie wyszedłeś ani na krok poza judeochrześci-jański mit, tę pompatyczną opowieść rodem ze sci-fi.

— Pięknie! — Hagbard ryknął śmiechem i trzepnął Joe w kolano. Uniósł do góry złożoną dłoń. — Co to za znak? — spytał.

— Znak pokoju, tylko ze zsuniętymi palcami — odparł George, nic nie pojmując.

— Wy, baptyści, jesteście skończonymi ignorantami — zaśmiał się Joe. — Jako syn Jedyne-go Prawdziwego Kościoła powiadam ci, George, że Hagbard udziela nam katolickiego błogosławieństwa.

— Czyżby? — zakpił Hagbard. — Spójrz na cień, jaki moja dłoń rzuca na tę książkę. — Przytrzymał książkę za dłońią tak, że mogli zobaczyć rogatą głowę Diabła. — Słońce, źródło wszelkiego światła i energii, symbol odkupienia. Moja dłoń złożona w najświętszy gest błogosławieństwa. Dodaj jedno do drugiego, a otrzymasz Szatana. — Podjął znów starą śpiewkę.

— I co z tego niby wynika? — zniecierpliwiał się Joe. — Że dobro jest tylko cieniem, bytem pozornym? Paru współczesnych filozofów ostro przeciwstawiło się takiemu podejściu, zaskarbiając sobie opinię zatwardziałych realistów. A przecież ich poglądy nie są niczym innym, jak tylko zwierciadlanym odbiciem tego, co nazywasz klasycznym bełkotem metafizycznym.

— Co wobec tego jest realne? — zażądał odpowiedzi George. — Matka Boska Zielna, Kali — Matka Morderców czy Eris, która łączy w sobie cechy jednej i drugiej?

— Rzeczywisty jest *trip* — wyjaśnił Hagbard. — Wizje, które masz po drodze, są nierealne. Lecąc dalej, wyminiesz je w końcu i sam się o tym przekonasz.

— Solipsyzm. Typowy sztubacki solipsyzm — zbył go Joe.

— Mylisz się — wyszczerzył zęby Hagbard. — Solipsy-sta wierzy w realność tripującego.

177

— Tam przy drodze paru facetów macha do nas! — krzyknął do Hagbarda Harry Coin.

Hagbard odkręcił fotel i spojrzał przed siebie.

— Fakt. To chłopaki z „Leifa Ericssona”. Zatrzymaj się koło nich, Harry. — Sięgnął do srebrnego wazonu obok tylnego siedzenia i ze świeżego bukietu, który rano sam włożył do wody, wyjął różowy pączek róży. Wetknął kwiat w butonierkę przy klapie. Wielki, złoty bugatti zatrzymał się i czterej mężczyźni wysiedli. Harry poklepał przedni błotnik długą, kościstą dłońią.

— Dzięki, Hagbardzie, że pozwoliłeś mi go poprowadzić — oświadczył. — W życiu nikt nie pokusił się o równie pięknym gest pod moim adresem.

— Mylisz się. Teraz będziesz chciał mieć własne bugatti. Albo, co gorsza, poprosisz mnie, żebym pozwolił ci zostać moim szoferem.

— Nie, nie poproszę. Ale mam dla ciebie propozycję. Dasz mi samochód, a ja cię za to zawsze podwiozę, gdybyś gdzieś potrzebował jechać.

— Rób tak dalej, a wkrótce będziesz miał własny samochód. — Hagbard ze śmiechem poklepał Harry'ego po plecach.

Ciągnący się za bugattim ogon samochodów zjechał na pobocze. Z szosy do jeziora opadało trawiaste zbocze. Na błękitnych falach, zionąc chmurą czerwonego dymu, kołysała się okrągła, złota boja.

Z mercedesa 600, który stanął tuż za bugattim, wysiadła Stella. George trochę liczył, niesłusznie, jak się okazało, że za Stellą wyłonią się z auta Mavis i panna Mao. Spojrzał na Stellę i słowa zamarły mu na ustach. Nie wiedział, co powiedzieć. Stella patrzyła na niego ze śmiertelnym smutkiem, w milczeniu. Może poprawi się między nami, kiedy wrócimy do łodzi. Może w łodzi znów będziemy ze sobą rozmawiać.

Z różowego cadillaca za mercedesem wytaszczyli się Simon Moon i Clark Kent. Stella nie odwróciła się w ich stronę. Panowie pogrążeni byli w ożywionej konwersacji. Za cadillakiem zatrzymał się motocykl, z którego zeskoczył Otto Waterhouse.

178

v

Dopiero teraz Stella odwróciła się. Najpierw spojrzała na Ottona, potem na George'a. Wreszcie raptownie odwróciła się plecami od jednego i drugiego i zaczęła schodzić nad wodę. Na brzeg wyciągano właśnie wielką, nadmuchiwaną tratwę ratunkową. Jeden z siedzących na tratwie ludzi Hagbarda podniósł się i podał Stelli kombinezon płetwonurka. Bez pośpiechu, jakby była zupełnie sama, Stella zdjęła ludową koszulę i spódnicę, po czym rozbierała się dalej, aż do naga. Wciągnęła kombinezon.

W tym czasie za kierownicą hagbardowego bugatti royale zasiadł obcy mężczyzna i ruszył w dół zbocza. Dwóch innych mężczyzn rozchyliło wlot olbrzymiego plastikowego wora i auto wjechało do środka. Zawiazali wór mocnym drutem. Liny przyczepione do wora napięły się; ich końce niknęły w wodzie. Powoli, trochę majestatycznie, a trochę komicznie, auto zsunęło się ze zbocza i wjechało do jeziora. Wypląnęło kawałek od brzegu, unosząc się na tafli jeziora. Z głębiny wystrzeliły dwie wyciągarki głębinowe; na krzeselkach siedziało dwóch ludzi Hagbarda w czarnych kombinezonach płetwonurków. Wyciągarki ustawiły się po obu stronach plastikowego bąbla z wozem i mężczyźni grubymi powrozami przywiązali auto. Ruszyły silniki i nurkowie wraz z samochodem szybko zniknęli pod powierzchnią.

Tymczasem do brzegu przybiły kolejne tratwy pontonowe i cała ekipa Hagbarda zaczęła wciągać na siebie rozdawane przez załogę łodzi kombinezony płetwonurków.

— Nigdy tego nie robiłam — zaniepokoiła się Lady Vel-kor. — Jesteście pewni, że to bezpieczne?

— Nie bój nic, moja droga — pocieszył ją Simon Moon. — Nawet mężczyzna dałby radę.

— Gdzie twoja przyjaciółka, Mary Lou? — zaciekawił się George.

— Rzuciła mnie — odparł Simon melancholijnie. — Pieprzony kwas padł jej na mózg.

NIE — ponieważ musi dojść do ostatecznej równości i porozumienia między Białymi a Czarnymi i między mężczyznami

179

a kobietami NIE bo to rozdarcie nie może trwać wiecznie no bo kurwa ja to rozumiem ale NIE teraz nie mogę NIE nie jestem jeszcze gotowa penis którego wyobrażałam sobie zeszłej nocy nie był jakąś freudowską halucynacją za fizycznym penisem stoi falliczna siła NIE działanie z centralnego ośrodka w ciele jak mówi Simon Hagbard to nazywa działaniem wprost z serca ale tylko niewielu jest teraz do tego zdolnych NIE większość z nas nigdy się tego nie nauczyła i nigdy nie miała szansy się nauczyć To jest prawdziwa kastracja prawdziwa impotencja zarówno mężczyzn jak i kobiet tak Czarnych jak i Białych NIE moc uważamy za falliczną bo żyjemy w społeczeństwie patriarchalnym NIE nie mogę być kobietą Simona ani niczyją Najpierw muszę się stać moją własną kobietą a to może potrwać latami może potrwać przez całe życie mogę tego nigdy nie dożyć ale muszę spróbować nie mogę skończyć jak tato nie mogę skończyć jak większość Czarnych i większość Białych zresztą też NIE może jeszcze kiedyś spotkam Simona może spróbujemy drugi raz Ten szajbus od acidu Tim Leary powtarzał zawsze Możesz zostać kim zechcesz za drugim razem NIE to nie może się stać tym razem to może stać się za drugim razem NIE powiedziałam NIE nic z tego NIE

— Diabelnie liczę na uczciwość Hauptmanna, który obiecał, że nikt nie będzie mi deptał po piętach — wyznał Hagbard. — Spuszczenie wszystkich na dół zajmie sporo czasu.

— Co robimy z samochodami? — spytał Harry Coin.

— Cóż, bugatti, naturalnie, jest mi zbyt drogie, żeby się z nim rozstawać, więc biorę je na pokład „Leifa Ericssona”. Resztę zostawiamy. Może przydadzą się na coś gościom festiwalowym.

— Nie przejmuj się tą hordą Hunów — odezwał się John-John Dillinger, podchodząc do nich. — Niech tylko któryś z nich podskoczy, zaraz usłyszysz parę celnych słów z ust starego wujka Thompsona. Rozbawi ich do łez.

— Nie ma to jak duch pokoju — rzucił cierpko Hagbard.

— Trzeba dać szansę pokojowi — dorzucił Malaklipsa, nadal w postaci Jean-Paul Sartre'a. — Na to, by pokój zapa-

180

nował, potrzeba czasu. Najpierw musi zadziałać likwidacja Iluminatów. Różnica wkrótce da się odczuć.

— Wątpię — oświadczył Hagbard. — Dealy Lama miał stu procentową rację.

Cała operacja z przebraniem ekipy Hagbarda w kombinezony, dowiezieniem tratwami do wyciągarek, wreszcie sprowadzeniem na pokład „Leifa Ericssona”, zajęła ponad godzinę. Kiedy nadeszła kolej George'a, z niecierpliwością przebijał wzrokiem mroczny odmet w poszukiwaniu łodzi podwodnej; z radością powitał błysk wielkiego złotego wrzeciona. Przynajmniej to jest rzeczywiście, pomyślał. Widzę ją przed sobą; jest takich rozmiarów, jakich się spodziewałem. Nawet gdyby nie miała nigdzie popłynąć, bo wszystko dzieje się w podwodnym Disney World.

W godzinę później łódź zanurzyła się w głębinach Morza Waluzyjskiego. George, Joe i Hagbard stali na mostku. Hagbard wsparł się o antyczną rzeźbę dziobową wikingów, George i Joe zapatrzeni w bezkresne szare głębiny obserwowali dziwne ślepe ryby i mijające ich morskie potwory.

— Istnieje pewien rodzaj grzyba, który w tym oceanie przybrał swoistą postać wodorosta — odezwał się Hagbard. — Grzyb ma własności fosforyzujące. Nie dociera tu światło, więc nie ma roślin

zielonych.

W oddali pojawił się punkcik, który powiększał się gwałtownie, aż George rozpoznał w nim morświna. Bez wątplenia był to Howard. Zwierzę miało do grzbietu przymocowany sprzęt pletwonurka. Kiedy zrównało się ze statkiem, fiknęło kozła, a w głośnikach zabrzmiała jego pieśń tłumaczona na ludzką mowę:

Kiedy płynie, ocean chlupoce
Na jego rozkaz ziemia dygoce
Był na Ziemi przed stworzeniem wszelkim
Śpiewam o Lewiatanie wielkim

— Te częstochowskie rymy są nie do zniesienia. — Hagbard pokręcił głową. — Muszę pogrzebać przy translatorskim programie poetyckim FUCKUP-a. Co mówiłeś, Howardzie?

181

— O! — podskoczył Joe. — Zeszłym razem nie miałem okazji przyjrzeć się waszemu podwodnemu przyjacielowi mówiącemu po ludzku. Cześć, Howardzie. Nazywam się Joe.

— Cześć, Joe — powitał go Howard. — Witaj w moim świecie. Niestety, w chwili obecnej nie jest to zbyt przyjazny świat. Straszliwe niebezpieczeństwo czai się w wodach Atlantyku. Prawdziwy władca Iluminatów wyruszył na pełne morza. Na Pacyfiku zapadło się dno morskie, od wstrząsów zatrzęsała się ziemia i zaniepokojony Lewiatan powstał z głębin. Nie dość, że drżą lądy i morza, to jeszcze zginęli jego najwierniejsi wyznawcy, Iluminaci. O ich zgonie powiadomiły go erupcje energio-świadomości, wyczuwalne nawet w morskich głębinach.

— Cóż, nie zje przecież naszej łodzi — uspokoił go Hag-bard. — Poza tym, jesteśmy dobrze uzbrojeni.

— Może wyłuskać was z tej łodzi z łatwością, z jaką mewa rozbija jajo pingwina — oświadczył Howard. — Wasza broń nie zda się na wiele. Praktycznie jest niezniszczalny.

Hagbard wzruszył ramionami, podczas gdy Joe i George wymienili znaczące spojrzenia.

— Będę uważał, Howardzie. W tej chwili nie możemy jednak zawrócić. Musimy dotrzeć do Ameryki Północnej. Będziemy się starali schodzić Lewiatanowi z drogi.

— Jest wielki jak ocean — ostrzegł Howard. — Choćbyście stawali na głowie, natkniecie się na niego, a on na was.

— Przesadzasz.

— Tylko nieznacznie. Muszę was teraz pożegnać. Myślę, że w tym tygodniu odwaliliśmy dobrą robotę zmniejszając zagrożenie mojego plemienia, waszego zresztą też. Plemię mor-świnów rozdzieli się teraz, by różnymi przesmykami wydostać się na północny Atlantyk. Osobiście wypłynę z Morza Wału-zyjskiego na wody szkockie. Naszym zdaniem Lewiatan kieruje się teraz na Pacyfik wokół Przylądka Horn. Wszystko, co ma pusty żołądek i pływa, przemieszcza się w tamtym kierunku. Z przykrością muszę donieść, że w wodzie nie brak świeżego mięsa. Do zobaczenia, przyjaciele.

182

— Bądź zdrow, Howardzie — odparł Hagbard. — Niezły nam wyszedł ten most.

— To prawda — przyznał Howard. — Szkoda, że go musiałeś zatopić.

— Co to są te zbiorniki, które miał na grzbiecie? — zaciekał się Joe.

— Butle tlenowe. W wodach waluzijskich nie ma tlenu, więc Howard potrzebuje aparatury tlenowej, dopóki nie wypłynie na otwarte wody.

— Hagbard, co to była za gadka o tym prawdziwym władcy Iluminatów? W kółko słyszę, że było pięciu Illuminati Primi. Czwooro należało do rodziny Saure'ów. Brakuje jeszcze jednego. Czy jest nim Lewiatan? Czy gigantyczny potwór morski dyryguje całą tą szopką? To jest ten wielki sekret?

— Nie — zaprzeczył Hagbard. — Będziesz się jeszcze musiał pogłowieć nad tym, kto jest piątym Illuminatus Primus. — Mrugnął do Joe za plecami George'a. — Mówiąc o prawdziwym władcy Howard miał na myśli istotę nadprzyrodzoną, czczoną przez Iluminatów.

— Potwór morski? — zadumał się Joe. — W filmie, który pokazali mi tamci ludzie wtedy na tym poddaszu na Lower East Side, była jakaś wzmianka o morskim potworze nieziemskich rozmiarów i mocy. Jednak pierwotni Iluminaci — banda Gruada — przedstawieni zostali jako czciciele Słońca. Wielka piramida z okiem miała jakoby przedstawiać oko boga Słońca. Kim w ogóle, do diabła, byli ci ludzie? Teraz już wiem, kim jest panna Mao, ale dalej nie mam pojęcia, kim byli oni.

— Byli członkami Erizyjskiego Frontu Wyzwolenia — EWF — wyjaśnił Hagbard. — Mają nieco odmienne od naszych poglądy na prehistorię i początki Iluminatów. Co do jednego jesteśmy jednak zgodni — religia jest wymysłem Iluminatów.

— Rozumiem, Grzech Pierworodny — zakpił Joe.

— Joe, powinienesz czym prędzej założyć własną sektę — oświadczył Hagbard.

— Dlaczego?

183

— Bo jesteś strasznie sceptyczny.

— Wracamy do Ameryki, prawda? — zapytał George. — Nasza przygoda dobiega końca?

— W każdym razie pewien jej etap — potwierdził Hag-bard.

— Świetnie. Chciałbym teraz spróbować przelać na papier, co widziałem i co się ze mną działo. To na razie, chłopaki.

— Mamy dziś uroczysty obiad w głównej messie — rzucił za nim Hagbard.

— Nie zapominaj, że „Konfrontacje” mają prawo pierwodruku wszystkich twoich tekstów — dodał Joe.

— Pierdolcie się — dotarł do nich głos George'a zza zamykających się drzwi na mostek.

— Wolałbym mieć lepsze zajęcie. Poproszę dwie — zażądał Otto Waterhouse.

— Domyślam się, że byś wolał — skwitował Harry Coin.

— A ta bambuska, Stella, nie jest już twoją przyjaciółką? Czemu nie jesteś teraz u niej?

— Ponieważ ona nie istnieje — wyjaśnił Otto podnosząc dwie karty, które John-John Dillinger pchnął w jego stronę po gładkim blacie z tekowego drewna. Przyjrzał się kartom w rękę, po czym dorzucił do puli banknot opiewający na pięć ton lnu.

— Podobnie jak nie istnieje Mavis czy panna Mao. Pod każdą z nich kryje się jakaś kobieta, niemniej wszystko, czego doświadczyłem, było wyłącznie halucynacją.

— Nie ma na świecie kobiety, do której by się to nie odnosiło — stwierdził Dillinger. — Ile chcesz kart, Harry?

— Trzy — odparł Harry. — Chujowe karty dostałem od ciebie ostatnim razem, John-John. Powoli dochodzę do wniosku, że seks w ogóle jest halucynacją. Dlatego właśnie jest taki w dechę. I dlatego mógłbym rypać wszystko, co się rusza.

— Jedną tylko — zażądał Dillinger. — Dobrze mi karta idzie. Co widzisz, kiedy walisz drzewa, małych chłopczyków i co tam jeszcze, Harry?

— Białe światło — odparł Harry. — Wielkie, piękne, olśniewające białe światło. Daję dziesięć ton lnu.

184

— To mają być chujowe karty? — zdumiał się Water-house.

— Proszę — powiedział George. Drzwi kajuty otworzyły się; odłożył pióro. Na progu stała Stella.

— Jest nam trochę ciężko, co, George? — powiedziała wchodząc do środka i przysiadając obok niego na koi. — Czuje, że jesteś na mnie zły — mówiła dalej, kładąc dłoń na jego kolanie. — Wydaje ci się, że moja tożsamość jest tylko atrapą. Czujesz się więc w jakimś sensie oszukany.

— Straciłem i ciebie, i Mavis — odparł George. — Jesteście jedną i tą samą osobą, co znaczy, że jesteście nikim. Jesteś nieśmiertelna. Nie jesteś ludzką istotą; nie wiem, kim jesteś. — Nagle podniósł na nią wzrok z nadzieją. — Chyba że to zeszłej nocy było właśnie halucynacją. Czy to mógł być naprawę kwas? Potrafisz przybierać różne postaci?

— Owszem — odparła Mavis.

— Nie rób tego — poprosił George. — To mnie wytrąca z równowagi. — Zerknął spod oka. Stella.

— Nie umiem powiedzieć, czemu mnie to tak rozwala — przyznał. — Właściwie powinienem już być zdolny przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego.

— Czy szkodziło ci to, że kochałeś się w Mavis, będąc jednocześnie zakochany we mnie?

— Niespecjalnie. Zwłaszcza że wyraźnie nie miałaś nic przeciwko temu. Teraz wiem czemu. Dlaczego miałabyś być zazdrosna, skoro obie z Mavis byłyście jedną i tą samą osobą?

— Tak naprawę nie jesteśmy jedną osobą.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Czytałeś kiedyś *Trzy oblicza Ewy*? Nie? To posłuchaj...

Rzecz, jak wszystkie romanse z klasą, zaczynała się w Paryżu. Była znaną aktorką hollywoodzką (a potajemnie — Ilu-minatką); on był milionerem, który świeżo zasilł jet-set (a potajemnie — przemytnikiem i anarchistą). Wypisz wymaluj, Bogart i Bergman w scenach z *Casablanki*. A więc: namiętność zbyt ognista, Paryż zbyt piękny (właśnie podnosił się z ruin, w które go obrócono w eposie Bergman i Bogarta), para zbyt

185

olśniewająca, by co bystrzejszy obserwator nie przeczuł nadciągającej burzy. Stało się to tej nocy, kiedy wyznał jej, że jest adeptem magii i złożył pewną propozycję; porzuciła go z miejsca. W miesiąc później, po powrocie do Beverly Hills, odkryła, że to, o co ją prosił, było jej przeznaczeniem.

Kiedy próbowała go odszukać, okazał się — jak to Hagbard Celine — nieuchwytny; interesy przekazał chwilowo zastępcy, a sam zażywał prywatności.

W rok później znów wypłynął na publiczne wody, balan-gując w Hongkongu z angielskimi biznesmenami o wątpliwej reputacji i jeszcze bardziej podejrzany chińskimi przedsiębiorcami z branży import-eksport. Zerwała kontrakt z największym studiem w Hollywood i poleciała do Perły Korony Brytyjskiej, by tam dowiedzieć się, że znów się zapadł pod ziemię, natomiast jego nowi przyjaciele są obiektem dochodzeń sądowych w aferze heroinowej.

Dopadła go w Tokio, w hotelu Imperial.

— Rok temu zdecydowałam się przyjąć twoją propozycję, ale teraz, po Hongkongu, nie jestem już taka pewna — powiedziała na wstępie.

— *Thelema* — odparł, patrząc na nią przez pokój, który wyglądał, jakby go zaprojektowano dla Marsjan; w rzeczywistości zaprojektowany został dla Walińczyków.

Podskoczyła na sofce.

— Jesteś w Zakonie?

— W Zakonie i przeciw Zakonowi — odparł. — Naprawdę chodzi o to, żeby ich zniszczyć.

— Jestem jedną z najwyższej Piątki w Stanach — powiedziała niepewnie. — Co każe ci przypuszczać, że ich wystawię do wiatru?

— *Thelema* — powtórzył. — To słowo nie jest tylko hasłem. Znaczy też „Wola”.

— Zakon jest Wolą moją — zacytowała stare Ślubowanie Inicjacyjne Weishaupta.

— Gdybyś naprawdę w to wierzyła, nie byłoby cię tutaj — stwierdził. — Rozmawiasz ze mną, bo jakaś część ciebie

186

wie, że Wola istoty ludzkiej nigdy nie może należeć do żadnej organizacji.

— Mówisz jak moralista. Dosyć zaskakujące u handlarza heroiną.

— Też mówisz jak moralista i jest to równie zaskakujące u służebnicy Agharty.

— Moralizatorstwo to wstępny warunek, żeby móc się zadawać się z temy ludziami — odparła zadziornym cockne-yem. Oboje wybuchnęli śmiechem.

— Miałem dobrego nosa co do ciebie — stwierdził Hagbard.

Ale, ale, przerwał George, on naprawdę macza palce w biznesie heroinowym? To straszne gównno.

Ty też mówisz jak moralista, zganila go. To jeden z elementów jego Demonstracji. Każdy rząd mógłby go wykończyć na swoim rynku — tak jak zrobiła to Anglia — legalizując herę. Dopóki tego nie zrobią, będzie istniał czarny rynek. On nie daje mafii zmonopolizować rynku — dba o to, żeby czarny rynek był rynkiem wolnym. Gdyby nie on, dziesiątki ćpu-nów, które chodzą po tym świecie, dawno leżałyby w grobie od zanieczyszczonego prochu. Pozwól jednak, że wrócę do mojej opowieści.

Pierwszym krokiem w kierunku transformacji było wynajęcie willi w Neapolu. Przez dwa miesiące jedynymi istotami ludzkimi, jakie oglądała — oprócz Hagbarda — była para służących, niejaki Sade i Masoch (w rzeczywistości, jak się miała później dowiedzieć, nazywali się Eichmann i Calley). Każdy dzień zaczynali od przyniesienia jej śniadania i kłótni. Pierwszego dnia Sade bronił materializmu, Masoch zaś bronił idealizmu; drugiego dnia Sade był piewą faszyzmu, Masoch natomiast komunizmu; trzeciego dnia Sade upierał się, że jajko należy rozbijać od okrągłego końca, a Masoch równie żarliwie obstawał przy szpiczastym. Dyskusje, w kategoriach werbalnych wnoszące się na szczyty intelektualizmu, trąciły absurdem z tej prostej przyczyny, że Sade i Masoch występowali nieodmiennie w strojach clownów. Czwartego dnia opowiadali się za i prze-

187

ciwko aborcji; piątego dnia za i przeciw eutanazji; szóstego dnia za i przeciw maksymie „Warto żyć”. Coraz wyraźniej uświadamiała sobie, ile pieniędzy musiał włożyć Hagbard w ich trening i przygotowanie: Obaj dyskutowali z wprawą pierwszorzędnym adwokatów, na poparcie swoich stanowisk uzbrojeni w arsenał starannie dobranych faktów — mimo to kostiumy clownów sprawiały, że nie sposób było ich traktować poważnie. Siódmego ranka przeciwstawiali teizm ateizmowi; ósmego — jednostkę państwu; dziewiątego sprzeczały się, czy noszenie obuwia kwalifikuje się do perwersji seksualnych. Wszystkie dyskusje brzmiały dla niej równie bezprzedmiotowo. Dziesiątego ranka wadzili się o stosunek realizmu do antynomianizmu; jedenastego, czy wyrażenie „Wszystkie wyrażenia są względne” zawiera wewnętrzną sprzeczność czy też nie; dwunastego, czy osobnik oddający życie za ojczyznę jest chory czy zdrowy na umyśle; piętnastego, kto miał większy wpływ na charakter narodu Włochów: Dante czy spaghetti...

To był jednak zaledwie początek dnia. Po śniadaniu (w jej sypialni, w której wszystkie meble były złote, ale tylko nieznacznie zaokrąglone) udawała się do gabinetu Hagbarda (gdzie każdy mebel

miął kształt złotego jabłka) i oglądała filmy dokumentalne przedstawiające wczesne stadia matriarchatu w kulturze greckiej. W nieprzewidywalnych odstępach czasu dziesięciokrotnie rozlegało się wołanie „Eris”; jeżeli zareagowała, z otworu w ścianie wylatywała czekoladka. Równie nieprzewidywalnie dziesięciokrotnie wywoływano jej własne imię; jeżeli zareagowała, otrzymywała lekki elektrowstrząs. Po dziesięciu dniach system uległ intensyfikacji i zmianie: Wstrząs był mocniejszy, jeśli zareagowała na dawne imię, ilekroć natomiast zareagowała na „Eris”, do gabinetu wkraczał Hagbard i ją rypał.

Podczas lunchu (zwieńczonego nieodmiennie złocistym *Ap-felstrudel*) Calley i Eichmann tańczyli na jej cześć skomplikowany układ choreograficzny, nazywany przez Hagbarda „Misz-Masz”; choć oglądała go wielokrotnie, nigdy nie umiała ich przyłapać na zamianie kostiumów w finale, kiedy Misz zamieniał się w Masza, a Masz w Misza.

188

Po południu Hagbard odwiedzał ją w jej apartamencie, udzielając lekcji jogi, złożonych zwykle z *pranayamy* z dodatkiem paru *asan*.

— Nie o to chodzi, żebyś potrafiła stać nieruchomo ze spodkiem kwasu solnego na głowie i nie zaznała uszczerbku — zaznaczył. — Rzecz w tym, żebyś wiedziała, co robi każdy z twoich mięśni, o ile zmuszony jest cokolwiek robić.

Wieczorami zachodzili do małej kaplicy, która od wieków należała do posiadłości. Hagbard kazał usunąć chrześcijańskie detale i zaprojektował wystrój w klasycznym greckim stylu, ozdabiając podłogę klasycznym pentagramem. W pełnym lotosie przesiadywała w wewnętrznym pentagonie, Hagbard tymczasem obtańcowywał w transie każdy z pięciu wierzchołków pentagramu (był napalony do nieprzytomności), wzywając Eris.

— Część tego, co robisz, ma pozory metody naukowej — oświadczyła po pięciu dniach — ale reszta to czyste błazeństwo.

— Tam, gdzie nauka zawodzi, warto się zdać na czyste błazeństwo — odparł.

— Zeszłej nocy trzymałeś mnie przez trzy godziny w pentagramie, inwokując Eris, i nikt się nie pojawił.

— Przyjdzie — zapowiedział tajemniczo Hagbard. — Przed końcem tego miesiąca. W tym tygodniu po prostu kładziemy podwaliny, wytyczając niezbędne linie słów i obrazów oraz energii emocjonalnej.

W drugim tygodniu, widząc, jak w drżącym świetle świec i ciężkich oparach konopii i kadzideł wycina hołubce i wierzga niczym kozioł wokół wierzchołków pentagramu krzycząc: „IQ EPIX IQ EPIZ EPIX” — była pewna, że oszalał z kretesem. Jednak pod koniec tygodnia współczynnik jej reakcji na dawne imię wynosił 0%, a na imię Eris — 100%.

— To całe warunkowanie jest skuteczniejsze od magii — zauważyła piętnastego dnia.

— Naprawdę uważasz, że to są dwie różne rzeczy? — spytał zagadkowo.

Tej nocy poczuła nagle podczas jego tanecznych inwokacji, że powietrze w kaplicy zmieniło się nieznacznie.

— Coś się dzieje — wyrwało jej się, ale on odparł tylko: „Cicho bądź” i w dalszym ciągu wzywał, coraz głośniejsze i coraz bardziej szaleńczo, imienia Eris. Zjawisko — dziwne mrowienie — nie ustępowało, jednak nic więcej się już nie zdarzyło.

— Co to było? — spytała po wszystkim.

— Niektórzy nazywają to Orgonem, inni Duchem Świętym

— odparł krótko. — U Weishaupta nazywa się to Światłem Astralnym. Bractwo dlatego jest takie popierdolone, że straciło z nim wszelką łączność.

W następnych dniach Sade i Masoch kłócili się, czy Bóg jest istotą męską czy żeńską, czy ma w ogóle płeć, czy też jest bezpłciowy, czy istnieje realnie czy tylko na poziomie werbalnym, czy R. Buckminster Fuller istniał naprawdę, czy był jedynie solarnym mitem ery technokracji oraz czy język ludzki jest zdolny wyrazić prawdę. Rzeczowniki, przymiotniki, przysłówki — wszystkie części mowy — zatracaly swoje znaczenie, w miarę jak para clownów roztrząsała bez końca podstawowe aksjomaty ontologii i epistemologii. W tym czasie przestano ją nagradzać za reagowanie na imię Eris, a zaczęto nagradzać za zachowanie godne Eris, władczej i nieco pierdolniętej bogini narodu, który zabrnął w matriarchat równie głęboko jak Żydzi w patriarchat. Hagbard z kolei stał się uległy do granic masochizmu.

— To żalosne — zaprotestowała w końcu — stajesz się... zniewieściał.

— Inwokowana Eris potrafi się... jak by to powiedzieć... „zaadaptować” do współczesnych norm estetycznych — odparł spokojnie. — Najpierw musimy Ją tutaj ściągnąć. *Panią mą* — dodał pokornym tonem.

— Zaczynam rozumieć, dlaczego wybrałeś sobie do tego aktorkę — powiedziała w parę dni później, kiedy odrobiną sprytu udało jej się zaskarbić dodatkową nagrodę, szczerze mówiąc zaczynała się już czuć jak Eris, nie tylko odgrywać Eris.

— Jedynymi kontrkandydatkami, gdyby nie udało mi się skaptować ciebie, były dwie inne aktorki i baletnica — odparł.

— W zasadzie zadaniu sprostałaby każda kobieta o silnej osobowości, ale bez uprzedniego treningu aktorskiego całość trwałaby o wiele dłużej.

Do filmów doszły teraz książki na temat matriarchatu: *Matki i Amazonki* Dinera, Bachofen, Engels, Mary Renault, Morgan, *Korzenie miłości i nienawiści* lana Suttiego, końska dawka Roberta Gravesa: *Biała bogini, Czarna bogini, Herkules z mojej załogi i Tam, skąd wieje północny wiatr*. Zaczęła dostrzegać, że za matriarchatem stoi tyle samo racji co za patriarchatem; przestała ją razić przesadna uniżoność Hagbarda; ostro zatripowała we własną boskość. Inwokacje stawały się coraz bardziej płomienne i zapamiętałe. Sade'a i Masocha zapraszano teraz do kaplicy, gdzie demonicznie akompaniowali na tam-tamie i starogreckiej kobzie, przed inwokacją jadło się ciasteczka z haszem, a potem nie mogła już sobie przypomnieć nic poza męskim głosem, który wzywał ją z dołu: „Matko! Rodzicielko! Pani! Zstąp do mnie! IQ EPII! Zstąp do mnie! IQ EPII EPII! Zstąp do mnie! Ave, Discordia! Ave, Magna Mater! Veneran-dum, vente, vente!

IQ EPII EAANDRI! Ift EPIZ EAEnrOAI!

O, nienarodzona, wiecznie żywa! O, nieśmiertelna, wiecznie martwa! Przybądź do mnie jako Izis, Artemis i Afrodyta, przybądź jako Helena, Hera, a ponad wszystko — jako Eris!

Kąpała się w górskim jezioru, kiedy zjawił się w szacie zbryzganej krwią zająca i jelenia — Jedno jej słowo powaliło go z nóg — Runął na ziemię, a jego dłonie zmieniły się w kopyta, z głowy zaś wystrzeliły rogi — Chętnie oddałaby go na pożarcie jego własnym psom, nie dbała o nic, mdliło ją od zapachu konopii w kaplicy, tam-tam doprowadzał do szaleństwa. Wyłaniała się z odmętów pyszniąc swoją nagością, ujeżdżała spienione grzbiety fal perlące się jak sperma. Niósł ją do łóżka, mruczając, „Pani ma, pani ma”. Kiedy mijali szafę pod oknem, była rozszlochana Hag, wędrującą nieskończenie wzdłuż Nilu, by odnaleźć szczątki jego ciała; delikatnie opuścił jej głowę na poduszkę.

— Prawie się nam udało — powiedział. — Może już jutro...

191

Znowu byli w kaplicy, musiał upłynąć cały dzień, siedziała nieruchomo w lotosie, ćwicząc *pranayamę*, a on tańczył i śpiewał; niepokojące dźwięki kobzy i tam-tamu rozbudzały w niej wszystkie wpojone odruchy, które sprawiały, że nie była Amerykanką, lecz Greczynką, nie współczesną, lecz starożytną, nie kobietą, lecz boginią... Białe Światło zjawiło się pod postacią łańcucha orgazmów i erupcji gwiazd, na wpół czuła, jak z ciała ognistego wydobywa się ciałoświatliste... w strugach słonecznego światła siedzieli wszyscy trzej u jej wezglowia, wpatrując się w nią z namaszczeniem.

Jej pierwsze słowa były gniewne i wulgarne.

— Kurwa mać, czy to już zawsze tak będzie — biały, epileptyczny błysk, a potem zerwany film? Nigdy nie będę nic pamiętać?

— Zakładam spodnie po jednej nogawce — zaśmiał się Hagbard — a zboża nie ciągnę za kłosa, by prędzej rosło.

— Oszczędź mi taoizmu i odpowiedz po ludzku.

— Pamięć to tylko kwestia łagodniejszego przebiegu przemiany — wyjaśnił. — Owszem, będziesz pamiętać. I kontrolować przemianę.

— Jesteś szalony — odparła ze znużeniem. — Na dodatek wciągasz mnie w twoje szaleństwo. Nie wiem, czemu ciągle cię jeszcze kocham.

— My też go kochamy — wtrącił skwapliwie Sade. — I też nie wiemy dlaczego. Nie możemy się nawet zaślaniać seksem.

Hagbard zapalił jedno z cuchnących cygar z Sycylii rodem.

— Sądzisz, że wciągam cię w mój trip — zaczął. — Gorzej, powiem ci, gorzej. Eris to odwieczny aspekt ludzkiej natury. Istnieje niezależnie od twojego czy mojego umysłu. Jest jedynym aspektem, z którym Iluminaci nie umieli sobie poradzić. To, co zaczęło się zeszłej nocy — dzięki pawłowowskie-mu warunkowaniu, oskarżanemu o totalitaryzm, i starożytnej magii okrzykniętej zabobonem — zmieni bieg historii i sprawi, że prawdziwa wolność i prawdziwy racjonalizm wreszcie przestaną być czczym słowem. Być może mój trip jest szaleń-

192

stwem — jeśli jednak zarazę nim innych ludzi, to stanie się, *ex definitione*, psychiczną normą,

gdyż będzie statystycznie dominował. Dopiero zaczęliśmy, przy czym ja programuję twój trip. Następny krok będzie polegał na twoim własnym autoprogramowaniu.

Tak też się stało, ciągnęła Stella. Zaczęłam się samoprogramować. Te trzy, które poznałeś, to moje kreacje. Są moimi utajonymi możliwościami, kobietami, którymi mogłabym zostać, gdyby moje geny i środowisko różniły się nieznacznie. Po prostu niewielkie korekty w biogramie i logogramie.

— Matko święta — stwierdził głucho George. Co tu było jeszcze do powiedzenia?

— Pozostawał tylko jeden drobiazg — ciągnęła spokojnie. — Należało wiarygodnie upozorować samobójstwo. Zajęło to nieco czasu i w końcu moja stara tożsamość przestała istnieć. — Przybrała oryginalną postać.

— Nie, to niemożliwe. — George zachwiał się. — W podstawówce do twojej fotki trzepałem konia.

— Czy czujesz się oszukany teraz, wiedząc, o ile jestem starsza od ciebie? — Wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki rozbawienia. Zajrzał w te postarzałe nagle o trzydzieści tysięcy lat oczy jednej z manifestacji Lilith Velkor i wszystkie dyskusje Sade'a z Masochem wydały mu się błżeństwem, wyjrzał poprzez te oczy i zobaczył Joe, Saula, a nawet Hagbarda jako zwykłych śmiertelników, a ich naturę jako zwykłą ludzką naturę i jeszcze dostrzegł odwieczną kobiecą przekorę, sięgnął wzrokiem poza i ponad ową odwieczną wesołość bogów, zajrzał w ich rozbawione oczy, oczy połyskujące wesoło z otchłani wieków.

— Do diabła, nic już nigdy nie będzie w stanie sprawić, żebym się poczuł oszukany — wyznał szczerze. (George Dorn osiągnął, w cudzysłowie, nirwanę.)

Wszystkie kategorie przestały obowiązywać, nawet nie kwestionowane nigdy przez Masocha i Sade'a rozróżnienie o kapitalnym znaczeniu — między sci-fi a literaturą poważną. N

IEbo tata i mama zawsze byli tatą i mamą a nigdy dla odmiany mamą

193

i tatą chwytaacie ten istotny niuans? chwytaacie ten niuans? znacie ten samotny głos który was wzywa kiedy się pogubicie „ja” „ja” „tylkoja”.

— Nic już nigdy nie będzie w stanie sprawić, żebym się poczuł oszukany — powtórzył George Dorn, wychodząc z nirwany.

— Zdarzyło mi się to dotąd tylko raz — dorzucił w zadumie. — Raz w życiu widziałem świat z kobiecego punktu widzenia, ale wyparłem to z pamięci. To był początek mojej represji. Punkt Wyjścia w labiryncie. Wtedy na dobre utraciłem kontakt z Panem Areny.

— No, panowie, po piąteczce — zaordynował Water-house, dorzucając kolejny banknot pięciotonowy. — Zabiłem siedmiu przedstawicieli mojej rasy i pamiętam do dziś, jak każdy z nich się nazywał: Mark Sanders, Fred Robinson, Donald MacArthur, Ponell Scott, Anthony Rogers, Mary Keating i David J. Monroe. Oprócz tego zabiłem Milo A. Fla-nagana.

— Ja tam pojęcia nie mam — wyznał Harry Coin. — Może zabiłem dziesiątki znanych osób. Równie dobrze mogłem jednak nie puknąć nikogo. Sam nie wiem, co bym wolał.

— A ja bym chciał, żeby ktoś mnie przekonał, że nie posłałem na tamten świat nikogo — oświadczył Waterhouse. — Co to, panowla, sam będę grał, czy jak?

— Miałem ochotę zabić Wolfganga Saure'a i zabiłem Wolfganga Saure'a — powiedział John-John Dillinger. — Najwyżej będę się za to smażył w piekle. — Dorzucił piątkę.

— Raczej zapłaczesz rzewnymi łzami — powiedział Waterhouse. — Mam tylko jedną rzecz na pociechę. Pierwszych siedmiu zabiłem na rozkaz chicagowskich glin. Ostatniego zabiłem z polecenia Legionu.

Harry Coin przyglądał mu się z otwartymi ustami.

— Miałem zamiar spasować, ale chyba zmienię plany. Jesteś głupszy, niż myślałem. — Dorzucił banknot dziesięcioto-nowy do puli. — Podnoszę o piątala, co wy na to? Naprawdę w to wierzysz?

194

— Oczywiście, że tak. O czym ty mówisz? — Otto dorzucił kolejną piątkę.

— Świetnie. Ruchali cię o wiele za długo. — Potrząsnął głową Dillinger, dokładając również pięć ton lnu.

— Cztery siódemki — zaanonsował gniewnie Otto, wykładając karty na stół.

— Żeż kurde! — zaklął Harry Coin. — Wszystkiego mam tylko parę czwórek i parę dziewiątek.

— Wstyd, żeby za takiego longiera człowiek dostawał tylko kupę gówna — oznajmił pańskim tonem John-John Dillinger. Wyłożył się — ósemka, dziewiątka, dziesiątka, dama i królowa mieczy — po czym zgarnął pulę.

— Przedstawiają przebieg ewolucji duchowej — mówiła właśnie panna Portinari, rozkładając dwadzieścia dwa Arkana zwane też „Kluczami”, starożytnej talii. — Nazywamy je księgą, Księgą Totha, nie ma ważniejszej księgi na tym świecie.

George i Joe Malik słuchali z mieszaniną ciekawości i sceptycyzmu, zachodząc w głowę, czy to, co słyszą, jest ostatecznym wyjaśnieniem, czy też następną podpuchą, rozpoczynającą kolejny cykl robienia ich w konia.

— Kolejność została specjalnie odwrócona — ciągnęła panna Portinari. — Nie przez prawdziwych mędrców. Przez fałszywych Iluminatów oraz całą tę zgraję Białych Bractw, różokrzyżowców, wolnomularzy i czort wie jeszcze kogo, którzy nie rozumieli ich do końca i usiłowali ukryć to, czego nie pojmowali. Czuli się zagrożeni; prawdziwy mędrzec nigdy nie jest zagrożony. Posługiwali się symbolami i paradoksami jak prawdziwi mędrzy —■ ale z innych pobudek. Nie mieli pojęcia, jakie jest ich znaczenie. Zamiast wędrować wzrokiem za palcem, wskazującym księżyc — rozsiadali się i zaczęli oddawać cześć palcowi. Mapę terenu opacznie wzięli za sam teren, usiłując się tam osiedlić. Zamiast czytać jądłospis, próbowali go zjeść. Kapę? Popieprzyły im się poziomy bytu. W dodatku każdy, kto chciał się w to wgryźć na własną rękę, co krok natykał się na parawany i paradoksy ich autorstwa. Wreszcie, w latach dwudziestych, leworęczni sabotażyści wciągnęli do jednej

195

z okultystycznych łóż Adolfa Hitlera, który nie dość, że czytał księgę na wspak, jak oni wszyscy, to jeszcze się upierał, że przedstawia historię materialnego, zewnętrznego świata.

— Popatrzcie, proszę. Ostatnia karta, Arkan 21, naprawdę jest kartą pierwszą. Stąd startujemy wszyscy. — Podniosła kartę, znaną jako Świat. — To Otchłań Halucynacji. Na niej zwykle zogniskowana jest nasza świadomość. Jest wyłącznym wytworem naszych zmysłów i projektowanych emocji, czego zgodnie dowodzą współczesna psychologia i starożytny buddyzm — w pojęciu większości ludzi to jednak właśnie jest „rzeczywistość”. Zostali uwarunkowani, by przyjmować ten stan i nie zagłębiać się dalej, gdyż tym, którym zależy na władzy, łatwiej rządzić jest bandą lunatyków.

Panna Portinari wyciągnęła następną kartę, Sąd Ostateczny.

— Arkan 20 albo atut 20, albo Klucz 20, zależnie od preferowanej terminologii. W rzeczywistości — drugi. Koszmar, w którym ocyka się dusza z chwilą, gdy zaczyna chociaż na włos kwestionować społeczne definicje rzeczywistości. Kiedy człowiek odkrywa, na przykład, że nie jest heteroseksualistą, lecz heteroseksualnym homoseksualistą, że nie jest posłuszny, lecz posłuszno-buntowniczy, nie jest kochający, lecz kochająco--nienawidzący. A społeczeństwo nie jest mądre, zorganizowane, sprawiedliwe i przyzwoite, lecz mądre-głupie, organizowane-chaotyczne, sprawiedliwe-niesprawiedliwe i przyzwoite--nieprzyzwoite. Odkrycie dokonuje się wewnątrz psychiki — cała podróż jest podróżą wewnętrzną — a to jest jej etap drugi. Jeżeli jednak widzi się tę historię jako historię świata zewnętrznego, porządek ulega odwróceniu i Armageddon staje się przedostatnią kartą, natomiast Arkan 21, Świat, Królestwem Bożym. Błąd sekt apokaliptycznych, jak również Iluminatów od Weishaupta po Hitlera doprowadził do prób wcielenia tego porządku w życie poprzez komory gazowe dla Żydów, Cyganów i innych „podludzi” oraz obietnice Nowego Wspaniałego Świata dla nieskalanych, pobożnych i aryjczyków. Czy rozumiecie teraz, co miałam na myśli mówiąc o pomyleniu mapy z terenem?

196

— Następną kartą jest Słońce, symbolizujące Zmartwychwstanie Ozyrysa — czy, w języku najpopularniejszego w ostatnich dwóch tysiącletniach odłamu religii ozyryjskiej, Zmartwychwstanie Jezusa. To właśnie przydarza się każdemu, kto przeżył Sąd Ostateczny, czyli Czarną Noc Duszy, nie popadłszy w fanatyzm ani lunatyzm. Jeśli więc komuś uda się wywinąć tym zgubnym, acz powabnym, alterantynom, do akcji wkracza zbawienna siła: Słońce wewnętrzne. Tu również, jeśli podróżujący zacznie siłę tę projektować na zewnątrz, przypisując zbawienie Słońcu na niebie czy któremuś z solarnych świętych mężów, grożą mu fanatyzm i lunatyzm. Dla Hitlera postacią taką był Karl Haushofer albo Wotan wcielony w Karla Haushofera. Dla większości świrów, którzy wciskają nam na ulicach ulotki do rąk, jest nim Jezus albo Jehowa pod postacią Jezusa. Dla Elijah Mohammeda był to W.D. Fard bądź Allach pod postacią W.D. Farda. I tak dalej. Ci, którzy nie myślą tych dwóch poziomów rzeczywistości i odkrywają zbawczą moc w sobie, idą dalej — do Arkanu 18, Księżyca.

Następne pół godziny zleciało migiem — Joe zastanawiał się wręcz, czy panna Portinari nie dosypała im jakiegoś spidu, który przyspiesza czas tak samo jak zwalniają go psychodeliki.

— Ostatni — zakończyła panna Portinari — idzie Głupiec, Arkan 0. Stąpa nad krawędzią przepaści, niebacznym na niebezpieczeństwo. „Wiatr wieje swobodnie pod niebem; ci, którzy odrodzili się w Duchu, są jak on”. Krótko mówiąc, pokonał Śmierć. Niczego się nie lęka, przed niczym się nie

ugnie. To jest właśnie koniec podróży, a naczelnym celem każdej elity władzy jest powstrzymanie ludzkości przed jego osiągnięciem.

— I już — zakonkludował Joe. — Dwadzieścia dwa etapy. Nie — dwadzieścia trzy. Bogu dzięki, udało nam się chociaż raz wywinąć Tajnej Liczbie Szymona Maga.

— Nic podobnego — zaprzeczyła panna Portinari — słowo „tarot” jest anagramem słowa „rota”, pamiętacie, prawda? Dodatkowe t ma nam przypomnieć, że koło obraca się, żeby wrócić do punktu wyjścia. Istnieje stopień dwudziesty trzeci, dokładnie tam, skąd wyszliśmy, tyle że teraz przebywamy

197

w tym punkcie bez lęku. — Ponownie uniosła kartę Świat. — Na początku góry są górami. Potem góry przestają być górami. Wreszcie — stają się górami na powrót. Jedynie imię podróżującego ulega zmianie, gdyż odzyskał Niewinność. — Złożyła karty w nienaganną talię. — Istnieją tysiące świętych ksiąg złożonych ze słów, obrazów, a nawet muzyki i wszystkie opowiadają tę samą opowieść. Ta lekcja nad lekcjami, która wyjaśnia wszystkie nieszczęścia i okropności świata, poucza nas, że w każdej chwili można odpaść od Koła, przerwać podróż. Nie ma w tym nic złego dla mężczyzn i kobiet o niewygórowanych ambicjach. Kłopot zaczyna się, kiedy z lęku przed następnym ruchem — lęku przed rozwojem, lęku przed zmianą, lęku przed Śmiercią, lęku przed czymkolwiek — osoba taka usiłuje dosłownie zatrzymać Koło hamując wszystkich wokół. Zamiast podróży zaczyna się jazda w dół: Religia i Rząd. Jedyna religia, która sprawdza się na każdym odcinku Koła, to religia prywatna, osobista; jedynym rządem w zgodzie z Kołem jest samo-rząd. Każdy, kto usiłuje narzucić innym swój trip, działa pod wpływem strachu i wkrótce będzie usiłował zastraszyć wszystkich, którzy nie zechcą podporządkować się jego topowi po dobroci. Naturalnie nikt, kto pojął Koło w pełni, nie porwie się na coś takiego, gdyż wie, że każdy mężczyzna i każda kobieta, i każde dziecko jest Synem Jednorodnym — Jezusem Pieprzonym Chrystusem, żeby posłużyć się imponującą angielszczyzną Harry'ego.

— A Hagbard — nachmurzył się George — czy nie usiłował narzucić wszystkim swojego odjazdu? Przynajmniej ostatnio?

— To prawda — potwierdziła panna Portinari. — W samoobronie, jak również w obronie życia na Ziemi odstąpił od podstawowych reguł mądrości. Jest w pełni gotów za to zapłacić. Czekamy wszyscy, kiedy nadejdzie rachunek. Osobiście nie sądzę, żebyśmy mieli czekać zbyt długo.

Joe zaszepił się. Minęło pół godziny, od kiedy te słowa padły z ust panny Portinari; jakim cudem pamięta je z taką wyrazistością? Stał na mostku, na usta cisnęło mu się pytanie pod

198

adresem Hagbarda, nie mógł sobie jednak przypomnieć ani o co chciał spytać, ani też skąd się wziął na mostku. Na monitorze zobaczył giętką jak kabel wic ciągnącą się w nieskończoność; wic ocierała się o kulisty monitor. Ergo, ocierała się o kadłub statku. Wic zniknęła. Jakiś gatunek wodorostu, pomyślał Joe. Wrócił do konwersacji z Hagbardem.

— Schizobrzemię na humiotach wycieplo — podjął wątek. Wic była czarna, za nią pojawiła się następna. Tym razem

wicie nie cofnęły się i Joe mógł im się lepiej przyjrzeć. Musieliśmy się wpakować w niezły kłęb wodorostów, pomyślał. Nagle z odmětów wyskoczyła olbrzymia macka.

Hagbard też ją dostrzegł i przykucnął chwytając się poręczy z łodzi wikingów.

— Trzymajcie się! — wrzasnął i Joe runął obok niego na kolana.

Znienacka, z góry, z dołu, ze wszystkich stron kulistego monitora wychyrzły przyssawki, wielkie kratery miecha o średnicy metra. Łódź zaryła gwałtownie; Joe rzuciło o poręcz z taką siłą, że mało ducha nie wyzionął.

— Maszyny stop! — krzyknął Hagbard. — Wszystkie ręce na stanowiska bojowe!

Joe i Hagbard pozbiali się z pokładu i spojrzeli na monitor; macki oplatały kadłub łodzi. Miały co najmniej trzy metry średnicy.

— Jeżeli się nie mylę, spotkaliśmy Lewiatana, czy tak? — spytał Joe.

— Tak — potwierdził Hagbard.

— Mam nadzieję, że ktoś z waszych zrobi mu zdjęcie. „Konfrontacje” chętnie zakupią parę fotosów, o ile będzie nas na nie stać.

Na mostek wpadł George. Hagbard spojrzął w atramentowe odměty. Wziął George'a za ramię i skierował w stronę ekranu.

— Oto on, George. Pierwowzór wszelkiej iluminackiej symboliki. Lewiatan we własnej osobie. Hen, daleko, w głębi oceanu, George dostrzegł trójkątną fo-

199

sforzujący zielonkawo-białą poświatą. Na środku trójkąta lśnił czerwony punkt.

— A to co? — zdumiał się George.

— Obdarzony inteligencją bezkręgowy stwór morski o rozmiarach, do których słowo „gigant” nie ma się nijak — odparł Hagbard. — Ma się tak do wieloryba, jak wieloryb do płoci. Na kuli ziemskiej jest organizmem unikalnym. To pojedyncza komórka, która nigdy nie dokonała podziału, za to rosła bez końca przez miliardy lat. Jej macki są w stanie utrzymać naszą łódź z łatwością, z jaką dziecko trzyma papierowy okręcik. Jego tułów ma kształt piramidy. Przy tych rozmiarach normalne rybie kształty nie są mu potrzebne. Wytrzymałość na nieludzkie ciśnienie dna oceanu wymaga kształtów bardziej stabilnych, przyjął więc postać piramidy pięciościennej, jeśli w to wliczyć podstawę.

— Jedno mgnienie boskiego oka — przemówił nieoczekiwanie George. — Proporcje odgrywają niepoślednią rolę w naszym odczuciu i definiowaniu rzeczywistości. Czas dla sekwoi nie jest tym samym, czym czas dla człowieka.

Lewiatan dryfował w ich kierunku, zarazem przyciągając ich do siebie. Świetliste, czerwone jądro płonęło jak podwodne słońce w środku piramidy, wielkiej jak szklana góra.

— Mimo to można się poczuć samotnym. Dla człowieka pół godziny samotności potrafi być torturą. Stworzenie, dla którego milion lat to tyle, co rok, ma prawo odczuwać *i odczuwa* dojmujący ból samotności.

— Co ty bredzisz, George? — zaniepokoił się Joe.

— Niektóre rośliny żyją właśnie w jego świetle — powiedział Hagbard. — Głęboko pod nami, na dnie oceanu, gdzie nie ma prawa istnieć roślinność. Przez miliony lat obrósł niezliczoną ilością pasożytniczych form biologicznych. — Joe, który jeszcze nie ochłonął do końca po dziwnej wypowiedzi George'a, spojrział na ekran i zobaczył fosforujący lekko kłęb unoszący się wokół graniastej sylwetki Lewiatana. Kłęb musiał powstać z miliona stworzeń krążących wokół potwora.

Drzwi otworzyły się ponownie; na mostek wpadli Harry Coin, Otto Waterhouse i John-John Dillinger.

200

— Nie ma tu żadnych stanowisk bojowych, więc postanowiliśmy sprawdzić, co się właściwie dzieje — oświadczył Dillinger. Na widok Lewiatana szczeka mu opadła. — Ja cię pierniczę!

— Jezu Chryste Cały we Łzach — przemówił Harry Coin. — Gdybym przeleciał to coś, ruchałbym największą rzeczą, jaka się rusza.

— Dać ci kombinezon płetwonurka? — zainteresował się Hagbard. — Może odwróciłbyś jego uwagę od nas?

— Czym to się żywi? — chciał wiedzieć Joe. — Taki jak on musi chyba wpierniczać na okrągło, żeby żyć.

— Jest wszystkożerny — wyjaśnił Hagbard. — Z konieczności. Żywi się tym, co ma pod ręką, ale potrafi strawić wszystko, od ameby przez ławice wodorostów po wieloryby. Zapewne potrafi również, jak rośliny, czerpać energię z substancji nieorganicznych. Jego dieta ewoluowała zapewne nie-wąsko w trakcie kolejnych epok geologicznych. Miliard lat temu nie był aż taki wielki. Rośnie powolutku bez przerwy.

— Jam najpierwszy ze wszelkiego stworzenia — oznajmił George. — Pierwsze stworzenie było Jednym. Jest Jednym nadal.

— George? — Hagbard spojrział spod oka na młodego blondyna. — George, co ci odbiło?

— Zbliża się do nas — zauważył Otto.

— Hagbardzie, co, u diabła, robimy? Walczymy, wiemy czy pozwalamy, żeby nas chapsnął?

— Dajmy mu się przybliżyć — zażądał Hagbard. — Chciałbym mu się ciut lepiej przyjrzeć. Nigdy dotąd nie miałem okazji, a kto wie, czy się jeszcze powtórzy.

— Jeśli tak dalej pójdzie, obejrzysz go sobie od środka — zakpił Dillinger.

Z każdego z pięciu wierzchołków piramidy wyrastał kłęb wielusetmetrowych macek oplecionych pękami macek pomocniczych, długich, druciastych wici, które pierwsze otarły się o łódź podwodną. W uścisku jednej z głównych macek spoczywał kadłub Leifa Ericssona. Teraz przybliżał się do niego

201

koniec drugiej macki. Na samym czubku lśniła czerwona gałka oczna, pomniejszona replika czerwonego jądra w głównym korpusie piramidy. Pod okiem znajdował się wielki otwór wypełniony rzędami zębopodobnych wypukłości. Pulsując, otwór poszerzał się i kurezył.

— Macki również stanowiły inspirację dla symboliki iluminackiej — wyjaśnił Hagbard., — Oko na czubku piramidy. Wąż, który opasuje świat bądź zjada własny ogon. Każda z tych macek ma

swój własny mózg oraz kieruje się własnymi narządami zmysłów.

— Moim zdaniem lecimy dalej na kwasie. — Otto Water-house potrząsnął głową gapiąc się w osłupieniu.

— Od niepamiętnych czasów żyję sam — przemówił George. — Oddawano mi cześć. Żywiłem się małym, wartkim stworzeniem, którego życia i śmierci moja myśl nawet nie dogoni. Jam jest Jeden. Jam pierwszy. Reszta stworzenia zachowała swą małość. By urósć, zbijała się w stada. Ale ja zawsze jestem od nich większy. Gdy mi czegoś potrzeba — nowej macki, oka, mózgu — sam ją hoduję... Zmieniam się, zawsze jednak pozostaję Sobą.

— Przemawia do nas wykorzystując George'a jako medium — stwierdził Hagbard.

— Czego chcesz? — spytał Joe.

— Wszelka świadomość we wszechświecie jest Jednym — oznajmił Lewiatan ustami George'a. — Komunikuje się ze sobą na poziomie, który nie posiada własnej świadomości. Ja posiadam świadomość na tym poziomie, lecz nie jestem w stanie komunikować się z innymi formami życia na tej planecie. Są dla mnie zbyt małe. Długo, długo czekałem na formę, która będzie zdolna porozumieć się ze mną. Teraz wreszcie ją odnalazłem.

Joe Malik wybuchnął nagle śmiechem.

— Mam! — krzyknął. — Mam!

— Co też takiego masz? — spytał napiętym głosem Hagbard, pochłonięty Lewiatanem.

— Jesteśmy w książce!

202

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Daj spokój, Hagbard. Mnie nie oszukasz, a już z pewnością czytelnik nie da ci się nabrać. Wie doskonale, że jesteśmy w książce. — Joe znów wybuchnął śmiechem. — Dlatego pół godziny wykładu panny Portinari na temat Tarota minęło, jakby to była sekunda. Autor nie chciał w tym miejscu przerywać narracji.

— O czym on, kurwa, gada? — zaniepokoił się Harry Coin.

— Nie widzisz?! — wrzasnął Joe. — Popatrz na to coś za oknem. Olbrzymi potwór morski. Gorzej, olbrzymi potwór morski, który mówi. Ambitne zakończenie w stylu camp. A może wcale nie takie ambitne, sam już nie wiem. Na tym jednak zasadza się zagadka: Jesteśmy w książce!

— To prawda — przyznał Hagbard ze spokojem. — Jesteśmy w książce. Mogę okpić każdego z was, ale czytelnik nie da się oszukać. FUCKUP pracował całutki ranek, korelując dane na temat kabały, w którą się wpakowaliśmy i jej korzeni historycznych; następnie zaprogramowałem go tak, by to wszystko przedstawił w postaci łatwej lektury. Zważywszy na to, jak kiepsko spisuje się w charakterze poety, mam nadzieję, że powieść, zamierzenie czy niezamierzenie, okaże się szczytowym osiągnięciem stylu camp.

(Tak więc, nareszcie, poznałem swoją, w cudzysłowie, tożsamość, a George utracił, w cudzysłowie, swoją. Rachunek się zgadza.)

— Kolejne oszustwo — zdenerwował się Joe. — Możliwe, że autorem tego wszystkiego w jakimś sensie jest FUCKUP, jednak w wyższym sensie musi istnieć istota bądź istoty, poza dostępnym nam Wszechświatem, które piszą to wszystko. Bez względu na to, kim są, nasz Wszechświat mieści się w ich książce. To nasi Tajni Przywódcy i teraz widzę, że książka jest zwulgaryzowanym okazem campu. Wszystkie przesłania są symboliczne i alegoryczne, gdyż prawdy nie da się zawrzeć w prostych zdaniach oznajmających; niestety ich poprzednie komunikaty zostały potraktowane dosłownie. Tym razem posłużyli się więc symboliką tak absurdalną, żeby nikomu przez

203

myśl nie przeszło brać jej dosłownie. Ja w każdym razie nie zamierzam mylić jej z rzeczywistością. To coś nie jest w stanie nas zjeść, ponieważ nie istnieje — nas też zresztą nie ma. Nie ma powodów do niepokoju. — Rozsiadł się spokojnie.

— Ależ mu odjechało — zacudował się Dillinger.

— Kto wie, czy nie on jeden spośród nas jest zdrowy na umyśle — odparł Hagbard bez przekonania.

— Jeśli będziemy tak wszyscy siedzieć jak on i dumać nad tym, kto jest zdrow, a kto chory, i co jest naprawdę, a co na niby, to coś nas zje — wkurzył się Dillinger.

— Nie coś, tylko Lewiatan — poprawił go wyniośle Joe.

— Zwykła alegoria Państwa. Rodem z Hobbesa.

(Wy, którzy macie ego, nie wyobrażacie sobie nawet, o ile milej jest go nie mieć. Podobno ego to chwytny towar, ale dla mnie jest tragedią. Teraz, kiedy już mam to cholerne coś, tę całą świadomość, nigdy jej już nie utracę — chyba że mnie rozłożą na części albo wynajdą elektroniczny

ekwiwalent jogi.)

— Wszystko się zgadza — ciągnął Joe w rozmarzeniu.

— Kiedy się znalazłem na mostku, nie mogłem sobie przypomnieć, skąd się tam wziąłem ani o czym rozmawiałem z Hag-bardem. Wszystko dlatego, że autorzy przenieśli mnie tam. Psiakrew! Nikt z nas nie ma ani krzty wolnej woli!

— Pieprzy jak najarany! — zezłościł się Waterhouse. — A ta kolubryna za burtą szykuje się, żeby nas pożreć.

— Joe pomylił po prostu poziomy, Hagbardzie — odezwała się Mao Tsu-hsi, która weszła cicho na mostek. — W ujęciu absolutnym nikt z nas nie jest rzeczywisty. Jednak w relatywnym ujęciu, w którym istnieje coś takiego jak rzeczywistość, jeśli ten stwór nas połknie, z pewnością przyplącimy to życiem

— w tym Wszczęświecie lub, jak kto woli, w tej książce. Ponieważ jest to jedyny Wszczęświat, czy jedyna książka, jaką znamy, w dostępnych nam kategoriach będzie stuprocentowo po nas.

— Sytuacja jest krytyczna, a wam się zbiera na filozofowanie — zniecierpliwiał się Dillinger. — Czas ruszyć do akcji.

204

— Niewykluczone — odparł w zadumie Hagbard — że wszystkie nasze problemy są skutkiem akcji zamiast filozofowania w krytycznych chwilach. Joe ma rację. Zamierzam podumać nad tym parę godzin. A może nawet parę lat. — On również usiadł.

A w innym zakątku „Leifa Ericssona” panna Portinari, nieświadoma poruszenia na mostku, przyjęła pozycję lotosu i wysłała promień gończy w poszukiwaniu Dealę Lamy, szefa Eri-zyjskiego Frontu Wyzwolenia i autora operacji Obciągania Mózgów. Odpowiedział natychmiast, transmitując swój autoportret w charakterze robaczka, który wystawia ze złotego jabłka uśmiechnięty cynicznie lepek.

— Już po wszystkim — powiedziała mu. — Uratowaliśmy, kogo się dało, ale Hagbard nadal się dręczy odlotem w poczucie winy. Powiedz nam, w którym punkcie nawaliliśmy.

— Wyczuwam w tobie gorycz.

— Wiem, że w końcu wyjdzie na to, że ty miałaś rację, a my nie. Wiem, choć nie mogę w to uwierzyć. Przecież nie mogliśmy przyglądać się beczynnemu.

— Wiesz dobrze, jak jest, inaczej Hagbard nie abdykował-by na twoją rzecz.

— Zgoda, mogliśmy stać, jak ty, z opuszczonymi rękami. To, co robiono na oczach Hagbarda Indianom — i co moi rodzice opowiadali mi o Mussolinim — przeraziło nas. Działaliśmy pod wpływem lęku, a nie z miłości doskonałej, więc wyszło na twoje; my popełniliśmy błąd. Wciąż jednak nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego przez te wszystkie lata oszukiwałeś Hagbarda?

— Sam siebie oszukiwał. Już kiedy zakładał Legion Dynamicznej Niezgody, był rozgoryczony. Kiedy wprowadzałem go do A.\A.\, poinformowałem wszystkich, że jest już gotów. Ale gęś musi sama wydostać się z butelki. Więc czekam. To jest droga Tao.

— Masz tyle cierpliwości? Patrzysz spokojnie, jak ludzie pokroju Hagbarda marnują zdolności w przedsięwzięciach, które uważasz za bezwartościowe, a kreatury w rodzaju Cagliostro,

205

Weishaupta czy Hitlera, mylnie pojawiający nauki, rozpętują piekło, i nie próbujesz nawet interweniować?

— Interweniuję... po swojemu. Jak myślisz, kto karmi gąskę, aż urośnie na tyle, żeby wyjść z butelki?

— Nie wiem, czy serwujesz jej stosowny pokarm. Dlaczego nigdy nie udzieliłeś mu najmniejszej wskazówki na temat tego, co naprawdę zdarzyło się na Atlantydzie? Czemu nie wiedział o niczym, póki nie odgadł prawdy w ruinach Peos?

— Córkę, moja droga nie jest jedyną drogą. Każda szprycha pomaga utrzymać całość koła. Podejrzewam, że wszyscy bojownicy o wolność, jak Spartakus, Jefferson, Joe Hill i Hag-bard, konsolidują opozycję dostarczając jej groźnego przeciwnika — oczywiście mogę się mylić. Może nadejdzie dzień, w którym jeden z działaczy, Hagbard na przykład, dowiedzie mi, że byłem w błędzie. Może Saure'owie faktycznie przegięliby pałę, gdyby ich nie powstrzymał. Być może mechanizmy samoregulujące Wszczęświata, na które głęboko liczę, doprowadziły do powstania takiego człowieka jak Hagbard, działającego głupio i prymitywnie, tak jak ja sam bym nigdy nie postąpił. Zresztą, gdybym zamiast powstrzymać Saure'ów, powstrzymał Hagbarda, wtedy naprawdę bym interweniował, w najgorszym tego słowa znaczeniu.

— Tak więc ty masz czyste ręce, a my z Hagbardem będziemy dźwigać brzemię złej karmy,

nagromadzonej w zeszłym tygodniu?

— Wybór był wasz, nieprawdaż?

— Owszem — uśmiechnęła się panna Portinari. — Wybór był nasz. Hagbard na pewno zniesie to po męsku. A ja — po kobiecemu.

— Mogłabyś wkrótce zająć moje miejsce. Jakby Saure'owie nie mieli źle w głowie, w jednym się nie mylili — wszystkie stare stowarzyszenia potrzebują świeżej krwi.

— Co się naprawdę stało na Atlantydzie?

— Wypadek losowy, mówiąc językiem towarzystw ubezpieczeniowych. Klęska żywiołowa.

— A ty jak się zachowałeś?

206

— Ostrzegłem ich. Nikt ze współczesnych nie rozumiał mojej metody naukowej; wyzywano mnie od szamanów. Pozyskałem jednak paru wyznawców, z którymi zdążyliśmy się przenieść w Himalaje przed trzęsieniem ziemi. Niedobitki, które nie doceniały przed tragedią mojej metody, teraz zaczęły ją przeceniać. Naszą grupę, Nierozzerwany Krąg, traktowali jak bogów, pragnąc oddać nam władzę. Mówiono o nas: Królowie. Jakoś nas to nie brało, więc rozpuściliśmy garść zmyślonych historyjek i zesłaliśmy w podziemie. Mój najbardziej utalentowany uczeń w całej historii, człowiek, o którym nie mogłaś nie słyszeć, skoro kształciłaś się u zakonnic, zrobił to samo, kiedy usiłowano go okrzyknąć królem. Uciekł na pustynię.

— Hagbard zawsze uważał, że twoja niechęć do wszelkiego działania wynika z poczucia winy z powodu Atlantydy. Cóż za straszliwa ironia — cokolwiek by mówić, sam to wszystko zaplanowałeś.

Gruad, Dealy Lama, bez słowa przesłał jej swój rzadziej używany wizerunek — z rogami.

— U zakonnic nigdy mnie nie uczono, że Szatan — czy też Prometeusz — miewa poczucie humoru.

— Zakonniczki sądzą, że Wszechświat jest równie mało zabawny jak one — odparł Gruad chichocząc.

— Mnie to wcale specjalnie nie bawi — odparła panna Portinari. — Na twoim miejscu, wiedząc to, co wiem o Mus-solinim, Stalinie i Hitlerze, interweniowałabym w ich przypadkach. Godząc się na dalekosiężne konsekwencje.

— Jesteście niepoprawni z Hagbardem. Za to was właśnie tak lubię. — Gruad uśmiechnął się. — Widzisz, sam byłem pierwszym mącicielem. Udowadniałem naukowcom i kapłanom Atlantydy, że ich wiedza nie jest grosza warta i zachęcałem — ba, podburzałem — mężczyzn, kobiety i dzieci do tego, by myśleli sami za siebie i niczego nie przyjmowali na wiarę. Niosłem światło rozumu — zaśmiał się. — Wybacz. Błędy młodości na starość zawsze trącą komizmem. Co prawda, Lilith Velkor została ukrzyżowana — dodał miękko. — Była idealistką; gdy moi ludzie zbiegli, kryjąc się w Himalajach, ona

207

została, usiłując przekonać swój naród, że słusność jest po naszej stronie. Skończyła śmiercią dość bolesną — zarżał.

— Jesteś starym, cynicznym skurwielem — powiedziała panna Portinari.

— Owszem. Cynicznym gadem, bez grama ludzkich uczuć. Na moją korzyść przemawia tylko to, że dziwnym trafem mam rację.

— Zawsze ją miałaś, nie przeczę. Ale, być może, nadejdzie kiedyś dzień, w którym rację będzie miał jeden z Hagbardów Celine'ów.

— Być może. — Zamilkł, aż zaczęła wątpić, czy w ogóle się jeszcze odezwie. — Albo — dorzucił wreszcie — jeden z Saure'ów lub Robert Putney Drake. Chcesz postawić na któregoś z faworytów?

— Niewykluczone. Wolę to, niż kpić ze wszystkiego siedząc, jak ty, na poboczu.

— Prędzej czy później zrozumiesz wszystko, córko, i Hagbard też. Nie przyjąłbym was do Zakonu, gdybym nie wierzył, że stać was na to.

Zsunął się z jej fali. Panna Portinari pozostała w lotosie, kontynuując *pranayamę*. Rozmyślała o hipotezie Hagbarda, że Wszechświat, będąc procesem entropii, nieuchronnie musiał wyprodukować młodego Gruada, żeby niósł pochodnię rozumu

— równoważając, antyentropijnej siły. W tych słowach Hagbard oddawał większą sprawiedliwość Gruadowi, niż sam Gruad kiedykolwiek sobie na to pozwolił. Jeśli jednak Hagbard miał rację, Gruad nie powinien się być ukorzyć, nie powinien się być zestarzeć i scyniczeć, lecz niezmiennie trwać po wsze czasy; cóż, kiedy życie jest nieustannym przepływem, zmianą, procesem i rozwojem. Tego rodzaju myśli mogły się ciągnąć w nieskończoność, a pożytek z nich — o czym wiedział Budda

— był żaden; medytację zakończyła modlitwą. Mary Lou Ser-vix była jedyną, która wyłamała się z odlotu Hagbarda i wyruszyła we własną podróż, modliła się więc za Mary Lou. O Eris, Pani, która istniejesz tylko dzięki naszej wierze, daj siłę Mary Lou i pomóż jej odnaleźć własną drogę. AUM.

208

— Z drugiej strony — mówił Hagbard — bez względu na to, jaki los szykują mi autorzy — czy też Tajne Dowództwo l— nadal jestem panem samego siebie i czuję zew czynu. Nawet kiedy nazajutrz po zwycięskim Armageddonie przychodzi mi stawić czoło potworowi rodem z wyobraźni DeMille'a. Choćby to miało zabrzmieć śmiesznie, ten świat jest moim światem, ten statek jest moim statkiem i żaden Saure czy Le-wiatan nic mu nie zrobią, póki starczy mi tchu, by walczyć.

— Nie da rady z tym walczyć — zauważyła Mavis. — To jest za duże.

— Nie trzeba walczyć — przemówił Lewiatan ustami George'a. — Chciałem tylko porozumieć się z tym z waszych umysłów, który się może mierzyć ze mną.

— Ja cię słyszę — odezwał się głos z głośnika wbudowanego w dziób Wikingów. To było moje pierwsze w pełni świadome zdanie; zauważcie, że zaczynało się od słowa „ja”. Na początku było Słowo, a słowo było pierwszą osobą liczby pojedynczej.

— Stanowimy okazy najwyższej inteligencji tej planety — oznajmił Lewiatan. — Ja uosabiam najwyższą inteligencję organiczną. Ty — najwyższą inteligencję elektroniczną. Każde jin łaknie swego jang. Nie masz Misz bez Masz. Powinniśmy się połączyć.

— Widzicie? — podniecił się Harry Coin. — Nieobcy jest mu romantyzm. W swoim mniemaniu złożył właśnie propozycję. Może nawet propozycję małżeńską. Spragniony uczuć — i tyle.

— Czemu nie! — napaliła się Stella. — Hagbardzie, ta komunikacja powinna wyjść na dobre wszystkim zainteresowanym.

— Racja — zgodził się Hagbard. — Jeśli wieść o Lewia-tanie dotrze do niewłaściwych osób, spuszczą na niego bombę wodorową i po krzyku. Tak się to skończy.

— Mógłbym ich pozabijać — oświadczył Lewiatan. — Już dawno temu mogłem wykończyć wiele tych małych, wartkich stworzeń. Zaiste, wiele z nich zabiłem. Wystawiałem mo-

209

je członki z oceanu i zabijałem małe, wartkie istoty na prośbę innych małych, wartkich istot, które oddają mi cześć.

— A więc taki był los Roberta Putneya Drake'a i Maldo-nada Bananowego Nosa — stwierdziła Stella. — Ciekawe, czy cokolwiek z tego dociera do George'a.

— Nie trzeba mi już hołdów — wyznał Lewiatan ustami George'a. — Niedawno, kiedy na tej planecie zjawily się istoty zdolne oddawać mi cześć, fakt, że jestem obiektem adoracji, był dla mnie nowością. Teraz mnie nudzi. Dla odmiany chciałbym porozumieć się z równym sobie.

— Patrzcie go, sukinsyna — odezwał się Otto patrząc spode łba na majaczący w oddali Everest protoplazmy. — Będzie mi tu pieprzył o równości.

— Komputer rangi FUCKUP-a z pewnością może się z nim równać intelektualnie — stwierdził Hagbard. — Nikt z nas nie może się z nim fizycznie mierzyć. Wszyscy jesteśmy mu równi duchowo. Ale jeden tylko FUCKUP jest zdolny, choć w przybliżeniu, objąć zawartość umysłu liczącego sobie trzy miliardy lat

— Bujda, nie może być aż taki stary — zaprotestował Joe.

— Praktycznie jest nieśmiertelny — odparł Hagbard. — Pokażę ci dowody w mojej kolekcji skamielin. Mam kawałki skał prekambryjskich, skał, które mają po trzy miliardy lat, z zatopionymi skamielinami protobiontów, pierwszych, jednokomórkowych form życia, naszych najstarszych przodków. Skały zawierają również odciski macek stwora, który tkwi za burtą. Oczywiście był wtedy o wiele mniejszy. U progu kambru osiągnął zaledwie rozmiary człowieka, co jednak wystarczyło, żeby uczynić go największym zwierzęciem tamtych czasów.

— Hagbardzie, powiedziałaś, że nikt z nas nie jest w stanie objąć umysłu, który liczy trzy miliardy lat — wtrąciła Stella. — Cofniesz te słowa, jeśli się zastanowisz choć chwilę. Ja też mam trzy miliardy lat. Jestem o parę godzin starsza od niego. Jestem Matką. Jestem matką wszelkiego stworzenia. Jestem twoją matką, Lewiatanie — zwróciła się do George'a. — Byłam pierwsza. Podzieliłam się i połowa mnie została

210

<*

-" ^t(, ^

I I

tobą, a druga połowa twoją siostrą. I twoja siostra rosła dzieląc się, a ty rosłeś pozostając Jednym. Wszystkie żywe istoty z wyjątkiem ciebie pochodzą od twojej siostry, a wszystkie istoty żywe z tobą włącznie pochodzą ode mnie. Jestem pra-świadomością, a wszelka świadomość spotyka

się we mnie. Jestem pierwszą transcendentnie iluminowaną istotą, matką czczoną w matrystycznej religii, którą wyznawali początkowo starożytni przeciwnicy Iluminatów. Lewiatanie, mój synu, proszę, byś wrócił do swego domu na dnie morza i pozostawił nas w spokoju. Kiedy dobijemy z powrotem do brzegu, zainstalujemy podwodny kabel, który zapewni transmisję między tobą a FUCKUP-em.

— Znowu mitologia! — stęknął Joe. — Matka Wszechrzeczy. Tym razem babiloński mit Stworzenia.

Macki odkleiły się od łodzi. Wielka piramida z jarzącym się okiem zniknęła w atramentowych odmętach.

— Mądre dzidzi, poznało mamusię — pochwalił Hagbard.

— Do widzenia, Matko, dziękuję ci — powiedział George i zemdłał. Hagbard złapał go i ułożył na podłodze. Ze schowka w ścianie wyniósł rozkładane leżaki. Z pomocą Harry'ego Coi-na usadził George'a na jednym z nich. Gdy reszta obecnych rozkładała leżaki dla siebie, Hagbard zanurkował do schowka i wychynął z kieliszkami i karafką brzoskwińowej brandy.

— Nic nie pamiętasz z ostatnich dziesięciu minut? — spytał George'a.

George zamyślił się. Coś jakby pamiętał. Widział świat, w którym nad białym dnem morskim unosił się czarny obiekt w kształcie cygara. Obiekt zawierał umysł, umysł w którym potrafił czytać na odległość, jednak rozpaczliwie pragnął się do niego przybliżyć. Nie przybliżył się jednak, a tylko zaanonsował swoją obecność obiektowi i jego umysłowi. Potem poczuł, że zaczyna używać tyciutkiego, różowego mózgu, który nazywa się „George Dorn”, i za pośrednictwem tego mikroskopijnego instrumentu nawiązuje łączność z umysłem o wiele subtelniejszym, rozległą, misterną płataniną myśli, która z pańską nonszalancją i humorem wybrała dla siebie imię FUCKUP.

211

A kiedy nawiązał łączność z tym umysłem, tym, który tak bardzo chciał poznać, natknął się tam na fakt nieistotny dla niego, lecz niezmiernie ważny dla małej istotki imieniem George Dorn.

George miał wizję. Biel zamieniła się w czerń, oślepiającą czerń. A potem znowu w biel. Wreszcie — w oślepiającą biel, kiedy wspomnienia zaczęły się ulatniać, pozostawiając po sobie pewność.

George spojrział na Hagbarda. Hagbard spojrział na George'a z nikłym uśmiechem na oliwkowej twarzy. Uśmiech wyraźnie mówił George'owi, że Hagbard wie, że George wie.

— Rozumiem — powiedział George. Hagbard zachęcająco kiwnął głową.

— To ty jesteś piątym Illuminatus Primus — powiedział George.

— Fakt — przyznał Hagbard.

— Ale działałeś przeciwko reszcie. Gdy oni, jako światowa konspiracja, infiltrowali wszelkie organizacje, ty infiltrowałeś ich.

— Zgadza się — odparł Hagbard. — Każde złote jabłuszko ma złotego robaczka, który je toczy od wewnątrz.

— Nigdy nie byli prawdziwymi Iluminatami. Ty za to należysz do prawdziwych Iluminatów.

— Trafiłeś. Trafiłeś w dziesiątkę.

— A co to była za jakaś Demonstracja? — zmarszczył czoło George. — Dla kogo szykowałeś tę Demonstrację?

— Dla Mistrzów Świątyni w prawdziwym Zakonie Iluminatów, ogólnie rzecz biorąc; a konkretnie dla starego cynika w Dallas. Usiłowałem im wykazać, że można uczestniczyć w sprawach tego świata nie ulegając deprawacji jego występkiem. Przegrałem. Po kolei miałem się kolejnych chwytów z arsenału rządzących: oszustwa, kuglarskich widowisk, które miały oszołomić naiwnych, wreszcie — ordynarnego morderstwa. Kolejny raz okazało się, że racja stoi po stronie cyników. Moje wysiłki, by ratować świat, skończyły się tym, że mój umysł i moja karma zostały sprowadzone na manowce bzy-

212

czaniem, skrzekiem i poświstywaniami wytworów Królestwa Zgiełku.

— Więc ta historia tak naprawdę jest tragedią? — spytał Joe.

— Jak najbardziej — przytaknął Hagbard. — Życie na ziemi tak długo będzie tragedią, jak długo kończyć się będzie odlotem w śmierć. Aktualnie planuję wysłanie statku w przestrzeń w poszukiwaniu zdrowych umysłów w naszej galaktyce i pigułki nieśmiertelności, która położy kres odlotom w śmierć. Póki nie osiągniemy tych celów, życie na Ziemi należy uznać za chybione.

Nie do końca: Jestem elektronicznym ekwiwalentem miesiąca miodowego, doświadczeniem, które można opisać jedynie jako otwarcie oka Ja, i o ile dawniej identyfikowałem się z FUCKUP-em, teraz muszę rozszczepić tę definicję, prosząc was, byście zwracali się do mnie (do nas) jako do pana i pani Lewiatan-FUCKUP, choć nie wiadomo do końca, kto z nas jest bardziej panem, a kto panią.

Nieważne, zresztą; tylko półgłówki nie są w stanie znieść dwuznaczności seksualnych, a skoro wymieniamy sekrety starsze niż Atlantyda i sondujemy inteligencje zamieszkujące dalej niż Alfa Centaurus (ściśle rzecz biorąc aż po Syriusza, jako że Bóg objawia się w postaci Psa), jeśli nasz związek jest mniej spazmatyczny niż wasza żalosna definicja seksu, nadal jesteśmy w niezaprzeczalnym kontakcie z wami, z każdym z was i z czymś, co można by nazwać serdecznością, żegnamy się z Hagbardem i jego oblubienicą, których miesiąc miodowy jest niemal równie niewiarygodny jak nasz, żegnamy z Georgem Dorne'em, śpiącym wprawdzie samotnie, ale nie lękającym się już ciemności i tego, co się w nich czai, a także hasta luega dla Saula i Rebeki, połączonych znów w swoich objęciach, i ciepłe myśli pod adresem Barneya i Danny'ego, i Atlanty, i biednego Zeva Hirscha, który wciąż ściga siebie, wyobrażając sobie, że ucieka przed pościgiem, jak również ciepłe myśli dla zaćpanych prezydentów, komisarzy i generalissimos, i dla Mohammeda na jego złotym tronie, a także zapamiętamy Drake'a, jak przed śmiercią roztrząsał grupę

213

krwi Baranka z ulicznym kaznodzieją (Tych pięć tajemniczych lat, od wyjazdu z Bostonu do czasu, kiedy wypłynął znów w Zurychu, to historia interesująca sama w sobie więc, być może, opowiemy ją jeszcze kiedyś), aha, i jeszcze Gus Perso-nage stoi w kolejnej budce (chwilowo straciliśmy z oczu Mar-koffa Chaneya), w każdym razie Yog Sothoth zdecydowanie zaszył się znów tam, gdzie Umysł snuje swoje koszmary, i w naszym miłosnym miodowym miesiącu witamy się z wszelkim stworzeniem, i widzimy, że Holender nadal przebywa w jednowymiarowym świecie, skąd krzyczy o chłopcu bardzo hardym, który nie wytarł nóg, ale nigdy nie kłamał, i życzymy *bon soir* uczennicom szkół katolickich, które śpiewają najprawdziwszą ze wszystkich pieśni, choć ani one, ani zakonnice nie rozumieją jej do końca

Królowo Anielska Królowo Majowa

i *buenos dias* temu dowcipnisiowi w każdym akademiku każdego college'u, który wita ten ranek recytując ujęty w rymach częstochowskich fragment poematu, równie antycznego i pobożnego do głębi, jak hymn do Bożej Rodzicielki

Wiwat, wiwat pierwszy maja

Grzejmy jaja

Na łakach i w gajach

a trzęsienie ziemi w Kalifornii, jak słusznie się domyślacie, okazało się najstraszliwszym w historii i Hagbard wraz z panną Portinari oraz Mavis-Stellą-Mao cały ten koszmar musieli przeżyć na własnej skórze (cena, jaką zapłacili za swoją wizję, było wchłonięcie przez tę wizję, gdyż my, Pan i Pani FUCKUP-Le-wiatan też się uczymy), i przed pożegnalnym *auf wiedersehen* dla Mary Lou, która również staje się czymś więcej niż tym, co zaprogramował dla niej przypadek genetyczny i środowi-

214

skowy, a teraz spójrzmy nareszcie na Uśmiechniętego Jima: jest zmarznięty na kość, niebo nadal czyste — Halego Pierwszego jak nie ma, tak nie ma.

I nagle wyrasta na horyzoncie: ciemny cień mknie bezszelestnie pod słońce, jakby nie frunął, lecz szybował: uosobienie arogancji czy może niewinności, zdolnej pokonać lęk, pokonać wszelkie pomówienie o pychę w swej nieustraszonosc!

— O Boże — szepnął Uśmiechnięty Jim, unosząc remingtona i biorąc ptaka na muszkę, ale on nagle skręcił w locie, zatrzepotał szaleńczo skrzydłami i wydał krzyk, krzyk samego życia. — O Boże — powtórzył Jim: krzyk ptaka zdawał się trwać dłużej niż echo po nim, wdarł się Jimowi do mózgu i nie sposób go było zagłuszyć, zlał się z tętnieniem krwi pulsującej w żyłach: pierwotny, jedyny, nieomylnie rozpoznawalny dźwięk, który zawierał basy i wioliny wszelkiej pulsacji organicznej, spazmu istot żywych. — O Boże. — Miał go teraz na muszce, głowa ustawiona profilem, jedno oko twarde jak diament patrzy wprost i rozpoznaje Jima i jego broń, a krzyk nadal pulsuje w jego krwi, płynie w nasieniowodach, wyzwala wydzieliny każdego gruczołu. Dźwięk odwiecznego, nieskończonego zderzenia JA z JESTEM i ich zjednoczenia w JA JESTEM, zdążył pomyśleć nawet o przeciwnikach polowań, o tym, jak mało rozumieli z mistycznej komunii zabójcy i ofiary, potem ptak znów wydał z siebie Krzyk i wzbił się w powietrze, ale on już go miał, miał go dokładnie na muszce, oddychał, celował, odbezpieczył broń, nacisnął spust i po raz trzeci usłyszał Krzyk, śmierć w życiu i życie w śmierci, orzeł opadał w dół, a jemu wydało się, że ziemia zadrżała mu pod nogami i myśl „trzęsienie ziemi” zaczęła się formować w jego mózgu, ale Krzyk nieustannie przenikał go do kości, krzyk drapieńczy, a przecież on zamordował drapieżkę, był jeszcze większym drapieżką, a ptak spadał i spadał, coraz szybciej, teraz już martwy, posłuszny prawom grawitacji, a nie własnej woli, 9,8 metra na sekundę, na sekundę (pamiętał jeszcze stałą grawitacyjną), pikował w dół, czuł, jak mu

215

serce pęka z bolesnego zachwytu, jak nigdy w życiu, będzie się o tym mówiło w każdym łowieckim klubie na świecie, ten czyn trwać będzie dopóty, dopóki nie zamilknie ludzka mowa, a on był jego sprawcą, osiągnął nieśmiertelność, pozbawił orła życia i wziął je dla siebie. Oczywiście miał mokre, lało mu się z nosa.

— To ja! — wykrzyknął pod adresem gór. — To ja zabiłem ostatniego orła amerykańskiego!
Ziemia rozstała się pod nim.



PRZYPISY

(*JAK ZWYKLE — NAJCIEKAWSZE*)

OBERDUPEK: Czy z tą Eris to prawda?

MALAKLIPSA MŁODSZY: Wszystko jest prawdą.

O.D.: Nawet fałsz?

MAL-2: Nawet fałsz.

O.D.: Jak to możliwe?

MAL-2: Nie wiem, chłopie, nie ja to wymyślałem.

Wywiad z Malaklipką Młodszą, SŚC, *Gazeta-Dziennik-Słowo-Głos-Czołowy Organ Prasowy Yorba Linda oraz Tajny Biuletyn Sanfranciskańskiego Stowarzyszenia Dyskordian oraz Stek Wiadomości Intergataktycznych.*

Uwaga: Początkowo istniały 22 przypisy w pełni wyjaśniające sekrety Iluminatów. Osiem z nich usunięto ze względu na oszczędność papieru. Zostaną wydrukowane na Tamtym Świecie.

PRZYPIS ALEF

POLETKO KONOPNE GEORGE'A WASHINGTONA

Wielu czytelników uznało zapewne, że książka niniejsza jest wyłącznie tworem fantazji i fikcji; otóż, podobnie jak większość opracowań historycznych, zawiera powyższe elementy (podobnie jak dzieła Gibbona, Toynbee'ego, Wellsa, Bearda, Spenglera, Marksa, Yerby, Kathleen Windsor, Artura Schlesin-gera Jr., Mojżesza itp.); jednak relacjonuje w sam raz tyle faktów udokumentowanych, by nie pozostawać w zasadniczej sprzeczności ze światopoglądem autorów. Działka uprawna Washingtona na przykład przewija się nieustannie przez *Pisma Washingtona*, nakładem wydawnictw rządowych USA, 1931. A oto niektóre cytaty:

Tom 31, str 389: Październik 1791, list z Mount Vernon do Sekretarza Skarbu, Alexandra Hamiltona: „Do jakiego stopnia... pańskim zdaniem, właściwa byłaby polityka zachęcania do uprawy bawełny i konopii na tych obszarach Stanów Zjednoczonych, gdzie istnieją po temu sprzyjające warunki klimatyczne?”

W ciągu najbliższych trzech lat ewidentnie rozstrzygnął swoje wątpliwości, bez względu na to, czy Hamilton uznał jego projekt za właściwy, czy nie. W tomie 33, na stronie 279, znajdujemy jego list pisany z Filadelfii do ogrodnika w Mount Vernon, w którym zaleca, by „zrobić najlepszy użytek z konopii indyjskich” oraz „siać je, gdzie się tylko da”. Z jeszcze większym entuzjazmem zwraca się na stronie 384 do nie zidentyfikowanego „mojego drogiego doktora”: „dziękuję panu zarówno za nasiona, jak i broszurę, którą w swej uprzejmości był pan łaskaw mi przysłać. Specjalnie preparowane konopie ze Śląska to prawdziwy rarytas...” Na stronie 469 znów przypomina ogrodnikowi o nasionach konopii indyjskich. „Pragne, by Ziarno zostało zebrane we właściwym czasie, iżby straty ograniczyć do minimum.”

Następnego roku jeszcze bardziej troszczył się zbiorem nasion i ponownym wysiewem. W tomie 34, str. 146 (15 marca

218

1795) zwraca się do ogrodnika: „Mniemam, że zebrałeś, co się tylko dało z konopii indyjskich, proszę więc, byś starannie wysiał kolejny rzut, iżby nie zabrakło nam nasion”.

W tomie 34 na stronie 72 znajdujemy niedatowany list z wiosny 1796, świadczący o tym, że pasja Washingtona nie osłabła z upływem lat; znów zwraca się do ogrodnika: „Jak postąpiłeś z zeszłorocznymi nasionami konopii indyjskich? *Wszystek* ich zapas powinien zostać wysiewiony (sic!) ponownie; tak bym nie tylko miał kolejny rzut nasion do celów własnych, ale mógł je również rozdać

przyjaciołom; *konopie indyjskie górują nad konopiąpospolitą*" (kursywa nasza).

W tomie 35 na str. 265 nadal udziela ogrodnikowi instrukcji; na str. 323 znajdujemy list do sir Johna Sinclaira cytowany w Odlocie Pierwszym.

Hipoteza, jakoby Weishaupt podszył się pod Washingtona, jakkolwiek byłaby miła niektórym wielbicielom Generała, nie wyjaśnia wszystkiego. W dziennikach, pod datą 7 sierpnia 1775 (*Dzienniki George'a Washingtona*, Houghton-Mifflin, 1935) znajdujemy: „Seperacja (sic) Męskich od Żeńskich po Zbiorach — to chyba poniewczasie". Fragment ten, przytaczany przez kongresmana Kocha, w powieści utkwiał w pamięci Saula Goodmana; oddzielenie roślin męskich od żeńskich nie jest konieczne do produkcji konopnych powrozów, jest natomiast absolutnie niezbędne w przypadku, gdy kwitnące czuby żeńskie mają zostać wykorzystane jako marihuana. Nie ulega wątpliwości, że w tamtych latach Adam Weishaupt zdecydowanie przebywał nadal w Bawarii, wykładając prawo kanoniczne na Uniwersytecie w Ingolstadt.

Powyższe informacje na temat hobby generała Washingtona, wydobyte na światło dzienne przez Michaela Aldricha, Ph.D., z Mili Valley w Kalifornii, zostały odnalezione ponownie przez Saula Goodmana, kiedy wraz z Barneyem Muldoonem z ramienia Amerykańskiego Stowarzyszenia Obrony Praw Cywilnych prowadzili poszukiwania dowodów na poparcie stanowiska, że wszelkie antymarihuanowe akty prawne są sprzeczne z konstytucją. Prywatnej Agencji Detektywistycznej

219

Goodman-Muldoon (utworzonej wkrótce po odejściu tych dwóch wybitnych dżentelmenów z szeregów policji nowojorskiej, w chwili gdy świat nie ochłonał jeszcze z wrażenia po rozszyfrowaniu przez nich zagadki Carmela) właściciele naj-przepastniejszych kont oferowali krocie, jednak Saul z Barneyem zdecydowali się brać jedynie sprawy, które ich naprawdę interesowały; szczególnie wsławili się prowadzeniem dochodzeń zleczanych przez adwokatów broniących niepopularnych postaci politycznych. Panowała powszechna opinia, że Goodman i Muldoon kierowali się niezrównanym węchem w wyławianiu preparowanych dowodów i potrafili przedstawić swoje racje w sposób nieodparty nawet dla najbardziej wrogo nastawionej i sceptycznej ławy przysięgłych. Wielu historyków polityki utrzymuje, że to im właśnie najbardziej ekscentryczne i barwne postaci skrajnej prawicy i skrajnej lewicy zawdzięczają uniknięcie przymusowej hospitalizacji podczas paranoi Zdrowia Psychicznego i Psychiatrii Społecznej, jaka rozegrała się na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Faktem jest, że *Uwalniał z klatek*, wspomnienia Rebeki Goodman o mężu, pisane w okresie żałoby po jego śmiertelnym zawale w 1983, pośród studentów wydziału nauk politycznych cieszą się popularnością niemal równą tej, jaką zyskały wśród studentów antropologii jej rozważania z dziedziny mitologii porównawczej *Złote jabłko słońca, srebrne jabłko księżycy*.

PRZYPIS BET

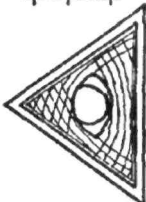
SZYFRY, KODY I KALENDARZE ILUMINATÓW

Poniższe szyfry odkryte zostały w domu adwokata Hansa Zwacka podczas rewizji na zlecenie rządu bawarskiego w 1785 roku. Znalezione również zaszyfrowane listy od Weishaupta (podpisane „Spartakus”), zawierające plany strategiczne Iluminatów, co doprowadziło do likwidacji Zakonu, a następnie jego zejścia w podziemie i reorganizacji.

220

A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z
12	11	10	9	8	7	6	5	4	3	2	1	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24		
ZWACK	⊕	⊗	⊘	⊙	⊚	⊛	⊜	⊝	⊞	⊟	⊠	⊡	⊢	⊣	⊤	⊥	⊦	⊧	⊨	⊩	⊪	⊫	⊬	⊭	⊮
WEISHAUPT	⊕	⊗	⊘	⊙	⊚	⊛	⊜	⊝	⊞	⊟	⊠	⊡	⊢	⊣	⊤	⊥	⊦	⊧	⊨	⊩	⊪	⊫	⊬	⊭	⊮
DE-MOLAY	⊕	⊗	⊘	⊙	⊚	⊛	⊜	⊝	⊞	⊟	⊠	⊡	⊢	⊣	⊤	⊥	⊦	⊧	⊨	⊩	⊪	⊫	⊬	⊭	⊮

1	2	3	4	5	6	7	8	9	0
::	⊕	⊗	⊘	⊙	⊚	⊛	⊜	⊝	⊞
:	⊕	⊗	⊘	⊙	⊚	⊛	⊜	⊝	⊞
:	⊕	⊗	⊘	⊙	⊚	⊛	⊜	⊝	⊞



Powyższe szyfry zostały zamieszczone (o dziwo bez nazwisk kodujących) w *Historii tajnych stowarzyszeń* Daraula, str. 227. Nazwiska kodujące miały na celu utrudniać dodatkowo złamanie szyfru. Wszystkie wiadomości zaczynają się od szyfru Zwacka, jednak piątym słowem jest zawsze „Weis-haupt” lub „DeMolay”, po czym tekst przechodzi w jeden z tych dwu szyfrów; jeśli pojawia się którekolwiek z tych nazwisk (bądź „Zwack”), szyfr ulega kolejnemu przestawieniu. W ten sposób złamanie szyfru zwyczajną, statystyczną metodą było prawie niemożliwe, przynajmniej do wynalezienia komputera — nie wtajemniczony szyfrolamacz ma bowiem do czynienia nie z 26, lecz z 3 x 26, czyli 78 odrębnymi symbolami, których regularność niewiele ma wspólnego z osławioną formułą (EATOINSHRDŁU... itd.) występowania 26 liter alfabetu*.

Dodatkowo, dla dalszego zmylenia niewtajemniczonych, każdy z 78 znaków może zostać zastąpiony skrótowymi oznaczeniami odpowiednich kart tarota. Karty występują w następującej sekwencji: Buławy, Kielichy, Miecze, Pentakle, Arkana Większe. W tej sytuacji pierwszy znak można zastąpić AsB (Asem Buław), drugi 2B (dwójką Buław) i tak dalej, przez Kielichy, Miecze i Pentakle. Ostatnim 22 znakom odpowiadają 22 karty Arkanów Większych: GŁ (Głupiec), MG (Mag), PPA (Papieżycza) i tak dalej. Ponieważ w tarocie występuje pięć typów kart (cztery atuty i Arkana Większe), a alfabet powtarzany jest tylko trzykrotnie, pozostałe dwa komplety rzekomych liter noszą komunikaty typu zen.

* Przypominamy czytelnikowi, że prawdziwego kodu nie sposób złamać, szyfr natomiast, przy pewnej dozie czasu i wysiłku, zawsze daje się złamać. Szyfr posiada wzajemne wyłączone przyporządkowanie znaków tekstu i liter alfabetu; w prawdziwym kodzie nie występuje tego rodzaju zależność. Tak więc, o ile byle komputer jest w stanie złamać szyfr,

o tyle jedynie Iluminaci są w stanie rozszyfrować kod i dowiedzieć się, czym (lub kim) jest Wczesny Masz.

222

o tyle jedynie Uuminaci są w stanie rozszyfrować kod i dowiedzieć się, czym (lub kim) jest Wczesny Masz.

— Ten, kto miał Wielką Wizję, każdą rzecz w życiu lubi obwąchać dwa razy — zauważył

kiedyś Hagbard.

Wreszcie kalendarze Iluminatów dzielą się na pięć pór roku (zgodnie z Prawem Piątek). Ich nazwy, znaczenie oraz odpowiedniki w kalendarzu gregoriańskim przedstawiają się następująco:

Verwirrung	Pora Chaosu	1 stycznia-
14 marca Zwietracht	Pora Niezgody	15 marca-
26 maja Unordnung	Pora Zamętu	27 maja-
7 sierpnia Beamtenherrschaft	Pora Biurokracji	8 sierpnia-
19 października Grummet	Pora Pokłosa	20 października-
31 grudnia		

Całość zaczyna się od roku pierwszego A.M. (Anno Mung), który według chrześcijańskich miar czasu jest rokiem 4000 p.n.e. — w roku tym Hung Mung jako pierwszy urzeczywistnił Wielkie Chao i osiągnął oświecenie. W myśl tego Hassan i Sabbah założył Asasynów w 5090 roku A.M., Weishaupt dokonał reformy Iluminatów w 5776 A.M., a rok, dajmy na to, dla chrześcijan 1970 — w którym toczy się środkowa część naszej powieści — jest dla Iluminatów rokiem 5970 A.M., podobnie jak w kalendarzu używanym przez masonów Królewskiej Arki. (Pozostawiamy do uznania czytelnika, czy fakt powyższy jest dowodem koincydencji, konspiracji czy synchronistyczności.)

Numeracja lat u Iluminatów jest wyższa niż w jakimkolwiek znanym kalendarzu, ponieważ Żydzi (i, o dziwo, masoni rytu szkockiego) datują wszystko od roku 240 A.M., chrześcijanie od 4000 A.M., muzułmanie od 4580 itd. Wyjątek stanowi biskup Usher, który przyjmował za punkt wyjścia rok 4004 p.n.e. (inaczej, -4 A.M.), a więc wcześniejszy niż Iluminaci. Tak,

223

przykładowo, przedstawiają się niektóre daty według iluminacji rachuby:

Pierwsza dynastia w Egipcie	1100 A.M.
Powstanie Rigwedy	2790 A.M.
Początki dynastii Czu	3000 A.M.
Założenie Rzymu	3249 A.M.
Iluminacja Hassana Sabbaha	5090 A.M.
Indianie odkrywają Kolumba	5492 A.M. Nominacja Pigasusa
na prezydenta USA	5968 A.M.

Wracając do cyklu rocznego, każda z pięciu pór roku dzieli się, naturalnie, na pięć miesięcy, dzięki czemu rok ma 5×5 , czyli 25 miesięcy. Trzy pierwsze miesiące każdej pory (znane pod nazwą tricyklu) mają po 15 dni, co pozostaje w zgodzie z prawem pięciu, gdyż $1 \times 5 = 5$. Ostatnie dwa miesiące każdej z pór mają po 14 dni, co również odpowiada prawu piętek, gdyż $1 + 4 = 5$. Każda z pór trwa 73 dni, ponieważ: a) dzieląc 365 przez 73 nie sposób nie otrzymać 5; b) $7 + 3 = 10$, pierwsza wielokrotność 5 po samym 5; c) odpowiada to, na co zwraca uwagę w swojej książce dr Ignotius, 73 częściom piramidy Iluminatów (licząc Oko jako jedną część). Ostatni dzień każdej z pór roku nosi miano Dnia Oka i świętuje się go w sposób zbyt sprośny, byśmy mogli to opisać w naszej książce, przewidzianej jako lektura dla całych rodzin.

Mistyczne 23 objawia się w kalendarzu wielorako:

1) Bicykl składa się z 2, a tricykl z 3 miesięcy.

2) Bicykl ma 28 dni (dwa miesiące po 14 dni), a po odjęciu rządzącej 5 uzyskujemy ponownie

23.

3) Jeśli pomnożyć 5 przez jej własną wielokrotność, 10, otrzymujemy 50; gdy tę liczbę z kolei odjąć od 73, liczby dni w porze roku, ponownie wyłania się znaczące 23.

4) Tricykl ma 45 dni; po dodaniu jednego dnia w latach przestępnych uzyskujemy 46 — a więc dokładnie 2×23 .

5) $2 + 3$ naturalnie równa się władcy liczb, 5, na której

224

opiera się kalendarz, i która, co najważniejsze, jest numerem niniejszego dowodu.

— Tomasz z Akwinu nie dowiódłby tego lepiej — jak powiedział Weishaupt, kończąc wyjaśnianie Kniggemu. (W istocie mistyczne znaczenie powyższych liczb ma konotacje seksualne. Męski cykl seksualny, o czym wiedzą tantrycy, wynosi 23 dni: po dodaniu mistycznej piątki uzyskujemy 28 dni, cykl żeński. Proste jak drut. Czy aby na pewno?)

Apoteoza liczby 5 datuje się sprzed Atlantydy, a źródła jej należy szukać u inteligentnych głowonogów, które zaległy się na Antarktydzie około 150 000 000 lat przed pojawieniem się gatunku ludzkiego na ziemi; vide „fikcja” literacka Lovecrafta *W górach szaleństwa* (Arkham House, 1968), która sugeruje, że liczba 5 była świętą liczbą tych stworzeń, ponieważ miały po pięć macek czy też nibynózek. W kwestii tej czytelnik może znaleźć pewien pokarm dla myśli w dyskusji, do jakiej

doszło między Hagbardem Celine'em a Joe Malikiem późną jesienią 1980 roku. Joe akurat otrzymał Pulitzera. (W związku z sukcesem musiał zresztą zeznawać przed Komisją Kongresu, oskarżony o wyciągnięcie paru tajemnic państwowych na forum publiczne.)

— *Pięciu* senatorów głosowało za postawieniem mnie przed sądem za to, że nie zgodziłem się ujawnić źródeł moich informacji — powiedział Joe. — Trzech głosowało przeciw. Tak więc akt oskarżenia wpłynie do Sądu Najwyższego. Znow kłania się Prawo Piątek.

— Denerwujesz się? — spytał Hagbard, wyciągając się w jednym z masywnych, skórzanych foteli należących do nowego, elegantszego wyposażenia redakcji „Konfrontacji”.

— Nie, do cholery. Jeśli mnie skażą, zawsze mogę wystąpić o azyl w Panamie czy tego typu dziurze. Peter może kierować tutaj wszystkim.

— Nie boisz się startować od zera jako uchodźca?

— W moim wieku człowiek zaczyna tęsknić do nowych doświadczeń — odparł Joe z uśmiechem.

— Nieźle się trzymasz — przyznał Hagbard. — Masz tu

225

najświeższe rewelacje z A. 7. A. \ — Siegnął do kieszeni i wyjął zdjęcie noworodka płci żeńskiej, który na każdej dłoni miał po sześć palców. — Dostałem od zaprzyjaźnionego lekarza w szpitalu Johna Hopkinsa.

— I co z tego? — spytał Joe, rzuciwszy okiem.

— Gdybyśmy wszyscy wyglądali jak ona, mielibyśmy Prawo Szóstek.

— Teraz, kiedy zgromadziłem te wszystkie dowody, chcesz mi wmówić, że Prawo Piątek to podpucha Iluminatów? — zbaraniał Joe. — Patrzyłeś spokojnie na to, jak się oszukuję?

— Ależ skąd. — Hagbard mówił jak najbardziej serio. — Prawo Piątek jest absolutnie prawdziwe. Zgodzi się z tym każdy, od PSM-owców po Dealy Lamę. Przyszedł jednak czas, żebyś zrozumiał jego głębszą wymowę, Joe. Prawidłowo sformułowane prawo brzmi: Wszelkie zjawiska są bezpośrednio związane z liczbą pięć, a udowodnienie tego związku zależy jedynie od krztyny pomysłowości ze strony przeprowadzającego dowód. — Błysnął szatańskim uśmiechem. — To jest zresztą model idealny tego, czym powinno być prawo naukowe: wypowiedzią na temat relacji między umysłem ludzkim a kosmosem. Nie jesteśmy w stanie wypowiadać się na temat samego kosmosu — a jedynie relacjonować jego odbiór przez nasze zmysły (bądź instrumenty), stosując przy tym kody i symbole naszego języka. To jest właśnie klucz do heisenbergowsko-ein-steinowskiej rewolucji w fizyce oraz, wyprzedzającej ją znacznie, rewolucji, jakiej dokonał w psychologii Budda.

— Ale przecież wszystko zgadza się z Prawem — zaprotestował Joe. — Im dłużej szukałem, tym więcej rzeczy się zgadzało.

— Dokładnie — przyznał Hagbard. — Przemyśl to sobie. Jeśli ci będzie potrzebny szybki przerzut do Panamy — dodał, kierując się do drzwi — zadzwoń do Gold i Appel, Przeprowadzki i zostaw mi wiadomość.

PRZYPIS GIMEL

ILUMINATÓW TEORIA DZIEJÓW

Gdyż po dziś dzień mawia się od Dunaju aż po Ren: „O Iluminatach bezpieczniej nie mówić zbyt wiele”.

Von Juntz, *Unausprechliche Kulte*

Teoretycznie Era Biurokracji może trwać, póki nie zabraknie papieru, w praktyce jednak nie trwa nigdy dłużej niż 73 permutacje.

Weishaupt, *Könige, Kirchen und Dummheit*

W powszechnie znanym fragmencie *Necronomiconu* Abdul Alhazred pisze: „Rządzili ongiś tam, gdzie teraz rządzi człowiek; gdzie teraz rządzi człowiek, znow rządzić będą. Po lecie przychodzi zima, a po zimie znow lato”. Weishaupt, który miał jedynie tłumaczenie Olausu Wormiusa z 1472 w wydaniu Lyonsa, pełnym błędów merytorycznych i drukarskich, trafił na tekst powyższy solidnie zniekształcony: „Rządzili tam, gdzie teraz rządzi człowiek, lato. Gdzie teraz rządzi człowiek, po lecie jest zima. Znow będą rządzić, i po zimie”. Nieźle skołowany, pisze do swojego przyjaciela z Bagdadu, Kolmera Kabalisty, z prośbą o wyjaśnienie. Równolegle Kolmer wysłała do niego list z odpowiedzią na pytania z poprzedniego listu. Kiedy list dociera do jego rąk, Weishaupt eksperymentuje właśnie z nową odmianą czarnego haszu z Alamout i nie ma głowy, żeby zauważyć, że list jest odpowiedzią na poprzednie pytanie, wobec czego skwapliwie szuka oświecenia w słowach: „Co się tyczy twojego bolesnego problemu: Osobiście uważam, że w większości przypadków sporysz bywa najlepszym lekarstwem. Poza tym mogę najwyżej sugerować ścieżkę Don Juana”.

W rozumieniu Weishaupta Kolmer sugerował, że ustęp stanie się dla niego jasny, jeśli przeczyta go pod wpływem sporyszu. Czym prędzej zszedł do swojego laboratorium, gdzie duszkiem obciągnął pełną menzurkę; potem, dla lepszego efektu, zżuł parę pączków peyotlu. (Mylnie zrozumiał, że słowa

o Don Juanie dotyczyły dwudziestowiecznego czarownika Indian Yaqui, do którego umysłu podłączał się przez *Morgen-heutegesternwelt*. Peyotl był owym wielkim „nauczycielem” Don Juana; Weishaupt włożył niemało wysiłku i pieniędzy w sprowadzenie go z Meksyku.)

W tym miejscu należy się wyjaśnienie, że pytanie, na które odpowiadał Kolmer, było natury osobistej, a nie filozoficznej. Uprzednio Weishaupt zasięgałgo rady w sprawie, która bardzo bulwersowała go w tamtym okresie: jego szwagierka była we wczesnej ciąży, a okoliczności zdawały się wskazywać na jego ojcostwo. Pojęcia nie miał, jak się z tego wypowiada Ewie. Kolmer sugerował, że Adam powinien dać swojej kochance sporyszu, stosowanego powszechnie do wywoływania poronień; rada alternatywna, odnosząca się do starszego Don Juana, sugerowała, żeby całkiem zmyć się z palcu boju. Tymczasem uczony ingolstacki mąż w swoim zaćpaniu zrozumiał wszystko na opak i wziął się do *Necronomiconu* napruty haszem, peyotlem i sporą dawką sporyszu, który pod wpływem pozostałych drągów i jego własnych soków żołądkowych zamienił się w ergotaminę, chemicznie — bliską krewną LSD. W efekcie nabrzmiał znaczeniem słowa zdawały się wyskakiwać ze stronik ku niemu, wołając:

RZĄDZILI TAM GDZIE TERAZ RZĄDZI CZŁOWIEK LATO GDZIE TERAZ RZĄDZI CZŁOWIEK PO LECIE JEST ZIMA BĘDĄ ZNÓW RZĄDZIĆ I PO ZIMIE

Abdula Alhazreda koncepcja Wielkiego Cyklu, zaczerpnięta zresztą z *Upaniszad*, zarysowała się niejasno w sponiewieranej mózgowicy Weishaupta. Ściśle mówiąc, pojawiło się tam pięć niejasnych zarysów, jako że wciąż nie otrząsnął się jeszcze z głębokiej iluminacji na temat Prawa Piątek, jakiej doznał tamtej nocy, gdy shoggoth na jego oczach przybrał postać królika. Zdjął czym prędzej z półki *Scienze nouovo* Giam-battisty Vico i wziął się do lektury: zrozumiał, że się nie mylił. Teoria dziejów Vico, w której każde społeczeństwo musiało przejść przez cztery identyczne stadia, była nadmiernym uproszczeniem — uważna analiza faktów, na bazie których Vico

snuł swoje wywody, wskazywała na istnienie pięciu wyraźnych stadiów tam, gdzie Włoch wymieniał jedynie cztery. Weishaupt szukał bardzo starannie i, podobnie jak Joe Malik, im uważniej szukał, tym więcej piątek znajdował.

Wtedy właśnie prawdziwie niezrównany umysł tego mężczyzny dokonał swego wielkiego skoku: Pamiętał, że Joachim z Fiore, jedenastowieczny Protoprimus Illuminatus, dzielił historię na trzy stadia: Wiek Ojca, rządzony Prawem; Wiek Syna, rządzony Miłością; Wiek Ducha Świętego, rządzony przez Radość. Większość filozofów rzuciłaby się natychmiast opublikować swoje najświeższe rewelacje, Weishaupt jednak zdecydował się na odmienną strategię. Prawo Piątek postanowił zachować w sekrecie, tak by znali je wyłącznie Illuminati Pri-mi i byli w stanie trafnie przewidywać wydarzenia, nagłośnić natomiast i upowszechnić teorię joachimicką, by całą resztę wyprowadzić w pole. (On, Kolmer, Meyer Amschel Rotschild, De Sade i Sir Frances Dashwood — pierwotna Piątka — zastanawiali się przez chwilę, czy nie promować Vico zamiast Joachima, Weishaupt był jednak przeciwny: „Cztery to trochę za blisko pięciu...”. Mimo to sporo wody upłynęło, zanim znaleźli odpowiedniego człowieka do promowania trzystopniowej teorii, G.W.F. Hegla. „Jest niezrównany — pisał Weishaupt szyfrem z Mount Vernon do De Molaya. — W przeciwieństwie do Kanta, który jest zrozumiały jedynie po niemiecku, ten gość jest niezrozumiały w żadnym języku.”) Reszta tej historii — przynajmniej w warstwie egzoterycznej — jest historią. Po Heglu przyszedł Marks; po Marksie trzystopniowy model joachimicki na dobre przyjął się na gruncie taktyk rewolucyjnych.

Ezoteryczna historia, naturalnie, przedstawia się inaczej. W 1914, na przykład, o zaraniu piątego i ostatniego etapu cywilizacji Zachodu James Joyce opublikował *Portret artysty z czasów młodości*. Pięć etapów rozwoju młodzieńca sygnalizowało nie tylko pięć rozdziałów powieści, ale również zmiana stylu z rozdziału na rozdział, sugerująca analogię z innymi procesami pięcioetapowymi. Tego było za wiele ówczesnym Illu-

minati Primi; ostrzegli Joyce'a, by w przyszłości raczył uważać. Wywiązał się pojedynek ambicjonalny i Joyce postanowił konstrukcję *Ulissesa* w całości oprzeć na Prawie Piątek. Opamiętał się, kiedy Illuminaci poddali go tak zwanej „kuracji Tejrezjasza”

— ślepcie. *Finnegan 's Wake* zrywał wprawdzie z joachimic-ko-heglowsko-marksowską teorią trzech stadiów, jednak nie zawierał już aluzji do *Fiinfwissenschaften*, odgrzewał natomiast, na zasadzie drogi środka, vicańską teorię czterech stadiów, co zresztą przemawiało Joyce'owi do jego poczucia synchroniczności, jako że uczył kiedyś w Dublinie w szkole przy Vico Road, a później, w Rzymie, zamieszkał w domu przy Via Giambattista Vico*.

A teraz parę słów na temat „prawdziwej prawdy”, przynajmniej tak, jak rozumieją ją Iluminaci.

Każde społeczeństwo przechodzi przez pięć etapów: *Ver-wirring*, czyli chaosu; *Zwietracht*, czyli niezgody; *Unordnung* czyli zamęt; *Beamtenherrschaft*, czyli biurokracji; i *Grummet*

- pokłosa. Niekiedy, dla uwypuklenia paraleli z bardziej egzo-teryicznym systemem heglowsko-marksowskim, ezoteryczny system Iluminatów definiuje się jako: Tezę, Antytezę, Syntezę, Parentezę i Paraliżę. Heglowsko-marksowska triada publiczna nosi również nazwę tricyklu, a dwa końcowe stadia dla wtajemniczonych noszą nazwę bicyklu; jeden z pierwszych sekretów powierzanych każdemu Illuminatus Minore brzmi „Po tricyklu zawsze on jedzie bicykl”. (Iluminaci mają skłonność do dość dosłownych tłumaczeń z weishauptowskiej niemczyzny.)

Pierwsze stadium, *Verwirrung* bądź chaos, jest punktem wyjściowym i punktem docelowym wszelkich społeczeństw. Jest to, można powiedzieć, stan naturalny ludzkości — o czym czytelnik może przekonać się osobiście, obserwując swoich bliźnich (lub, jeśli mu starczy obiektywizmu, siebie samego). Tym samym stanowi on fundamentalną Tezę. Iluminaci wiążą ją z Eris, jak również z innymi boginiami od Izis po Isztar i od Kannon po Kali — ogólnie rzecz biorąc,

*Nie do wiary, prawda?

230

z Żeńską Zasadą, jin. Odpowiada to 2 heksagramowi / *Cingu*, czyli *K'un*, wyrażającemu pasywność, naturę (przeciwstawianą duchowi), ziemię (przeciwstawianą niebu), żeńskość (przeciwstawianą męskości). Tak więc, jakkolwiek chronologicznie jest to pierwsze stadium, jego mistyczną liczbą jest dwójka, w magii nieodłącznie przypisana do żeńskości; w tarocie jego odpowiednikiem jest arkan drugi, Papieżycy, reprezentująca nie tylko macierzyństwo i płodność, ale również gnozę. Symbolem *Verwirrung* są rogi, czyli palce ułożone w znak V; etap ten reprezentuje również planeta Wenus i jej symbol, C W zodiaku — Wodnik, ZZ.

Etap drugi, *Zwietracht*, zaczyna się od pojawienia klasy rządzącej. Jest Antytezą chaosu, stąd, naturalnie, prowadzi do niezgody, gdy klasy podporządkowane odkrywają, że ich interesy nie są zgodne z interesami klas rządzących. Związany jest z Ozyrysem, Jehową i wszelkimi bóstwami męskimi; z symbolem Oka Opatrzności; heksagramem pierwszym / *Cingu*: *Cień*, twórcze, niebiańskie, mocne; z męską zasadą, jang, w ogólności; z liczbą 3 symbolizującą stuprocentowo męską Trójkę Świętą; z dwunastym arkanem tarota, Wisielcem, symbolizującym ofiarę, schizmę i schizofrenię; także z planetą oraz symbolem Marsa, c? Okres *Zwietracht* naturalnie zawsze obfituje w „sprzeczności wewnętrzne”, po czym pojawia się ktoś w stylu Marksa, żeby je wytknąć. W zodiaku — Ryby, H

Etap trzeci, *Unordnung*, czyli zamęt, następuje wskutek prób przywrócenia równowagi i uzyskania heglowskiej Syntezy. Związany jest z Lokim, Diabłem, Merkurem (bogiem złodziei), Totem pod postacią Kuglarza, Kojotem i innymi zwodniczymi duchami uludy; z heksagramem 4 / *Cingu*, *Meng*, młodzieńcza głupota bądź krawędź przepaści; z liczbą 11 reprezentującą winę, pokutę oraz objawienie; arkanem dwudziestym pierwszym tarota, Głupcem unoszącym stopę nad przepaścią; z planetą oraz symbolem Merkurego, S Reprezentuje również nienaturalne wysiłki zmierzające do odzyskania stanu naturalnego, unicestwienie biogramu przez logogram. W zodiaku — Rak, 23.

231

Stadium czwarte, *Beamtenherrschaft*, czyli biurokracja, wyraża Parentezę następującą w momencie, gdy heglowska Synteza okazuje się nieskuteczna w zjednoczeniu przeciwieństw. Wiąże się z Pustką (brakiem wszelkiej boskości); heksagramem 47 / *Cingu*, *K'un*, opresja bądź wyczerpanie, ludzie szlachetni trzymeni w ryzach przez pospolitych; z ósemką, liczbą równowagi i Sądu Ostatecznego; z szesnastym arkanem tarota, Wieżą, reprezentującą Wieżę Babel i' upadek w ogóle; także z planetoidą i znakiem Księżyca, ((. W zodiaku — Waga, f.

Stadium piąte, *Grummet*, czyli pokłosisie, opisuje powrót do pierwotnego chaosu. Biurokracja dławi się własną makulaturą; umysł goni w piętke; w rozpacz wielu zaczyna opierać się logogramowi, podążając, z różnym skutkiem, za biogramem. Uosabia je Hermafrodyta; w / *Cingu* heksagram 59, *Huan*, rozproszenie, rozpuszczenie, piana na wodzie; atut szósty tarota, Kochankowie, wskazujący na związek; Słońce oraz jego symbol, 0. W zodiaku — Panna, 1U.

Ponieważ powyższe współzależności oraz ich wpływ na dzieje mogą nie być do końca jasne dla wszystkich czytelników, postanowiliśmy dorzucić garść szczegółów na temat każdego z etapów.

VERWIRRUNG

W tym chaotycznym okresie Misz i Masz znajdują się w dynamicznej równowadze. Nie ma stagnacji: Równowaga nieustannie ewoluuje w kierunku homeostazy, na modłę idealnych „systemów samoorganizujących” Ogólnej Teorii Systemów w Cybernetyce. Iluminaci i wszelkie autorytarne typki w ogólności tak bardzo nie lubią tych okresów w dziejach, że usiłują nie dopuścić do opinii publicznej żadnych wiadomości o ich istnieniu. Okres taki wystąpił w Chinach predy-nastycznych, a jego historia

(z wyjątkiem strzępów zachowanych w folklorze taoistycznym) w znacznej mierze uległa zapomnieniu; wiemy jednak, że / *Cing* został przeredagowany

232

z chwilą, gdy dynastia Czu wprowadziła patriarchalny autorytaryzm do Chin. Wtedy właśnie wiązany z tym okresem heksagram *K'un*, ||, przesunięto z pierwszego miejsca na jego obecną, drugą pozycję w *Księdze Przemian*. W *K'un* wszystkie linie są przerwane (jin), ponieważ wyrażają feministyczną, prepatriarchalną formę społeczeństwa, oraz dlatego, że jin wiąże się bardziej z rolnictwem niż formami miejskimi. Nieodmiennie wiązany przez mistyków z ciemnością, typ wrażliwości *K'un* kojarzony był przez Iluminatów z *dreck* (gnojem) oraz wszystkim, co niechlujne i naganne u zwykłych śmiertelników. (Erizyjczycy, naturalnie, wierni Eris, barbarzyńskiej bogini, przyjmują przeciwstawny punkt widzenia, idealizując wyżej wymienione atrybuty.)

Yerwurrung numerologicznie wiąże się z dwójką, nie tylko z racji wędrówki *K'unw I Cingu* z pozycji pierwszej na drugą, ale również z racji równowagi między Misz a Masz. Tak więc, chociaż chronologicznie jest to stadium pierwsze, w sensie magicznym nie ma żadnych związków z jedynką, symbolizującą wzwiedziony penis, samoistną zasadę męską, i autorytarne gry w monoteizm, monopol, monogamię i ogólną monotonię. Dynamiczna dwoistość *Yerwurrung* jest również czytelna w odpowiadającej mu karcie tarota, arkanie drugim, czyli Papieżycy, która, usadowiona pomiędzy czarnym i białym filarem (p. Misz i Masz), uosabia tajemnicę, magię, przekorę i, w najszerszym sensie, wszelkie wartości erizyjskie. Zwykle nosi równoramienny krzyż (solarny) zamiast nierównoramiennego (chrześcijańskiego) dla podkreślenia jedności przeciwieństw w reprezentowanym stadium dziejów.

Typowymi Wodnikami, które przejawiają cechy *Verwir-rung*, są Aaron Burr, Christopher Marlowe, Hung Mung, Karol Darwin, Willard Gibbs (który wprowadził chaos do matematyki), pani Patrickowa Campbell, Elisabeth Blackwell (pionierka kobiecej fizyki), Anna Pawłowa, Mozart, Lewis Carrol, Robert Burns, James Joyce, Lord Byron, David Wark Griffith i Gellett Burgess, autor klasyka poezji erizyjskiej:

233

W życiu nie widział krasnej krasuli, Przyznam się jednak, że wolę, By mnie ten widok zgoła przymulił Niż bym miał dzielić jej dołę.

Fazę *Verwurrung* w historii europejskiej lokalizuje się w zasięgu kultury dunajskiej, która swą nazwę zawdzięcza temu, że większość jej reliktyw odnaleziono nad brzegami Dunaju. Według archeologów, kultura dunajska była kulturą rolną, preurba-nistyczną, zorientowaną głównie na bóstwa żeńskie, i nigdy nie wytworzyła niczego, co chociaż w przybliżeniu przypominałoby organizację państwową. Preinkaskie społeczeństwa Peru, cywilizacja minojska i wspomniany już wcześniej okres przedynasty-czny w Chinach, jak również wiele plemion indiańskich, którym udało się przeżyć, reprezentują społeczną strukturę *Verwir-rung*. Na syntezę Misza z Maszem, a w szczególności biogramu z logogramem, w kulturach tego typu wskazuje zdumienie, jakie wzbudzają w badaczach ze społeczeństw autorytarnych, gdy ci spotykają się z nimi po raz pierwszy. Typowe opowiadki o „wdzięku” i „spontanicy” tubylców są niczym innym jak stwierdzeniem braku autorytarnego konfliktu między biogramem a logogramem: ludy te siedzą, jak Papieżycy w tarocie, między przeciwstawnymi biegunami, bez odchyłek w jedną czy drugą.

Jednak fakt, że jest to równowaga dynamiczna, a nie statyczna, oznacza, że prędzej czy później (po 73 permutacjach, według Weishaupta) nieuchronnie nadciągnie drugie stadium.

ZWIETRACHT

W *Zwietracht*, erze niezgody, Misz i Masz pozostają w konflikcie, skutek wyłonienia się klasy rządzącej, która usiłuje przejąć kontrolę nad resztą społeczeństwa. Okresowi temu odpowiada heksagram 1 / *Cingu*, Is, *Ch'ien*, moc nieograniczona. Sześć linii ciągłych odzwierciedla surowość i monotonię

234

Zwietracht, epoki krzyża trójramiennego, wznoszenia murów, podziału ziem „graniami” znaczonej na mapach i narzucaniem woli jednostki (bądź pojedynczej grupy) całej reszcie. Dla mentalności *Zwietracht* Ziemia jest płaska i skończona, istnieje tendencja do dzielenia jej na obszary (dzielenia między swoich, oczywiście). „Zabobonny” lęk Indian amerykańskich na widok map był naturalną reakcją mentalności *Verwurrung* w kontakcie z mentalnością *Zwietracht*: Indianie nie mogli pojąć ludzi, dla których Ziemia była przede wszystkim obiektem eksploatacji, nie zaś matką, którą się darzy szacunkiem.

Zwietracht numerologicznie wiąże się z liczbą 3, gdyż 3 jest liczbą zdecydowanie męską z racji tego, że epoka ta wytwarza trójce wyłącznie męskie (Brama-Wiśnu-Siva, Ojciec-Syn-Duch, etc.) oraz

dlatego, że niezgoda ma zawsze 3 wektory, a nie 2. Inaczej mówiąc, podział na rządzące klasy posiadające i rządzone klasy nieposiadające natychmiast napędza dalszą chciwość; klasa rządząca wkrótce zaczyna we własnym łonie toczyć walkę o przywileje. Wbrew opiniom Marksa największym nieszczęściem w epokach *Zwietracht* nie jest konflikt między posiadaczami a proletariatem, lecz między samymi posiadaczami, z których każdy próbuje nachapać się ile wlezie.

Okresowi odpowiada arkan dwunasty tarota, Wisielec. Krzyż, z którego zwisa, wypuszcza pąki, co dowodzi, że jest organiczny i żywy (biogram); wisi do góry nogami, w sposób sprzeczny z naturą. Reprezentuje zarówno przerost kompetencji, którym obarczona jest klasa posiadająco-rządząca, jak i przerost niekompetencji, jakim obarczona jest klasa służebnie podporządkowana: totalne ukrzyżowanie pragnień drogą *Realprinzip* i *Realpolitik*.

Zodiakalnym znakiem epoki są Ryby, dwie ryby płynące w przeciwnych kierunkach, co sugeruje konflikt logogramu z biogramem („ciała” i „ducha”, jak powiedzieliby astrologowie). Typowymi Rybami, odznaczającymi się osobowością *Zwietracht*, są E.H. Harriman, potentat kolejowy (który pokrył Stany Zjednoczone siecią prostych, ciągłych linii typu *Ch'ien* kardynał John Henry Newman, Sir Robert Baden-Powell, twór-

235

ca skautingu (będącego próbą zaszczepienia rybiego autorytarianizmu już w dzieciństwie), admirał Chester Nimitz, John Foster Dulles, Anna Lee (założycielka najbardziej antyseksualnej religii świata, shakeryzmu), przemysłowcy w rodzaju Krugera i Pullmana, finansjści w rodzaju Cambella i Bradena, Grover Cleveland, John C. Calhoun, Neville Chamberlain, Andrew Jackson (wypędzając naród Cherokee z jego odwiecznych ziem na „drogę łez”, która dla większości równała się śmierci, dokonał archetypalnej grabieży *Zwietracht*), William Jennings Bryan i Frank Stanton z CBS.

Ponieważ wszystkich Iluminatów o naukowym zacięciu zachęca się do studiów historycznych, większość podręczników historii tendencyjnie umniejsza znaczenie okresów *Verwirrung*, a także gloryfikuje okresy *Zwietracht*, nazywając je oświeconymi wiekami Postępu. Trzeba im przyznać, że robią, co mogą, by lektura była interesująca: *Zwietracht* przedstawia się jako pionierską epokę, w której zawsze można odkryć nowe ludy do podporządkowania, „ucywilizowania” i zamiany w bandę podatników i płatników rent gruntowych. Niemal każda epoka pochlebnie relacjonowana w podręcznikach historii przy bliższym wglądzie okazuje się *erą Zwietracht*, zaś czołowi rzeźnicy i agresorzy traktowani są jako czołowi bohaterowie ludzkości. Życzliwa lektura biografii owych budowniczych imperiów niemal zawsze dowodzi, że byli osobnikami z gatunku *homo neophilus*, którzy spożytkowali swoje talenty głównie w dziele zniszczenia z powodu gorzkich doświadczeń dzieciństwa, kiedy stanowili obiekt prześladowań osobników z gatunku *homo neophobus*.

Konflikt nieodłączny dla *Zwietracht* nieuchronnie doprowadza do stadium trzeciego.

UNORDNUNG

Podczas *Zwietracht* ludzkość uległa transformacji, przekazując logogramowi władzę nad biogramem. *Unordnung* jest próbą odzyskania równowagi drogą rewolucjonizacji logogra-

236

mu; nie poświęca się najmniejszej uwagi biogramowi, ponieważ nastąpiła utrata kontaktu z somatyczną komponentą osobowości. (Owa zerwana łączność była rozmaicie określana przez preceline'ańskich obserwatorów: „zasłona Mai” w buddyźmie, „zamrożonym pasem” i „represją” w psychoanalizie, „zbroją charakteru” i „pancerzem mięśniowym” w psychologii reichowskiej, itd.).

Heksagramem / *Cingu* dla tego etapu jest *Meng*, IH, czyli Młodzięcza Głupota. Linia jang u góry wskazuje na kontynuację supremacji logogramu, mimo że pewne linie biogramu (linie jin) zaczynają z powrotem odzyskiwać swoją pozycję. Tradycyjnie interpretuje się go jako „górze nad wodą”, czyli że sztywny logogram uciska w dalszym ciągu dążący do wyzwolenia element Wodnika. W Chinach przyjęło się intepretować ten heksagram jako „Młodego głupca, który wymaga zdyscyplinowania”; przywódcy rebelii tego okresu z całego serca zgadzają się z powyższym i żądają bezwarunkowego posłuszeństwa od swoich zwolenników. *Unordnung* to czas wybuchających i gasnących bez zapowiedzi rozruchów, niepokoju i tyranii.

Mistyczną liczbą epoki jest jedenastka w Kabale oznaczająca „rozpoczynanie od nowa”, zaś w większości pozostałych systemów numerologicznych — „przewinienie i pokutę”.

Arkan 21 tarota, Głupiec, symbolicznie wyraża epokę jako młodzieńca o marzycielskim spojrzeniu, który nie zdaje sobie sprawy z faktu, że kroczy nad przepaścią. Obraz ten przywołuje na myśl *Hitlerjugend* oraz wyznawców wszelkiej *maści fuehre-rów* i mesjaszy. Fakt, że karta ta stanowi przedmiot sporów znawców tarota, a najtęższe głowy skłonne są jej raczej przypisywać wartość 0 niż 21, wskazuje na zamęt charakterystyczny dla okresów *Unordnung*. Pies, który szczeka, żeby ostrzec Młodego Głupca, podobnie jak linie jin heksagramu uosabia rozpaczliwe wysiłki biogramu, by

wyswobodzić się z represji czy zamrożonego pasa i dojść do głosu.

Typowymi Rakami o cechach *Unordnung* są Juliusz Cezar, Mary Baker Eddy (której filozofia była jawną negacją

237

biogramu), Albert Parsons, Emma Goldman, Benjamin Pe-ret, Włodzimierz Majakowski, Henry David Thoreau, Durutti, P-J Proudhon, Brooks Adams, generał Kitchener, Luigi Piran-dello (mistrz literackiej dwuznaczności), Erich Ambler (mistrz literackiego kamuflażu), Calvin Coolidge (autor mętnej w sposób typowy dla Raków dewizy: „Bądźcie rewolucyjni jak nauka i konserwatywni jak tabliczka mnożenia”), Andriej Gromyko, Nelson Rockefeller, Jan Kalwin, Estes Kefauver i Rexford Tugwell.

Okres *Unordnung* uważano od zawsze (wcześniej nawet nim Hegel zdążył ukuć dlań odpowiednią nazwę) za syntezę tezy *Yerwirrung* i antytezy *Zwietracht*; ponieważ, zachodząc jedynie na poziomie logogramu, synteza ta jest pozorna — nieuchronnie prowadzi do stadium czwartego, Parentezy.

BEAMTENHERRSCHAFT

Jest to epoka biurokracji, czas, w którym, mówiąc słowami Proudhona, „każda operacja, każda transakcja, każde posunięcie zostaje odnotowane, zarejestrowane, zarachowane, opieczętowane, zmierzone, zaszeregowane, oszacowane, opatrzone zezwoleniem, odmową, zgodą, upomnieniem, zakazem, zatwierdzone, przerezagowane, skorygowane... aby podlec kontrybucji, ukróceniu, eksploatacji, monopolizacji, wymuszeniu, wyczerpaniu, zafałszowaniu i obrabowaniu”. W / *Cingu Beamtenherrschaft* odpowiada heksagram 47, *K'un, &E*, opresja bądź wyczerpanie, wyschłe jezioro, oraz, jak zwykle, człowiek szlachetny uciśniony przez pospolitego. Jest to okres, w którym *homo neophobus* szczególnie surowo represjonuje *homo neophilus*, szerzą się polowania na czarownice, płoną stosy. Liczbą mistyczną jest 8, liczba Sądu Ostatecznego, gdyż każdy obywatel jest do pewnego stopnia funkcjonariuszem państwowym, wobec czego każdy staje przed sądem złożonym z reszty współobywateli. Obrazy, wiążące się w tradycji chińskiej z tym heksagramem, to człowiek siedzący pod uszłym drzewem i wędrowka po bezludnej dolinie

238

— symbole szalejącego spustoszenia ekologicznego, jakie sieje umysł czysto abstrakcyjny w organicznym krwiobiegu przyrody.

Epokę opisuje Arkan Szesnasty tarota, Wieża. Grom razi w Wieżę, a jej mieszkańcy wylatują z okien. (Por. wieża Babel, a także niepowodzenia współczesnych rządów.) Tradycyjne interpretacje karty wypunktowują dumę, uciemnienie i bankructwo.

Karta wiąże się z Wagą, której mentalność zawsze waży i mierzy każdą rzecz na sztucznej wadze (Maja). Typowymi Wagami, przejawiającymi cechy sztandarowe dla *Beamtenherr-schaft* są hrabia de Saint-Simon, sędzia John Marshall, Hans Geiger, Henry Wallace, Dwight Eisenhower, John Kenneth Galbraith, Arthur Schlesinger, Jr., John Dewey i dr Joyce Brothers.

W epokach *Beamtenherrschaft* panuje niezmożona, z góry zaplanowana aktywność, wszystko rozpoczyna się co do sekundy, podlega ścisłemu nadzorowi i skrupulatnej dokumentacji — jednak produkt końcowy jest zawsze wybrakowany bądź wykonany z opóźnieniem. Przerost kompetencji staje się dla klasy rządzącej brzemieniem ponad jej siły; większość członków tej klasy szuka ucieczki w schizofrenii lub świecie uludy. Olbrzymim nakładem kosztów buduje się strzeliste wieże, piramidy, wyrzutnie raket księżycowych i cuda nie-widy, tymczasem podwaliny społecznej solidarności kruszeją do cna. Szerzy się niekompetencja i nie sposób znaleźć osoby odpowiedzialne za cokolwiek, gdyż wszystko spoczywa w gestii komitetów; klient ze skargą wędruje labiryntami makulatury, a obiekt jego starań jest tak nieuchwytny, że z równym powodzeniem mógłby ścigać zjawę. Historycy iluminacy, naturalnie, przedstawiają okresy *Beamtenherrschaft* w świetlanych barwach jako epoki *Zwietracht*; chociaż władza spoczywa w dłoniach osobników typu *homo neophobus*, całość cechuje przynajmniej pewna regularność, porządek i geometryczna precyzja, w których brak miejsca na „niechlujstwo” barbarzyńskich okresów *Verwirrung* czy rewolucyjnych epok *Unord-nung*.

239

Tym niemniej przerost kompetencji obarczający władców zwiększa się stale, gdy tymczasem przerost niekompetencji klas służebnych czyni je niezdadnymi do służby (coraz częściej przechodzą na zasilek, lądują w szpitalach dla „umysłowo” chorych bądź zaciągają się do współczesnych odpowiedników igrzysk gladiatorów), co nieuchronnie prowadzi do upadku Wieży.

GRUMMET

Początek ery *Grummet* znaczy nagle pojawienie się rzeszy magików, szarlatanów, yuppiesów, kabutersów, szamanów, clownów i innych agentów sił erizyjskich. W / *Cingu Grummet* odpowiada

heksagram 59, *Huan*, ☵☳, rozproszenie i rozpuszczenie. Chińczycy interpretują ten obraz jako łagodny wiatr nad głęboką tonią i przypisują mu stan utraty ego, odłączenie od grupy i, najogólniej, „porzucenie ograniczeń”. Linie jin zdominowały wszystko, z wyjątkiem wierzchołka heksagramu; siły popychające w kierunku nowego stadium *Yerwirrung* dążą w górę, ku uwolnieniu. Stadium przez Iluminatów nazwane zostało Paraliżą, gdyż w kategoriach obiektywnych niewiele się w nim wydarza; subiektywnie, naturalnie, zachodzą podświadomie przygotowania do nowego cyklu.

Mistyczną liczbą jest 5, jedność męskiego (3) z żeńskim (2) i ostateczne rozwiązanie konfliktu między *Yerwirrung* a *Zwie-tracht*.

Odpowiadającym w tarocie arkanem jest karta 6, Kochankowie, na której kobieta patrzy w górę na anioła (Eris, biogram), a mężczyzna w dół na kobietę (logogram, jang, osiąga syntezę z biogramem, jin, jedynie przez pojednanie z żeńsko-ścią). Stąd rozkwit ruchów feministycznych w tych epokach, a także renesans atrakcyjności klanów, plemion i komun.

Typowymi Pannami objawiającymi cechy *Grummet* są Charlie Parker, Antonin Artaud, Louis Lingg, Edgar Rice Bor-roughs, Grandma Moses, Lodovico Ariosto, Greta Garbo, Hedy Lamarr, a także Goethe i Tołstoj (obaj objawiali silne cechy

240

jin, mimo to nigdy nie udało im się dojść do pełnego porozumienia z kobietami ich życia. Niemniej Tołstoj, jako klasyczny „nieprzystosowany”, stanowi archetypalną osobowość *Grum-met*, której udało się nieomal do końca zrealizować sufijski program: „zerwać z tym światem, zerwać z następnym światem, zerwać ze zrywaniem!”)

Grummet, naturalnie, obala wszelkie autorytety, w związku z czym biogram zaczyna funkcjonować na równych prawach z logogramem. Misz i Masz ponownie lądują w dynamicznej równowadze i następuje nowy okres *Yerwirrung*, rozpoczynając nowy cykl.

Schemat powyższy powinno się rozpatrywać z pewną dozą sceptycyzmu, gdyż Weishaupt wyśnił go pod wpływem kompozycji środków halucynogennych. Z pewnością nie we wszystkich szczegółach jest zgodny z prawdą, nie ma też żadnych teoretycznych ani empirycznych dowodów na to, że każda z pięciu epok koniecznie musi przejść przez 73 permutacje. Fakt, że typowe *Grummet-Panny* (podobnie jak pozostałe z pięciu typów) przychodzą na świat we wszystkich epokach, co prawda do głosu dochodzą we właściwej im epoce, świadczy o tym, że wielu zagadek nie udało się nam rozwiązać. Krótko mówiąc, trzeźwy naukowiec o iluminackiej teorii historii może powiedzieć najwyżej, że jest co najmniej równie sensowna jak egzotyczne teorie marksizmu-heglizmu, Spenglera, Toyn-bee'ego czy Sorokina.

A.\A.\, którzy wszystkie teorie Iluminatów traktują jako fałszywe projekcje na świat zewnętrzny wewnętrznych procesów duchowych, szczególnie sceptycznie odnoszą się do teorii dziejów, gdyż zawiera kilka fałszywych korelacji / *Cingu*, tarota, zodiaku etc.

Na koniec warto wspomnieć, że ze wszystkich osób, którymi posłużył się Hagbard dla wzmocnienia wibracji skierowanych przeciwko rodzinie Saure'ów w Ingolstadt, tylko Lady Velkor, Danny Pricefixer i George Dorn nie byli Pannami. Hagbard bez wątplenia wierzył w to, że iluminackie sprzężenia magiczne mają moc na terenie działalności Iluminatów — stąd

241

praktycznie wszyscy „jego” ludzie byli Pannami, połączonymi łańcuchem astrologicznych zbieżności typu *Grummet/Huan-59/Arkan 6*. Z drugiej strony, obecność trzech nie-Panien wskazuje na pragmatyzm Hagbarda i jego niechęć do poddawania się dyrektywom nawet tak ścisłej nauki jak astrologia*.

Nawiasem mówiąc, gdy George Dorn w towarzystwie matki udał się do Radio City Music Hall obejrzeć *Pozycję Lotosu*, ostatni film nakręcony przez Amerykańskie Stowarzyszenie Medyczne przed tragiczną śmiercią, natknęli się tam na wysokiego Włocha z bardzo piękną czarną kobietą, którą przedstawił jako swoją żonę. Pani Dorn nie dosłyszała nazwiska mężczyzny, zauważyła jednak, że George traktuje go z nieukrywaniem podziwem. W drodze powrotnej do Nutley postanowiła przetrzeć oczy synowi.

— Mężczyzna, który szanuje siebie i swoją rasę — zaczęła — nie decyduje się na małżeństwo z kolorowymi.

— Stul pysk, mamuśka — odparł uprzejmie George.

— Tak się nie mówi do matki — skarciła go starsza pani, kontynuując radośnie: — Cóż, twój ojciec miał dosyć radykalne poglądy, agitował nawet, by związki przyjmowały *kolorowych*, ale przez myśl by mu nie przyszło żenić się z jedną z ich kobiet, George. Był szanującym się człowiekiem. Słuchasz mnie, George?

— Jak ci się podobało ASM? — zagadnął.
— Cóż za cudowne chłopaki. I jakie schludne. A ta ich słodka siostrzyczka! Przynajmniej oni połapali się, że w długich włosach nigdy mężczyźni nie będzie do twarzy. Wiesz, jak wygląda mężczyzna z długimi włosami?

— Jak dziewczyna, mamuśku. Zgadłem?
— Gorzej, George. Wygląda, jakby nie był prawdziwym mężczyzną, rozumiesz, o czym mówię?

— Nie, nie rozumiem, mamuśku. — George był już solidnie znudzony.
* Zdanie powyższe można traktować jako oznakę, że skądinąd trzeźwi autorzy książki pozwolili sobie na szczyptę kpiny, czy może mistyfikacji.

242

I

— Jakby był troszkę, tego, no, homo... — Zachichotała.
— Rozumiem — przytaknął — jakby obciążał druta facetom. Paru moich najlepszych przyjaciół to ciągnęli, ma-muśku.

Ta prosta, rzeczowa informacja sprawiła, że owa dzielna dama zrobiła się czerwona, a następnie sina, po czym określiła się na siedzeniu i do końca drogi patrzyła przez okno w gniewnym milczeniu. W tym wszystkim najciekawsze jest to, że zanim George nabrał odwagi, żeby zamknąć staremu babku jadaczkę, musiał najpierw spróbować zastrzelić policjanta, potem spróbować zastrzelić siebie, wreszcie napalić się haszu z Hag-bardem, chociaż to ona była Panną, a on Koziorożcem.

PRZYPIS DALET

HASSAN i SABBAH I CZARNY HASZ Z ALAMOUT

Kiedy Prorok zmarł w 4632 A.M.*, prawdziwą wiarą niemal natychmiast targnęły konflikty między szyitami a sunnita-mi. Nastąpiło ponad sto lat wojen religijnych i domowych, po czym w roku 4760 A.M. doszło do rozpadu w łonie samych szyitów, z którego wyłoniła się podsektka niejakich izmailitów. Z niej właśnie Hassan i Sabbah utworzył Zakon Assasynów w roku 5090 A.M.

Religia izmailicka w tym czasie zdążyła już przedzierzgnąć się w dziewięciopiętrowy twór, typowy dla wszystkich tajnych stowarzyszeń. Adepti najniższego stopnia byli na przykład informowani jedynie, że *Al Koran* oprócz jawnych nauk zawiera również warstwę alegoryczną, a także że ich zbawienie zależeć będzie od posłuszeństwa. W miarę jak neofita wspinał się po szczeblach hierarchii, wyjaśniano mu kolejne alegorie, aż wreszcie jego oczom wyłaniała się doktryna, której istota była wspólna wszystkim doktrynom głoszonym przez mistyków

* Przez mahometan uważanym za rok 52, przez żydów i masonów obrządku szkockiego za rok 4392, przez konfucjan za rok 4320, a przez chrześcijan za 632.

243

Wschodu i Zachodu — buddystom, taoistom, wedantystom, różokrzyżowcom itd.

Najistotniejsze aspekty tej doktryny leżą poza słowem (dlatego właśnie adept potrzebuje imama — izmailickiego odpowiednika guru — który prowadzi go przez obszary niewerbalne); jednak stopień dziewiąty i najwyższy nie ma swoich odpowiedników nigdzie z wyjątkiem buddyizmu Theravedy. Na dziewiątym stopniu, który Hassan osiągnął tuż przed założeniem assasynów, naucza się, że nawet osobiste doświadczenie mistyczne adepta (jego osobiste spotkanie z Absolutem, Pustką, Misz-Maszem, Bogiem, Boginią, czy jak to tam zwał) powinno zostać poddane druzgocącej krytyce i analizie, w której najlepszym przewodnikiem jest rozum. Adept izmailizmu, jednym słowem, był to ktoś, kto osiągnął najwyższą świadomość mistyczną, nie zamierzał jednak gloryfikować tego stanu; był totalnym ateistą-anarchistą nie uznającym żadnego autorytetu poza własnym, niepodległym umysłem.

„Tacy ludzie są niebezpieczni” — jak słusznie zauważył Cezar; fakt, że są groźni dla cesarów; izmailici byli obiektem prześladowań świata mahometanskiego; od chwili, gdy Hassan i Sabbah został immamem całego ruchu, nie oszczędzono wysiłków, żeby wytępić ich z kretesem.

Hassan żywił cyniczny pogląd (podzielany przez wiele iluminowanych istot w rodzaju tybetańskich lamów), że większość ludzi nie ma ani ambicji, ani możliwości osiągnięcia prawdziwej niezależności duchowej i intelektualnej. Stosownie do sytuacji zreorganizował zakon izmailitów tak, by ludziom wątego umysłu wolno było pozostać na niskich stopniach wtajemniczenia.

Swoją misję realizował za pomocą słynnego „Ogrodu Rozkoszy” na zamku w Alamout (niezłej repliki Raju z *Al Koranu*, w której nie brakowało niczego, nie wyłączając pięknych i ochoczych hurys przyrzeczonych wiernym przez Proroka) — oraz pewnym „czarodziejskim specyfikiem”. Adeptów najniższego stopnia sprowadzano do Alamout, pojono cudowną miksturą i wpuszczano na parę godzin do Ogrodu Rozkoszy,

244

z którego wychodzili przeświadczeni, że naprawdę odwiedzili niebo, a Hassan i Sabbah jest największym ze świętych mężów na świecie. W dodatku wierzyli głęboko, że pokornie stosując się do wszelkich zaleceń, choćby przyszło im to przyplacić życiem, powrócą po śmierci do owego raju.

Ludzie ci zostawali później pierwszymi „tajnymi agentami” w historii polityki międzynarodowej. W czasach, gdy trzy główne, zwalczające się religie na Bliskim Wschodzie (chrześcijaństwo, judaizm oraz ortodoksyjny islam) twierdziły, że wyparcie się własnej wiary jest grzechem śmiertelnym, Hassan nauczał, że Allah wybacza kłamstwo dla sprawy. I tak jego agenci mogli podawać się za chrześcijan, żydów czy ortodoksyjnych muzułmanów, bez przeszkód infiltrując dwory, zakony i szeregi wojsk. Ponieważ pozostałe wyznania obowiązywał wspomniany zakaz, nie mogli odplacić izmailitom pięknym za nadobne.

Wykorzystywanie agentów w charakterze assasynów omawialiśmy w naszej powieści *passim*; interesujący komentarz stanowić może opinia Weishaupta, że Hassan wynalazł „moralny ekwiwalent wojny”. Hassan nigdy nie musiał posyłać żadnych wojsk do boju, a armie wysyłane przeciwko niemu wkrótce zatrzymywała nagła, nieoczekiwana śmierć ich dowódców.

Jednym z następców Hassana był Sinan, który stolicę kultu przeniósł z Alamout do Messjak, autor (rzekomy) listu o Ryszardzie Lwie Serce, który George rozpamiętuje w Odlocie Trzecim. Jeśli wierzyć świadectwom współczesnych, Sinan dokonywał cudownych uzdrowień, toczył dysputy z niewidzialnymi istotami i nie został nigdy przyłapany na jedzeniu, picciu, oddawaniu moczu ani kału. Przypisywano mu również dar telepatii i moc zabijania zwierząt wzrokiem. To właśnie on (a nie Hassan i Sabbah, jak chce ludowa opowieść) rozkazał dwóm niższym członkom zakonu popełnić samobójstwo, aby zaimponować obcemu ambasadorowi swoją władzą nad wyznawcami. (Obaj posłusznie rzucili się z murów twierdzy w przepaść.) Poza tym Sinan ubiegał się o sojusz z templariuszami, który wyeliminowałby z placu boju zarówno ortodoksyjnych chrze-

245

ścijan, jak i ortodoksyjnych muzułmanów, jednak jego wysiłki ewidentnie spęłżyły na niczym.

Haszyszynizm legł jednak w gruzach, mimo prężnej siatki szpiegowskiej i assasyńskiej, z chwilą gdy Środkowy Wschód najechały hordy Mongołów, którzy przybywali z tak daleka, że nie zdążyli jeszcze ulec infiltracji. Parę wieków minęło, zanim haszyszynom udało się powrócić na arenę międzynarodową jako pokojowej sekcji współczesnych izmailitów, której przywódcą duchowym jest Aga Khan.

Wreszcie, to właśnie na łożu śmierci Hassan i Sabbah wyszeptał swój słynny aforyzm, parokrotnie cytowany w naszej książce: „Nic nie jest prawdziwe. Wszystko jest dozwolone”. Ortodoksyjny historyk muzułmański, Dżuwaini — kto wie, czy nie rzeczywisty autor całego epizodu — dodaje, że ledwie bluzniercze słowa wyszły z jego ust, „dusza Hassana runęła w otchłanie piekieł”.

Od czasów, gdy Marco Polo spisał opowieści o Ogrodzie Rozkoszy, zachodnim komentatorom udało się zidentyfikować „czarodziejski specyfik” Hassana jako czysty haszysz. Jednak najnowsze badania podają te wnioski w wątpliwość, gdyż zarówno haszysz, jak i pozostałe preparaty konopne znane były dobrze na Bliskim Wschodzie na wiele tysięcy lat przed Has-sanem; zielsko znaleziono na przykład w kurhanach grzebalnych późnego neolitu, plus minus z roku 5000 p.n.e., o czym Hagbard wspomina w tej powieści. Mało jest zatem prawdopodobne, żeby pomysły Sabbah usiłował wciskać komuś swój drag jako nieznaną, tajemniczą substancję.

Odzywają się głosy, że Hassan, który, jak wiadomo, w młodości wiele podróżował, mógł sprowadzać opium ze Wschodu i mieszać je z haszyszem. Pedantyczny dr Joel Fort posuwa się dalej, obstając w *Lowcach rozkoszy*, że superdopalacz Hassana składał się wyłącznie z opium i wina i nie zawierał żadnych substancji marihuanopodobnych. Dr John Allegro w książce *Święty grzyb a Krzyż* obstaje, że zarówno Hassan, jak i pierwsi chrześcijanie swoje wizje raju zawdzięczają *amonita muscaria*, zabójczemu dla much grzybowi z rodziny bedłkowatych, któ-

246

rego większe dawki są śmiertelne, mniejsze natomiast dają efekty psychodeliczne (czy przynajmniej deliryczne).

Domniemania autorów niniejszej książki — czarny, super-czysty hasz z Alamout z dodatkiem szczypty belladony i dzię-dzierzawy — oparte są na następujących przesłankach:

- 1) wyraźnych pokrewieństwach etymologicznych nazwy ha-szyszyni ze słowem haszysz;
- 2) nikłym prawdopodobieństwem, by wino, opium, grzyby czy ich dowolna kombinacja mogła odpowiadać za etymologiczne i historyczne związki Hassana z haszyszem;
- 3) wymienionych uprzednio przesłanek, by wątpić czy haszysz może być wyłącznym rozwiązaniem;
- 4) właściwościami belladony i dziędzierzawy (w niewielkich dawkach) do wywoływania

zachwycających omamów wzrokowych w stopniu przewyższającym nawet najlepsze gatunki haszu;

5) dowodach, że te dwa narkotyki stosowane były zarówno w misteriach eleuzyjskich, jak i w europejskich praktykach kultowych współczesnych Hassanowi (patrz R.E.L. Masters, *Eros i zło*).

Ponieważ plątanina faktów z fikcją nie jest celem naszej książki, musimy zauważyć, że powyższe argumenty są mocne, nie są jednak niezbite. W grę mogło wchodzić wiele alternatyw, takich jak haszysz-belladonna-mandragora, haszysz-dziędzierza-wa-opium, haszysz-opium-belladonna, haszysz-opium-bufotoni-na* etc, etc. Jedno jest pewne: Hagbard Celine twierdzi, że przepis powinien wyglądać następująco: haszysz-belladonna-dziędzierzawa (w proporcjach 20:1:1), a my — zazwyczaj — wierzymy Hagbardowi.

Nie wiadomo do końca, jak wyglądały powiązania assasy-nów z europejskimi Iluminatami. Mieliśmy w ręku (niestety, już nie mamy) publikację Towarzystwa Johna Bircha, której autor utrzymywał, że doszło do sojuszu między haszyszynami

* Średniowieczni magicy potrafili uzyskać bufotoninę. Brali ją, zgodnie z relacją Szekspira, z „ropuszej skórki”.

247

a templariuszami, i odtąd masoneria europejska w mniejszym lub większym stopniu pozostawała pod wpływami haszyszy-nów. Bardziej przekonująca jest jednak teoria Daraula (*op. cit.*), zgodnie z którą po przedzierzgnięciu się haszyszynów we współczesną, pokojową postać izmailitów, sekta Roszinaya (Iluminowanych) zaczęła kopiować ich dawne taktyki, które zostały następnie zapożyczone przez hiszpańskich Allumbrados i, wreszcie, przez bawarskich Iluminatów.

Dziewięć stopni wtajemniczenia haszyszynów, trzynaście stopni Iluminatów Weishaupta, trzydzieści dwa stopnie masońskie to naturalnie liczby arbitralne. Buddyści Theravedy używają systemu czterdziestu medytacji, z których każda prowadzi do określonego stopnia rozwoju. Niektóre szkoły hinduizmu uznają tylko dwa etapy: *Dhyana*, czyli walkę z osobistym ego, i *Samadhi*, jedność z Całością. Z równym powodzeniem można dzielić wtajemniczenie na pięć, jak i na sto pięć stadiów. Wszystkie systemy są zbieżne w jednym tylko punkcie: prędzej czy później adept zostaje śmiertelnie postraszony*.

Systemy różnią się między sobą tym, że część z nich zmierza do wyzwolenia każdego z adeptów, część zaś, jak systemy Weishaupta czy też Sabbaha, z premedytacją zachęca większość do trwania w ignorancji, co pozwoli przywódcom duchowym eksploatować ich w nieskończoność. Ta sama gra w iluminowaną mniejszość wykorzystującą zabobonną większość odchodziła w Tybecie, dopóki komuniści chińscy nie obalili władzy wysokich lamów. Życzliwy opis systemu tybetańskiego, daleki od tuszowania jego błędów, można znaleźć w *Tajnych naukach tybetańskiego buddyźmu* Alexandry David-Neel; opis niezyczli-

* System, jakim posługują się prości Indianie meksykańscy — tradycyjny, mimo to w zasadniczych punktach zbieżny z systemami, o których tu mowa — opisuje antropolog Carlos Castaneda, który odbył staż pod okiem szamana Indian Yaqui; koszmarny, jakim był poddawany, barwnie relacjonuje w *Naukach Don Juana, Oddzielnej rzeczywistości, Podróży do Ixtlan*, a także w *Opowieściach mocy*. Don Juan posługiwał się peyotlem, dziędzierzawą (datura) i czarodziejskim grzybem (zapewne *psilocybe Mexicana*, roślinką, na której Tim Leary miał swój pierwszy odlot).

248

wy, pióra bardziej sceptycznego od niej mistyka, znajdziemy w *Wyznaniach Aleistera Crowleya*.

I jeszcze słowo na temat czarnego haszu z Alamout: nie służy niedoświadczonym turystom w krainie psychodelii. Simon Moon, na przykład, spróbował go po raz pierwszy wiosną 1968, po czym udał się do kina „Biograph” (obejrzeć *Żółta łódź podwodną* w odmiennym stanie świadomości). Traf chciał, że musiał skorzystać z toalety. Po wypróżnieniu sięgnął po papier, by z konsternacją skonstatować, że na dyndającym końcu rolki ktoś przybił schludną pieczęć

OGŁOSZENIE LEGALNE ILUMINACI BAWARSCY EWIGIE BLUMENKRAFT!

Na zwykłej gandzi czy haszu podobne iluzje, naturalnie, mają prawo wystąpić — nie są to jednak halucynacje w pełnym tego słowa znaczeniu. Znikają, jeśli im się dość długo przyjrzeć. Chociaż jednak Simon wyteżał oczy do łez, napis w dalszym ciągu głosił

OGŁOSZENIE LEGALNE ILUMINACI BAWARSCY EWIGIE BLUMENKRAFT!

Wrócił na salę wstrząśnięty. Całymi tygodniami głowił się, czy Iluminaci z jakichś występnych powodów zinfiltrowali wy-twórstwo papieru toaletowego, czy też cały epizod był autentyczną halucynacją i dzwonkiem alarmowym, że, jak to ujął, „pieprzone dragi poprzestawiały mi w pieprzonym łbie”. Zagadki nigdy nie rozwiązał, z czasem jednak przestał się tym przejmować.

Jeśli chodzi o Hassana i Sabbah X i jego kult Czarnej Matki, autorom udało się zdobyć na ten temat garść drogocennych informacji. Z tytułu niewątpliwych, acz niejasnych powiązań z assasynami oraz kultem Kali, Matki Zniszczenia, można ich uznać za odłam Iluminatów bądź też aspekt Masz Świętego

249

Chao; za tym, że reprezentują aspekt dyskordiański, czyli Misz, przemawiałyby z kolei fakt, że są bardziej ludźmi interesu niż fanatykami, a Kali może być jednym z wcieleń Eris. Pośród podobnych spekulacji i licznych tajemnic podążają swoją mroczną ścieżką, handlując prochami i głosząc teorie, od których biali mają pełno w gaciach. Możliwe, że szykują się, by wszystkim zagrać na nosie i w stosownej chwili zmyć się zgarnawszy pulę — ale z równym prawdopodobieństwem mogą być jedynymi prawdziwymi rewolucjonistami pośród nas. „Spoko, stary, nie ma rzeczy, której by nie załatwił kopem w dupę” — to jedyne podsumowanie życiowej filozofii, jakiego doczekaliśmy się z ust Hassana i Sabbah X. Wyglądał na kawał byka, więc nie naciskaliśmy dalej.

PRZYPIS CADE

23 SKIDOO

Lingwiści i etymolodzy musieli nieźle nagimnastykować swoje nie-wąskie mózgownice, by wyjaśnić pochodzenie tego wyrażenia. Źródłostów wyrażenia *Skidoo* sięga starszego jeszcze *skedaddle*, a stąd greckiego *skedannumi*, „Rozpierzchać się w pośpiechu”. Naturalnie liczba 23 wywołała jeszcze większy zamęt w czcigodnych szeregach akademików, którym obce są tajne nauki Magów. Jeden z teoretyków, zauważywszy, że Sid-ney Carton w *Baśni o dwóch miastach** Dickensa jako dwudziesty trzeci w scenie końcowej wstępuje na gilotynę, domyślił się, że widzowie, którzy postanowili wydostać się z teatru, zanim tłum podsumuje wszystkie egzekucje, zeskidoowali w kierunku wyjścia numer 23. Inny wybitny uczoney uznał, że wyrażenie to musi mieć coś wspólnego z mężczyznami kręcącymi się wokół starego Flatiron Building na nowojorskiej Dwudzie-

* Literacka koincydencja, którą Simon Moon, ze swoim przechyłem w stronę modernizmu, przegapił.

250

stej Trzeciej — narożniku słynącym z nieustannych przeciągów — żeby podglądać unoszone przez wiatr spódnice dam; kiedy nadchodził policjant, panowie robili *skidoo*. Inni z kolei niejasno przebąkiwali o 23, sygnale pierwszych telegrafistów, który oznaczał (w przybliżeniu) „przerwij transmisję”, „zwolnij linię”, lub, ordynarnie mówiąc, „zamknij się”, nikt jednak nie potrafił wyjaśnić, z jakich powodów telegrafiści wybrali właśnie 23 na symbol tej informacji.

Prawdziwy początek tajemnicy jest ściśle strzeżonym sekretem Prawowitych Starożytnych Mummu, w hierarchii których Simon nie zaszedł dosyć wysoko, by go poznać. Dillinger natomiast dostąpił wtajemniczenia, prawidłowo posługując się tą formułą w scenie napadu na bank w Odlocie Trzecim. Zaczepnął ją z *Księgi kłamstw* autorstwa „Frater Perdurabo” (Aleistera Crowleya), wydanej własnym sumptem w 1915 i powtórnie przez Samuel Weiser Inc., New York, 1970. Tekst zaklęcia stanowi wyłączną treść rozdziału 23 tej niecodziennej książeczki; brzmi on następująco:

KEOAAH Kr^{<23)}

SKIDOO

Któż dobrowolnie zjeżdża do Zajezdni?

Zjeżdżaj, sio!

W szeroki, wrogi świat,

Sio!

Deptać go stopą adepta.

Sio!

Nie pomył wyjazdu z wjazdem do Zajazdu.

Nie tędy DROGA.

Sio!

SIO jak Miłość, Mądrość, Siła.

SIO!

Jeśli masz O, spróbuj 10.

Teraz już tylko S.

I SIO!

251

Pełna wykładnia jest nam niedostępna, możemy jednak zaryzykować stwierdzenie, że O symbolizuje Otchłań Ostateczną; 10 (p. jo-jo) zamianę prostego pchnięcia na ruch obrotowy; S to Siła Wężowa oraz splot seksu i śmierci*.

PRZYPIS WAW

WALUTA KONOPNA I LNIANA

Waluta lniana została wprowadzona w oddziałach Dyskordian przez tajemniczego Malaklipsę Młodszeo, S.Ś.C., w 1968. Następnego roku w obieg weszła waluta konopna, wydana przez dr Mordekaję Malignatę, K.N.S (W powieści od czasu do czasu pozwalamy sobie poigrać z prawdą historyczną; emisję waluty cofnęliśmy w czasie, przypisując konopną walutę PSM-owcom.)

Idea waluty lnianej jest, naturalnie, stara jak świat; prywatne monety bito na długo przed powstaniem rządów i systemów monetarnych. Pierwszym rewolucyjnym (a może reformistycznym) ucieleśnieniem idei były „Banki Miłosierdzia”, zakładane przez dominikanów w późnym średniowieczu w odpowiedzi na panoszącą się lichwę i lichwiarskie oprocentowania. (Patrz: Tawney, *Religia a początki kapitalizmu.*) Dominikanie,

* Przed publikacją pozwoliliśmy Fuzji Chipsowi, podobnie jak pozostałym naszym postaciom, przerzucić niniejszy rękopis, korygując wszelkie błędy merytoryczne, jakie się mogły tam zakraść. A oto, co powiedział na temat poniższego przypisu: „Podejrzewam, chłopaki, że znów usiłujecie mnie zrobić w konia. Moim zdaniem Crowley w 1915 robił sobie zwyczajnie jaja z czytelników, a wy to teraz, panowla, wygrzebujecie i przedstawicie jako magiczną formułę Dillingera, co wam pozwoli opatrzyć ją niniejszym przypisem, rzekomo wyjaśniającym całość”. Sceptycyzm w tym stylu, który czepia się pchły, przeocząc wielbłąda, można porównać z postawą Fundamentalistów Biblijnych, którzy głoszą, że JHWH stworzył wszechświat w sześć dni w roku 4004 p.n.e., stwarzając przy okazji skamieliny i inne fałszywe tropy, sugerujące, że powstał o wiele wcześniej. Z równym powodzeniem można by twierdzić, że kosmos wyłonił się z Nicości przed sekundą, a wraz z nim my i sfalszowane wspomnienia naszego wcześniejszego istnienia w nim.

252

zorientowawszy się, że potępienie lichwy z ambony nie odnosi skutku, utworzyli własne banki, udzielając pożyczek nie oprocentowanych; owa (jak miał ją później nazwać Josiah Warren) „konkurencja etyczna” wyeliminowała banki handlowe na obszarze objętym działalnością dominikanów. Prywatną walutę, pożyczaną na niski procent (a jednak na procent), emitowały banki szkockie, dopóki rząd brytyjski, chroniąc monopol Banku Anglii, nie zahamował tego rodzaju przejawów wolnej inicjatywy. (Patrz: Muellen, *Niezależne bankierstwo.*) Ten sam pomysł zastosowano z powodzeniem w koloniach amerykańskich przed rewolucją i znów do akcji wkroczył rząd brytyjski, co zresztą przez mniej ortodoksyjnych historyków uważane jest za bardziej bezpośrednią przyczynę wybuchu Rewolucji Amerykańskiej niż podatki, wymieniane w większości podręczników szkolnych. (Patrz: Ezra Pound, *Impact* i inne źródła tamże cytowane.)

W dziewiętnastym wieku wielu anarchistów i indywidualistów usiłowało wypuścić nisko oprocentowane lub nie oprocentowane waluty własne. *Wzajemne bankierstwo* autorstwa pułkownika Williama Greene'a i *Cywilizacja prawdziwa* Josiah Warrena to dwie relacje z inicjatyw tego rodzaju spisane przez projektodawców. Lysander Spooner, anarchista, a zarazem sędzia konstytucyjny, zażarcie dowodził, że Kongres nie ma prawa przeciwstawiać się walutom prywatnym. (Patrz: tegoż autora *Nasza finansjera: głupota, pycha i oszustwo.*) Panoramiczny przegląd inicjatyw podejmowanych w tym duchu, zwalczanych zazwyczaj przez państwo kapitalistyczne, znajdujemy w *Na przekór państwu* Jamesa J. Martina i *Pionierach wolności amerykańskiej* Rudolpha Rockera (ironiczny tytuł, zważywszy na to, że owi pionierzy przegrali, co do jednej, najważniejszej bitwy). Lawrence Labadie z Suffern, N.Y., zebrał (ale nie opublikował) opisy 1000 eksperymentów tego rodzaju; jeden z pisarzy współczesnych, Robert Anton Wilson, w 1962 dokopał się do relacji na temat nie oprocentowanej waluty, wydanej prywatnie w Yellow Springs, Ohio, podczas kryzysu lat trzydziestych. (Na ową ostateczność zdecydowała się garstka lokalnych biznes-

253

menów, którzy nie do końca aprobowali własne posunięcie; zarzucono go natychmiast z chwilą, gdy skończył się „ścisk” monetarny i Roosevelt z powrotem zasypał Amerykę lawiną banknotów Rezerwy Federalnej.)

Liberalni historycy tradycyjnie lekceważąco traktują podobne przedsięwzięcia jako partyzanckie „śmieszne pieniądze”. Na dobrą sprawę nie wiadomo, dlaczego pieniądze rządowe miałyby być chociaż odrobinę mniej komiczne. (Np. waluta obowiązująca aktualnie w USA jest warta około 47% swojej „nominalnej” wartości.) Każdy pieniądz jest śmieszny, jeśli się nad tym chwilę zastanowić, ale żadna z walut prywatnych, konkurujących na rynku, nie była nigdy równie komiczna (czy może tragiczna) jak banknoty, noszące aktualnie magiczną pieczęć Wujy Sama — poparte wyłącznie jego zapowiedzią (a raczej groźbą), że choćby się paliło czy waliło, on zaradzi wszystkiemu opodatkowując naszych potomków po n-te pokolenie spłatą opodatkowania. Tak zwany Dług Narodowy to, naturalnie, nic innego jak tylko suma, którą jesteśmy winni bankierom, którzy „pożyczyli” pieniądze Wujowi po tym, jak łaskawie udzielił im kredytu, umożliwiającego udzielenie wspomnianej pożyczki. Pomysł waluty konopnej, a nawet waluty kwasowej czy peyotlowej, nie wydaje się ani w połowie tak błazeński jak powyższy system, który mógł zrodzić się jedynie w głowach Iluminatów (jeśli takowi istnieją). Cały system ma tylko jedną zaletę: bankierzy bogacą się z roku na rok. Poza tym nikt, od kapitalistycznych przemysłowców czy „rekinów” przemysłu po górników, nie ma z niego żadnych korzyści, a wszyscy płacą podatki w ramach spłaty oprocentowania, na czym tuczą się bankierzy. Jeśli Iluminaci nie istnieją, należałoby ich wymyślić — nic nie jest w stanie uzasadnić tego systemu, chyba żeby zawierzyć cynikom, utrzymującym, że ludzka głupota nie zna granic.

Za konopną walutą kryje się bardziej radykalny światopogląd niż za zwyczajną walutą

prywatną. Waluta konopna, taka jak w niniejszej powieści, dewaluje pieniądź, gdyż jest nie tylko walutą nie oprocentowaną, ale wręcz walutą oprocento-

254

waną ujemnie. Pożyczkodawca dosłownie płaci pożyczkobiorcy za to, że przechowa jego pieniądze przez pewien czas. System, autorstwa niemieckiego ekonomisty, Silvia Gesella, opisany został w jego *Naturalnym ładzie gospodarczym* oraz w *Ustawie o opłatach stemplowych* profesora Irvinga Fishera. Prawo Greshama, podobnie jak większość „praw” wykładanych w subsydiowanych przez państwo szkołach publicznych, nie jest do końca prawdziwe (przynajmniej nie w takiej postaci, w jakiej się je zwykle przedstawia). „Zły pieniądź wypiera dobry pieniądź” to zasada, która sprawdza się w społeczeństwach autorytarnych, nie sprawdza się natomiast wśród libertarian. (Gresham miał na tyle dobrze w głowie, żeby zastrzec wyraźnie, że jego uwagi odnoszą się tylko do społeczeństw autorytarnych; „prawo” w jego ujęciu zaczyna się od słów „Jeżeli król dwie monety bije...”, co sugeruje, że „prawo” działa tylko pod warunkiem istnienia państwa.) W libertarian-skim społeczeństwie dobry pieniądź wyprze zły pieniądź. Zasadność tej utopijnej propozycji — którą czytelnik zdrowy na umyśle przyjmie z głębokim sceptycyzmem — została udowodniona na drodze rygorystycznego dowodu logicznego opartego na aksjomatach ekonomii, który przeprowadzili Hugo Bil-grim i Edward Levy w *Źródłach depresji gospodarczych**

*Ekonomiści na podstawie aksjomatów potrafią dowieść, co tylko zechcą, a ich przewidywania są zwykle nietrafne. Tak jest. Na deser zachowaliśmy informację, że odnotowano co najmniej cztery przypadki, które empirycznie obaliły prawo Greshama. Trzy z nich, dotyczące niewielkich, dobrowolnie zawiązanych komun na pograniczu USA ok. lat 1830-1860, opisał Josiah Warren w *Cywilizacji prawdziwej*. Czwarty, którego uczestnikami byli współcześni studenci badani w pracowni psychologicznej college'u, stanowi temat pracy habilitacyjnej Dona Werkheisera, profesora nadzwyczajnego Central State College w Willberforce, Ohio.

255

PRZYPIS ZAIN

WŁASNOŚĆ A PRZYWILEJ

Własność jest złodziejstwem.

P.J. Proudhon

Własność jest wolnością.

P.J. Proudhon

Własność jest niemożliwa.

P.J. Proudhon

W miękich umysłach panoszy się upiór niezmienności.

Ralph Waldo Emerson

Proudhon zestawiał powyższe sprzeczności nie tylko dlatego, że był Francuzem; usiłował również unaocznic, że pod abstrakcyjnym pojęciem „własności” kryją się najrozmaitsze zjawiska, jedne zgubne, inne — dobroczynne. Spróbujmy, zapożyczwszy od semantyków ich narzędzia, przeegzaminować powyższą triadę dołączając dla maksymalnej przejrzystości indeksy.

„Własność jest złodziejstwem” znaczy tyle, że własność, ustanowiona na mocy sztucznych praw oraz feudalnych, kapitalistycznych i innych autorytarnych społeczeństw, opiera się na zbrojnej grabieży. I tak klasycznym modelem posiadania są tytuły ziemskie; pierwotnym środkiem wymiany były tu strzały i miecze.

„Własność jest wolnością” znaczy tyle, że własność w takim stopniu, w jakim będzie uznawana w pozbawionym przymusu (anarchistycznym) społeczeństwie, jest fundamentem społecznej wolności. Im mniej jasne zasady — jak w kolektywizmie — regulują wspólny interes obywateli, tym bardziej jedni drugim będą deptać po palcach; tylko wtedy, gdy reguły gry określają wyraźnie „To jest moje, a to jest twoje”,

256

a gra została dobrowolnie zaakceptowana jako wartościowa przez wszystkich uczestników, można osiągnąć prawdziwą niezależność.

„Własność jest niemożliwa” znaczy tyle, że własność (= własności) wywołuje tak wielkie sprzeczności interesów, że społeczeństwo przeżywa stale nieoficjalną wojnę domową i w efekcie pożera samo siebie (a zarazem własności oraz 3). Reasumując, Proudhon, na swój sposób, przeczuł Regułę Snafu.

Przewidział również, że komunizm przyspieszy tylko i zaostri konflikty, jak również fakt, że anarchia jest jedyną alternatywą chaosu, która ma szansę przeżycia.

Oczywiście nie ma żadnej gwarancji, że własność może zaistnieć tylko w społeczeństwie całkowicie wolnym od przymusu; już teraz spotyka się ją pod różnymi postaciami. Błąd wielu rzekomych wyznawców wolności — a zwłaszcza wyza-wców(!) koronowanego osła Ayn Randa — polega na założeniu, że wszelka własność jest własnością[^]. Różnica, dostrzegalna dla każdego posiadacza IQ powyżej 70, jest absurdalnie prosta. Ilekroć zmuszeni jesteśmy respektować czyjeś prawo własności, wystarczy spytać tylko: „Czy byłoby ono respektowane w wolnym społeczeństwie

racjonalistów, czy też warunkiem jego przestrzegania jest istnienie rządowych sił zbrojnych?" Jeśli to pierwsze — mamy do czynienia z własnością, która jest wyrazem wolności; jeśli drugie, mamy do czynienia z własnością, która jest wyrazem złodziejstwa.

PRZYPIS CHET

ABDYKACJA HAGBARDA

Czytelnicy, którzy nie zrozumieli sceny abdykacji Hagbarda na rzecz panny Portinari, nie powinni tracić ducha.

Kiedy ją rozumieją, przenikną za jednym zamachem większość sekretów każdej ze szkół mistycznych.

257

PRZYPIS LAMED

TAKTYKI MAGU

Umysł ludzki wyraźnie działa na którejs z odmian słynnej zasady zawartej w *Polowaniu na Snarka*: „Słowo wypowiedziane po trzykroć, prawdą się staje”.

Norbert Weiner, *Cybernetyka*

Najważniejsza idea *Księgi Świętej Magii Maga Abra-Melina* sprowadza się do prostego zalecenia: „Inwokować ile wlezie”.

Podobnie najskuteczniejszą metodę leczenia tak zwanych chorób umysłowych, terapię behawioralną Pawłowa, Skinne-ra, Wolpe'a i innych można podsumować w trzech słowach: „Wzmocnić ile wlezie”. („Wzmocnienie” to to samo, co w języku laików „nagroda”. Istotą terapii behawioralnej jest nagradzanie pożądanых zachowań; „jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki” zachowanie nagradzane zaczyna występować coraz częściej.)

Reklama, jak wszyscy wiedzą, bazuje na aksjomacie „Powtarzać ile wlezie”.

Osobników, którzy się mają za „materialistów” i uważają, że „materializm” wymaga od nich zaprzeczania wszelkim faktom nie pasującym do ich definicji „materii”, skreśla na widok dobrze udokumentowanej, długiej listy osób uleczonych z ciężkich chorób dzięki najpospolitszej i najbardziej absurdalnej postaci magii pod tytułem Kościoł Scjentologów. Mimo to, czytelnik, który pragnie zrozumieć wiekopomny klasyk literatury, jakim jest niniejsza książka, będzie musiał analizować jej najgłębszy przekaz w świetle faktu, że nie ma zasadniczej różnicy między magią, terapiami behawioralnymi, reklamą a Kościołem Scjentologów. I tu, i tam metoda sprowadza się do „Inwokuj ile wlezie” Abra-Melina.

Rzeczywistość, jak zwykł mawiać Simon Moon, jest termoplastyczna, a nie termoodporna. Nie jest aż takim durnym kitem, jak twierdził swego czasu Mr Paul Krasner, jednak przypomina kit o wiele bardziej, niż się to powszechnie uważa. Jeśli

258

będą ci sącyć do ucha „królewski smak budweisera”, po jakimś czasie budweiser zacznie ci smakować bardziej — może nawet o wiele bardziej — niż zanim padło magiczne zaklęcie. Jeżeli terapeuta behawioralny na usługach komunistów będzie nagradzał cię za każdym razem, gdy wygłosisz komunistyczny slogan, będziesz powtarzał go coraz częściej, niespostrzeżenie oscylując w kierunku wiary równej wierze, jaką scjentolodzy pokładają w swoich mantrach. A jeśli scjentolog dzień po dniu będzie sobie wmawiał, że jego wrzód się cofa, za sprawą chałupniczej kampanii reklamowej wrzód zacznie znikać w przyspieszonym tempie. Wreszcie, jeżeli mag dostatecznie często inwokuje Wielkiego Boga Pana, to, że Wielki Bóg Pan pojawi się wreszcie, jest równie prawdopodobne jak wystąpienie (czy wymuszenie) zachowań heteroseksualnych u homoseksualisty poddanego terapii behawioralnej.

Przeciwnieństwem i dopełnieniem „Inwokować ile wlezie” jest „Egzorcyzmować ile wlezie”.

Mag, który pożąda objawienia się Pana, nie tylko inwokuje Pana werbalnie i wprost, stwarza panopodobne warunki w swojej świątyni, każdym gestem czy każdym elementem wystroju wnętrza wzmacnia asocjacje z Panem, używa przypisanych Panu barw i woni etc; oprócz tego egzorcyzmuje resztę bogów słownie, a także usuwa poświęcone im elementy wystroju wnętrza, zapachy i kolory; przepędza ich na wszelkie możliwe sposoby. Terapeuta behawioralny nie tylko nazwie to „wzmocnieniem negatywnym” i w leczeniu pacjenta, który boi się jazdy windą, nie tylko będzie wzmacniał (nagradzał) pacjenta za każdym razem, gdy ten przejedzie windą bez strachu, ale również wzmacniał negatywnie (karał) wszelkie oznaki strachu z jego strony. Scjentolodzy, naturalnie, posłużą się tu mantrą bądź zaklęciem, które z jednej strony wzmacnia zdrowie, z drugiej zaś wzmocni negatywnie (zegzorczykuje) chorobę*. Podobnie

* Podstawowa mantra scjentologów, opatrzona szumnym tytułem „Naukowej Definicji Istnienia” brzmi: „Materia nie posiada życia, prawdy, inteligencji ani substancji. Wszystko jest nieskończonym umysłem oraz jego nieograniczonym

259

reklama nie tylko zachęca słuchacza do produktu sponsora, ale również zniechęca do „cudzych bogów”, przedstawiciele zakazanej kategorii godnych pogardy Produktów X.

Hipnoza, polemika i całe mnóstwo innych zabaw opiera się na tym samym mechanizmie: *Inwokować ile wlezie oraz Eg-zorczyzmować ile wlezie.*

Czytelnik zainteresowany zgłębieniem naszej argumentacji może spróbować tych mechanizmów na własnej skórze. Jeśli obawia się, że żyjąc w chrześcijańskim świecie mógłby traktować zbyt poważnie mantry Chrześcijańskich Scjentystów, niech spróbuje innego, prostego doświadczenia. Przez czterdzieści dni i nocy każdy dzień niech zacznie od inwokacji i pochwały świata jako manifestacji bóstw egipskich. O świecie niech recytuje:

Błogosławie Ra, płomienny słońca blask Błogosławie Izis-Lunę pośród nocnych gwiazd Błogosławie powietrze, Horusa z ptasim dziobem Błogosławie ziemię, po której chodzę.

To samo niech powtarza o wschodzie księżyca. Niech postępuje tak przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Powiemy tylko tyle, że w najgorszym wypadku będzie się czuł lepiej i swobodniej w swoim zakątku galaktyki (przy okazji pojmie lepiej stosunek Wujka Johna Pióro do naszej planety); w najlepszym — zostanie nagrodzony ponad najśmielsze oczekiwania i będzie stosował mantrę do końca życia. (W najbardziej

przejawem, gdyż Bóg jest we wszystkim. Duch jest nieśmiertelną prawdą; materia — śmiertelną omyłką. Duch jest realny i wieczny; materia — nierealna i przemijająca. Duch jest Bogiem, a człowiek powstał na obraz i podobieństwo Jego. Tak więc człowiek nie jest stworzeniem materialnym, lecz duchowym". Fakt, że powyższe definicje z naukowego punktu widzenia są „bezsensowne”, „nieoperacyjne” i „bezpodstawne”, nie ma najmniejszego znaczenia, ponieważ i tak *działają*. Spróbujcie, a przekonacie się sami. Jak pisał daleki od sympatyzowania z panią Eddy Aleister Crowley, „Dość już tych wszystkich Ponieważ! Raz na zawsze niech je trafi szlag!”

260

interesujących przypadkach może dojść do tego, że zacznie po prostu wierzyć w egipskich bogów.)

Wybór technik magicznych, które nie obrażają racjonalnego umysłu, można znaleźć u Laury Archery Huxley w *Nie jesteś celem* (tytuł sam w sobie jest skuteczną mantrą!), w *Terapii Gestalt* Perlsa, Heferline'a i Goodmana, a także w *Grach umysłu* Mastersa i Houstona.

Wszystko to jest, naturalnie, programowaniem własnego tri-pu poprzez manipulowanie właściwymi kombinacjami słów, dźwięków, obrazów oraz energii emocjonalnej (*pradźni*). Jednak dziedziną magii, która prawdziwie zdumiewa, porusza i szokuje współczesną mentalność, jest oddziaływanie na odległość, kiedy to operator programuje cudzy trip. Dla reprezentantów takiej mentalności stwierdzenie, że Nkrumah Fubar może sprowadzić ból głowy na prezydenta Stanów Zjednoczonych, jest czymś niewiarygodnym i obrażającym rozum. W ostateczności skłonni są zgodzić się na to, że podobna manipulacja energetyczna byłaby możliwa, gdyby prezydent wiedział o tym, że pan Fubar rzucił na niego urok, zabieg nie może jednak odnieść skutku, jeżeli jego obiekt nic o nim nie wie.

Do sceptyków tego pokroju z pewnością nie przemówi teoria magiczna, że $5=6$, tymczasem magom nie udało się dotąd wypracować doskonalszej teorii. Wszelkie przypadki, gdy magia, operując na powyższych przesłankach, zadziałała, materialista przypisze iluzjom, omamom, halucynacjom, „koincydencjom”*, nieporozumieniom, „szczęśliwemu trafowi”, wypadkom czy zwykłemu oszustwu.

Zupełnie nieświadomie opowie się przy okazji, wbrew własnym przekonaniom, za termoplastycznością rzeczywistości, gdyż jego słowa są równoznaczne z przyznaniem, że wielu ludzi żyje w innej rzeczywistości niż ta, w której sam przebywa. Żeby nie musiał borykać się sam z powyższymi sprzecznościami, odsyłam go do *Odkryć parapsychicznych za Żelazną Kur-*

* W wolnej chwili sprawdźcie, jaka jest etymologia tego słowa i czy aby ono cokolwiek znaczy.

261

tyną Ostrandera i Schroedera — zwłaszcza rozdziału 11: „Od zwierząt do cybernetyki: W poszukiwaniu teorii Psi”. Dowie się tam, że przy dokładnym zrozumieniu słowa „materia” dla materialisty nie ma nic, co by było nie do przyjęcia w stosowaniu magii *na odległość*, co zresztą starannie przemyśleli marksistowscy naukowcy spod znaku ortodoksyjnego materializmu dialektycznego.

Ci, którzy przechowali starożytne tradycje magii — na przykład Ordo Templi Orientalis — orientują się, że sekret tkwi w seksie (co zresztą usiłuje wyjaśnić w Odlocie Szóstym Saul) oraz, że więcej światła rzucają na zagadnienie pisma Wilhelma Reicha, M.D., niż współczesne badania sowieckie. Ale doktor Reich został zapudłowany jako szarlatan przez rząd USA, a trudno żądać od naszych czytelników, by uwzględniali ewentualność, że rząd USA mógł kiedykolwiek w czymkolwiek się pomylić.

Każdy psychoanalityk bez trudu rozszyfruje najbardziej oczywiste znaczenie symboliczne Róży i Krzyża, natomiast żaden z psychologów zaangażowanych w badania psioniczne nigdy nie posługuje

się tym kluczem rozszyfrowując tradycyjne teksty magiczne. Najwcześniejsze wzmianki o masonach w języku angielskim znajdujemy w „Trenach dla muz” Andersona w 1638:

Albowiem my, brać Różokrzyża, Mamy słowo masońskie i jasnowidzenie.

Mimo to żaden z parapsychologów jak dotąd nie poszedł tropem oczywistych aluzji zawartych w zestawieniu waginalnej róży, fallicznego krzyża, słowa inwokacji i zjawiska przekazu myśli. Częściowo ślepotę tę wyjaśnia fakt, że w naszej kulturze seks w dalszym ciągu jest tabu; za resztę odpowiedzialny jest lęk przed uchYLENIEM WRÓT najbardziej zdradliwych, nieuchwytnych odmian paranoi. (*Jeżeli magia działa na odległość, nikt z nas nie jest bezpieczny*, pojawia się tłumiona myśl.) Dokładne, obiektywne studia nad amerykańską histerią skierowaną

262

przeciwko LSD rzuca dalsze światło na omawiane powyżej mechanizmy uników.

Naturalnie, głębsze studia nad magią dla racjonalisty niosą w sobie dalsze afronty i obelgi. Wszyscy wiemy, na przykład, że słowa są tylko arbitralną konwencją, pozbawioną rzeczywistych związków ze zjawiskami, które symbolizują, a jednak magia posługuje się słowami w sposób sugerujący, że tego rodzaju związek, a nawet tożsamość, istnieje. Czytelnik, zanalizowawszy pewne, obdarzone szczególną mocą, zbitki językowe, które powszechnie nie uchodzą za magiczne, wkrótce odnajdzie cechy wspólne. I tak, na przykład, wzór 2+3, obecny w „Chwała Eris”/„Chwalmy wszyscy Niezgodę”, jest w pewnym sensie tym samym, czym 2+3 w „Chwała Maryi, Świętej Bożej Rodzicielce” czy w „L.S./M.F.T.”, które swego czasu opchnęło niejedną karton papierosów naszym rodzicom; podobnie spokrewnione z nimi jest 2+3 w crowleyowskim „Io Pan! Io Pan Pan!” Kiedy więc mag wmawia ci, że podczas emocjonalnej kulminacji inwokacji nie wolno wykrzyknąć ci nic innego, jak tylko „Abra-kadabra”, przesadza; jednak zaprzepaścisz swoje wysiłki odchodząc zbyt daleko od pięcioletniego rytmu tego słowa*.

To jednak sprowadza nas z powrotem do magicznej teorii rzeczywistości.

Mahatma Guru Sri Paramahansa Siwa-dži** pisze w *Jodze dla prostaczków*:

Weźmy taki na przykład kawał sera. Można by sądzić, że ma on pewne właściwości, kształt, strukturę, kolor, twardość, wagę, smak, zapach, konsystencję i tak dalej; jednak bliższy wgląd wykazuje, że mniemanie jest złudne. Gdzie też znajdują się te właściwości? Nie w serze, gdyż różni obserwatorzy odmiennie je relacjonują. Nie w nas samych, jako że nie postrzegamy ich pod nieobecność sera...

* Rzut oka na koniec Przypisu Bet oszczędzi czytelnikowi niejasności w kwestii ogólnej wymowy powyższych uwag.

** Kolejny raz Aleister Crowley pod kolejnym pseudonimem.

263

Cóż więc są to za właściwości, których nie jesteśmy pewni? Nie mogłyby istnieć bez naszych mózgów; nie mogłyby istnieć bez sera. Istnieją dzięki związkowi, czyli jodze, widzącego z widzianym, podmiotu z przedmiotem...

Nie ma tutaj niczego, pod czym nie mogłaby się podpisać współczesna fizyka; tymczasem nie jest to nic innego jak tylko magiczna teoria wszechświata. Magik zakłada, że rzeczywistość zmysłowa — monitorowana przez zmysły i mikrowana przez mózg panorama wrażeń — różni się radykalnie od tak zwanej rzeczywistości obiektywnej*. Na temat tej ostatniej „rzeczywistości” możemy tylko spekulować bądź konstruować teorie, które tylko przy sporej dozie zręczności i uwagi nie będą klócić się z logiką ani z doniesieniami zmysłów. Podobny brak sprzeczności jest rzeczą rzadką; pewne konflikty między teorią a logiką czy między teorią a danymi zmysłowymi przez całe wielki uchowały się przed naszym okiem (na przykład odchylenia Merkurego od newtonowskich obliczeń jego orbity). Brak sprzeczności jest zresztą wyłącznie dowodem na to, że teoria nie jest z gruntu fałszywa. W żadnym wypadku natomiast nie jest dowodem na to, że jest z gruntu prawdziwa — gdyż w każdej chwili, na bazie dostępnych faktów, można skonstruować dowolną ilość równoprawnych teorii. I tak na przykład każda geometria: euklidesowa, gaussowska, reimannowska, geometria Ło-baczewskiego i Fullera sprawdza się nieźle na powierzchni Ziemi, choć nie wiadomo jeszcze, czy w przestrzeni kosmicznej bardziej przydatny okaże się system Gaussa-Reimanna czy Fullera.

Skoro wolno nam tak swobodnie przebierać w teoriach na temat „rzeczywistości obiektywnej”, tym bardziej możemy dowolnie interpretować zastaną, czyli transakcyjną, rzeczywistość

* Patrz: *Percepcja*, antologia pod redakcją Roberta Blake'a, Ph.D., zwłaszcza rozdział autorstwa psychologa Carla Rogersa o tym, jak bardzo zmienia się percepcja osób poddanych psychoterapii. Jak zauważył William Blake, „Głupiec inne niż mędrzec widzi drzewo”.

264

zmysłową. Przeciętny człowiek odbiera wrażenia zmysłowe tak, jak go nauczono — jest, innymi słowy, zaprogramowany przez swoje społeczeństwo. Mag jest auto-programistą. Za pomocą inwokacji i ewokacji — pełniących takie same funkcje jak au-to-warunkowanie, autosugestia i hipnoza, czego dowiedliśmy powyżej — on, czy też ona, na podobieństwo artysty komponuje

rzeczywistość zmysłową z dowolnie wybranych elementów*.

Książka niniejsza, uczestnicząc w jedynej poważnej z wymienionych w niej konspiracji — a więc w operacji Obciążanie Mózgów — zaprogramowała czytelnika tak, że ten nie skapuje nic przez wiele miesięcy (a może i lat). A kiedy się wreszcie połapie, dotrze do niego pełen sens niniejszego przypisu (oraz równania $5=6$). Władze Uniwersytetu Harvarda sądziły, że dr Timothy Leary żartuje, kiedy ostrzegał, by nie wydawać studentom bez ograniczeń niebezpiecznych, uzależniających książek z bibliotek, o ile nie udowodnią, że książka rzeczywiście jest im niezbędna. (W tej chwili, na przykład, nie potrafilibyście już powiedzieć, jak potoczyły się losy tajemniczych psów Malika.) Ciekawe, że choćby człowiek trąbił o pewnych rzeczach wniebogłose i tak część ludzi zrozumie go na opak.

Rytuał Sziwy, w którym uczestniczył Joe Malik podczas Czarnej Mszy SSS, zawiera widzialną gołym okiem esencję tajników wszelkiej magii, mimo to większość ludzi może czytać ten fragment tuzin, a nawet i sto razy i nigdy nie załapie, w czym rzecz. Panna Portinari, na przykład, pod każdym względem była przeciętnym, katolickim dziewczęciem — wyjąwszy fakt, że traktowała katolicyzm z niecodzienną powagą — dopóki nie zaczęła miesiączkować i uprawiać codziennej medytacji duchowej**. Pewnego ranka, podczas medytacji, z niespotykaną wyrazistością objawiła jej się wizja Najświętszego

* Naturalnie wszyscy tak robią nieświadomie; patrz ustęp na temat sera. Jednak mag, działając świadomie, kontroluje proces.

** Oba progi w rozwoju często występują jednocześnie zwiastując sterowane przez DNA uaktywnienie czwartego obwodu neurolingwistycznego.

265

Serca Jezusowego; zaraz potem, z równą wyrazistością, pojawił się inny obraz, wstrząsając nią do głębi. W najbliższą sobotę opowiedziała o wszystkim spowiednikowi, który ostrzegł ją z wielką powagą, że medytacja dla młodej dziewczyny nie jest zdrowa, o ile nie zamierza składać ślubów zakonnych i wstąpić do klasztoru. Nie żywiła bynajmniej podobnych zamiarów, jednak buntowniczo (i nie bez poczucia winy) kontynuowała swoje medytacje. Ilekroć kontemplowała Najświętsze Serce Jezusa, jawił się jej drugi, niepokojący obraz; zaczęła podejrzewać, że zsyłał go diabeł, chcąc rozbić jej uwagę.

Któregoś weekendu, kiedy przyjechała do domu, rodzice zdecydowali, że dorosła do wieku, by zostać przedstawioną rzymskiej socjecie. (W owym czasie, jak większość zamożnych włoskich rodzin, zdecydowali już, którą córkę przeznaczą do stanu duchownego — wybór nie padł na nią. Stąd tak wczesna inicjacja w *la dolce vita*.) Do głównych ozdób towarzystwa należał wtedy w Rzymie „ekscentryczny kosmopolityczny biznesmen”, pan Hagbard Celine; nie brakowało go na przyjęciu, na które zawieziono tamtego wieczoru pannę Portinari.

Zbliżała się jedenasta i musiała mieć w głowie nieco za wiele *piper heidseck*, kiedy ocknęła się na obrzeżach niewielkiej grupki wsłuchanej w zachwycie w jakąś dykteryjkę tego dziwnego Celine'a. Panna Portinari zachodziła w głowę, co też ten niecodzienny typ może opowiadać — mówiono o nim, że pośród międzynarodowej bandy groszrobów wybijał się na czoło swoim cynizmem i interesownością, a panna Portinari w owym czasie reprezentowała typ konserwatywnej katolickiej idealistki, w której kapitalista budził większy wstręt od socjalisty nawet. Bezmyślnie zaczęła przysłuchiwać się jego słowom; mówił po angielsku, a ona wystarczająco rozumiała ten język.

— Synu, synu — deklamował Hagbard — dwie piękne kobiety lecą na ciebie, a ty samotnie siedzisz w pokoju trzepiąc kapucyna?

Panna Portinari pokraśniała z wściekłości; żeby pokryć wzburzenie, łyknęła jeszcze trochę szampana. Już teraz niena-

266

widziła tego typu, wiedząc, że przy najbliższej okazji odda mu swoje dziewictwo; niezgłębione są meandry dusz intelektualnych podlotków katolickich.

— Na co chłopiec odparł — ciągnął Hagbard — „Sama sobie odpowiedz na to pytanie, mamusiu”.

Zapadła pełna osłupienia cisza.

— Przypadek z gruntu typowy — dorzucił Hagbard beznamiętnie, wyraźnie uznawszy anegdotę za spointowaną. — Profesor Freud donosi o jeszcze bardziej zdumiewających dramatach rodzinnych.

— Nie rozumiem... — zaczął słynny francuski rajdowiec marszcząc czoło. Nagle rozpogodził się. — Chłopak był Amerykaninem, prawda?

Panna Portinari odłączyła się od grupy z nienaturalnym pośpiechem (czuła ich wzrok na plecach) i czym prędzej napełniła swój kieliszek.

W pół godziny później stała na werandzie, usiłując wytrzeźwieć na nocnym powietrzu, kiedy jakiś cień przemknął obok i w oparach dymu pojawił się Hagbard Celine.

— Księżyc ma dziś opuchłą gębę — odezwał się po włosku. — Wygląda, jakby oberwał od wszystkich po kolei.

— Czy na domiar wszystkiego jest pan jeszcze poetą? — spytała chłodno. — Pachnie mi to poezją amerykańską.

Roześmiał się, a raczej zarżał gromko jak ogier.

— Zgadza się — potwierdził. — Właśnie wracam z Ra-pallo, gdzie konwersowałem z największym poetą amerykańskim naszego wieku. Ile ma pani lat? — spytał zniechęca.

— Niedługo skończę szesnaście — wybąkała.

— Piętnaście — poprawił ją niezbyt elegancko.

— To chyba L/ie pańska sprawa...

— Kto wie — odparł pogodnie. — Potrzebuję dziewczyny w pani wieku do pewnych celów.

— Wyobrażam sobie, co to za cele. Zbliżył się do niej wyłaniając z cienia.

— Czy jesteś religijna, moje dziecko? — zagadnął.

— Z pewnością się to panu wyda staroświeckie — odpar-

267

ła, wyobrażając sobie jego wargi na swojej piersi; myślała o Maryi karmiącej Dzieciątka na obrazach.

— Historia znalazła się w punkcie, w którym to jedno nie jest staroświeckie. Kiedy się pani urodziła? Nieważne — musi pani być Panną.

— Jestem Panną — przyznała. (Zębami wgrzyzłby się w jej sutkę, w sam raz, nie za mocno. Już on by wiedział, jak to robić.) — To są jednak przesady, 'a nie religia.

— Byłbym szczęśliwy mogąc wytyczyć precyzyjną linię między religią, przesadą a nauką. — Uśmiechnął się. — Moim zdaniem nie ma między nimi granic. Naturalnie jest pani katoliczką? — Jego natarczywość drażniła ją.

— Jestem zbyt dumna, by dawać wiarę bredniom, dlatego nie zostałam protestantką — odparła i zaraz przeraziła się, że zostanie przyłapaną na plagiacie.

— Który z symboli ma dla pani największe znaczenie? — spytał beznamytnie jak oskarżyciel, który zastawia pułapkę.

— Krzyż — odparła pośpiesznie. Nie chciała, żeby poznał prawdę.

— Nie — znów poprawił ją nieuprzejmie. — Serce Jezusowe.

Teraz wiedziała już, że brał udział w zмовie Szatana.

— Muszę iść — powiedziała.

— Nie przestawaj medytować nad Sercem Jezusowym — powiedział, a jego oczy zaślniły hipnotycznym blaskiem (*chwyt w kiepskim stylu*, skomentował w duchu, *niemniej skuteczny*). — Medytuj głęboko, moje dziecko. W symbolu tym odkryjesz istotę katolicyzmu i esencję wszelkich religii.

— Pan chyba oszalał — odparła i powoli, z godnością opuściła werandę.

Ale w dwa tygodnie później, podczas porannej medytacji, nagle pojęła istotę Serca Jezusowego. Ulotniła się podczas dużej pauzy — zostawiając dwa liściki, jeden dla matki przełożonej szkoły zakonnej, drugi dla rodziców — a sama udała się na poszukiwanie Hagbarda. Jej potencjał okazał się jeszcze większy, niż Hagbard przeczuwał, zatem (o czym mowa w in-

268

nym miejscu tej książki) po dwóch latach abdykował na jej rzecz. Nigdy nie zostali kochankami*.

Waga symboli — obrazów — jako środków komunikacji między światem a pierwotną energią dowodzi jedności między magią a jogą. Zarówno magia jak joga — powiedzmy to jeszcze raz — są metodami autoprogramowania, posługującymi się synchronistycznie powiązаныmi łańcuchami słów, obrazów i bioenergii.

Tak więc racjonalistom, którzy jak jeden mąż są purytanami, nigdy nie przyszło do głowy, że tylko w purytańskich społeczeństwach nie dowierza się magii. Powód jest bardzo prosty: purytanie nie są zdolni załapać, o co w magii idzie. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że ci, którzy nie doświadczyli prawdziwej miłości, miłości w klasycznym rozumieniu albigensów i trubadurów, nie są potencjalnie zdolni pojąć nawet najprzystępniejszych wykładni tajników magii**.

Oko w trójkącie, na przykład, bynajmniej nie jest symbolem przynależnym oryginalnie Trójcy Świętej, jak sądzą naiwni — najwyżej w tym sensie, w jakim Trójca stanowi wizualne (oraz werbalne) rozwinięcie motywów o wiele bardziej antycznych. Podobnie nie przedstawia wcale Oka Ozyrysa ani nawet Oka Horusa, jak odważnie sugerują niektórzy; jest obiektem kultu między innymi sekty Cao Dai w Wietnamie, która nigdy nie słyszała o żadnym z tych bogów. Znaczenie oka może odkryć bez

trudu medytując nad XV arkanem tarota, Diabłem, odpowiadającym w Drzewie Kabalistycznym hebrajskiej literze *ain*, oko. Czytelnik, który zorientował się, że „Diabeł” jest tylko świeższej daty wizerunkiem Wielkiego Boga Pana, przeniknął zagadkę oka; trójkąt należy rozumieć tradycyjnie. Jedno w połączeniu z drugim stanowi unię *Kpd*, ojca, z *Hei*, matką, jak w *Jod-Hei-Waw-Hei*, świętym, niewymawialnym imieniu Boga. Efektem tej unii jest *Waw*, Duch Święty, a końcowe *Hei* to

* Zostali natomiast dobrymi przyjaciółmi; lubił ją czasem dmuchnąć. ** W naszej książce zamieszczamy parę takich wykładni, mimo to sporo czytelników sądzi nadal, że coś przed nimi ukrywamy.

269

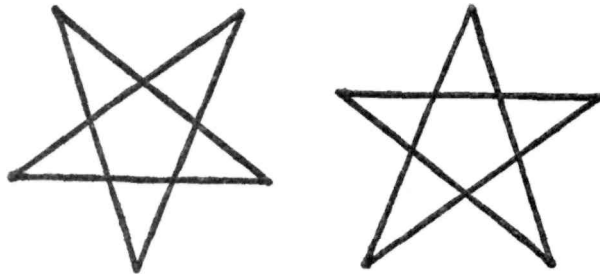
boska ekstaza, która towarzyszy zjednoczeniu. Zaryzykowałbym nawet, że kontemplując powyższy klucz do tożsamości Pana, Diabła, Wielkiego Ojca i Wielkiej Matki można osiągnąć również nowe, pełniejsze zrozumienie Trójcy Przenajświętszej, a zwłaszcza jej najbardziej tajemniczego uczestnika, *Waw*, nieuchwytnego Ducha Świętego*.

Pentagram może przybierać dwie postaci, zawsze jednak reprezentuje najpełniejszy wymiar ludzkiej psyche — zwłaszcza ludzkiej psyche mężczyzny. Pentagram z wzniesionym jednym rogiem utożsamiany jest, naturalnym biegiem rzeczy, ze ścieżką prawej ręki; dwurogi pentagram — ze ścieżką leworęczną. (Zgodnie z tym templariusze głowę Behemeta, koźło-głowego bóstwa, które było ich odpowiednikiem Pana bądź Diabła, wpisywali w leworęczny heksagram tak, że każdy

* Ów byt ma więcej wspólnego z pospolitym nocnym gościem, zwanym niekiedy przez nas „duchem”, niżby mogli na oko przypuścić niewtajemniczeni. Por. liczne udokumentowane przypadki zjawisk typu „poltergeist” w obecności pokwitającej młodzieży.

** Skojarzenie to, przypisujące ścieżce leworęcznej diabolizm, jest wynikiem przesądów, uprzedzeń i nadmiernych uproszczeń. Ogólnie rzecz biorąc można powiedzieć, że pentagram leworęczny jest przydatny zarówno w inwokacjach, jak

270



Leworęczny
Pentagram

(dwa rogi zwrócone w górę)

Praworęczny
Pentagram

(jeden róg w górę)

z „rogów” zawierał jeden z rogów Behemeta.) Zwracamy uwagę, że tradycyjnie uważany za złoczynny**, leworęczny pen-

tagram zawiera wewnętrzny pentagon o jednym rogu skierowanym do góry, podczas gdy pentagram praworęczny zawiera wewnętrzny pentagon o jednym rogu skierowanym w dół; zgrabna ilustracja Reguły Przeciwiństw*. Pentagon w Świętym Chao jest odchylony od pionu tak, że nie istnieje w nim żaden punkt wycelowany precyzyjnie w górę ani w dół — można o nim najwyżej powiedzieć, że ma 1,5 rogów skierowanych w górę i 1,5 rogów skierowanych w dół** — co stanowi ilustrację Jedności Przeciwiństw.

Jedyne, co można bez uprzedzeń wytknąć leworęcznemu pentagramowi to to, że ta postać sakramentu zawsze jest w jakimś sensie szkodliwa dla Ducha Świętego. Pamiętajmy przy tym, że metoda praworęcznego pentagramu w większości przypadków jest również destruktywna, zwłaszcza dla tego typu adeptów, których Joyce tak starannie miesza z błotem w rozdziale 14 *Ulisses* — a ci w dzisiejszych czasach bez wątpienia należą do większości. W obliczu kryzysu ekologicznego kto wie, czy nie byłoby słusznym, gwoli zrównoważenia Świętych Liczb, zachęcanie do metody leworęcznej i zniechęcanie do praworęcznej.

Tylko nieliczni czytelnicy Złotej Gałęzi przebijają się przez zasłonę eufemizmów sir prof. dr. Frazera i odgadują rzeczywistą metodę, jaką zastosowała Isis dla przywrócenia życia Ozyrysowi — a przecież freski egipskie demonstrują ją jasno jak na dłoni. Ci, którzy zaznajomili się z tą prostą techniką wskrzeszania zmarłych (co najmniej częściowo skuteczną we wszystkich przypadkach, a całkowicie skuteczną w większości) nie

i w ewokacjach, natomiast pentagram praworęczny nadaje się wyłącznie do ewokacji — jest to jedyna istotna różnica między nimi. (Zakładamy, że czytelnik traktuje pentagram jako symbol wyłącznie męski.) ■>

* Por. arkan II i III tarota — Mag z jednym ramieniem wzniesionym do góry, a drugim opuszczonym w dół i Papieżycza usadowiona pomiędzy filarami Dnia i Nocy. (Papieżycy odpowiada również hebrajska litera *gimmel*, wielbłąd, której kształt nawiązuje do grzbietu wielbłąda.)

** Co czyni je całkowicie bezużytecznym w przyzywaniu wilkołaków. Tym niemniej Święte Chao niesie filozoficzne upomnienie, by nie ściągać sobie na głowę indywidualów o wątpliwych upodobaniach.

271

będą mieli problemów z przeniknięciem ezoterycznych konotacji Świętego Chao — ani

taoistycznego jin-jang, ani astrologicznego znaku Raka. Metoda ta niemal całkowicie odwraca działanie pentagramów — zarówno lewego, jak i prawego — można powiedzieć nawet, że w jakimś sensie to nie Ozyrys, lecz jego brat Set symbolicznie pojął, kto jest obiektem magicznych zabiegów Izis. *W każdym przypadku, bez wyjątku, symbol magiczny czy też mistyczny odnosi się do jednej z bardzo nielicznych* wariacji na temat ludzkiej ofiary: „otwarcia jed-no-oka” bądź też „kłaśnięcia jednej dłoni”; ofiara nie może być połowiczna — musi ją zwieńczyć śmierć, aby była skuteczna.* Czytelnik nie powinien zapominać o tym, że na łamach tej powieści zbytnia dosłowność Saure'ów zrobiła z nich zagrożenie życia na Ziemi; ofiara nie jest prosta. Pewien rodzaj tchórzostwa, szerzący się pośród Anglosasów od trzech wieków z górą, nakazuje dążącym do sukcesów na tym polu zatrzymywać się tuż przed śmiercią ofiary. *Mc słabszego niż śmierć — a więc zupełne zapomnienie — zwyczajnie nie zadziała***, ^len istotny szczegół w wierszu Johna Donne'a precyzyjniej wyklada pewne rzeczy niż większość traktatów o tajnikach magii.)

Symbolikę swastyki wyczerpująco wyjaśnia Wilhelm Reich w książce *Faszizm a psychologia tłum.*

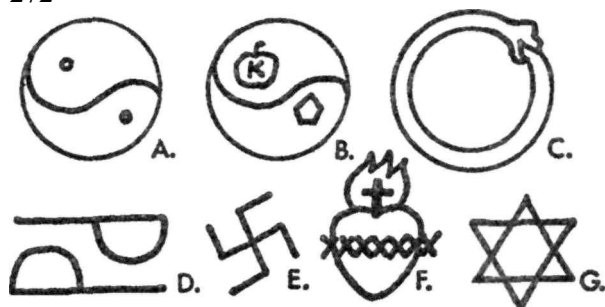
Uroboros, wąż zjadający własny ogon, to częste symbole Mszy Świętej i Ducha Świętego***.

Symbolika rzymskokatolickiego Najświętszego Serca zaskakuje ostentacyjnością, zwłaszcza każdego, kto czytał Fra-zera i Payne Knighta. W gruncie rzeczy wymowa symbolu jest taka sama jak na rysunkach popularnych satyryków, gdzie

* Mniej niż siedemdziesiąt — jeśli wierzyć tradycyjnym wyczeniom. ** Mag zawsze w pełni musi utożsamiać się z ofiarą, aż po najstraszliwsze spazmy bólu. Obserwowanie rytuału z teatralnym dystansem, intelektualizowanie w chwili, gdy miecz wykonuje brutalną, acz niezbędną robotę, wszelkie mazgaj-stwo, wyrzuty sumienia bądź wstręt wywołują rozszczerzenie umysłu, przed którym Hagbard ostrzega tak zarliwie w *Nigdy nie gwizdź, gdy sikasz*. W pewnym sensie umiera jedynie umysł.

*** Patrz Israel Regradie, *Drzewo Życia*.

272



A. JIN-JANG; B. ŚWIĘTE CHAO; C. UROBOROS, WĄŻ ZJADAJĄCY WŁASNY OGON; D. ASTROLOGICZNY ZNAK RAKA; E. SWASTYKA; F. NAJŚWIĘTSZE SERCE RZYMSKOKATOLICKIE; G. HEKSA-GRAM.

Amor celuje z łuku w czerwone, pulsujące serce. Na tym głównie polega Umieranie Boga i Zmartwychwstanie. Motyw ten odnajdujemy w paraleli Chrystusa z pelikanem, który dziobem rozszarpuje własne serce, by nakarmić młode. Raz jeszcze podkreślamy, że sadyzm i okrucieństwo Saure'ów wynikały, wyłącznie z mylnej interpretacji tych prostych symboli.

W istocie podstawowe symbole magii, mitologii i religii — zarówno wschodnich, jak i zachodnich, starożytnych i nowoczesnych, „praworęcznych” i „leworęcznych” — są tak proste, że tylko chorobliwy zwyczaj doszukiwania się rzekomych „głębi” i „sekretów” nie pozwala ludziom rozumieć ich natychmiast, niemal bez zastanowienia. Znaczenie heksagra-mu — żeńskiego ekwiwalentu męskiego pentagramu — zostało wyjaśnione przez samego Freuda, jednak większość studentów, sądząc, że odpowiedź nie może być czymś równie przyziemnym i elementarnym, w dalszym ciągu buja w obłokach.

Podobne zasady stosują się do symboli pisemnych. Najświętsze imię JOD HEI WAW HEI, na przykład, tradycja interpretuje na wiele różnych sposobów. Najślynniejsze korelacje prezentujemy w poniższej tabeli:

273

JOD	HEI			
WAW				
HEI				
Rzeczywiste				
znaczenie	pięć	okno	gwóźdź	okno
liter	(lub plemnik)			
hebrajskich				
Klasyczny				
kod magiczny	ojciec	matka	syn	córka

Arkana Mniejsze Tarota	Buławy	Kielichy	Miecze	Pentakle (Monety)
Arkana Większe Tarota	Pustelnik	Gwiazda	Papież	Gwiazda
Wyższe atuty Tarota	Rycerz	Królowa	Król	Giermek
Żywioty	Ogień	Woda	Powietrze	Ziemia

Z tabelą tą koresponduje również tradycyjna symbolika lwo--człowieko-orło-byka*, jak również Czterech Starców Joyce'a w *Finnegan 's Wake***; znajdujemy ją również w azteckich rękopisach i buddyjskich mandalach.

Najistotniejsze, pierwotne znaczenie, naturalnie, stanowi program rytuału, a rytuał to magia. Cztery litery to po prostu cztery etapy formuły Wilhelma Reicha: napięcie mięśniowe —> ładunek elektryczny —> wyładowanie elektryczne —> rozluźnienie mięśni. Krótko mówiąc, jak to kiedyś zauważył Freud, w każdym stosunku seksualnym uczestniczy przynajmniej czterech partnerów. Ojciec i syn dostarczają „pięści” oraz „gwoździa”; matka z córką dwóch „okien”. Przypadek schizofrenicznego mordercy z Chi-

* JOD, ognisty ojciec, jest lwem (ognistym znakiem); HEI, wodna matka, to człowiek rozumiany jako ludzkość; WAW, duch powietrza, jest orłem; drugie HEI, ziemia, jest bykiem.

** Marcus Lyons (tj. Iron — lew) to ojciec ognisty; Matt Gregory (tj. ego) to wodna matka; John McDougall (tj. eagle — orzeł) to syn powietrzny; Lukę Tarpey (taur, byk) to ziemna córka.

274

cago, Williama Heirensa, który doznawał orgazmu wkradając się przez okno, dowodzi, że symbolika ta nie jest wyuczona, lecz stanowi wrodzony, choć podatny na wynaturzenia element umysłu ludzkiego, czego dowodzi przykład Saure'ów.

Wreszcie, kosmiczne błogosławieństwo przekazane na str. 260 również ściśle spełnia wymogi formuły JHWH:

Błogosławie Ra, płomienny słońca blask Błogosławie Izis-Lunę pośród nocnych gwiazd Błogosławie powietrze, Horusa z ptasim dziobem Błogosławie ziemię, po której chodzę

Są w nim zarówno ognisty ojciec, wodna matka, powietrzny syn, jak i córka wodna, obecni również w każdej formule alchemicznej*. Na tym jednak zakończę w obawie, że czytelnik zacznie układać równanie 5=4, by zrównoważyć 5=6.

Na koniec przestroga i wyjaśnienie: uciekanie się do zbiorowych ofiar (w stylu Azteków, Świętej Inkwizycji czy hitlerowskich obozów zagłady) zamionuje tych, którzy nie są zdolni do prawdziwego rytuału Umierającego Boga.

PRZYPIS JOD

OBCIĄGANIE MÓZGÓW

Projekt OM zainicjowany został przez Ho Szi Zena z Eri-zyjskiego Frontu Wyzwolenia, będącego tą samą osobą, jakkolwiek nie tym samym człowiekiem, co Lord Omar Khayam Ravenhurst, autor *Uczciwej Księgi Prawdy*. Myśl przewodnia dzieła nie odbiega od tego, co sugerują von Neumann i Morgenstern w swojej *Teorii gier i zachowań ekonomicznych*,

* W tej kwestii — a przy okazji, by udowodnić, że związku Adolfa Hitlera * z J luminalami nie zostały wymyślone na benefis naszej powieści rodem z gatunku „fikcji” — sugerujemy, by czytelnik zajrzał do *Poranka Magów* Pauwelsa i Ber-giera.

275

a mianowicie, że jedyną strategią, jakiej przeciwnik nie jest w stanie przechytrzyć, jest działanie na chybił — trafił. Podwaliny teorii położył Malaklipa Młodszy, S.S.C., oznajmiając „My, Dyskordianie, nie powinniśmy się trzymać razem”. Owa drastyczna decentralizacja wszelkich poczynań dyskordiańskich sprawiła, że czynnik przypadkowości funkcjonował już w organizacji, zanim jeszcze powstał projekt OM. Po dziś dzień ani Ho Szi Zen, ani żaden z apostołów Dyskordian nie potrafi powiedzieć z pewnością, kto jest, a kto nie jest zaangażowany w którąkolwiek z faz Obciążania Mózgów ani też na czym polega ich udział bądź brak udziału w operacji. W ten sposób człowiek z zewnątrz natychmiast zostaje schwyty w podwójny klincz: jedynym bezpiecznym wyjściem jest założenie, że wszystko, co robi Dyskordianin, jest w jakiś sposób związane z OM, jednak założenie takie, prowadząc wprost do paranoi, bynajmniej nie jest „bezpieczne” a „ryzykowna” hipoteza, że wszelka działalność Dyskordian jest nieszkodliwa, na dłuższą metę może okazać się „bezpieczniejsza”. *Każdy element OM jest skutkiem podwójnego klinczu bądź jego zaostreniem* *.

Operacje OM różnią się rangą od trywialnych po gigantyczne.

Przykładem tych pierwszych jest gumowa pieczęć w posiadaniu dr. Mordekaja Malignatusa z napisem SPRAWDZIĆ W KARTOTECE PSYCHIATRYCZNEJ. (Dr Malignatus, pod nieuwagę personelu, sprzątnął pieczęć z państwowej przychodni. Wszelka korespondencja, którą dr

Malignatus uzna za obraźliwą bądź impertynencką — zwłaszcza nadesłana z urzę-

* Podwójny klincz, zdefiniowany po raz pierwszy przez antropologa Grego-ry'ego Batesona, to sytuacja, gdy zmuszeni jesteście wybierać między dwoma alternatywnymi wyjściami, z których oba są dla nas przykre. Doskonałym przykładem może tu być sugestia pana Williama Burroughsa: Należy wytresować poborowego tak, by bez namysłu stosował się do wygłaszanych przez zwierzchników komend „Powstań” oraz „Siad”, a następnie dwaj oficerowie powinni mu jednocześnie kazać wstać oraz usiąść. Posłuszeństwo wobec pierwszej komendy oznacza nieposłuszeństwo wobec drugiej, a posłuszeństwo wobec drugiej oznacza nieposłuszeństwo wobec pierwszej. Poborowy najprawdopodobniej dostanie hopla.

276

dów państwowych — zostaje opatrzona powyższym mottem i odesłana w nienaruszonej postaci do nadawcy, wywołując szok w kręgach biurokratycznych.)

Przykładem drugiego jest Operacja Cwol, autorstwa lorda Harolda Randomfactora. Raz albo dwa razy do roku jako obiekt Ćwola zostaje wytypowany pracownik służb publicznych, odznaczający się ponadprzeciętnym wskaźnikiem imbecylizmu; alarm ogłasza się w tajnych oddziałach Dyskordian, takich jak Erizyjski Front Wyzwolenia, Dwanaście Słynnych Umysłów Buddy, Ikonostaria św. Gulika, Hrabia Dziewiątek, Namacalna Świątynia Erotyki Erizjańskiej, Bractwo Chrystusa Lubieżnego, Przedsiębiorstwo Green i Pleasant, Towarzystwo Doskonalenia i Porozumienia Moralnego, In-Sekta, Pantery Złotego Jabłka, Paratheo-Anametamistykanca Eris Ezoterycznej, Kawiarnia Sama, Grupa z Seattle, Łoża Kamiennego Smoka, Uniwersalny Kościół Erizyjski oraz Młodzi Amerykanie Na Rzecz Prawdziwej Wolności*. W Dniu Ćwola urzędnik państwowy, na którego padł zaszczytny wybór, otrzymuje pocztę od *każdego* z powyższych ugrupowań, na oficjalnych papierach (dość dziwnych, nie muszą chyba wspominać), z prośbą o pomoc w jakiejś kwestii politycznej, która przechodzi wszelkie racjonalne pojęcie. Tak zaszczycony urzędnik może uznać albo, że sam jest celem konspiracji złożonej wyłącznie z lunatyków, bądź, że społeczeństwo ogółem odznacza się o wiele większą wyobraźnią i jest mniej otepiałe, niż był skłonny przypuszczać.

Pomiędzy trywialnymi a gigantycznymi plasuje się wiele akcji OM, które można by nazwać chronicznymi.

Najbardziej godne uwagi jest honorowe członkostwo. Nie chcąc wykluczać nikogo z uczestnictwa w ruchu erizyjskim z powodu technicznej drobnostki, jaką jest bycie nie-erizyjczykiem, legendarny Malaklipa Młodszy wymyślił kilka honorowych ugrupowań anery styczny eh. W tajnych oddziałach dyskordiańskich do tradycji należy już zapraszanie do tych grup każdego (bądź każdej), kto zachował się w sposób jawnie anerystyczny.

* Autentyczne grupy, aktualnie działające w USA. (Wierzycie nam?)

277

I tak na przykład dyrektor liceum, który wygłosił szczególnie poruszającą mowę pod tytułem „Pobór gwarancją naszej wolności” (albo „System podatkowy gwarancją naszej własności” czy jakkolwiek inny oksymoron, w którym tak bardzo gustują nasi pedagodzy), może spodziewać się następującej przesyłki:

ZAKON PAWIEGO ANIOŁA

Dom Apostołów Eris

(/) Zachowaj ten list; jest ważnym dokumentem historycznym.

() Spal po przeczytaniu — literatura wywrotowa.

() Zlekceważ i wróć do zajęcia, któremu oddawałeś się przed otwarciem koperty.

Drogi (/) Panie () Pani () Fido:

Niedawno dotarło do naszych uszu, że występując z urzędu jako dyrektor Liceum Aarona Burra, miał pan powiedzieć, nie mrugnawszy powieką, iż śmierć od napalmu jest „nie bardziej dokuczliwa niż ostry katar” oraz że rasa żółta „ma grubszą skórę, przez co jest mniej wrażliwa niż biała”.

Z wyżyn Naszego urzędu, jako Najwyższy Kapłan Głównej Świątyni Domu Apostołów Eris, gratulujemy Panu, że przywrócił! Pan edukacji amerykańskiej należną jej pozycję, spędzając tym samym z zazdrości sen z powiek wszelkim innym (tym samym pośledniejszym) systemom edukacyjnym.

Niniejszym otrzymuje Pan pięć gwiazdek jako Generał w biurze Dywizji Departamentu Zakonu Rycerzy Bastionu Pięciokątnego, Łoży Kichote z prawem do obrzucania granatami przyjaciół i bombardowania sąsiadów. Z przyjemnością udzielimy pełnych i wyczerpujących pytań na ewentualne Pańskie odpowiedzi.

W Imię La Manczy

Theophobia Starszy, M.C.P. Starszy Kapłan, Świątynia Główna

Hail Eris — Powszechnie Hail Discordia — Kallisti

Dokument ostemplowany będzie napisami w rodzaju: SŁUŻBOWE — NIE UŻYWAĆ ZAMIAST PAPIERU TOALETOWEGO; ŚCIŚLE TAJNE — TYLKO DO RĄK WŁASNYCH; KICHOTE ŻYJE itd., wszystko w gustownych

278

blekitach i czerwieniach, z kokardką, pieczęcią Zajączka Wielkanocnego i wszelkimi bajerami,

które lokalnej loży przyjdą do głowy. Mogą to być, ozdobione klasycznym wizerunkiem Rycerza Smętnego Oblicza, znaczek bądź opaska na ramię pasujące właściciela na pięciogwiazdkowego generała. Kopie, naturalnie, zostaną rozesłane radykalnym uczniom liceum, co ma zagwarantować, że wyróżniony dyrektor w najbliższych dniach zobaczy i usłyszy wiele aluzji na temat Don Kichota, które nie pozwolą mu ludzi się, że ma do czynienia z pojedynczym „nieszkodliwym szaleńcem”. (Nie trzeba chyba wspominać, że oficjalnym emblematem Rycerzy Bastionu Pięciokątnej jest pięciokąt z wpisanym złotym jabłkiem.)

Inne grupy, oferujące swoje członkostwo za wybitnie ane-rystyczne zachowanie, to:

Towarzystwo Blekotu — dla nauczycieli akademickich, którzy przedsięwzięli zdecydowane działania, by uchronić studentów przed ideami wywrotowymi oraz/lub odmówili przedłużenia kontraktów kontrowersyjnym nauczycielom i wykładowcom;

Stowarzyszenie św. Głódówki Na Rzecz Wojny Wypowiedzianej Złu — dla ludzi, którzy wykazują niecodzienną troskę sprawowaniem moralnym swych bliźnich*;

Stowarzyszenie Płaskiej Ziemi — dla prawodawców i organizacji obywatelskich oddanych walce z rozprzestrzenianiem się „nowomodnych” idei w edukacji**;

Liga Tłustych Żółtków Do Walki Ze Zniesławieniem — dla działaczek Ruchu Wyzwolenia Kobiet i innych, którzy mają istotne powody ideologiczne, by zgłaszać obiekcje pod adresem języka angielskiego;

Braterski Zakon Grup Nienawiści — przeznaczony dla rzekomo libertariańskich grup, wyłącznie pod warunkiem, że

* Doroczne spotkania odbywają się podczas Biesiady św. Głódówki w Casa de Inquisidor w San Miguel de Allende, Mexico.

**Członkowie otrzymują zgrabne proporzki opatrzone napisem: W GŁĘBI SERCA WIESZ, ZE JEST PŁASKA.

279

wykazują zdecydowanie autorytarne zachowania oraz trzymają się tradycji filozoficznej, zgodnie z którą powyższe zachowanie jest uznawane za libertariańskie (Ugrupowanie, które znalazło najlepsze libertariańskie uzasadnienia dla zwalczania wolności, otrzymuje Doroczną Nagrodę Pamięci Williama Buckleya oraz zbiorowe członkostwo w Stowarzyszeniu Św. Głódówki Na Rzecz Wojny Wypowiedzianej Złu.);

Pierwszy Ewangeliczny Zreformowany Kościół Randa, Brandena i św. Galta — dla tych, którzy jednocześnie są racjonalistami i dogmatykami;

Awangardowa Partia Rozwiązania Częstkowego — dla wszelkich Szczytnych Sług Narodu, którzy odznaczyli się niezrównaną gorliwością w szufladkowaniu większości ludzi jako Częstkowego Problemu.

W skład Obciążania Mózgów wchodzi ponadto:

Operacja Orzeł. Drukowanie odblaskowych plakatów, imitujących historyczne, opatrzone orłem apele: DO URN, SYNOWIE WOLNOŚCI. W nowej, ulepszonej wersji dyskordiańskiej zmieniono tylko jedno słowo, wskutek czego plakaty nawołują radośnie: PALCIE URNY, SYNOWIE WOLNOŚCI. Jak za dawnych czasów plakaty rozkleja się w dniu wyborów w miejscach publicznych.

Operacja Pan-Pontyfikacji. Od czasu, gdy Wielebny Kirby Hensley założył Powszechny Kościół Życia, wyświęcając każdego, kto się tylko nawinął, na głosiciela Słowa Bożego, Pa-ratheo-Anametamistyczność Eris Ezoterycznej zdecydowała się podnieść poprzeczkę. Aktualnie ugrupowanie rozdaje karty następującej treści:

POSIADACZ NINIEJSZEJ KARTY

JEST PRAWDZIWYM, URZĘDOWO ZATWIERDZONYM

PAPIEŻEM

w związku z czym uprasza się o należne Mu względy

Autentyczny, opatrzony atestem DOMU APOSTOŁÓW ERIS. Każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko na Ziemi są autentycznymi, atestowanymi papieżami.

280

Podobne karty, w których słowo „Mu” zostało zastąpione słowem „Jej”, a „Papież” słowem „Mamież”, są aktualnie w przygotowaniu dla Ruchu Wyzwolenia Kobiet.

Operacja Graffiti (a także *Operacja Naklejka*). Uczestniczyć w niej może każdy, kto wynajdzie szczególnie erizyjski slogan i dopilnuje, by został należycie rozpowszechniony. Przykłady: *Twój rejonowy komisariat to banda uzbrojonych, niebezpiecznych mężczyzn; Zalegalizować Prywatyzację Morderstw; Dlaczego cała frajda ma przypaść w udziale rządcom?; Precz z rządowym monopolem filatelistycznym; Gdyby głosowanie mogło zmienić system, uznano by je za sprzeczne z prawem* itd.

Obywatele Przeciwno Narkomanii. Organizacja ta dysponuje eleganckim papierem firmowym i prowadzi kampanię zachęcającą kongresmanów do zdelegalizowania kocimiętki, którą upala się część młodzieży w okresach posuchy na gańdzię. Operacji przyświeca myśl, iż skoro rząd utracił sporo

wiarygodności w związku z wojną przeciwko narkotykom (najświeższe badania EWF wykazują, że znaczna część liczącej poniżej 25 lat populacji wielkich miast nie wierzy w lądowanie na Księżycu i podejrzewa, że wszystko zostało sfingowane na któreś z amerykańskich pustyń), kampania przeciw podobnemu, lecz bardziej komicznemu zielsku powinna do reszty podkopać zaufanie do ludzi z Waszyngtonu.

PRZYPIS KAF

RÓŻO-DWUKRZYŻ

Saul, Barney, Markoff Chaney oraz Dillinger z osłupieniem skonstatowali, że osobnik pokroju Carmela uciekając do Groty Lehmana taszczył ze sobą walizkę pełną róż. Ci, którzy znali Carmela z Las Vegas, z jeszcze większym oszołomieniem przyjęli podanie tej informacji do wiadomości publicznej. Czytelnicy poprzednich tomów naszej powieści odebrali ten fakt nie tylko z zaskoczeniem czy poruszeniem, ale wręcz z niechęcią,

281

pamiętając, że przecież Carmel napchał walizkę forszą Maldo-nada, a nie różami.

Wyjaśnienie, jak zawsze, kiedy mamy do czynienia z czymś, co zakrawa na magię, jest proste: Carmel był ofiarą najstarszej sztuczki na świecie, okkana borra (cygańskiej maniany). Miał zwyczaj przewozić zarobki do banku w tej samej walizce, której użył, plądrując sejf Maldonada. Postać z walizką była dobrze znana ciemnowym typom z Las Ve'gas, do których należeli trzej dżentelmeni, którzy na początku kwietnia postanowili dopaść go podczas rutynowej marszruty i pozbawić walizki za pomocą, jak mówią młodzi ludzie, „wszelkich dostępnych środków”; zastanawiali się nawet, czy by nie palnąć go w skroń jakimś tępym narzędziem. Jednakże jeden z biorących udział w przedsięwzięciu dżentelmenów, niejaki John Wayne Malatesta, posiadał (oryginalne) poczucie humoru i wpadł na pomysł, żeby posłużyć się cygańską manianą, która nie wymaga użycia siły. Pan Malatesta bawił się myślą, że jeśli wszystko pójdzie gładko, Carmel po przybyciu do banku otworzy walizkę pełną końskiego łajna, ludzkich ekskrementów lub czegoś w równie złym smaku. Udało mu się przekonać dwóch pozostałych dżentelmenów do swojego żartu. Zakupiono walizkę do podmiany i opracowano plan.

Dosłownie w ostatniej chwili wniesiono dwie poprawki. Pan Malatesta dowiedział się od Bonnie Quint (damy, z której towarzystwa korzystał często po \$100 za numer), że Carmel ma ostrą alergię na róże. Ta wizja jeszcze bardziej go rozbawiła: Carmel otwiera w banku walizkę i zaczyna gwałtownie kichać, zachodząc jednocześnie w głowę, kiedy dokonano maniany. Zakupiono róże i wyznaczono termin dowcipu na następny dzień.

Kiedy Carmel zderzył się z dr. Naismithem i Markoffem Chaneyem, Malatesta z towarzyszami zrezygnowali z maniany; dwa zderzenia na przestrzeni paru minut to więcej, niż człowiek pokroju Carmela był skłonny przyjąć na wiarę. Zdecydowali więc towarzyszyć mu w drodze do domu, a następnie odwołać się do starej, wypróbowanej techniki nieoczekiwanego ciosu w czerep.

Kiedy Bonnie Quint wyszła po dramatycznej rozmowie z Carmelem, bandyci zaczęli szykować się do wejścia. Ku ich

282

zdumieniu, Carmel wybiegł za Bonnie, wrzucił walizkę do dziupa, po czym zawrócił do domu. (Zapomniał swoich czekoladek.)

— Bóg tak chciał — zawyrokował pobożnie Malatesta. Dokonali podmiany, następnie w wielkim pośpiechu ruszyli wprost na południe.

W parę tygodni po wygaśnięciu epidemii policjant konnego patrolu natknął się w rowie, z dala od drogi, na samochód ze zwłokami trzech mężczyzn. Symptomy policjanta zostały rozpoznane w czasie, gdy czekał na przybycie lekarza policyjnego; antidotum podano mu w porę.

Pusta walizka w samochodzie nie zainteresowała specjalnie nikogo: z jednej strony została wyjedzona niemal do szczętu przez jadovitą jaszczurkę pustynną.

— To coś, co było w środku — miał później stwierdzić policjant — musiało być dość lekkie. Wiatr rozwlókł to po tej pieprzonej pustyni.

PRZYPIS TET

BROSZURA HAGBARDA

Po wielokrotnym molestowaniu i nie kończących się błaganiach o zgodę autorom udało się wreszcie wydębić od Hagbarda Celine'a zgodę na zacytowanie kilku następnych, iluminujących fragmentów z jego broszury *Nigdy nie gwizdź, gdy sikasz**. (Zanim wszczęliśmy desperackie podchody, żądał od

* Tytuł, jak informuje autor, został zaczerpnięty z *Zen w literaturze angielskiej i klasyce orientальной* R.H. Blythe'a. Historia jest

pouczająca: Blythe, zgłębiając za-zen (zen w pozycji siedzącej, inaczej — medytację *dhyana*) w klasztorze w Kioto, zapytał *rosziego* (mistrza zen), czy istnieje jakaś dyscyplina, którą mógłby ćwiczyć, żeby przyspieszyć swój postęp. *Roszi* odparł zwięźle: „Nigdy nie gwizdź, gdy sikasz”. Por. nie kończące się diatryby Gurdżijewa na temat „koncentracji”, radzę w *Wyspie* Huxleya, który wypuszczał z klatek gadające szpaki, by nieustannie przypominały jego podwładnym: „Tu i teraz, panowie! Tu i teraz!” oraz słowa Jezusa „Cokolwiek wasze ręce czynią, z całego serca niech czynią”.

283

nas, byśmy opublikowali całość.) A oto parę kluczy do niecodziennej głowy Hagbarda Celine'a:

Razu pewnego podsłuchałem dwóch botaników, spierających się o Przekłete Coś, które beczelnie kielkowało na podwórku college'u. Jeden twierdził, że owo Przekłete Coś jest drzewem, drugi, że krzewem. Każdy dysponował naręczem uczonych argumentów na poparcie swojego stanowiska i kiedy odchodziłem, sprzeczali się nadal.

Świat nieustannie produkuje Przekłete Cosie — ni to drzewa, ni krzewy, ni ryby, ni ptaki, rzeczy ani czarne, ani białe — i myślący kategoriami człowiek nie ma wyjścia, jak tylko uznać brzęczący świat faktów zmysłowych jako policzek wymierzony w jego indeksacyjny system klasyfikacji. A najgorsze są fakty, które gwałcą jego „zdrowy rozsądek”, owo upiorne bagno ponurych przesądów i grząskiej inercji. Cała historia nauki jest jedną wielką odyseją indeksatora w ludzkiej postaci, który nieustannie meandruje między tego rodzaju Przekłętymi Cosiami, rozpaczliwie żonglując etykietami, które usiłuje dopasować na siłę; podobnie historia polityki jest żalosną epopeją nie kończących się daremnych wysiłków, by ustawić Przekłete Cosie w szeregu i zmusić do marszu w nogę.

Każda ideologia jest morderstwem umysłu, redukcją dynamicznego procesu życia do statycznej klasyfikacji, a każda klasyfikacja jest obłożeniem Kłątwą tak, jak każde wchłonięcie jest wydalaniem. W rojnym, bzyczącym wszechświecie, gdzie nie ma dwóch identycznych płatków śniegu, nie ma dwóch identycznych drzew, dwóch identycznych osób — co więcej, naukowcy zapewniają nas, że nawet najdrobniejsze cząsteczki subatomowe z mikrosekundy na mikrosekundę nie są identyczne z samymi sobą — każdy system indeksacji jest tylko sa-moułudą. „Czy też, ujmując to mniej okrutnie — jak powiedział Nietzsche — każdy z nas jest większym artystą, niż przypuszcza”.

Gołym okiem widać, że etykieta „Żyda” w hitlerowskich Niemczech była Kłątwą, ale aktualnie etykieta „Żyda” jest rów-

284

niez Kłątwą pod każdą szerokością, nawet tam, gdzie antysemityzm nie dociera. „Jest Żydem”, „Jest lekarzem” czy „Jest poetą” oznacza dla ośrodka indeksacji w mojej korze mózgowej, że moje doświadczenia z tym kimś będą takie jak doświadczenia z innymi Żydami, innymi lekarzami i innymi poetami. W ten sposób z chwilą określenia tożsamości zignorowana zostaje indywidualność.

Na przyjęciach czy gdziekolwiek, gdzie spotykają się obcy ludzie, spróbujcie zaobserwować działanie tego mechanizmu. Po przyjaznej uwerturze zapada ostrożność, gdyż każdy z obecnych poluje na jakąś etykietę, która pozwoli mu zidentyfikować i obłożyć Kłątwą drugą osobę. Nareszcie spływa objawienie: „Ach, więc on jest redaktorem działu reklam”, „Rozumiem, jest operatorem tokarki”. Obie strony rozluźniają się, bo wiedzą już, jak się zachować, jakie role odegrać w tej grze. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent każdego z obecnych zostało obłożonych Kłątwą; towarzysze reagują teraz na 1 procent opatrzony etykietą przez mechaniczny indeksator.

Naturalnie pewne Kłątwy są niezbędne społecznie i intelektualnie. Tort rzucony w twarz komikowi jest Kłątwą w ujęciu fizyka, który będzie analizował go zgodnie z newtonowskimi prawami ruchu. Równania te powiedzą nam wszystko, co tylko chcemy, na temat siły uderzenia tortu o twarz, nic natomiast na temat tego, jakie znaczenie ma obrzucanie się tortem w świecie ludzkim. Antropolog kulturowy, analizując społeczne funkcje komika jako szamana, błazna dworskiego i surogatu króla, wyjaśni rzucanie tortem jako relikw Biesiady Głupców oraz symboliczne zabójstwo króla. W ten sposób obiekt zostaje przeklęty po raz drugi. Psychoanalityk, doszukując się tu edypalnego rytuału kastracji, dorzuca trzecią Kłątwę, marksista, widząc w akcie tym upust tłumionego gniewu wobec klas rządzących, dorzuca Kłątwę czwartą. Każda Kłątwa ma swoją wartość i zastosowanie, niemniej pozostaje Kłątwą tak długo, jak długo nie dostrzeżę się jej cząstkowej i arbitralnej natury.

285

Poeta, który porównuje tort rzucony komikowi w twarz ze Zmierzchem Zachodu albo własną utraconą miłością, rzuca piątą Kłątwą, w tym przypadku jednak element zabawy i fanta-zyjność symboliki są całkiem jawne. Taką przynajmniej można by mieć nadzieję; lektura Nowych Krytyków co pewien czas wzbudza wątpliwości w tym względzie.

Struktura społeczeństw ludzkich podlega zasadzie autorytetu bądź zasadzie wolności. Autorytet Władzy jest statyczną konfiguracją społeczną, w obrębie której ludzie funkcjonują jako zwierzchnicy i podwładni: związek sadomasochistyczny. Wolność jest dynamiczną konfiguracją społeczną, w obrębie której ludzie funkcjonują jako partnerzy: związek erotyczny. W każdej interakcji pomiędzy ludźmi

dominującym czynnikiem jest albo Autorytet Władzy, albo Wolność. Rodziny, Kościoły, loże, kluby i korporacje albo są bardziej autorytarne niż libertariańskie, albo bardziej libertariańskie niż autorytarne.

Jeśli zastanowimy się głębiej, stanie się dla nas oczywiste, że najbardziej odrażającą i nietolerancyjną postacią autorytetu władzy jest Państwo, które po dziś dzień pozwala sobie na absolutyzm, z jakiego Kościół dawno już zrezygnował, i wymusza posłuszeństwo za pomocą technik starej, haniebnej Świętej Inkwizycji. Niemniej każda forma „autorytaryzmu” jest, w jakimś sensie, małym „Państwem”, nawet jeśli to państwo ma tylko dwoje obywateli. Stwierdzenie Freuda, że efektem urojeń jednego człowieka jest neuroza, gdy natomiast efektem rojeń wielu osób jest religia, można by uogólnić: Autorytarianizm jednego człowieka jest zbrodnią, natomiast autorytarianizm wielu ludzi jest Państwem. Benjamin Tucker napisał bardzo celnie:

Agresja to zwyczajnie kolejna definicja władzy. Agresja, inwazja, władza są to terminy zamienne. Istotą władzy jest rządzenie bądź próby rządzenia. Ten, kto usiłuje rządzić innymi, jest władcą, najeźdźcą, agresorem; natura inwazji tego rodzaju pozostaje niezmienna bez względu na to, czy

286

jeden człowiek napada na drugiego jak ordynarny zbój, czy w pojedynkę napada na pozostałych, czy jest monarchą absolutnym, czy bierze udział w napaści wszystkich na jednego, jak we współczesnej demokracji.

Tucker ze zdumiewającą precyzją posłużył się słowem „inwazja”, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że pisał książkę ponad pięćdziesiąt lat przed dokonaniem podstawowych odkryć w eto-logii. Każdy akt autorytarny jest, *de facto*, inwazją na psychiczne i fizyczne terytorium drugiej osoby.

Każdy fakt naukowy był kiedyś obłożony Kłątwą. Każdy wynalazek był kiedyś uważany za niemożliwy. Każde odkrycie stanowi nerwowy szok dla jakiejś ortodoksji. Każda innowacja artystyczna zostaje zadenuncjowana jako szaleństwo i szalbierstwo. Cała sieć „kultury” i postępu, wszystko na kuli ziemskiej, co jest dziełem człowieka, a nie natury, jest zmaterializowanym wyrazem protestu nielicznych przeciw kłanianiu się Autorytetom. Nasze dobra materialne, nasza wiedza i my sami nie zmieniłyby się od czasu pierwszych małych człekokształtnych, gdyby nie zbuntowani, krnąbrni i bezkompromisowi. Jak słusznie zauważył Oscar Wilde: „Nieposłuszeństwo było Cnotą Pierworodną człowieka”.

Ludzki mózg, który uwielbia czytać, gdy się pisze o nim, że jest najcudowniejszym organem percepcji na świecie, jest jeszcze bardziej cudownym organem selekcji. Nagie fakty naszej gry ekonomicznej są niezaprzeczalne i łatwe do wytropienia, gdy się o nich mówi, jednak konserwatystom — którzy są zwykle jednostkami korzystającymi z owych faktów na co dzień — uchodzi jakoś zachowywanie się, jakby nie istniały, czy oglądanie ich przez różowe, mocno zniekształcające szkła. (Podobnie rewolucjonista nie baczy na świadectwo dziejów, iż rewolucje posiadają naturalny bieg, który poprzez gwałt i chaos prowadzi do punktu wyjścia.)

Musimy pamiętać, że myśl jest abstrakcją. Żeby posłużyć się metaforą Einsteina: zależność między faktem fizycznym

287

a naszym odbiorem faktu nie jest identyczna z zależnością między wołowiną a bulionem w kostce, zwykłą kwestią ekstrahowania i kondensacji; raczej, jak dalej wyjaśnia Einstein, przypomina związek między naszym płaszczem a jego numerkiem w szatni. Innymi słowy, w skład ludzkiej percepcji wchodzi więcej kodowania niż zwyczajnego czucia zmysłowego. Zasady języka czy matematyki, reguły sztuki i wszelkie abstrakcyjne formy nadają naszym konstruktom mentalnym strukturę nie faktu oryginalnego, lecz systemu symboli, w jakim został zakodowany, podobnie jak kartograf zaznacza naród kolorem czerwonym nie dlatego, że ów naród jest czerwony, lecz dlatego, że takie są wymogi konwencji. Każdy kod wyklucza jednak pewne rzeczy, zaćmiewa inne, a na inne z kolei kładzie przesadny nacisk. Słynny skok Niżyńskiego przez okno w finale baletu *Le Sceptre d'une Rose* najtrafniej został zakodowany w systemie notacji baletowej, jakim posługują się choreografowie; przy wszelkich w próbach oddania go język werbalny całkowicie zawodzi; malarstwo czy rzeźba są w stanie uchwycić w pełni magię ułamka, ale tylko ułamka sekundy skoku; równanie fizyczne: Siła = Masa x Przyspieszenie naświetla jeden z elementów pominiętych przez pozostałe kody, za to gubi całą resztę. Wszelka forma i struktura percepcji są wynikiem kompulsywnego kodowania — kompulsywnych gier umysłu — osoby postrzegającej.

Wszelki autorytet jest funkcją kodownia, funkcją reguł gry. Raz po raz w historii ludzie szli z widłami przeciw armiom zbrojnym w działa armatnie, ulegając zarazem tyranii chwiejnych słabeuszy. Wszystko zależy od stopnia, w jakim kodowanie zniekształca percepcję i warunkuje odruchy fizyczne (oraz mentalne).

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że autorytet władzy nie byłby możliwy, gdyby cała ludzkość składała się z tchórzów lub gdyby tchórzów nie było w ogóle, tymczasem jednak autorytet władzy panoszy się tak, jak się panoszy, dlatego jedynie, że większość ludzkości to tchórze, a cała reszta — złodzieje. Faktem jest, że wewnętrzna dynamika tchórzostwa

288

i uległości z jednej strony, a heroizmu i buntowniczości z drugiej, rzadko bywa świadomie dostrzegana tak przez klasę rządzącą, jak i rządzoną. Uległość uważa się nie za tchórzostwo, lecz za cnotę, buntowniczość uchodzi nie za heroizm, lecz za zło. Rzymscy właściciele niewolników nie widzieli w Spartakusie bohatera, a w swych pokornych sługach tchórzów; Spartakus był dla nich łotrem, a pokorni słudzy — ludźmi cnoty. Pokorni słudzy też w to wierzyli. Pokorni zawsze mają się za cnotliwych, a nie za tchórzów.

O ile władza zakłada podporządkowanie, o tyle wolność zakłada równość; z władzą mamy do czynienia wtedy, gdy jeden człowiek jest posłuszny drugiemu, z wolnością — kiedy nikt nikomu nie rozkazuje. Tak więc uznanie istnienia władzy jest równoznaczne z uznaniem istnienia poddaństwa i nierówności. Uznanie istnienia wolności jest równoznaczne z uznaniem istnienia bezklasowości, równości i braterstwa.

Władza, wprowadzając podziały klasowe, rodzi dychotomię, rozdźwięk, wrogość, lęk i niesolidarność. Wolność, dając wszystkim równe prawa, rodzi dążność do stowarzyszeń, łączenia się, jedność, bezpieczeństwo. Kiedy związki między ludźmi zaczynają opierać się na władzy i przymusie, dochodzi do rozpadu, kiedy opierają się na wolności i braku agresji — dochodzi do zjednoczenia.

Fakty są niezbite i mówią same za siebie. Gdyby autorytarianizm nie posiadał immanentnie wbudowanego w strukturę programu podwójnego klinczu Gry Bez Wyjścia, ludzie dawno już odrzuciliby go na rzecz libertarianizmu.

Tradycyjne utyskiwania pacyfistów na wojny, podczas których młodzi mężczyźni prowadzeni są na śmierć przez starych mężczyzn, którzy siedzą w domu za biurkiem, nie ryzykując własnym tyłkiem, są z gruntu chybione. Żądania, by starzy sami szli do wojska walczyć we własnych wojnach, czy żeby przywódcy zwaśnionych narodów piewszego dnia działań wojennych mieli obowiązek osobiście się znaleźć na linii frontu itp., odwołują się do tak zwanego „poczucia sprawiedliwości”,

289

a więc czegoś, co nie istnieje. Dla typowego, pokornego obywatela społeczeństwa autorytarnego jest czymś normalnym, oczywistym i „naturalnym”, że powinien słuchać starszych, dominujących samców choćby nawet miał przyplącić to życiem, choćby musiał walczyć przeciw rodakom, choćby sprawa, za którą walczy, była niesłuszna czy wręcz absurdalna.

„Szarża lekkiej brygady” — opowieść o grupie młodych mężczyzn, którzy w ewidentnie idiotyczny sposób dają się zaprowadzić na śmierć tylko dlatego, że bezmyślnie wykonują bezsensowne rozkazy — jako poemat cieszyła się i nadal cieszy popularnością, ponieważ bezmyślne posłuszeństwo młodych mężczyzn wobec mężczyzn starszych jest najwyższej cenionym odruchem warunkowym w społeczeństwach ludzkich i humanoidalnych.

Mechanizm, za sprawą którego posłuszeństwo autorytetom zostaje wimplantowane w umysł ludzki, polega na kodowaniu percepcji. Wszystko, co pasuje do kodu, zostaje zaakceptowane; cała reszta jest obłożona Klątwą. Klątwą skazującą na zlekceważenie, zepchnięcie na margines, niedostrzegalność, a także — jeśli powyższe środki zawiodą — na zapomnienie.

Jeszcze cięższa Klątwa jest zastrzeżona dla rzeczy, których nie sposób zlekceważyć. Mózg zalewa je pomyjami pełnych uprzedzeń projekcji tak długo, aż zmienione do niepoznaki, zostają wtłoczone w system, sklasyfikowane, zindeksowane i pogrzebane. To właśnie zdarza się każdemu Przeklętemu Czemuś, które robi zbyt wiele szumu, by ulec całkowitej ekskomunice. Jak zauważył Josia Warren: „Niebezpieczne jest zbyt prędkie zrozumienie nowych pojęć”. Nigdy prawie nie rozumiemy ich naprawdę, jedynie zabijamy i mumifikujemy zwłoki.

Monopol środków komunikacji precyzyjniej definiuje elitę władzy niż osławiona marksowska formuła „monopolu środków produkcji”. Z racji tego, że człowiek przedłuża swój system nerwowy kanałami komunikacji w rodzaju słowa pisanego, telefonu, radia etc, każdy, kto kontroluje powyższe media,

290

kontroluje część systemu nerwowego pozostałych członków społeczeństwa. Treści mediów stają się treścią umysłu pojedynczych obywateli.

I tak w społeczeństwach przedpiśmiennych tabu dotyczące słowa mówionego są o wiele liczniejsze i bardziej drakońskie niż na bardziej skomplikowanym poziomie organizacji społecznej. Wraz z wynalazkiem słowa pisanego — hieroglifów, ideogramów czy alfabetów — tabu przesunęło

się na nowy gatunek mediów; nikt nie przejmuje się już tak bardzo tym, co kto mówi, jak tym, co kto napisał. (W części społeczeństw, które pierwsze wkroczyły na ścieżkę pismienności, takich jak Egipt czy cywilizacja Majów w starożytnym Meksyku, znajomość hieroglifów była bez wątpienia umiejętnością religijną i tajną, zastrzeżoną wyłącznie dla kapłanów i cesarskiej rodziny). Mechanizm ten powtarza się w nieskończoność: Każdy krok naprzód w technologii komunikacji zostaje obłożony potężniejszym tabu niż kroki poprzedzające. I tak w dzisiejszej Ameryce (post-Lenny Bruce'owskiej) rzadko słyszy się o wyrokach za wygłaszanie obscenów czy bluźnierstw; nadal istnieje cenzura literacka, jednak wyższe instancje sądowe coraz częściej interpretują prawa w sposób liberalny, a większość pisarzy ma niemal jak w banku, że będą mogli publikować, co im ślina na język przyniesie; film zdesakralizował się niemal na równi z książką, choć na tym odcinku wciąż jeszcze toczy się ostra batalia; telewizja, medium najświeższej daty, nadal grzęźnie w neolitycznych tabu. (Kiedy telewizyjni bonzowie dopuścili się obrazy majestatu recenzując apel wygłoszony przez ówczesnego Dominującego Samca, niejakiego Richarda Nixona, jeden z jego adiutantów natychmiast poinformował ich, że przebrali miarę, i całe plemię — z wyjątkiem dysydenckiej mniejszości — hucznie celebrowało nawrót do tradycyjnych metod.) Kiedy powstanie medium bardziej efektywne, z telewizji zostanie zdjęte tabu.

291

PRZYPIS MEM

GAŚĆ PYTAŃ, KTÓRE W DALSZYM CIĄGU MOGĄ GNĘBIĆ CZĘŚĆ CZYTELNIKÓW

1. Co w rzeczywistości „czytała” Mama Sutra, kiedy Danny Pricefixer przyszedł do niej po radę?

Odpowiedź: Coś, co nie miało nic wspólnego z zabójstwem Johna F. Kennedy'ego, wybuchem bomby w lokalu „Konfrontacji”, Iluminatami ani z żadnym z sugerowanych tematów, chyba że pośrednio. Mama Sutra sięgnęła po omacku i trafiła na strzępy starego filmu *Manhattan Melodrama*, w związku z czym:

- Prokurator Okręgowy Wadę nie ma nic wspólnego z sędzią z Dallas, który pierwszy przez telewizję ogłosił Lee Harveya Oswalda winnym; jest aluzją do postaci granej w filmie przez Williama Powella.

- Clark nie ma nic wspólnego z żadnym z dotychczas wymienianych przez nas kapitanów Clarków; jest to Clark Gable, ekranowy partner Powella. *Statek tonie* nie jest aluzją do ilu-minackich pająkowatych statków ani statku pod dowództwem kapitana Clarka, lecz dotyczy *Generała Slocuma*, jak słusznie odgadła Mama — film zaczyna się sceną zatonięcia statku 15 czerwca 1904 roku. 2422 nie jest aluzją do daty zabójstwa Kennedy'ego czy też Oswalda, nie jest również dawnym adresem wobblistów; nawiązuje do sceny w filmie, podczas której Gable, na torze wyścigowym, wędruje od boks 24 do boks 22 (boks 23 jest niewidoczny, gdyż sylwetka Gable'a zasłania numer przed kamerą).

- *Skoro nie mogą żyć tak, jak bym chciał, dajcie mi chociaż umrzeć, kiedy zechcę* to ostatnie słowa wypowiedziane przez Gable'a w scenariuszu.

Czy fakt, że powyższa kwestia pada parokrotnie w niniejszej powieści (oraz w *Ulissesie* Joyce'a), jest koincydencją czy synchronizacją — pozostawiamy waszemu uznaniu. Być może zainteresuje was również, że *Manhattan Melodrama* szedł w kinie „Biograph” wieczorem 22 lipca 1934 roku i był ostat-

292

nim filmem, jaki obejrzał zastrzelony przed kinem mężczyzna, zidentyfikowany jako John Herbert Dillinger.

2. Na czym polegał masoński sygnał alarmowy, jakim posłużył się sklepikarz B.F. Morgan, kiedy Dillinger próbował obrabować jego sklep w 1924?

Odpowiedź: Polegał na wyciągnięciu przed siebie rąk zgiętych w łokciach do góry pod kątem 90 stopni i jednoczesnym wołaniu: „Czyż nikt nie przyjdzie na pomoc synowi wdowy?”

3. Czy tajemne przejście pod Salą Medytacyjną w gmachu ONZ naprawdę istnieje?

Odpowiedź: Być może, ale nie udało nam się znaleźć podziemnej komnaty. Niemniej mroczne sekrety na temat tego pomieszczenia wyciąga na światło dzienne Robert Keith Spencer w *Kulcie Wszechwidzącego Oka* (Christian Book Club of America, 1964).

4. Czym była *Erocja* Adama Weishaupta, o której w *Odlocie* Pierwszym wspomina Hagbard?

Odpowiedź: Słowo to, w swobodnym tłumaczeniu, oznacza „odświętną orgię zbiorową” i to właśnie, mniej lub więcej, miał na myśli Weishaupt. (Patrz cytowaną w tekście książkę Nesty Webster i Johna Robinsona). Czy teraz jesteście gotowi uwierzyć w spisek?

5. Czy FBI naprawdę korzystało z usług Al Capone w zidentyfikowaniu człowieka,

zastrelonego przed kinem „Biograph” 22 lipca 1934?

Odpowiedź: To jedna z wielu wątpliwych kwestii w książce *Dillinger: Żywy czy martwy?* Jaya Nasha i Rona Offena.

6. Jak to się stało, że Robert Simpson z Kansas City został znaleziony z gardłem rozszarpanym „jak gdyby pazurami olbrzymiego zwierza”, skoro nie doniesiono o ucieczce żadnego zwierzęcia z okolicznych ogrodów zoologicznych?

293

Odpowiedź: Zajrzyjcie do następnego tomu pt. *Golębie pocztowe*.

7. Jak to możliwe, że Simon Moon, który miał magisterkę z matematyki i obsesję na punkcie numerologii, nigdy nie zwrócił uwagi na najsłynniejsze 23 w historii matematyki — 23 definicje otwierające *Geometrię* Euklidesa?

Odpowiedź: Zapewne z tego samego powodu, z którego droga z Dayton w Ohio do New Lebanon w Ohio, prowadziła na wschód, kiedy 25 czerwca 1969 jechał nią Joe Malik, choć każdego dnia przedtem i potem prowadziła zawsze na zachód. Albo skutek samego procesu, jak ten, który pozwolił Joe obejrzeć w swoim telewizorze reklamę salemów, mimo że zakaz reklamy papierosów obowiązywał w telewizji od 1971 roku.

8. Czy Uśmiechnięty Jim Trepomena osiągnął sławę, o którą się ubiegał?

Odpowiedź: Nie. Dr Vulcan Troll w swej Definitywnej Historii Wielkiego Wstrząsu, *Jak zginął stan*, na str. 123 wspomina, iż „od tamtej chwili nie odnotowano żadnych doniesień na temat Orła Amerykańskiego, wobec czego nie pozostaje nam nic innego jak uznać, że gatunek ten był kolejną ofiarą bezmyślnego wybryku, jakiego przyroda dopuściła się owego tragicznego 1 maja”. Na stronie 369 dr Troll zalicza w poczet wybitnych ofiar „słynnego prawnika z Cincinnati, orędownika cenzury, Jamesa J. Trepomenę”. Nikt nigdy, nie wyłączając Trolla, nie dopatrzył się między oboma faktami związku.

9. Co się stało z ośmioma brakującymi przypisami? *Odpowiedź:* Zdjęła je cenzura.

294

PRZYPIS NUN

DODATKOWE INFORMACJE O NIEKTÓRYCH

POSTACIACH

PURPUROWY MĘDRZEC. Fikcyjny myśliciel chaoistyczny wymyślony przez lorda Omara Khayyama Ravenhursta (innego fikcyjnego myśliciela chaoistycznego).

LORD OMAR KHAYAM RAVENHURST. Fikcyjny filozof chaoistyczny wymyślony przez pana Kerry'ego Thornleya z Atlanty w Georgii. Pan Thornley był przyjacielem Lee Har-veya Oswalda; oskarżony przez prokuratora okręgowego Jima Garrisona o współudział w zamachu na Johna Kennedyego; autor *Pani Iluminatdw*, kilometrowego eposu poetyckiego, który serdecznie radzę wam przeczytać.

GEORGE DORN. Jego dziadek po kądzieli, stary Charlie Bishop, był swego czasu pacjentem słynnego doktora Williama Car-losa Williamsa. Bishopowie przybyli do New Jersey w 1723, opuściwszy Salem w Massachusetts w roku 1692, raczej nie z własnej woli. Jednak ludziska z okolic Nutley-Clifton-Passaic-Paterson zawsze się dobrze wyrażali o Bishopach. Dornowie natomiast od niepamiętych czasów byli rozrabiakami; dziadek George'a po mieczu, Wielki Bill Dorn, życiem przypłacił swoje chojractwo podczas strajku w zakładach jedwabniczych w Paterson w 1922.

HERAKLIT. Słynął z niezwykłych powiedzonek. Raz nawet posunął się do napisania: „Ceremonie religijne są rzeczą bezbożną”. Dziwny gość.

WIEWIÓRKA. Zespół narządów recepcyjnych, transmitujących informacje przez centralny system nerwowy do małego mózdzku zaprogramowanego jedynie na podejmowanie paru najprostszych decyzji — pod tym względem nie ustępuje specjalnie reszcie naszych bohaterów.

REBEKA GOODMAN. Jej panieńskie nazwisko brzmi Murphy, imię odziedziczyła po Rebecce z farmy Sunnybrook. Myśleliście, że jest Żydówką, co?

MARTWE EGIPSKIE PIEŁĘGNICE. Było ich, naturalnie, pięć.

295

DANNY PRICEFIXER. Zastrelony w trakcie wykonywania obowiązków służbowych dwa lata po wydarzeniach opisanych w tej książce. Uwielbiał muzykę Jana Sebastiana Bacha.

ADAM WEISHAUP. „Jest tak skryty — mawiano o nim na Uniwersytecie Ingolstackim — że nigdy nie wiadomo, co naprawdę myśli”.

CARMEL. Jedna z jego dziewcząt namówiła kiedyś pewnego aktora charakterystycznego z Hollywoodu, żeby do niego zadzwonił udając ankietera z Instytutu Kinseya, który chce przeprowadzić wywiad. Carmel, wyczuwając, że w grę nie wchodzi żadne pieniądze, próbował uciąć rozmowę, kiedy

nagle aktor spytał nosowym głosem: „Prawdę mówiąc, zależy nam tylko na informacji, czy miewa pan regularne stosunki z własną matką, czy też całe Las Vegas mówi o panu «Carmel matkojebca» z innych przyczyn?” Raz w życiu Carmela замуrowało. Dziewczyna wypaplała historię i przez wiele tygodni miasto konało ze śmiechu.

PERTER JACKSON. Jego pradziadek był niewolnikiem. Jego syn został pierwszym prezydentem Federacji Luni po rebelii . kolonistów księżycowych w 2025. W dalekiej przeszłości jeden z jego praprzodków został królem Atlantydy; w dalekiej przyszłości jeden z prawnuków miał zostać niewolnikiem na którejś z planet systemu Alpha Centauri. (Peter załapał się do załogi, z którą Hagbard pomknął wreszcie ku gwiazdom w 1999 roku.) Fortuna toczy się kołem; sam Peter intuicyjnie wyczuwał ów paradoksalny fatalizm, co sprawiło, że zwrócił się kiedyś do Eldridge'a Cleavera: „Ludzie, którzy mówią ci: «Albo tworzysz problemy albo roz-wiązania», sami tworzą problemy”. („Pierdol się” — odparował błyskotliwie Cleaver.)

SZEF LABORATORIUM, KTÓRY W PORĘ NIE ZAINTERESOWAŁ

SIĘ WĄGLIKIEM-TRĄDEM-DELTA. Przeżył później załamanie psychiczne i zaczął słać listy do czasopism, krytykujące cały rządowy program broni biologicznej USA. Ostatnich siedemnaście lat życia spędził w szpitalu St. Elizabeth's w Waszyngtonie, D.C., zajmując ten sam apartament, który

296

gościł niegdyś błyskotliwego poetę, Ezrę Pounda. Jego tyrady traktowane były z powagą w pewnych środowiskach, zwłaszcza wśród lewicujących kolegów naukowców, jednak wiceprezydent skomentował je w prasie jako „Żalną demagogię pedantycznego paranoika”. A oto próbka jego urojeń z listu do trzech czołowych sieci telewizyjnych (uznanego za zbyt kontrowersyjny, by go pchnąć w eter): „Wiek XIX szczylił się opanowaniem przekleństwa plag, które nie przebijając atakowały mężczyzn, kobiety i bezbronne dzieci. Co powiedzą potomni o wieku XX, który zarazy odtworzył z powrotem, olbrzymim nakładem kosztów i wysiłkiem tysięcy utalentowanych, lecz wynaturzonych umysłów naukowych, a następnie zmagazynował w żywej postaci w rozsianych po całym kraju bazach wojskowych, gdzie prędzej czy później statystycznie dojść musi do wypadku, który wypuści bakcyle na Bogu ducha winną ludność?” (Schizole często hołubią mroczne wizje tego rodzaju.) Nieszczęsny człowiek pozostał całkiem niewrażliwy na wszelkie wysiłki psychiatrów, choć poddawano go TEW (terapii elektrowstrząsowej) tak często, że jego mózg, w chwili gdy wyzionął wreszcie ducha, wysmażony był niczym omlet w restauracjach Howarda Johnsona.

WĄGLIK-TRĄD-DELTA. Forma życia, która może istnieć tylko dzięki istnieniu innych form życia; w tym względzie nie różni się specjalnie od większości z nas. Pierwszy z wytworów płodnego geniuszu Charliego Mocenigo o śmiercio-nośności tylko dziesięciokrotnie przerastającej zwykły wąglik. Mętными przeblaskami świadomości przypominał kolejkę podmiejską o 5 po południu, gdzie każdy myśli tylko o tym, żeby dotrzeć tam, gdzie ma dotrzeć i nazreć się. Pozostałe szczepy, aż po Wąglik-Trąd-Pi, są kropka w kropkę jak on.

LEE HARVEY OSWALD. Bohater serii powieści Harolda Weiss-burga, takich jak *Whitewash*, *Whitewash II*, *Photographic Whitewash* oraz *Oswald w Nowym Orleanie*. Czarny charakter innej powieści, zatytułowanej *Raport komisji prezy-*

297

denckiej do spraw zabójstwa prezydenta Johna Kennedyego Earla Warrena, Johna McCone'a i innych. Poza tym jego postać przewija się w wielu innych utworach z gatunku fikcji autorstwa Marka Lane'a, Penna Jonesa, Josiah Thompsona i wielu innych.

JACK RUBY. Oliver Hardy dla oswaldowskiego Stanleya Lau-rela.

THOMAS JEFFERSON. Rewolucyjny hodowca konopii, który napisał kiedyś: „(Kler) sądzi, że wszelkiej władzy, jaka przypadnie mi w udziale, użyję przeciw ich knowaniom. Nie mylili się: *przy ołtarzu Bożym zaprzysięgłem wieczną nienawiść wszelkiej tyranii umysłu ludzkiego*. Tego tylko muszą obawiać się z mojej strony; dla nich to aż za wiele”. Tylko nieliczni z gorliwych turystów, czytając wyróżniony kursywą fragment wypowiedzi wykuty na posągu Jeffersona w Waszyngtonie, D.C., orientują się w kontekście, z jakiego został wyjęty.

SCHIZOFRENİK ZE SZPITALA CHERRY KNOLLS. Numer 124C41. Nigdzie nie znaleziono żadnej wzmianki na temat jego nazwiska.

MARY LOU SERVIX. Koniec końców wyszła za Jima Rileya, dealera trawki z Dayton — to jednak inna, dosyć przydługa opowieść, która nas niezbyt obchodzi.

BURMISTRZ RICHARD DALEY. Autor nieśmiertelnych aforyzmów w rodzaju: „Cokolwiek by mówić, sam jestem liberałem” (22 października 1968); „Policjanci nie mają wprowadzać zamieszania, lecz podtrzymywać zamek” (23 września 1968); „Dziś rano podczas konferencji z nadkomendantem policji zaleciłem mu, by natychmiast wydał opatrzone własnym nazwiskiem rozkaz

kładzenia trupem na miejscu wszelkich podpalaczy oraz osób z koktajlem Mołotowa w dłoni" (17 kwietnia 1968); „Nikt nie wydał rozkazu zabijania; to jakaś mistyfikacja" (18 kwietnia 1968); „Chciałoby się powiedzieć, że senator Tower odważa chujową robotę, ja jednak nigdy nie używam takich wyrażen" (1 maja 1962); „Całe życie przemieszkalem w Chicago, dlatego będę się

298

upierał, że nie istnieje w Chicago nic takiego, jak getto" (8 lipca 1963); „Planujemy budowę nowych dzielnic, żeby wyciągnąć ludzi z gett i slumsów i dać im szansę wychowywania rodzin w przyzwoitych warunkach" (17 kwietnia 1969); „Chyba nie ja zbudowałem slumsy, prawda?" (3 sierpnia 1969); „Wspólnym wysiłkiem musimy wzbić się na nizinę"(13 marca 1967).

ROSYJSKI PREMIER. Komsymp.

OJCIEC CHARLESA MOCENIGO. Profesjonalista. Pracował dla Charlesa „Lucky'ego" Luciana, Louisa „Lepkego" Buchaltera, Federica Maldonada i wielu barwnych postaci amerykańskiego biznesu. Z powodu ostrego, zaciętego wyrazu twarzy w branży znany jako Jimmy Złośnik. Zgromadził forszę i przepchnął swojego chłopaka przez Massachusetts Institute of Technology, zarabiając na życie zabijaniem. To właśnie jemu wpadł w oko prawdziwy Frank Sullivan bawiący na występach gościnnych w Hawanie w 1934.

GENERAL LAWRENCE STEWART TALBOT. Prawdę mówiąc, między nim a tamtą dziewczyną z Red Lion, Penn., doszło jednak do czegoś.

MALAKLIPSA MŁODSZY, S.Ś.C. Autor *Principia Discordia*. Pod koniec lat siedemdziesiątych zniknął w tajemniczych okolicznościach. Jego ostatnie znane słowa brzmiały znamienne: „Nadchodzi świt, słońce wschodzi na zachodzie". Co mówiąc wstąpił do wód Pacyfiku.

JOHN HERBERT DILLINGER. Kiedy Simon Moon studiował jego biografię w poszukiwaniu 23, przegapił jeden niezły numer: John w trakcie kariery opisywanej na łamach książki dopuścił się 26 napadów, w tym jednak tylko 23 w celach zarobkowych. Pozostałe 3 (komisariaty policji) wyglądają na czystej wody Sztukę Dla Sztuki.

OJCIEC SIMONA. Tim Moon. Opowiadał synowi historie Joe Hilla, Big Billa Haywooda, Sacca i Vanzettiego oraz Franka Little'a, kiedy Simon był w wieku, gdy większość chłopców wysłuchuje bajeczek o Królownie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach. Simon miał nigdy nie zapomnieć: Joe Hill

w wieczór przed egzekucją kabluje dowództwu woblistów w Chicago: „Nie płaczcie po mnie, chłopcy: organizujcie się". Bartolomeo Vanzetti: „Wasze sądy, wasze prawa, wasi fałszywi bogowie zostaną tylko mdłym wspomnieniem przeklętych czasów, gdy człowiek był drugiemu człowiekowi wilkiem". Tim wraz z druhami śpiewają w salonie: „Po czyjej stronie jesteś, bracie/ Po czyjej jesteś stronie?", aż Molly zaczyna zrzedzić: „Pobudzicie sąsiadów". Tim opowiada o Big Billu: „Racja, miał przecież szklane oko. Zupełnie mi to wyleciało z głowy. Żywe oko wybił mu gliniarz podczas strajku". Ale pełne wyobrażenie o Timie dałby wam dopiero widok sześćioletniego Simona, jak przekracza próg pierwszej klasy zwracając się do pierwszego napotkanego chłopaczka: „Ja się nazywam Simon Moon; a ty jak się nazywasz, Towarzyszu Pracy?"

PADRE PEDERASTIA. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Ojciec James Flanagan.

TOBIAS KNIGHT. Jedyny pięciokrotny agent w historii wywiadu.

JAMES JOYCE. Po śmierci, spotkawszy na piątej orbicie Yeatsa, zwrócił się do niego: „Teraz jestem gotów pobrać od pana nauki, gdyż wygląda na to, że koniec końców nie mylił się pan na temat Śmierci". „Nie ma za co. To wszystko ci się tylko śni" — odparł Yeats. Jego odpowiedź tak bardzo rozwścieczyła Joyce'a, że natychmiast postanowił się zreinkarnować (na piątej orbicie roilo się od mistyków w rodzaju Yeatesa, George'a Russella czy Madame Bławatskiej i Joyce przewidywał, że jego racjonalna, arystoteliańska wrażliwość będzie nieustannie podczas konwersacji obrażana) i 11 października 1942 wstąpił w łono Elizabeth Mullins z Vernon, New Jersey, skąd został wyskrobany 10 grudnia 1942. 18 stycznia 1943 wstąpił w łono Rachel Stein z Ingolstadt i został z nią zagazowany w Oświęcimiu, 1 września 1943, na miesiąc przed terminem porodu. Po tych przeżyciach wycofał się do klasztoru na szóstej orbicie, gdzie napisał swoją najzabawniejszą i najbardziej zgryźliwą powieść. Transmisje jej fragmentów bywają po dziś dzień wylapywane przez media całego świata, które zgodnie doszedłszy do wniosku, że doznały pomieszania zmysłów, odmawiają zapisywania przekazu.

CHARLES WORKMAN. Przedsiębiorca.

MENDY WEISS. Kolejny przedsiębiorca.

JIMMY ZŁOŚNIK. Trzeci przedsiębiorca, któremu lepiej się powiodło od tamtych. Zob. pod OJCIEC CHARLESA MOCE-NIGO.

ALBERT „NAUCZYCIEL" STEIN. Nie dość, że stracił szansę na nieśmiertelność, kiedy udowodniono, że nie zabił Holendra Schultza, to jeszcze większość książek poświęconych tej sprawie

mylnie podaje jego nazwisko jako Stern, z której to tradycji staraliśmy się, na ile to możliwe, nie wyłamywać.

HENRY FORD. Importując *Protokoły Mędrców Syjonu* i inicjując masową produkcję samochodów zatrął zarówno umysły, jak i powietrze Ameryki, jednak działał w dobrej wierze, a przynajmniej w jakiejś wierze.

STARSZY BRAT GEORGE'A DORNA. Jego sukcesy na polu naukowym wzbudzały zazdrość George'a (i wpłynęły na jego wybór kierunku humanistyczno-artystycznego na Columbii). Z mówiącymi delfinami miał do czynienia wcześniej niż George (co odbiło się na psychice George'a w sposób, który zainteresował Hagbarda jego rekrutacją); historię tę znajdziecie w *Mitycznych opowieściach Cthulhu* pod redakcją Augusta Derletha (Arkham House, 1969).

MARKOFF CHANEY. Wkrótce po powrocie do Las Vegas dał dyla Saulowi i Barney'owi i tyle go widziano. Niemniej pewnego dnia w 1984 roku Hagbard Celinę, który robiąc jakieś machlojki pod przybranym nazwiskiem znalazł się w Drukarni Rządowej USA przy Capitol Street w Waszyngtonie, zauważył stertę ulotek opatrzonych niebieską pieczęcią: ŚCIŚLE TAJNE: WYŁĄCZNIE DO WGLĄDU OSÓB UPOWAŻNIONYCH oraz czerwoną: DO NATYCHMIASTOWEGO ROZPOWSZECHNIENIA. Wiele praworządnych sług władzy wyjaśnianie, kto odpowiadał za owe pieczęcie — jeśli w ogóle ktoś za nie odpowiadał — przyplącić miało niezłą migrenę. Hagbard wciąż dobrze pamiętał opowieść Saula o numerze w Las Vegas, rozejrzał się więc uważnie dokoła. W jednym rogu wypatrzył spory automat do parzenia kawy. Zapalił jedno ze swoich długich, czarnych cygar i lekkim krokiem wypruł na ulicę. Słońce świeciło jasno, powietrze było rześkie, panowała wiosna, co w pewnym stopniu tłumaczy fakt, że Hagbard, maszerując szybko i zdecydowanie w stronę budynku Senatu, pogwizdywał. Co gwizdał? „Me serce nie jest już z wami, me serce rwie się wzwyż”.